REPORTAŻ

Wojciech Górecki

WIECZNE PAŃSTWO

Opowieść o Kazachstanie

W serii ukazały się ostatnio:

Paweł Smoleński *Pochówek dla rezuna* (wyd. 4)

John Vaillant *Tygrys. Na tropie rosyjskiej bestii*

Harley Rustad *Zagubiony w Dolinie Śmierci. Obsesja i groza w Himalajach*

Bartek Sabela *Wędrówka tusz*

Jamie Bartlett *Królowa kryptowaluty. Historia miliardowego cyberprzekrętu*

Małgorzata Nocuń *Miłość to cała moja wina. O kobietach z byłego Związku Radzieckiego*

Roman Husarski *Kraj niespokojnego poranka. Pamięć i bunt w Korei Południowej* (wyd. 2)

Bartosz Józefiak *Wszyscy tak jeżdżą*

Tomáš Forró *Gorączka złota. Jak upadała Wenezuela*

Douglas Preston, Mario Spezi *Potwór z Florencji. Śledztwo w sprawie seryjnego mordercy*

Piotr Lipiński *Wasilewska. Czarno-biała*

Agnieszka Pikulicka-Wilczewska *Nowy Uzbekistan*

Taina Tervonen *Grabarki. Długi cień wojny w Bośni*

Katarzyna Kobylarczyk *Ciałko. Hiszpania kradnie swoje dzieci*

Jacek Hołub *Beze mnie jesteś nikim. Przemoc w polskich domach* (wyd. 2)

Anna Bikont *Nigdy nie byłaś Żydówką. Sześć opowieści o dziewczynkach w ukryciu*

Jelena Kostiuczenko *Przyszło nam tu żyć. Reportaże z Rosji* (wyd. 3)

Barbara Demick *Światu nie mamy czego zazdrościć. Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej* (wyd. 3)

Bartosz Żurawiecki *Ojczyzna moralnie czysta. Początki HIV w Polsce*

Kate Brown *Czarnobyl. Instrukcje przetrwania* (wyd. 2)

Amos Oz *Na ziemi Izraela* (wyd. 2)

Marta Wroniszewska *Tu jest teraz twój dom. Adopcja w Polsce* (wyd. 2)

Sam Knight *Biuro przeczuć. Historia psychiatry, który chciał przewidzieć przyszłość*

Katarzyna Kobylarczyk *Pył z landrynek. Hiszpańskie fiesty* (wyd. 2)

Paweł Smoleński *Izrael już nie frunie* (wyd. 6)

Piotr Lipiński *Bierut. Kiedy partia była bogiem* (wyd. 2)

Derek Scally *Najlepsi katolicy pod słońcem. Pożegnanie Irlandczyków z Kościołem*

Kalina Błażejowska *Bezduszni. Zapomniana zagłada chorych* (wyd. 2)

Murong Xuecun *Śmiertelnie ciche miasto. Historie z Wuhanu*

Bradley Hope *Pokonać Kimów. Tajna misja przeciwko reżimowi*

John Treherne *Zbrodnia w raju. W poszukiwaniu utopii na Galapagos*

Maciej Wasielewski *Jutro przypłynie królowa* (wyd. 3)
Bartosz Panek *Zboże rosło jak las. Pamięć o pegeerach*
Jacek Hołub *Wszystko mam bardziej. Życie w spektrum autyzmu*
Marcelina Szumer-Brysz *Wróżąc z fusów. Reportaże z Turcji* (wyd. 3 rozszerzone)

W serii ukaże się m. in.:
Mateusz Marczewski *Pasażerowie. Ayahuasca i duchy Amazonii*

Wojciech Górecki

Wieczne państwo

Opowieść o Kazachstanie

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2024

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

prawolubni

Projekt okładki Agnieszka Pasierska
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś
Fotografia na okładce Frederic Noy / Panos Pictures / Forum

Fotografie wewnątrz tomu © Wojciech Górecki
Fotografia ze s. 91 © Administracja Prezydenta Republiki Kazachstan

Copyright © by Wojciech Górecki, 2024

Redakcja Tomasz Zając
Korekta Joanna Stocka / d2d.pl, Jadwiga Makowiec / d2d.pl
Skład Robert Oleś
Mapa Wojciech Mańkowski

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-954-8

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Epigraf

Biała kość, czarna kość
Podróż 2022. Warszawa – Andiżan – Taszkent
Podróż 2022. Taszkent – Ałmaty
Podróż 2022. Ałmaty
Ełbasy. Wywiad z Nazarbajewem
Podróż 2022. Ałmaty – Astana
Czykruli. Fersztejs, mużyk?
Podróż 2022. Astana – Aktau
Podróż 2022. Aktau – Atyrau
Podróż 2022. Atyrau – Aktobe
Podróż 2022. Aktobe – Aralsk
Podróż 2022. Morze Aralskie
Podróż 2022. Aralsk – Kyzyłorda
Podróż 2022. Kyzyłorda – Żezkazgan
Podróż 2022. Żezkazgan – Karaganda
Podróż 2022. Karaganda – Astana
Semipałatyńsk. Sprawy nieludzkie
Podróż 2022. Astana – Stambuł – Warszawa

Podziękowania i bibliografia
Przypisy
Kolofon

Przyjaciołom z Ośrodka Studiów Wschodnich

Jeśli osiądziesz w ziemi Ötüken, będziesz mógł spokojnie żyć, budując swoje wieczne państwo.

Inskrypcja ku czci Köl Tegina, brata Bilge Kagana (tak zwany mały napis), VIII wiek

Kazachstan

© Wojciech Maślikowski
Czelabińsk
Omsk
Ufa
Samara
Oziornoje
ROSJA
Burabaj
Orał
(Uralsk)
Astana
Kurczatow
Semej
(Semipałatyńsk)
Aktobe
(Aktiubińsk)
Karaganda
Astrachań
Sarajszyk
Atyrau
Arał
(Aralsk)
Żezkazgan
J. Aralskie
j. Bałchasz
Bajkonur
Aktau
Kyzyłorda
Türkystan
(Turkiestan)
Żangaözen
(Żanaozien)
Szamałgan
Ałmaty
Morze
Kaspijskie
CHINY
Biszkek
UZBEKISTAN
Szymkent
KIRGISTAN
Andiżan
Baku
Turkmenbaszy
Taszkent
TURKMENISTAN
200 km

Biała kość, czarna kość

Był step.

Był od zawsze.

Ludzie nazwali go Wielkim Stepem – i taki właśnie jest. Zaczyna się na wschodnich krańcach Azji, w Mandżurii, biegnie przez cały kontynent, omija Morze Kaspijskie, a potem rozlewa się po Europie, zajmując dzisiejszą południową Rosję, Ukrainę z Krymem oraz Mołdawię. Kończy się na Nizinie Węgierskiej i dolinie Dunaju.

Jest jak ocean:

> Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu,
> Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi,
> Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
> Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Lekarka Danuta Tęczarowska, deportowana w kwietniu 1940 roku do Kazachstanu z zajętego przez Sowietów Lwowa, wspominała wiele lat później: „Stojąc na stepie, miało się wrażenie, że stoi się na środku morza suchej trawy, przykrytego kloszem niebieskiego nieba. Nie mam zrozumienia dla poezji, ale często, zbierając kiziak [krowi nawóz na opał], powtarzałam sobie na głos *Stepy akermańskie* Mickiewicza, gdyż wiersz ten oddaje wiernie nastrój stepowy”. Na stepie, pisze autorka, czuje się przestrzeń i wolność, a człowiek zlewa się z przyrodą.

Zesłany do Kazachstanu sześćdziesiąt lat wcześniej przez carskich sędziów etnograf Jan Witort zauważył, że step to wieczny ruch. Nie znosi statyki i zmusza do przemieszczania się wszystko i wszystkich wokół: „Zawsze jednak znamienną cechą stepów jest nużąca jednostajność, wzbudzająca tęsknotę lub pewną ospałość, wieczne powtarzanie się tych samych obrazków, tych samych wrażeń. Takie wrażenia wynosi zwykle podróżnik przy pierwszym obeznaniu się ze stepem, lecz one rychło nikną, skoro oko oswoi się z niezwykłym widokiem, skoro baczniej rozejrzy się w otoczeniu. […] Kto był w stepach, kto oddychał ich powietrzem, patrzał na te bezmiary, ten zrozumie niezawodnie to

dziwne uczucie, które nie pozwala pozostawać długo na jednym miejscu i ciągnie ustawicznie w dal… w dal…”.

Niektórzy porównują Wielki Step do transkontynentalnej autostrady. Ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód wędrują nią od zarania ludzkości żołnierze, kupcy, posłańcy, misjonarze i rozmaite niespokojne duchy.

Było państwo. Było wiele państw.

Wszystkie opierały się na rodach, szczepach, plemionach. W tamtych stronach musisz żyć kolektywnie, inaczej zginiesz.

„Od jak dawna ród ludzki pamięta, mieszkały w stepach ludy koczownicze – to wciąż Jan Witort – jedne ustępowały, inne zajmowały ich miejsce”. W pierwszym tysiącleciu przed Chrystusem dominowali Indoeuropejczycy: Massageci, Sarmaci, Scytowie, Sakowie. U progu naszej ery zaczęły przeważać ludy ałtajskie, a wśród nich – mongolskie i turkijskie (tureckie). Wieki później z zaludniającej Wielki Step ludzkiej mgławicy wyłonią się Kazachowie, Kirgizi, Uzbecy i Turkmeni, którzy mówią językami z rodziny turkijskiej.

Stanisław Kałużyński, badacz tamtejszych kultur, pisał: „Rody i plemiona pasterskie chętnie łączyły się w pewne większe ugrupowania, przy czym decydowały tutaj nie tyle związki pokrewieństwa czy genetyczne, ile wspólnota interesów politycznych. Łatwość powstawania związków rodowych i plemiennych równała się łatwości ich rozpadu. Okoliczności te powodowały, że stepy stanowiły arenę nieustannych walk pomiędzy poszczególnymi rodami i szczepami lub ich związkami, co dawało jednostkom utalentowanym pod względem wojskowym i organizacyjnym okazję do wybicia się. Jeżeli wodzowi, który stanął na czele niewielkiej początkowo federacji, udało się zapobiec jej rozpadowi i, co więcej, dzięki sukcesom militarnym ustalić swoją przewagę, to wówczas rola jego szybko rosła i przy sprzyjających okolicznościach mógł w krótkim czasie opanować i zjednoczyć rozległe terytorium. Sprzyjało temu rozdrobnienie ludności stepowej, jej ruchliwość i zmienność układu sił politycznych. Nierzadko wystarczało jednego życia do stworzenia od podstaw ogromnego imperium obejmującego miliony kilometrów kwadratowych lub nawet o zasięgu światowym”.

Stepowe królestwa różniły się od tych, które znamy z dawnej Europy czy Bliskiego Wschodu. Nie miały sieci twierdz i umocnień ani stałego osadnictwa, za to sprawnie działały poczta, system podatkowy, organizacja armii. Stolicą było aktualne koczowisko władcy. Ten, niczym współcześni drobni

przedsiębiorcy, którzy noszą swoje biuro w teczce, woził ze sobą aparat państwa: sekretarzy, doradców, ministrów, kancelarię, dwór. Pradawne miasta na południe od Wielkiego Stepu – stacje na Jedwabnym Szlaku – służyły mu do podbojów, rzadziej do wymiany handlowej.

Państwa były ulotne jak stepowy wiatr – ale wiatr o sile bomby atomowej, zdolny wywrócić świat do góry nogami. Choć imperium mongolskie Czyngis-chana, nieznające dyskryminacji narodowościowej ani religijnej, zaczęło rozpadać się już za jego wnuków (w drugiej połowie XIII wieku), odcisnęło piętno na całej dalszej historii regionu. Stanowiło wzorzec monarchii, stały punkt odniesienia. Ideał. Panujący w nim pokój mongolski, Pax Mongolica, dał tej części Eurazji swobodę handlu i komunikacji. W ciągu następnych wieków prawowitą władzę nad dziesiątkami ord i chanatów, które powstawały i upadały na Wielkim Stepie, sprawowali Czyngisydzi – potomkowie Czyngis-chana w linii prostej.

W jednym z takich organizmów, Chanacie Kazachskim, Czyngisydów i hodżów (potomków arabskich misjonarzy i zdobywców) nazwano „białą kością". Po kazachsku – *aksujek*. To to samo, co błękitna krew. Cała reszta, niezależnie od osobistych zasług, które mogły doprowadzić do bardzo wysokich godności, choć nie tych najwyższych, zaliczała się do „czarnej kości" – *karasujek*. W czasach sowieckich ludzi białej kości prześladowano jako element obcy klasowo. Ale komunistom nie udało się zabić pamięci.

W pierwszym okresie rządów Nursułtana Nazarbajewa – panował trzydzieści lat, przewodząc najpierw sowieckiemu, a potem już niepodległemu Kazachstanowi, aż w roku 2019 zrezygnował, choć na dobre odszedł dopiero trzy lata później – oponenci z klanowych elit wytykali mu, że nie ma odpowiedniego pochodzenia. Że przyszedł na świat w rodzinie pasterza z czarnej kości, więc nie może przewodzić narodowi. Ale pociągnął za sobą ludzi. A potem nie miał już w kraju żadnych oponentów, rządził bowiem zgodnie z najlepszą chańską tradycją. Koniec jego kariery znów przypominał los dawnego stepowego władyki, który uwierzył we własną nieomylność i zaufał wyznaczonemu przez siebie dziedzicowi.

Spore połacie dzisiejszego Kazachstanu zajmują pogórza i góry. Wysokie, dochodzą nawet do siedmiu tysięcy metrów. Ale sercem kraju jest step, bo stamtąd wyszli Kazachowie. Ta część Wielkiego Stepu nazywa się Stepem Kazachskim.

Kazachstan jest ogromny. Ze wschodu na zachód rozciąga się na trzy tysiące kilometrów (to dalej niż z Warszawy do Lizbony), a z północy na południe na ponad półtora tysiąca (tyle, co z Warszawy do Ankary). Dwa miliony siedemset tysięcy kilometrów kwadratowych. Polska razy dziewięć, Szwecja razy pięć. Z Polski do granicy rosyjsko-kazachstańskiej za Wołgogradem jest bliżej niż stamtąd do Ałmatów, czyli dawnej stolicy. Nawet jeśli ruszymy ze Szczecina. A na Ałmatach kraj się jeszcze nie kończy. To największe państwo świata bez dostępu do morza (Kaspijskie się nie liczy, bo w rzeczywistości jest jeziorem i nie ma łączności ze światowym oceanem; dawne Morze Aralskie, po którym zostały trzy jeziora, nie liczy się tym bardziej). Przejazd pociągiem może trwać kilka dni. Malutka europejska część Kazachstanu – obejmuje tereny na zachód od rzeki Ural – jest większa niż Bułgaria czy Grecja.

Wielki kraj, ale za sąsiadów ma giganty: Rosję, sześciokrotnie większą i siedmiokrotnie ludniejszą, oraz Chiny – trzyipółkrotnie większe i siedemdziesięciokrotnie ludniejsze. Trudno się żyje w ich cieniu. Ostatnie wieki to rosyjska kolonizacja. Nie było takiej zbrodni, której Rosjanie by tam nie popełnili. Rosja carska odebrała Kazachom najlepsze pastwiska i osiedliła na nich Słowian, przegrodziła szlaki koczowniczych wędrówek, przydusiła podatkami i domiarami. Utopiła we krwi powstanie 1916 roku. Ta komunistyczna w ogóle zabroniła koczować, rekwirując stada do kołchozów i sowchozów (wielu pasterzy wolało wyrżnąć całe pogłowia, niż oddać je państwu). Przymusowej kolektywizacji i związanej z nią klęski głodu nie przeżyła połowa Kazachów.

Sowieci wymordowali pierwsze pokolenie kazachskiej inteligencji. W dawnych koczowiskach urządzili łagry, w stepy zesłali Polaków, Niemców z Powołża, Koreańczyków z Dalekiego Wschodu, górskie narody Kaukazu. Pięćset prób jądrowych na semipałatyńskim poligonie zniszczyło zdrowie pokoleń Kazachów. Także tych, które się dopiero urodzą. Zaczęło znikać Morze Aralskie, pozbawione wody zabieranej na pola bawełny. Na powierzchnię wyszły sól i trujące chemikalia – to, co zostało z nawozów sztucznych, którymi szprycowano plantacje. Gospodarka rabunkowa wyjałowiła pastwiska.

Tak, Związek Radziecki przyniósł też modernizację. Danuta Tęczarowska pisała: „W okolicy, dokąd byłam wywieziona, są teraz wyrzutnie sputników i lądują astronauci”. Miała na myśli kosmodrom Bajkonur. W Kazachstanie powstały przedszkola, szkoły i uniwersytety, szpitale i przychodnie, teatry i kina. I wielki przemysł, który obsługiwali przyjezdni, bo miejscowych kadr

było za mało. Dlatego kazachstańscy Rosjanie, pełni frustracji, że nie mają teraz wiele do powiedzenia (wcześniej rządzili, a Kazachowie byli w mniejszości), skarżą się w mediach społecznościowych na czarną niewdzięczność gospodarzy. Gdy Astana nie poparła inwazji Moskwy na Ukrainę, w mediach społecznościowych pojawiły się komentarze: „Przecież to myśmy tu wszystko zbudowali, myśmy nauczyli was korzystać z toalety!”.

Po upadku ZSRR ożywił się drugi wielki sąsiad. Chinom potrzebne były kazachskie bogactwa: ropa, gaz, węgiel i reszta skrytej pod stepem tablicy Mendelejewa. Oraz ziemia, której w Chinach brakuje. Korzystając ze swoich atutów – położenia, powierzchni i bogactw – a także z możliwości, jakie daje niepodległość, Kazachstan stara się manewrować pomiędzy Chinami, Rosją a Zachodem.

Współczesne państwo kazachskie istnieje od końca 1991 roku. Wcześniej takiego państwa nie było. Ale to nie znaczy, że Kazachowie nie mieli swojej ojczyzny.

– W czasach sowieckich za początek naszej państwowości przyjmowano powstanie Chanatu Kazachskiego w połowie XV wieku – powie mi Gulżan Asyłbiekowna, historyczka z uniwersytetu w Kyzyłordzie, wykształcona w Wielkiej Brytanii. Asyłbiekowna cieszy się, że te czasy się skończyły. – Teraz uniwersytecki kurs historii państwa zaczynamy od V wieku przed naszą erą i kultury indoeuropejskich Saków.

Mocno to naciągane, ale niepozbawione kuszącej logiki. Zgodnie z nią Kazachstan to kolejna inkarnacja nie tylko tegoż Chanatu, lecz także Złotej Ordy, imperium mongolskiego i wcześniejszych koczowniczych królestw oraz związków plemiennych, zwanych po prostu „*el*”. Nawiązując do nich, Stanisław Kałużyński zauważył, że „warunki bytowania na stepach, gdzie każde ugrupowanie rodowe mogło być samowystarczalne, wytworzyły u ich mieszkańców szczególne zamiłowanie do nieograniczonej swobody, ruchu i wolności. Cechą mieszkańca stepów była duma z jego swobody i niechęć do podporządkowania się jakimkolwiek ograniczeniom”. Trzeba tu wiedzieć, że słowo „Kazach” – wraz z pokrewnym mu „Kozakiem” – oznacza w przekładzie z języków tureckich właśnie kogoś takiego: uciekiniera, człowieka, który wyrwał się z okowów. Człowieka wolnego. A skoro byli w stepie Kazachowie, to był i Kazachstan.

W takim sensie był on od zawsze.

W Wielkim Stepie trwa od zawsze wieczne państwo.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Podróż 2022. Warszawa – Andiżan – Taszkent

1

To jest relacja z podróży, którą odbyłem latem 2022 roku. Na Ukrainie trwała już wojna, a Kazachstan dochodził do siebie po styczniowych zamieszkach, największych od uzyskania niepodległości, i odsunięciu byłego prezydenta Nazarbajewa i jego rodziny od wpływów na państwo (opiszę to wszystko po kolei). Pojechałem do Ałmatów i Astany, bo w obu stolicach, starej i nowej, można się wywiedzieć, jakie wiatry wieją w polityce. Potem wybrałem się nad Morze Kaspijskie i dalej na północ. Stamtąd interiorem, zakosami, wróciłem do Astany. W moją relację wplotłem historie z wielu poprzednich wyjazdów.

Kazachstan chciałem opisać już w książce *Buran. Kirgiz wraca na koń*, która wyszła w roku 2018 – ale rozsadziłoby to całą konstrukcję. W mojej wizji – zagęszczonych, na ile się da, portretach państw regionu – zmieściły się Turkmenistan, Tadżykistan, Kirgistan i Uzbekistan, nie dało się jednak upchać kazachskich przestrzeni. Musiałbym zrezygnować z wielu opisów i bardzo wielu wątków. A trochę się ich zebrało. To był mój pierwszy kraj w poradzieckiej Azji, odwiedziłem go w 1996 roku, a potem często tam wracałem i z każdym pobytem wydawał mi się coraz ciekawszy. Ostatecznie dałem do *Buranu* krótki rozdział *Kazachstan. Państwo archipelag* z listą kilkunastu kazachskich tematów, które zamierzałem podjąć. Musiały jeszcze poczekać.

Buran nawiązywał do książki Ryszarda Kapuścińskiego *Kirgiz schodzi z konia*; ukazał się równo pół wieku po niej. Tam także Kazachstanu nie było: były pozostałe „stany” Azji Centralnej oraz Gruzja, Armenia i Azerbejdżan. Zastanawiałem się dlaczego. Pierwszy trop podsunął sam reporter. W *Imperium*, poświęconym rozpadającemu się ZSRR, wspominał: „I oto pojechałem do nie-rosyjskich republik ówczesnego Imperium. Co rzuciło mi się w oczy? Otóż mimo sztywnego, koszarowego gorsetu sowieckiej władzy, udało się tutejszym małym, ale prastarym narodom zachować coś ze swojej tradycji, ze swojej historii, swojej z konieczności ukrywanej dumy i godności własnej. Odkryłem tam rozłożony w słońcu dywan wschodni, który w wielu miejscach zachował jeszcze dawne barwy i przyciągał uwagę różnorodnością swoich oryginalnych

wzorów”. Myśl rozwinął w wywiadzie: „Zawsze interesowałem się Trzecim Światem i *Kirgiz schodzi z konia* miał być książką o tej części ówczesnego Związku Radzieckiego, która była najmniej rozwinięta gospodarczo, najbardziej nierosyjska i najbardziej tubylcza”. Zrusyfikowany, zsowietyzowany i uprzemysłowiony Kazachstan nie pasował do tych opisów. Myślę jednak, że był też inny powód. W uczciwym reportażu nie sposób było nie wspomnieć o łagrach, deportacjach, poligonie jądrowym – a każdą wzmiankę na ten temat zatrzymałby komunistyczny cenzor. Lepiej było już nic nie pisać.

2

Aby usiąść do książki o Kazachstanie, musiałem tam jeszcze raz pojechać. Kilku ważnych miejsc wcześniej nie widziałem, nie byłem choćby nad kazachską częścią dawnego Morza Aralskiego (zajechałem tam kiedyś od strony uzbeckiej). Inne chciałem sobie odświeżyć. Czas robił swoje, a historia przyspieszyła. Bez nowej wyprawy trudno byłoby opowiedzieć o współczesnym kraju.

Podróż planowałem zacząć w rosyjskim Astrachaniu, który leży w delcie Wołgi, kilkadziesiąt kilometrów od kazachstańskiej granicy. W latach dziewięćdziesiątych, w czasach Jelcyna i anarchicznej rosyjskiej demokracji, miasto cieszyło się złą sławą. „Lecąc do Astrachania, nie mogłem oprzeć się wyobrażeniu, że jest to podróż do Chicago lat trzydziestych, w którym rządzą gangi, trup ściele się gęsto, a w każdej knajpie siedzi mafioso – wspominał Marek Z., przedsiębiorca i współautor książki *Przejażdżka po Rosji*, którą czyta się momentami jak dobry kryminał. – Leciałem przecież do centrum kawiorowego, co dla wielu ludzi brzmiało dokładnie tak samo jak centrum narkotykowe”. Na szczęście wszystko się dobrze skończyło: „Wyprawa była jak najbardziej udana, bo obyło się bez strzelaniny”.

Astrachań był mi potrzebny jako baza wypadowa do pozostałości Saraju – stolicy Złotej Ordy, potężnego mongolsko-turkijskiego państwa, które w późnym średniowieczu panowało nad Wielkim Stepem. Założył je Batu, wnuk Czyngis-chana. Saraj zamieszkiwali głównie przedstawiciele narodów podbitych, w tym Słowianie – zdobywcy woleli namioty i otwartą przestrzeń. Niegdyś był jednym z największych miast na świecie, przyciągał podróżników, ściągali tam kupcy, przybywali posłowie z Europy i Bliskiego Wschodu. Dziś to

dziura, którą trudno wypatrzeć na mapie, obcy wtręt między dwiema niezbyt dużymi wsiami o pospolitych rosyjskich nazwach. Dopiero niedawno, przy okazji kręcenia filmu, założono tam muzeum: najbardziej efektowne ruiny to filmowe dekoracje. Na stronie placówki widziałem zdjęcia pracowników, którzy w strojach dawnych panów tych ziem obsługują gości, na pewno w większości Rosjan. W takich miejscach fizycznie czuć miażdżącą siłę i przewrotność historii. Dlatego ciągnęło mnie do Saraju.

Potem chciałem przeciąć zachodni Kazachstan i znowu wjechać do Rosji, żeby zajrzeć do Buzułuku i Orenburga. W 1941 roku w pierwszym z tych miast ulokowało się dowództwo formowanej wówczas Armii Andersa (po kilku miesiącach przeniesiono je do Uzbekistanu). Orenburg powstał trzysta lat temu jako kresowa twierdza na pograniczu z koczowiskami Kazachów. Stamtąd Rosjanie podbijali Azję Centralną. Po zwycięstwie bolszewików miasto zostało stolicą sowieckiego Kazachstanu, ale kilka lat później Moskwa oddała je sowieckiej Rosji.

W pierwszej połowie XIX wieku w orenburskim garnizonie służyło wielu zesłanych Polaków, w tym filareci Adam Suzin i Tomasz Zan. Inny konspirator z tego kręgu, Adolf Januszkiewicz, trafił dalej w głąb stepów i został wybitnym badaczem kazachskiego folkloru. Cała trójka występuje pod własnymi imionami w pierwszej scenie III części Mickiewiczowskich *Dziadów*. Tam też znajduje się dialog:

KILKU Z WIĘŹNIÓW
No, Janie! Nowiny?

JAN SOBOLEWSKI
(ponuro)
Niedobre – dziś – na Sybir – kibitek dwadzieście
Wywieźli.

ŻEGOTA
Kogo? – Naszych?

JAN
Studentów ze Żmudzi.

WSZYSCY
Na Sybir?

JAN

I paradnie! – Było mnóstwo ludzi.

Chodziło o członków organizacji Czarni Bracia z miasteczka Kroże na Żmudzi. Wśród nich był Jan Prosper Witkiewicz, w momencie zesłania niespełna szesnastoletni. On także trafi do Orenburga – z wyrokiem dożywotniej służby wojskowej bez prawa awansu oraz odebranym szlachectwem (początkowo zasądzono mu, jeszcze dziecku, karę śmierci). Na miejscu zacznie się uczyć lokalnych narzeczy – w sumie znał ponoć dziewiętnaście języków obcych – i wkrótce szczęśliwym, choć makiawelicznym zrządzeniem losu zostanie tajnym agentem w carskiej służbie dyplomatycznej. W takim charakterze podróżował do emiratu Buchary i do Afganistanu, wielokrotnie przemierzając Kazachstan. Ale to inna historia.

Miałem już rosyjską wizę i bilety, gdy zaczęła się pandemia i zamknięto granice. Po dwóch latach zniesiono obostrzenia, ale wtedy Rosja napadła na Ukrainę i pomysł z Orenburgiem i Astrachaniem stracił sens. Filmowcy mawiają, że w filmie fabularnym reżyser jest bogiem, a w dokumentalnym Bóg – reżyserem. Podobnie jest z beletrystyką i reportażem.

3

Do Azji Centralnej najprościej lecieć przez Stambuł. Tureckie linie lotnicze wyparły Aerofłot, który do połowy lat dwutysięcznych był prawie monopolistą. Utrzymują połączenia ze wszystkimi stolicami oraz wieloma mniejszymi miastami. Doszło do tego, że z turkmeńskiego Aszchabadu do Duszanbe w Tadżykistanie również lata się – jeśli trzeba – przez Stambuł: najpierw dwa i pół tysiąca kilometrów na zachód, a potem trzy i pół tysiąca na wschód.

Na lotnisku w Stambule nie trzeba czytać informacji przy bramkach. Należy tylko znaleźć właściwy sektor, co trochę trwa, bo strefa tranzytowa ciągnie się setkami metrów. Potem jednak, jeśli wypatrzymy na głowach oczekujących mężczyzn choć kilka kołpaków – białych stożkowatych czapek, czasem obitych aksamitem – a wśród kobiet przynajmniej jeden biały turban, możemy być pewni, że odlatuje Kirgistan. Długie sukienki w podłużne, geometryzowane wzory zwiastują Tadżykistan, a podążając za kwadratowymi tiubietiejkami, noszonymi z fantazją na czubku głowy (że też się nie zsuną), trafimy bez pudła

na rejs do Uzbekistanu. Stroje narodowe przeżywają w Azji Centralnej renesans.

Cztery i pół godziny lotu. Plus dwie – różnicy czasu. Poranek w Taszkencie. Lubię zagłębiać się w region powoli, na raty, stąd ten Taszkent, skoro nie udało się z Astrachaniem. Trudno mi się z marszu przestawić na tryb podróżny. Przystanek po drodze to rodzaj śluzy, komory dekompresyjnej. No i nie byłem w Azji Centralnej od pandemii. Cholernie ciekawiło mnie, co się zmieniło w regionie i co się mówi w jednym i drugim kraju o rosyjskiej agresji. Z kim trzymają Uzbecy, a z kim – Kazachowie. Nie, nie uśmiechał mi się bezpośredni rejs do Ałmatów czy Astany (tam lata nawet nasz LOT).

Taksówka przed terminalem złapała się sama.

– Dokąd?

– Do Andiżanu.

Miasto leży w Kotlinie Fergańskiej, trzysta pięćdziesiąt kilometrów od stolicy. Pięć–sześć godzin jazdy. Wiedziałem, że taryfiarz mnie tam nie zawiezie, a on wiedział, że wcale na to nie liczę. Ruszyliśmy na nieformalny postój taksówek długodystansowych. W Taszkencie jest ich kilka. Z jednego pojedziemy do Samarkandy, z innego do miast Kotliny. Płaci się za swoje miejsce, dlatego trzeba poczekać, aż samochód się zapełni. Ale jeśli zależy nam na czasie, możemy zapłacić za wszystkie miejsca – i w drogę.

Kierowcy pochodzą z regionów, w które jeżdżą. Aut na taszkenckich blachach prawie tam nie ma. Kurs liczy się od postoju w Taszkencie do postoju w miejscu docelowym, za dojazd pod adres zwykle się dopłaca. Stawki są sztywne i trudno coś utargować. Podobny system przyjął się w Kirgistanie, Tadżykistanie, a nawet hiperautorytarnym Turkmenistanie. Ale także w Gruzji i Armenii. W Kazachstanie – tylko na niektórych trasach. Odległości są tam za duże.

Klientów nie brakuje, bo to wygoda i oszczędność. Samolot jest drogi, pociąg nie wszędzie dociera i też swoje kosztuje. A busiki kursują po miastach. Znacznie tańsze od taksówek są autobusy, ale te chodzą rzadko i wolno. Korzystają z nich podróżni, którzy mają dużo bagaży albo muszą się liczyć z każdym groszem.

Na postoju rządziły biel i chevrolety. Po taszkenckich ulicach krąży sporo ład, wołg, nawet moskwiczów (na prowincji jeszcze więcej), a ich właściciele nieraz dorabiają sobie okazjonalnymi podwózkami. Ale na dłuższy dystans taki

old school się nie godzi. Nie te standardy. Skąd się wzięły chevrolety? Wkrótce po rozpadzie ZSRR w mieście Asaka pod Andiżanem (w uzbeckiej pisowni – Andijon) na wielką skalę ruszyła produkcja samochodów Daewoo, a auta z importu obłożono zaporowym cłem – mało kogo było na nie stać. Wystarczyło parę lat, by marka zdominowała rynek. Po bankructwie Daewoo Group motoryzacyjną gałąź koncernu kupił General Motors. Chociaż w uzbeckich zakładach produkcja szła jeszcze długo pod dotychczasową nazwą, w końcu jednak z taśm zaczęły zjeżdżać chevrolety. A czemu prawie wyłącznie białe? Krążą plotki, że tak zażyczyły sobie władze – w sąsiednim Turkmenistanie nie rejestruje się samochodów w innych kolorach – ale chodziło o klimat: w upały biel wolniej się nagrzewa.

Dogadałem się z kierowcą o imieniu Tursimbaj i śnieżnobiałym chevroletem cobaltem wyjechaliśmy z miasta.

Pierwsze, co rzucało się w oczy na trasie, to posterunki policji. Stały na swoich miejscach co kilkanaście–kilkadziesiąt kilometrów, poprzedzone kolejnymi ograniczeniami prędkości i nieuchronnym znakiem stop. Solidne i budzące respekt. Najważniejszy na posterunku był gmach komisariatu, w dolnej części przeszklony. Przylegał on do drogi, nad nią zaś wznosiło się coś w rodzaju wiaty, z gatunku takich, jakie spotyka się na przejściach granicznych. Za dnia zadaszenie dawało pożądany cień, ułatwiający kontrolę dokumentów i bagażników. Po zmroku włączano reflektory. Dawniej można tam było stracić parę godzin, zwłaszcza na drodze do Kotliny, najpierw czekając w kolejce do kontroli, a następnie tłumacząc, po co się właściwie jedzie. W ten sposób władze zwalczały terroryzm i spekulację, zapewniając w kraju ład i porządek.

Teraz jednak na posterunkach tylko zwalniano, pewnie z przyzwyczajenia, bo na większości nie widziałem żywego funkcjonariusza i nikt nie sprawdził nas do samego Andiżanu. Trudno o lepszy dowód na liberalizację systemu, łączoną z prezydentem Szawkatem Mirzijojewem, który rządzi od 2016 roku, ale jeszcze nazywają go nowym, bo poprzednik, Isłam Karimow, pozostawał u władzy całe dwadzieścia siedem lat i zmarł na urzędzie. Można też było normalnie wymienić pieniądze, a do obiegu weszły duże nominały – wcześniej były dwa kursy, oficjalny i czarnorynkowy, drugi o niebo korzystniejszy, ale tak czy tak za sto dolarów dostawało się spory worek wymiędlonych uzbeckich sumów. Karty SIM sprzedawano teraz na lotnisku i można było mieć ze sobą

internet, choć jeden czy drugi komunikator nie działał, a na niektóre strony w ogóle nie dawało się wejść.

Tak, władza do końca nie odpuściła, o czym przekonałem się, pytając po drodze o andiżańską masakrę z 2005 roku, kiedy bezpieka i wojsko stłumiły zamieszki po aresztowaniu lokalnych biznesmenów i filantropów oskarżonych o ekstremizm i islamski fundamentalizm. Według rządowych komunikatów zginęło niespełna dwieście osób, ale ofiar mogło być dziesięć razy tyle. Taszkent długo nie ufał Andiżanowi i całej Kotlinie, i właśnie dlatego ściśle kontrolowano, kto tam wjeżdża. Kierowca, człowiek dojrzały, czterdziestoośmiolatek, musiał mieć zdanie na ten temat, ale zniżając głos, rzucił tylko, że była to wielka, wielka tragedia, nie daj, nie daj Bóg, żeby się powtórzyła, a potem, już w Andiżanie, pokazał mi plac, gdzie rozegrał się dramat. Bał się mówić albo nie chciał do tego wracać, a najpewniej – jedno i drugie.

Chętniej rozmawiał o finansach. Nie wiodło mu się źle, dorobił się mieszkania w Andiżanie i trzech w stolicy, szykował je dla swoich synów, z których najstarszy już studiował. Za dwa taszkenckie mieszkania spłacał jeszcze kredyt, dają go, mówił, przy wkładzie własnym w wysokości pięćdziesięciu procent. Wszystko dzięki poluzowaniu przepisów. Za Karimowa Taszkent był zamknięty, nie można się było ot tak zameldować czy nabyć nieruchomość, kredytu też człowiek z ulicy nie dostał. Rok temu Tursimbaj kupił chevroleta, którym teraz jechaliśmy, dał trzynaście tysięcy dolarów za wersję z rozbudowanym systemem audio, aby pasażerowie się nie nudzili. Za kurs życzył sobie dwieście tysięcy sumów od osoby, osiemset tysięcy za wszystkie miejsca, z grubsza osiemdziesiąt dolarów. W obie strony – sto sześćdziesiąt. Żeby odłożyć na samochód, musiał obrócić osiemdziesiąt razy, a w praktyce jeszcze drugie tyle, bo za coś trzeba tankować, do tego dochodzą olej, części zamienne, przeglądy. Pół roku pracy w świątek, piątek. Bez podatków, ale też bez przyszłej emerytury. Inwestował w synów.

Umówiliśmy się na następny dzień na powrót, więc Tursimbaj bez dopłaty obwiózł mnie po mieście. W końcu zajechaliśmy do jednego hotelu – przypominał romski pałac, palmy przed wejściem, barokowa kolumnada, jakieś wieżyczki, kopułki i ceny z kosmosu, wylądowałem więc w hostelu Farko po pięć i pół dolara za łóżko. Pokoje były na piętrze, łazienka na końcu korytarza, a dziewczyna z recepcji nie znała języków, podobnie jak francuscy rowerzyści, z którymi minąłem się przy wejściu. Zrywając się co chwila do brzdąca, który

zamiast bawić się przy mamie, ciągle uciekał, dziewczyna zdołała mnie zakwaterować i wytłumaczyć, że po sąsiedzku jest jadłodajnia, którą otwierają o świcie i w której dostanę najlepszy w Andiżanie lagman (ręcznie wyrabiany makaron z mięsem). Była to święta prawda.

Po śniadaniu – lagman z lepioszką i zieloną herbatą – Tursimbaj zawiózł mnie na miejscowy uniwersytet. Kampus tonął w wymuskanej zieleni: trawniki, rabatki, klomby, do tego trochę starych drzew. Wszędzie chodniki i ławeczki. Znaki wskazujące drogę do rektoratu, biblioteki, kompleksu sportowego i siedzib poszczególnych wydziałów były po uzbecku, rosyjsku i angielsku, a urzędowe tablice – tylko po uzbecku i angielsku. Kilkupiętrowe gmachy dydaktyczne przeszły gruntowny lifting i pachniały nowością.

Dziekan historii Rawszanbiek Szamsitdinow, z którym byłem umówiony, wyszedł przed kampus, aby mi wszystko pokazać.

– Mamy dwadzieścia pięć tysięcy studentów – powiedział. – Edukacja daje im szansę na lepsze życie. W Uzbekistanie co roku na rynek pracy wchodzi sześćset tysięcy młodych ludzi. Tylko co trzeci znajduje zatrudnienie.

Wielu z tych, którzy nie znaleźli, próbuje szczęścia za granicą. Najczęściej w Rosji, choć od wybuchu wojny coraz trudniej się tam zaczepić. Sto pięćdziesiąt tysięcy migrantów wróciło. Pozostali, około czterech–pięciu milionów, jakoś sobie radzą. Ma na nich chrapkę rosyjska armia, bo to w większości młodzi mężczyźni, a za podpisanie kontraktu cała rodzina może dostać obywatelstwo. Agitatorzy chodzą nawet po meczetach. Ale są też inne kierunki. Na spacerze poprzedniego wieczoru widziałem reklamę firmy pośredniczącej w wyjazdach do pracy do USA, Wielkiej Brytanii, Japonii, Korei Południowej i Polski.

Dziekan dobiegał sześćdziesiątki, ale oczy błyszczały mu młodzieńczo i cały czas się uśmiechał. Niewysoki, łysiejący, ruchliwy, w koszuli z krótkim rękawem, bez marynarki i krawata, nie wyglądał na postsowieckiego czynownika. Skracał dystans. W dziekanacie nie wyznaczył dyżurów, studentów przyjmował codziennie. Życiorys też miał nietypowy. Po doktoracie w Moskwie zasilił nowo powstającą uzbecką służbę dyplomatyczną, pracował w MSZ w Taszkencie i na placówkach w Belgii i Holandii. Potem na kilkanaście lat przeszedł do biznesu. W 2017 roku wrócił do nauki. Widać jednak, że znacznie bardziej niż wykłady i praca w archiwach interesowała go organizacja uniwersytetu. Zarządzanie. W gabinecie częstował herbatą i słodkościami.

Rozmawialiśmy po rosyjsku, ale dziekan przechodził czasem odruchowo na angielski: uczelnia współpracuje z *Indiana University*, przyjeżdżają stamtąd *visiting professors*, studenci uczestniczą w *exchanges*. Dodał, że w tworzeniu bazy edukacyjnej przy fabryce samochodów w pobliskiej Asace pomagali specjaliści z Warszawy.

– Nasz stosunek do rosyjskiego dziedzictwa jest dwojaki – tłumaczył, czujnie dolewając herbaty. – Z jednej strony zawdzięczamy Rosjanom modernizację, industrializację. Z drugiej stłamsili naszą kulturę. Samarkanda była jednym z centrów starożytnego świata, Buchara ważnym ośrodkiem nauki i religii w średniowieczu. Teraz zostały tam tylko zabytki do zwiedzania.

Wszystko to prawda, choć gdy Rosja tu przychodziła, chwała Buchary i Samarkandy należała już do przeszłości. A to samo na temat modernizacji i stłamszenia kultury można powiedzieć o Kazachstanie i większości państw poradzieckich.

Na koniec dziekan zaprowadził mnie do Muzeum Pamięci Ofiar Represji. Zajmuje pięć sal. Na ścianach – plansze z biogramami osób represjonowanych z wilajetu andiżańskiego (niemal półtora tysiąca nazwisk). Portrety lokalnych i regionalnych bohaterów. Obrazy podboju tych ziem przez imperium. Informacje o antyrosyjskich powstaniach. Reprodukcje starych fotografii. Wypatrzyłem zdjęcie żołnierzy Legionu Turkiestańskiego – nazistowskiej formacji zbrojnej skupiającej ochotników z Azji Centralnej i formowanej przez Niemców w polskim Legionowie. Oraz kącik Szarafa Raszydowa, wieloletniego pierwszego sekretarza uzbeckiej partii komunistycznej, który zmarł nagle – niektórzy sugerowali samobójstwo – gdy sowieccy śledczy odkryli gigantyczne nadużycia przy produkcji bawełny. W dzisiejszym Uzbekistanie Raszydow traktowany jest jak bohater, który postawił się Moskwie.

W jednej z sal odtworzono pokój przesłuchań sowieckiej bezpieki, NKWD. Za biurkiem siedział funkcjonariusz w mundurze, a drugi opierał się o ścianę. Manekiny miały niebieskie oczy i najczystszą słowiańską powierzchowność. W odróżnieniu od nich więzień był bez wątpienia miejscowy, świadczyły o tym lekko skośne rysy, podgolona z lokalnym sznytem broda oraz koszula ze stójką. Przekaz był jasny. Głosił, że to my byliśmy ofiarami, a Ruscy nas gnębili. Podobnie zaaranżowane gabinety zobaczę jeszcze wiele razy w różnych muzeach w Kazachstanie.

Przypomniałem sobie majora Olega Zakirowa, uczciwego kagiebistę, który przekraczając swoje uprawnienia, zebrał w okresie pierestrojki relacje świadków zbrodni katyńskiej. Przekazał je niezależnym rosyjskim dziennikarzom i polskim dyplomatom. Już po upadku ZSRR, pod groźbą utraty życia – starzy towarzysze nie wybaczyli mu zdrady – uciekł z rodziną do Polski. Nie miał łatwo, pracował na budowie, trochę żebrał. Dopiero po kilku latach nowa ojczyzna przyznała mu niewielką rentę. Już jako dorosły człowiek major dowiedział się, że jego dziadek został rozstrzelany za Stalina, ponieważ uznano go za wroga ludu – ojciec do końca życia kłamał, że wychował się w domu dziecka. Sam Oleg urodził się tu, w Andiżanie. Zmarł w Łodzi w 2017 roku. Szkoda, że nie mógł zobaczyć tej ekspozycji.

Muzeum to królestwo ojca dziekana, Rustambieka Szamsutdinowa, nestora andiżańskich historyków (nie dopytałem, dlaczego ich nazwiska różnią się jedną literą, zorientowałem się dopiero w Polsce). Profesor jest od dawna na emeryturze, ale przychodzi tu codziennie, w garniturze i pod krawatem.

– Decyzją prezydenta Mirzijojewa takie muzea powstały przy wszystkich uniwersytetach państwowych w kraju – powiedział mi sędziwy uczony. – Każde skupia się na represjonowanych ze swojego wilajetu.

Dostałem od niego zestaw prac naukowych poświęconych represjom. Przypominały albumy. Państwo nie żałowało na nie środków. Polityka historyczna miała tu ostrze antyrosyjskie i antykolonialne.

4

Po drodze do Taszkentu minęliśmy globus Uzbekistanu. Kontury kraju zajmowały pokaźną część ustawionej na cokole kuli. To wariacja monumentu, który stoi na stołecznym placu Niepodległości i głosi, że Uzbekistan zajął trwałe miejsce na mapie świata. W Duszanbe widziałem podobny globus Tadżykistanu, w Aszchabadzie – Turkmenistanu, a w kazachskim Aktobe – Kazachstanu. Na żadnym nie było miejsca dla nikogo więcej, nawet dla sąsiadów z regionu.

– W pandemii przygotowaliśmy projekt *Art Plov CA* [Sztuka pilawu (Azja Centralna)]. – Z Aszotem Danielianem, gwiazdą uzbeckiej sceny alternatywnej, spotkałem się wieczorem już w Taszkencie. – Czemu pilaw? Bo to potrawa, która jednoczy, nie tak jak te twoje globusy. Po pierwsze, łączy w sobie wiele

składników: mięso, ryż, warzywa, przyprawy, czasami bakalie. Po drugie, jada się ją zwykle w większym gronie. Po trzecie, występuje w różnych wariantach w kuchniach całego regionu, we wszystkich pięciu krajach. Na pomysł wpadłem już wcześniej, ale podczas kwarantanny mieliśmy więcej czasu i byliśmy spragnieni kontaktów.

Aszot przyniósł ze sobą katalog. Na okładce widniał grecki napis „ἀγάπη” (agape) na tle czarno-białej grafiki z uszeregowanymi rysunkami przedziwnego bytu, który z obrazka na obrazek coraz bardziej się rozdymał. Obcy? Nie, to rentgenowskie zdjęcia płuc artysty w kolejnych fazach ciężkiego covidu i po chorobie. Do tego objaśnienie, że w starożytnej kulturze i filozofii agape była jedną z kilku odmian miłości i oznaczała aktywną, obdarzającą miłość w imię dobra bliźniego. W środku – wiersze, proza poetycka, grafiki, obrazy i fotografie, pogrupowane w kilka rozdziałów: *Przestrzeń miejska*, *Apokalipsa*, *Ciało i płeć*, *Wolność*, *Hybrydyczność kulturowa*, *Wszechświat*. W *Art Plov* chodziło o spotkanie artystów reprezentujących różne dziedziny sztuki i wszystkie kraje regionu. Działając w parach albo w niewielkich grupach i kontaktując się zdalnie, mieli przygotować na potrzeby projektu nowe prace, wzajemnie się inspirując. Powstające dzieła powinny wchodzić ze sobą w dialog, a zebrane razem – tworzyć nowe jakości.

Danielian, rocznik 1983, z wykształcenia japonista, jest poetą i performerem, ale przede wszystkim rockmanem. Od 2000 roku występuje na scenie ze swoją kapelą Krylja Origami (Skrzydła Origami) jako wokalista i gitarzysta. I czasami pakuje się w kłopoty – dla władz rock to muzyka protestu, potencjalne zagrożenie. Raz siedział, choć nie za muzykę. W czasie Euromajdanu wybrał się z przyjaciółmi pod ambasadę Ukrainy i wręczył dyplomatom petycję z żądaniem odejścia ekipy Janukowycza, która użyła siły wobec narodu. Następnie grupa sfotografowała się tam z ukraińskimi flagami, a potem powtórzyła sesję pod taszkenckim pomnikiem Tarasa Szewczenki. Zdjęcia trafiły do sieci. Wszystkim postawiono zarzut udziału w nielegalnej demonstracji, choć żadnej demonstracji nie było.

– Dostałem piętnaście dni aresztu – wspominał Aszot. – Pod celą było mi bardzo dobrze. Starzy kryminaliści, drobni złodzieje i sutenerzy od razu się mną zajęli, oddali najlepsze miejsce, podkarmiali. Mówili, że mnie szanują, bo walczę o ważne sprawy. Jeśli dojdzie u nas kiedyś do rewolucji, kryminał na pewno ją poprze. Po tygodniu zostałem zwolniony. Może szum w zachodnich mediach zrobił swoje.

Przez lata Danielian grał półlegalnie, w szarej strefie. Nie miał licencji na publiczne występy, kosztowała majątek, a niezależny artysta i tak by jej nie dostał. Kiedy jednak trzeba było stworzyć oprawę na Festiwal Kwiatów – centrum stolicy, tysiące ludzi – miasto samo poprosiło Krylja o koncert i nikt o licencję nie pytał. Ale na klubową imprezę zawsze mogli wpaść smutni panowie i wszystkich zatrzymać. Teraz licencje odchodzą w przeszłość. A ostatnio państwo dofinansowało jego projekt *Zawtra* [Jutro]. To utwór wykonywany po rosyjsku, uzbecku i karakałpacku, z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej, oraz teledysk nakręcony nad wysychającym Jeziorem Aralskim. W zdjęciach wzięło udział trzystu aktorów i statystów, którzy między innymi inscenizują obrzęd przyzywania wody. Całość promuje nową inicjatywę ratowania akwenu.

– Jest luźniej. Najlepszy dowód, że tutaj spokojnie siedzimy – roześmiał się Aszot. Był środek tygodnia i zrobiła się jedenasta wieczór. Pub, w którym zakotwiczyliśmy, tętnił życiem, a w planach mieliśmy jeszcze klub muzyczny. Otworzył go stary taszkencki rocker, który po latach wychynął z podziemia. Dawniej wszystko zamykało się o dziesiątej, potem można było trafić na dołek za włóczęgostwo. – Aha, i artysta występujący na scenie może nosić brodę. Co prawda krótką, ale zawsze. – Muzyk pogładził się po wypielęgnowanym zaroście. – Dawniej nawet taka by nie przeszła.

Wzięliśmy po ostatnim piwie. W Taszkencie podają do niego suszone rybki anchois. Po rosyjsku to anczousy.

– Ale jak to w życiu: coś za coś. – Aszot wrócił do przerwanego wątku. – Liberalizacja objęła też religię, którą wolno teraz manifestować. Nikt już nie ściga mężczyzn za islamski ubiór ani kobiet za zasłanianie twarzy. Władze budują sobie w ten sposób poparcie wśród konserwatywnych muzułmanów, poszerzają bazę. Oczywiście nie przeszkadza mi, że na mieście pojawiły się dziewczyny w hidżabach, choć wolałbym nie przepłacać za piwo z przemytu, spod lady. Ale kiedy graliśmy koncert w Ferganie i tamtejsi radykałowie zagrozili, że nas pozabijają, bo wieziemy im zepsucie i zgniliznę, zrobiło mi się nieswojo. Ostatecznie zagraliśmy przed kościołem katolickim, a koncert ochraniała policja. Takich czasów dożyłem – podsumował. Strach przed religijnym i narodowym odrodzeniem miejscowych dzielił z rosyjskimi kolonizatorami i ich zstępnymi (oni sami nie uważali się oczywiście za kolonizatorów, żyjąc często biedniej niż pogardzani przez nich w duchu Uzbecy,

silni swoimi rodzinami, klanami, wreszcie państwem). Ale, w przeciwieństwie do tamtych, cały czas czuł się w Uzbekistanie u siebie. Miał inną perspektywę.

Zapytałem go wprost o ormiańskie imię i nazwisko.

– Urodziłem się już w Taszkencie, ale rodzina pochodzi z Górskiego Karabachu – odpowiedział. – Nigdzie nie jestem do końca swój. W Rosji, bo brudas z Południa, w Azerbejdżanie, bo Ormianin, w Armenii, bo nie mówię po ormiańsku. Nie mówię też po uzbecku. Żyję na rosyjskojęzycznej wyspie, choć bardzo daleko mi do ruskiego miru. Na szczęście władze jeszcze takie wyspy tolerują.

Do brzegów tej wyspy dobili dwa tygodnie temu państwo X. Przyjechali z jednego z miast w centralnej Rosji i są zachwyceni. Ciepło, miło, tanie lekarstwa (martwili się, że nie wzięli zapasu, ale okazało się, że wszystko można dostać na miejscu, i to po znacznie niższych cenach). Ze swoimi kompetencjami i biegłym angielskim – pani X jest tłumaczką i dizajnerką, pan X pracuje zdalnie w organizacji międzynarodowej – mogliby mieszkać gdziekolwiek, ale dobrze jest móc załatwić wszystko we własnym języku: Taszkent ciągle mówi po rosyjsku. Ich córka (szesnaście lat) uczy się przez internet w szkole w Ameryce.

– Wyjechaliśmy, bo nie chcemy płacić w Rosji podatków. Z nich utrzymywana jest armia, która najechała Ukrainę – oświadczył pan X. Pani X dodała, że przeszkadzała im gęstniejąca atmosfera, narastająca z dnia na dzień groza. – Podziwiam ludzi, którzy w tych warunkach protestują i trafiają do więzienia – to znów pan X. – Mnie brakuje odwagi. Ale teraz mogę przynajmniej powiedzieć, że nie mam z tym g… nic wspólnego.

Nie uważali się za imigrantów ani uciekinierów. Po prostu, podobnie jak tysiące ich rodaków, pod wpływem okoliczności zmienili adres zamieszkania (ci, którzy wyjadą z Rosji z drugą falą emigracji, jesienią 2022 roku, będą uciekać przed mobilizacją – niezależnie od stosunku do wojny i Putina). Mówili o sobie „relokanci”. Dokonali relokacji.

Kiedy myślą wracać? Po Putinie?

– Boję się, że wtedy do władzy znowu dojdą komuniści – rzucił pan X. I szybko dodał, bo zabrzmiało to jak żart: – O tym się dużo nie mówi, ale młodzież jest u nas za komunizmem. Połowa szkolnych kolegów naszej córki uważała się za komunistów. Oni naprawdę są gotowi mordować burżujów i grabić zagrabione. I cofnąć Rosję o sto lat.

Dla rodziny X Uzbekistan to oaza wolności, dla ambasadora Ukrainy, Mykoły Doroszenki – kraina zamkniętych drzwi. Jeśli do nich długo kołatać, niektóre się czasem uchylą, chociaż gwarancji nie ma.

– Kiedy wybuchła wojna – powiedział mi dyplomata – poprosiłem o spotkanie z ministrem spraw zagranicznych. Potem z wiceministrem. W końcu przyjął mnie dyrektor departamentu. A chciałem, żeby minister zabrał głos. Nawet nie, żeby nas poparł. Chodziło mi o to, żeby zaapelował o wstrzymanie walk.

W dniu ukraińskiego święta podświetlono na niebiesko-żółto hotel Uzbekistan. Zobaczył to korespondent rosyjskiej RIA Nowosti, poczuł się dotknięty i zrobił się skandal. Sprawa doszła do prokuratury rejonowej, która kazała wyłączyć iluminację, bo miała wzbudzać nienawiść na tle narodowościowym (posługującym w Taszkencie polskim księżom zasugerowano, aby nie odprawiali zamówionej już mszy za Ukrainę; ci pojęli aluzję i tamtego dnia modlono się po prostu za pokój).

Chociaż na akcje prorosyjskie też nie ma w Uzbekistanie zgody.

– Ja ich nawet rozumiem. – Ambasador Doroszenko miał na myśli tutejszy rząd. – Gospodarka uzbecka jest powiązana z rosyjską, a Moskwa może naciskać na Taszkent chociażby groźbą odesłania uzbeckich migrantów ekonomicznych. Uzbecki urzędnik tłumaczył mi: „Jeśli u nas wybuchnie konflikt, nikt nam nie pomoże, dlatego nie czepiajcie się, że was otwarcie nie wspieramy”. Ale jak Ukraina wygra, oznajmią, że zawsze byli z Kijowem, i przypomną ten jeden jedyny samolot z pomocą, który nam przysłali. To racjonalna, cyniczna polityka.

Powiedziałem o antyrosyjskiej ekspozycji w muzeum uniwersyteckim w Andiżanie, ale Doroszenko tylko machnął ręką.

– Idź do muzeum represji w Taszkencie, jest jeszcze bardziej antyrosyjskie. Wstęp kosztuje grosze, a napisy są tylko po uzbecku. Bo to na użytek wewnętrzny, dla własnego społeczeństwa. Na zewnątrz jest gra pozorów i uników: nie mówię „tak”, nie mówię „nie”. Kunktatorstwo i równowaga w relacjach z największymi. Czysty Orient.

W czerwcu 2022 roku miejscowi eksperci oceniali, że czterdzieści procent Uzbeków popiera Ukrainę, a sześćdziesiąt procent – Rosję. Sympatie prorosyjskie mieli wyrażać w większym stopniu mieszkańcy prowincji, osoby

gorzej wykształcone i bardziej religijne, posługujące się na co dzień językiem uzbeckim. Rosyjskojęzyczni mieli być paradoksalnie za Ukrainą.

W Kazachstanie było na odwrót.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Podróż 2022. Taszkent – Ałmaty

1

Linie Air Astana dbają o rozrywkę, na pokładzie było do wyboru mnóstwo muzyki i filmów. Zagraniczne z góry odpuściłem, podobnie jak dramat historyczny *Batyrlar* [Bohaterzy, Wodzowie], dostępny tylko w wersji kazachskiej, i komedię *Tojchana* [Weselisko], która była za długa – lot trwał półtorej godziny. Wybrałem inną komedię, *Tiest' drajw*, w której tytułowa gra słów brzmi po polsku tak samo dobrze, jak po rosyjsku – *tiest'* to po prostu teść.

Akcja toczy się współcześnie w wielkim kazachstańskim mieście, najpewniej w Ałmatach. Michaił, młody i ambitny policjant, Rosjanin, zakochuje się z wzajemnością w córce oligarchy Kazacha. Ten nie chce słyszeć o zięciu, który nie ma milionów na koncie i fatalnie się ubiera (narodowość aż tak mu nie przeszkadza, sam w domu i firmie używa rosyjskiego). Ich drogi ponownie się krzyżują, gdy oligarchę zaczyna ścigać mafia. Znajomy, gruba ryba w policyjnej hierarchii, przydziela mu Michaiła do ochrony, jednocześnie wystawiając mafiosom ich obu. Rzecz jasna, Michaił wyprowadza wszystkich w pole. Podopiecznego ukrywa na wsi, u swojej rodziny – okazuje się, że był adoptowany, wyrósł wśród Kazachów i biegle zna kazachski. W ubogim, ale gościnnym domu oligarcha też „przypomina sobie” język ojców i poznaje ludzi, dla których pieniądze nie są celem życia. Po wielu przygodach, wśród których nie brakuje szaleńczych pościgów wiejskimi drogami, następuje happy end. Michaił żeni się z ukochaną, a teść, doceniwszy pracę fizyczną, pomaga mu w budowie domu na przedmieściach.

To typowa dla kazachskiego, ale też uzbeckiego kina klasy B przypowieść z morałem. Wieś, która przechowała tradycyjne wartości, ratuje w chwili próby kosmopolityczne miasto. Efekt komiczny wywołuje odwrócenie ról – obrońcą kazachskości jest tutaj czysty Rosjanin. Zabieg nie pozostawia złudzeń, że można być pełnoprawnym członkiem społeczeństwa, nie znając jego języka i kultury.

Zanim pojawiły się napisy końcowe, samolot wylądował i zdążył dokołować do terminalu.

2

Ałmaty były moim pierwszym miastem w Azji Centralnej. Ale Azją nawet nie pachniały. Wtedy, latem 1996 roku, przyjechałem pociągiem z Moskwy, trzy i pół dnia w drodze, od wtorku wieczór do soboty rano, kawał świata, może dlatego spodziewałem się Bóg wie czego. Tymczasem czułem się, jakbym znowu trafił do Mińska, bo wcześniej odwiedzałem Mińsk i w Ałmatach było podobnie – ulice tak samo szerokie i też przecinały się pod kątem prostym, a przy nich stał bliźniaczy socreal, tam z ornamentem niby-ludowym, tu z pseudoorientalnym, do tego trochę brežniewowskiego modernizmu i od czasu do czasu przedrewolucyjna chałupa o drewnianych odrzwiach. Tak, Ałmaty z wyasfaltowanymi parkami i Zielonym Bazarem, gdzie handlowano spożywką, były Mińskiem, sowieckim europejskim miastem, tyle że leżały pod Tienszanem, a Kazachstan był wielką, eurazjatycką Białorusią. Bardziej orientalnie wyglądał Biszkek, bo wybrałem się na chwilę do Kirgizji – nikt jeszcze nie mówił: Kirgistan, a na granicy jeszcze nie mieli szlabanów – ale może tak mi się zdawało, czterdziestopięciostopniowy upał robił swoje, chociaż przyprawy na Rynku Oskim były na pewno orientalniejsze niż melony i arbuzy z Zielonego Bazaru, nie mówiąc o jabłkach. Jednak – tak samo jak w Mińsku – i w Ałmatach, i w Biszkeku słyszało się prawie wyłącznie rosyjski. Nawet kazachskie dzieci mówiły między sobą po rosyjsku.

Naszym ambasadorem w obu krajach był Marek Gawęcki, profesor etnologii i po prostu mądry człowiek. Urzędował w Ałmatach, jeszcze stolicy, choć szykowano się już do przenosin do Astany. Spytałem go wprost o tę azjatyckość, o lokalność, której bezskutecznie wyglądałem – czy rusyfikacja z sowietyzacją doszczętnie ją stłamsiły, czy nie ma już ratunku? Powiedział, że na powierzchni jej nie znajdę, tym bardziej w metropoliach, trzeba zagłębić się w interior, zgłębić mentalność.

– Które społeczeństwo Europy Środkowej wytrzymałoby rok bez prądu, bez bieżącej wody, bez pensji i emerytur? Byłaby rewolucja, jakieś bunty, zamieszki. Tutaj panuje spokój. Ludzie są cierpliwi, pogodzeni z rzeczywistością: jest, co ma być, będzie, co Bóg da. Inszallah. Pod tym względem to naprawdę inny świat – tłumaczył. A w Kazachstanie było i tak lepiej niż w Kirgizji czy w Tadżykistanie, gdzie toczyła się wojna domowa.

W centrum Ałmatów nędza nie rzucała się w oczy, pojawiała się dopiero na przedmieściach, na dziurawych ulicach blokowisk, upstrzonych bazarkami

z tandetą, wśród wykoślawionej infrastruktury i ścieków z dogorywających fabryk. Tam, gdzie kończył się asfalt, kończyły się też prąd, praca i pieniądze. Oficjalnie bezrobocie nie przekraczało wtedy, w połowie lat dziewięćdziesiątych, dwóch i pół procent, ale w Kazachstańskim Instytucie Studiów Strategicznych przy Prezydencie Republiki Kazachstanu, ośrodku bardziej miarodajnym niż urząd statystyczny, szacowano je na minimum dziesięć.

– Zakładów nie stać na zwolnienia. – Ekonomistka Gulnara Annakulijewa z tegoż Instytutu umiała wyjaśnić każdy paradoks miejscowej gospodarki. – Po upadku ZSRR firmy potraciły dostawców i rynki zbytu. Jedne upadły, inne pracują na pół gwizdka. Nie potrzebują dużej załogi. Ale zwalnianym należy się trzymiesięczna odprawa, więc trzyma się ludzi na urlopach albo każe przychodzić raz w tygodniu. Pensja jest groszowa, tyle, co nic, firma nie traci, a człowiek jest formalnie zatrudniony. Nazywa się to bezrobociem ukrytym.

Naprawdę źle było poza miastem. Wystarczyło pojechać na północ, starą drogą na Kapszagaj, albo na wschód, w stronę Chin, i skręcić do którejkolwiek wioski, aby usłyszeć historie o bankrutujących kołchozach, zamykanych przychodniach i cywilizacyjnej zapaści. Ludzie nie dostawali tam gotówki od lat, kołchozy rozliczały się z nimi jabłkami, mięsem czy mąką, a i to od wielkiego dzwonu. Ludzie żyli z przydomowych ogródków, z krowy, chowanej pokątnie na kołchozowym garnuszku, ze złomu, który trafiał przez pośredników do Chin. Wsi statystyka nie obejmowała, inaczej dane wystrzeliłyby w kosmos.

Poeta Hakim Bulibiekow widywał wiejskie dziewczyny, które oddawały się pod miastem za trzysta–czterysta tenge, wówczas cztery i pół – sześć dolarów, żeby zarobić na torebkę albo skajowe czółenka. Sam też klepał biedę.

– Nie mogę pisać, bo nie mam pieniędzy. – Bardziej się tą sytuacją dziwił, niż na nią skarżył. Za komunistów było nie do pomyślenia, żeby pisarz przymierał głodem, chyba że dysydent. – Nie myślę o wierszach, tylko o tym, jak wykarmić rodzinę. Na dziś nie mam na koncie złamanego tenge.

W językach turkijskich „*hakim*” znaczy „sędzia” albo „uczony” – i Bulibiekow, zanim odkrył swoje powołanie i na pełen etat zajął się literaturą, zrobił doktorat z fizyki. W rozmowie porównywał sytuację w Kazachstanie do różnych zjawisk fizycznych, rozważał przykładowo, jakie parametry mogą zachwiać stabilnością układu dynamicznego tworzonego przez wieloetniczne społeczeństwo. Było to i naukowe, i literackie.

Od niego nauczyłem się przysłowia mówiącego, że tam, gdzie się dba o ciało, dobrze żyją lekarze, a gdzie o duszę – poeci. Z Bulibiekowem poznali mnie polscy dyplomaci, był dla nich odtrutką na urzędnicze pustosłowie i medialny banał. W Kazachstanie liczyła się wtedy kasa, więc najlepiej żyło się różnym geszefciarzom i spekulantom. Ci wydawali pieniądze w kasynach i na rynkach, wpuszczając w ten sposób do obiegu żywą gotówkę, ale kasyna i duże rynki były tylko w większych ośrodkach. Poziom życia podniesie się dopiero w następnej dekadzie, kiedy ruszą projekty energetyczne i pojawią się petrodolary.

– Fatalizm idzie tutaj w parze z szacunkiem dla każdej władzy – ciągnął ambasador Gawęcki. – Niezależnie od tego, co się o niej myśli, na zewnątrz trzeba ją nie tylko akceptować, ale też popierać, okazywać oddanie. To coś, co łączy miejscową, „azjatycką" mentalność z systemem sowieckim. I stąd taki opór przed protestami oraz akceptacja korupcji i nepotyzmu. Bej, chan, pierwszy sekretarz czy prezydent nie są przecież zwykłymi ludźmi, których obowiązują jakieś tam ograniczenia. Byłoby nawet głupio, gdyby musieli tłumaczyć się jak każdy.

W Kazachstanie kwitła szamałganizacja, czyli obsadzanie wysokich, dochodowych stanowisk osobami wywodzącymi się z dużej, podałmackiej wsi o nazwie Szamałgan. Tej samej, w której urodził się prezydent Nursułtan Nazarbajew. Dla Kazachów było oczywiste, że osoba, która wysoko zaszła, ciągnie za sobą krewniaków, inaczej uchodziłaby za łajdaka, który nie dba o rodzinę, albo figuranta, pozbawionego możliwości działania. Na znaczeniu zyskiwali także ludzie z nazarbajewowskiego plemienia Szapraszty, należącego do Starszego żuzu Kazachów. Traf chciał, że z tego samego plemienia pochodził też główny bohater filmu *Batyrlar*, dostępnego latem 2022 roku na pokładach linii Air Astana. Scenarzysta nie przewidział, że Nazarbajew i jego klan będą wkrótce w odwrocie i może lepiej podlizać się komuś innemu.

W kazachski system żuzowy także wprowadzał mnie Marek Gawęcki. Rozmawialiśmy w ambasadzie mieszczącej się na podwórku pomiędzy blokami, w odremontowanej części budynku przedszkola, które w drugiej części cały czas działało. Wcześniej placówka zajmowała lokal w mieszkalnym wieżowcu, wkrótce jednak wyrósł przed nim bazarek, a z tyłu handlujący urządzili sobie toaletę, więc już to przedszkole było luksusem. W takich

miejscach jak Kazachstan pracowali wtedy zapaleńcy, na wyjazd nie było kolejki chętnych.

Samo słowo „*żuz*” znaczy po kazachsku „sto”. Wzięło się z dawnej organizacji wojskowej, w której armia dzieliła się na dziesiątki, setki i tysiące wojowników. Żuzy to federacje plemienne, do których historycznie przynależały określone terytoria. Ukształtowały się trzy żuzy: Starszy, koczujący na południu obecnego Kazachstanu, Średni – najliczniejszy – zajmujący centrum i wschód kraju oraz Młodszy, któremu przypadły zachód i północ, w tym tereny nad Morzem Kaspijskim. Ze Starszego tradycyjnie wywodzili się ogólnokazachscy chanowie, ze Średniego – uczeni i twórcy, a z Młodszego – wojownicy. Żuzy dzieliły się dalej na związki plemion, plemiona, rody i podrody. Podział szedł w poprzek liniom białej i czarnej kości, potomkowie Czyngis-chana przewodzili wszystkim trzem żuzom.

Świadomość przynależności żuzowej jest esencją kazachskiej tożsamości. Nawet za komunistów była – mimo głoszonej równości i walki z feudalnymi przeżytkami. Pierwszym sekretarzem partii zostawał z reguły przedstawiciel Starszego żuzu (chyba że Moskwa przysłała kogoś z zewnątrz), przewodniczącym Rady Najwyższej, czyli parlamentu – przedstawiciel Średniego, a szefem rządu – ktoś z Młodszego. Przypominało to Kaukaz, gdzie na czele partii mógł stanąć lokalny książę, jak było to choćby w gruzińskiej Adżarii. Po rozpadzie ZSRR mało kto o żuzach wspominał, choć układy rodowe odegrały swoją rolę przy podziale dochodowych koncesji. Ale przed obcym nikt się z tym nie afiszował. W XX, potem w XXI wieku uporczywe trwanie plemiennych struktur mogło się wydawać powodem do wstydu. Dopiero gdy naród okrzepł, nabrał pewności siebie i nauczył się być dumny ze swojej kultury, przestano się z tym kryć. Latem 2022 roku moi rozmówcy sami zaczynali nieraz od deklaracji, że wiesz, o tej sprawie myślę tak i tak, bo jestem z Młodszego (Średniego, Starszego) żuzu, z takiego a takiego rodu: takie są nasze historyczne doświadczenia i taka nasza świadomość.

Podczas tamtego, pierwszego pobytu poznałem też Jewgienija Żowtisa, prawnika i obrońcę praw człowieka, który współorganizował powstający właśnie opozycyjny ruch Azamat. Był pesymistą. Mówił, że poziom łapownictwa i pazerności władz przekroczył stan krytyczny.

– Ale jeszcze większym zagrożeniem – tłumaczył – są pretensje terytorialne Chin i pięciomilionowa rosyjska diaspora, która ciąży w stronę Rosji. Władze

starają się ściągać wielki zachodni kapitał nie tylko dla inwestycji, ale żeby zrównoważyć wpływy Moskwy i Pekinu. Liczą, że Zachód we własnym interesie będzie wspierał niezależność Kazachstanu. Nasz wicepremier powiedział mi: „Nie mamy złudzeń, wielcy traktują nas jeśli nie jak Trzeci, to najwyżej Drugi Świat. Chcą i będą nas eksploatować, ale my staramy się przynajmniej wybierać eksploatatorów. Chodzi o to, żeby stanąć na nogi i móc prowadzić samodzielną grę”. – W sprawach polityki zagranicznej Żowtis i jego koledzy mówili jednym głosem z prezydentem Nazarbajewem.

W rosyjskiej telewizji, którą w Kazachstanie powszechnie odbierano, pokazywano w tamtym czasie reklamy moskiewskiego banku Impieriał. Były to małe arcydzieła. Na kolejne filmiki czekało się jak na nowy odcinek ulubionego serialu. Każdy trwał około minuty i przedstawiał epizod z życia wybranej postaci historycznej. Wśród bohaterów znaleźli się: Neron, Czyngis-chan, Napoleon, Aleksander Macedoński, władca Inków, król Jan III Sobieski, rosyjscy carowie. Cykl zatytułowany był po prostu *Historia świata*. Filmiki nie mówiły nic o usługach banku, ofertach czy sieci oddziałów. Budowały za to klimat potęgi, trwałości i zaufania. Ot, klip z Tamerlanem. Widzimy legendarnego wodza ruszającego na czele swoich pułków na kolejną wyprawę. Zgodnie z jego rozkazem każdy wojownik zabrał ze sobą kamień, a potem rzucał go na rozstaju dróg, aż powstał kurhan. „I był ogień, i było zwycięstwo”. Powracający wojownicy zabierali po kamieniu, ale dużo ich pozostało. Wódz, który szedł ostatni, brał je po kolei do ręki i wspominał imiona poległych. Koniec. Głos do tego akurat klipu podłożył gigant radzieckiego kina, Innokientij Smoktunowski, a cały cykl wyreżyserował Kazach Timur Biekmambietow, który w przyszłości nakręci *Straż Nocną*, *Straż Dzienną* czy *Ben-Hura*. Bank Impieriał wkrótce upadł, jak większość rozdętych struktur finansowych w tamtych bandyckich czasach. A Biekmambietow przeniósł się do Hollywood i nie opiewa już rosyjskiej potęgi – w 2022 roku potępił agresję na Ukrainę.

W prywatnej telewizji KTK tematem numer jeden był proces, jaki Prokuratura Generalna Kazachstanu wytoczyła „Komsomolskiej Prawdzie”. Rosyjska gazeta opublikowała zapis rozmowy Aleksandra Sołżenicyna z czytelnikami, w której pisarz nazwał kazachski ustrój „upiornym” (według niego powinna być federacja, a nie państwo unitarne). Do rodaków w Kazachstanie powiedział: „Prześladują was tam, poniżają”. Komentator KTK stwierdził, że nie podziela poglądów noblisty, ale nie zgadza się z żądaniem

prokuratorów wnioskujących o półroczny zakaz dystrybucji gazety w Kazachstanie: ideę można pokonać tylko inną ideą. Poza tym byłby to precedens do zastraszania lokalnej prasy. Ostatecznie „Komsomolskaja Prawda” zamieściła wyrazy ubolewania, a Prokuratura wycofała swój wniosek. Z Rosją nikt nie chciał zadzierać.

3

Nie pamiętam, jak się dowiedziałem o profesorze Pawle Marikowskim ani skąd zdobyłem jego adres. Mieszkanie wypełniały obrazy, zdjęcia, książki oraz papiery, papiery, papiery. Sterty teczek, skoroszytów, maszynopisów, notatników, fiszek i karteluszków zalegały na szafkach, krzesłach i podłodze. Piętrzyły się tam jak górskie łańcuchy z Krainy Liliputów. Gospodarz, wysoki, szczupły, żylasty, wtedy, w 1996 roku, osiemdziesięcioczterolatek, zamknął drzwi do pokoju, odsłaniając wciśnięty za nie regał. Na półkach leżały hałdy mniejszych i większych kamieni z wyrytymi postaciami ludzi, zwierząt, prostych narzędzi.

– Przez pięćdziesiąt lat znalazłem w Kazachstanie ponad sześćdziesiąt tysięcy rysunków naskalnych, odkryłem całe prehistoryczne galerie. Skopiowałem kilkaset najciekawszych. Na kilkunastu wyraźnie widać człowieka śniegu, po waszemu yeti. – Profesor sięgnął po odpowiedni kamień. Był na nim wielkolud trzymający na sznurku dwa ludziki. Przypominał lalkarza z marionetkami. Według profesora obraz przedstawiał yeti porywającego kobiety homo sapiens. Na innym rysunku domniemany yeti polował na dzikiego konia.

Marikowski skończył medycynę, ale doktoryzował się z zoologii. Zwierzęta, głównie owady, obserwował w środowisku naturalnym, wolał rześki mozół ekspedycji niż sterylność laboratorium. W terenie nałogowo fotografował i malował obrazy. Wydał dziesiątki książek, obok naukowych także popularyzatorskie i dla dzieci. Drugie tyle miał w maszynopisach.

Ostatnią książkę poświęcił człowiekowi śniegu. Zainteresowała mnie, bo kilka miesięcy wcześniej, w wysokim Kaukazie, poznałem myśliwego, który widział yeti. Przynajmniej przekonywał, że widział. „*Eto był mużyk*” (to był samiec) – niepozorny góral z trudem cedził rosyjskie słowa. Do spotkania miało dojść w sierpniu 1986 roku, w nocy, na przełęczy pomiędzy masywami

Szachdagu (Şahdağ) a Gyzył Gai (Qızılqaya) w Azerbejdżanie. Yeti zszedł z góry i przysiadł dwa metry od myśliwego: najpierw go nie zauważył – ten był przyczajony, czekał na zwierzynę – a potem dojrzał i długo mu się przypatrywał. Myśliwy ze strachu skamieniał. Miał ze sobą broń, ale nie znalazł siły, żeby ją podnieść. Tak sobie przez dłuższą chwilę siedzieli. W końcu yeti odszedł, a myśliwy wrócił nad ranem do wioski. Historii tej nigdy nie opisałem, nie pasowała do żadnego wątku, a na dodatek ten człowiek, nic na to nie poradzę, miał na imię Baba Ali. Yeti, Ali Baba, tego byłoby za dużo. Dopiero lata później wspomnę o kaukaskim człowieku śniegu w *Toaście za przodków*.

Miejscowi, ziomkowie Baby Alego i mieszkańcy innych wiosek wschodniego Kaukazu, byli przekonani, że yeti istnieje. Więcej, po prostu to wiedzieli. Trzeba było tylko dłużej z nimi pobyć, żeby zobaczyli, że nie chcę ich wyśmiać. Wtedy się otwierali. W jednym miejscu nazywali go „*stałmiera*”, w innym – „*erdow*”. Profesor Marikowski nawet się nie krygował, nie musiał. Wszystko wyłożył w książce.

– Tylko idioci negują yeti – powiedział, odkładając kamienie na półkę. Usiedliśmy na łóżku, innego miejsca nie było, a gospodarz przytaszczył jeszcze taboret i postawił tam herbatę. – To hominid, zwierzę najbliższe nam, ludziom homo sapiens. Jego poznanie jest ważne dla wszystkich nauk, które badają człowieka: dla anatomii, fizjologii, patofizjologii, psychopatologii, psychiatrii, psychologii, nawet etnografii i filozofii. Ale tracimy szansę, bo on wymiera. Bo nie ma już gdzie żyć. Mity i brednie, jakie o nim wymyślono, przeszkadzają prawdziwej nauce. To jest prawdziwa tragedia.

Człowiek śniegu ponoć nie wydaje głosu, jedynie świsty. Przed ludźmi ma go ratować bardzo czuły słuch. Ma też posługiwać się telepatią. Profesor uważał, że na świecie przetrwały tylko pojedyncze stada, każde po kilka osobników. Żyją w najwyższych, najbardziej niedostępnych górach.

– Do niedawna spotykano yeti nawet nad Ałmatami, w paśmie Ałatau Zailijskiego, ale w ostatnich latach nikt go już tu nie widział – westchnął. – A Kaukaz zamieszkuje jeszcze inny gatunek. Nie człowiek śniegu, tylko neandertalczyk.

Sam Marikowski nie spotkał yeti, choć nieraz szedł jego tropem, z jednego miejsca hominid musiał dopiero co uciec, bo nie zdążył się jeszcze ulotnić charakterystyczny odór. Profesor zebrał za to dziesiątki relacji naocznych świadków, zdjęcia. Uważał je za wiarygodne i pieklił się, że budzą wątpliwości innych badaczy.

– Gdybym był młodszy, poświęciłbym się wyłącznie yeti – powiedział na pożegnanie. – Znalazłbym go i nawiązał z nim kontakt.

Yeti był równie nieuchwytny jak duch Kazachstanu, którego chciałem dopaść i przyszpilić. Kiedy słuchałem profesora, człowiek śniegu wydawał mi się realny, niemal się wśród obrazów i papierów materializował, ale po wyjściu na zalaną słońcem ulicę jego obraz nieuchronnie się rozwiał. Zostały mi książka z autografem autora i zdjęcia z kopiami rysunków naskalnych[1].

Tak wyglądały sprawy latem 1996 roku, u zarania kazachskiej niepodległości. Miałem wtedy dwadzieścia sześć lat. Teraz, dwadzieścia sześć lat później, zaczynałem kolejną podróż. W Taszkencie zrobiłem test na covid, bo przeczytałem, że jest wymagany niezależnie od covidowego paszportu potwierdzającego komplet szczepień – ale na lotnisku w Ałmatach nikt się ani o jednym, ani o drugim nawet nie zająknął.

W Kazachstanie wszędzie wchodziło się już bez maseczek.

Podróż 2022. Ałmaty

1

Nie żebym się czegoś bał, ale sytuacja była dwuznaczna: Polska wspierała walczącą Ukrainę, a ja odwiedzałem bliskiego sojusznika Rosji. Kazachstan należał do wszystkich firmowanych przez Moskwę wspólnot, na czele z Eurazjatycką Unią Gospodarczą oraz Organizacją Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, którą nazywano czasem prześmiewczo postsowieckim NATO. I nie tylko należał: niektóre z formatów sam inicjował. Rzeczywistość nie była jednak czarno-biała, a wojna gmatwała ją jeszcze bardziej. Chociaż w lotniskowym terminalu po staremu królował język rosyjski.

Droga z lotniska zawsze jest reprezentacyjna, nawet w największych dziurach chcą zrobić wrażenie na gościach. Ale w Ałmatach nie kończyło się na samej drodze. Po wyjeździe z parkingu szybko wpadliśmy w ciąg trzypasmówek, tuneli, wiaduktów i wielopoziomowych rozjazdów. To była metropolia pełną gębą, w Kazachstanie nie miała sobie równych, niedawno przekroczyła dwa miliony mieszkańców i o prawie milion wyprzedzała stołeczną Astanę. W regionie tylko Taszkent był większy, dochodził już do trzech, Ałmaty biły go jednak na głowę witalnością i pieniędzmi. To tutaj skupiał się kazachstański biznes, tutaj cały czas działo się najwięcej w kulturze, sztuce, nauce. Mój kierowca pysznił się nowiutkim smartfonem – jednym z tych, które kusiły z flankujących trasę bilbordów – i używał chyba wszystkich aplikacji taksówkowych świata, bo pikały mu w różnych tonach co parę sekund (przez jedną z nich złapałem go pod lotniskiem). Toyota camry też nie była bardzo wiekowa.

Na kolejnym zakręcie pokazały się wysokościowce ałmackiego city – rozproszonego, ciągnącego się zygzakami w południowej części miasta. Były to drapacze nie chmur, ale gór, ich wyostrzone sylwetki wrzynały się w panoramę wiecznie ośnieżonego pasma Ałatau Zailijskiego, odnogi Tienszanu. Za każdym pobytem widziałem ich coraz więcej. Że też nie boją się tak budować, ten teren zawsze był sejsmiczny. Przekonali się o tym Rosjanie, którzy w połowie XIX wieku wznieśli tu twierdzę, ona dała początek miastu. Pierwsze trzęsienie ziemi przyszło po trzydziestu latach, gdy Wierny – taką dostało nazwę – był już

stolicą obwodu, większego od dzisiejszej Polski. Kolejne, w 1911 roku, zniszczyło wiele murowanych domów, ale drewniany i bardzo wysoki prawosławny sobór Wniebowstąpienia Pańskiego przetrwał i do dziś należy do najwyższych drewnianych budowli świata, a powstał bez jednego gwoździa. Cieśle okazali się lepszymi fachowcami od murarzy. W całym regionie było niespokojnie. W 1948 roku trzęsienie zamieniło w ruinę Aszchabad, a w 1966 roku niezbyt odległy Taszkent. Żywioł może wrócić w każdej chwili.

Tymczasem w 1929 roku miasto zostało stolicą sowieckiego Kazachstanu. Kilka lat wcześniej bolszewicy zmienili nazwę Wierny na Ałma-Ata, co oznacza – ojciec jabłek. W okolicznych dolinach od zawsze rosły jabłonie, stąd pochodzi ponoć odmiana aport, taka jest przynajmniej kazachska narracja. Stąd trafiały w czasach sowieckich na Kreml. Potem, już po rozpadzie ZSRR, Ałma-Ata stanie się Ałmatami. Brzmiało to bardziej po kazachsku i nawiązywało do osady, która istniała w tym miejscu w średniowieczu.

Miasto nie ma więc nawet dwóch wieków, ale w 2016 roku świętowało swoje tysiąclecie. Jak to możliwe? Otóż w latach siedemdziesiątych archeolodzy znaleźli monetę wybitą w tamtych, średniowiecznych Ałmatach, która była dokładnie tak stara. Wtedy, za Breżniewa, klimat nie sprzyjał kazachskim jubileuszom, teraz moneta dała niezbędne alibi. Co prawda brakuje ciągłości osadniczej, choć można założyć, że koczownicy stawali w tym miejscu na popas, mieli pod ręką wodę i żyzne pastwiska. Czy jednak historia musi być linearna? Czy nie jest to nasz, zachodni wymysł? Czas nomady nie jest linearny, tylko cykliczny, jak przejścia z pastwisk zimowych na letnie, a potem z powrotem na zimowe. W tych stronach nie mówi się zresztą, że „przyszła *do nas* wiosna”, tylko że „*my* wyszliśmy z zimy”, a jeśli tak, to można również „wyjść z miasta”. Przecież nie oznacza to, że przestaje ono istnieć, przenosi się po prostu do innego wymiaru.

2

Minęło dobre pół godziny, zanim zagłębiliśmy się w znajomą szachownicę ulic ściślejszego centrum. Minęliśmy wieżę Eiffla – ktoś o bujnej wyobraźni nazwał Ałmaty Paryżem Azji Centralnej, zatem przed francuskim domem handlowym stanęła dwudziestometrowa kopia słynnej konstrukcji – i zajechaliśmy pod hotel.

Z czasem doceniłem Ałmaty, przestały mi się kojarzyć z Mińskiem, choć podobieństwa same się narzucają. To dobre miejsce do życia, może najlepsze w Kazachstanie. Zimy są mroźne, ale suche i krótkie, nie ma buranów ani śniegu po pas. Latem nie czuje się upału, cień i chłód dają drzewa, które rosną w gęstych szpalerach. Od gór ciągnie czyste powietrze. Kanalikami płynie stamtąd czysta woda. Kto nie musiał, nie ruszał się z Ałmatów po przeniesieniu stolicy do Astany. Wielu długo próbowało żyć na dwa domy i dwa miasta.

Zieleń, jej najbardziej brakuje w Astanie. Ałmaty się w niej pławią. Leżą w „powodzi zieleni, ponad którą wznoszą się jasne kopułki cerkwi" – notowała pierwsze wrażenia szwajcarska pisarka Ella Maillart, która była tutaj w 1932 roku. Równo sześćdziesiąt lat później brytyjski pisarz Colin Thubron wyszedł po przyjeździe na hotelowy balkon i też nie miał poczucia, że znalazł się w metropolii: „Patrzyłem na parki i lśniące na tle gór złote krzyże cerkwi. […] Sieć na wpół opustoszałych ulic, wznoszących się na południe ku przedgórzom Tienszanu, biegła w zwartym gąszczu dębów i topól. Miejscami drzewa rosły tak bujnie, że czułem się jak w lesie, poprzecinanym asfaltowymi szlakami". Dla reportera Romualda Karasia (późne lata sześćdziesiąte) miasto stanowiło „połączenie parku z sadem".

W Ałmatach zakochał się poeta Aleksander Wat, który dotarł tu późną jesienią 1941 roku, po niemal dwóch latach spędzonych w sowieckich więzieniach. Przyjechał w poszukiwaniu żony i syna, deportowanych ze Lwowa w kwietniu 1940 roku i zwolnionych na mocy amnestii, poprzedzonej wznowieniem stosunków dyplomatycznych między Polską a ZSRR. Sam został aresztowany wraz z trzema innymi poetami po prowokacji zorganizowanej we Lwowie przez NKWD. Teraz ważył czterdzieści pięć kilogramów – z osiemdziesięciu dwóch przed aresztowaniem. W ogolonej tuż przed zwolnieniem z więzienia głowie – ostatnia szykana sowieckiego systemu penitencjarnego – tkwiły nienaturalnie wielkie oczy. Według lekarza z Dżambułu (dzisiejszy Taraz) miał przed sobą dwa tygodnie życia.

„Ałma-Ata jest cudownie położona – opowiadał po latach Czesławowi Miłoszowi. – Śniegu na ulicy nie było, ale góry, olbrzymie góry, przedmurze Pamiru, o cudownych konturach, bardzo blisko, wydaje ci się, że pójdziesz kilka kroków i już masz te śnieżne góry. […] Niebo włoskie, może nawet jeszcze głębsze. Głębszy troszeczkę odcień. I przechodzisz uliczkami, które są śliczne. Jakieś tam domy rosyjskie, a najgorsze te sowieckie w stylu turkiestańskim, pseudomeczetowym, opera itd., ale na to nie zwracasz uwagi.

Bo przede wszystkim jest to cudowne zadrzewienie […]”. Zachwyciły go oszronione topole, wydawały mu się obsypane brylantami. I jeszcze wierzby: „A wierzby dlatego, że jakoś mi się to wiązało z moją wierzbą na ulicy przed moim domem, na Rozbracie. I ta przedwojenna wierzba jakoś mi się łączyła z Ałma-Atą”. Opisał to w wierszu: „Wierzby są wszędzie wierzbami… / Pięknaś, w szronie i blasku, wierzbo ałmaatyńska. / Lecz jeśli cię zapomnę, o sucha wierzbo z ulicy Rozbrat, / niech uschnie moja ręka!”.

Dawna stolica Kazachstanu to morze zieleni i góry na wyciągnięcie ręki. Ałmaty, 2015

Wiosną Aleksander Wat chodził po mieście „jak po ogrodzie”. Potem polował na owoce. „Jabłka były najlepsze. […] To są aporty, bardzo duże, twarde, ale z podziemnymi wodami soku pod skórką. Najlepsze jabłka, jakie w życiu jadłem, i później latem najlepsze melony, najsłodsze i najlepsze”.

Raz musiał z lekarzem Polakiem zająć się chorym na tyfus znajomym o nazwisku Rogoż. „Więc wzięliśmy Rogoża, wzięliśmy *izwoszczyka* [furmana]

Kazacha, dwa koniki świetne, ale dorożka wąska bardzo, tak że Rogoż siedział między nami, a my przyciśnięci do niego. Wieźliśmy go do szpitala epidemicznego. […] Kazach był pijany, pędził co koń wyskoczy. Szczęściem pijaków nie stratował ludzi, rozbiegali się w strachu. Ponieważ siedzenie było wąskie, więc groziło nam wypadnięcie, musieliśmy się trzymać kurczowo, jedna noga na podnóżku. A on pędzi. Mongolska gęba, płaska, ślady syfilisu na nosie, odwraca się do nas i mówi, że jak mu dodamy pięć czy dziesięć rubli, to dopiero pokaże kawaleryjską jazdę. I ten Staszek, syn pedela [woźnego] z Krakowa, chory na tyfus plamisty, i ja z Warszawy, i ten doktor Polak z Łodzi pędzimy kibitką z mongolskim izwoszczykiem wśród ałtajskich gór, wieczny śnieg, Pamir już niedaleko, niebo prawie takie jak w Kalifornii, pędzimy, diabli wiedzą dokąd, w przestrzeń. Ta dziwność życia, która nas opanowała. Na złamanie karku”.

3

Tym razem nie odwiedziłem Centralnego Muzeum Państwowego, choć staram się tam zaglądać podczas każdego pobytu w Ałmatach. Zmieniająca się ekspozycja to barometr kazachskiej polityki. Rzut oka na stronę internetową pokazał jednak, że ostatnio nic tam nie przybyło ani nie ubyło. Muzeum nie odnotowało jeszcze przetasowań na szczytach kazachstańskiej władzy.

Wielki włoski reporter Tiziano Terzani był w tej placówce w przededniu rozpadu ZSRR, we wrześniu 1991 roku. W ówczesnej muzealnej narracji Kazachstan dobrowolnie przyłączył się do Rosji, żądała tego miejscowa ludność: „– Na początku tego [XX] wieku car zaczął wysyłać tu coraz więcej Rosjan, dzięki czemu nasz kraj mógł się rozwijać i unowocześniać – mówi donośnym głosem stary Kazach. Młodzi pionierzy z czerwonymi chustami na szyjach podążają za nami i też uważnie słuchają. – To Rosjanie rozwinęli kazachskie rolnictwo i przywieźli tu pierwsze maszyny – mówi przewodnik, pokazując odtworzone w naturalnych rozmiarach wnętrze starego domu wiejskiego i osobliwy zestaw przedmiotów symbolizujących nowoczesność: gramofon, maszynę do szycia, pompę wodną. Potem bierze mnie pod ramię, drugą ręką przyciąga do siebie Jelenę, dla pewności, że nie umknie mi tłumaczenie, i dodaje: – Żadne tam unowocześnienie! To była kolonizacja

w pełnym tego słowa znaczeniu, a muzeum wkrótce trzeba będzie zreorganizować!”.

Wystawa, którą oglądał Terzani, dowodziła też, że „Kazachstan to prastara ziemia”. To się akurat nie zmieniło. Wchodzących wita kopia Złotego Człowieka – wojownika z plemienia Saków, odkopanego przez archeologów pięćdziesiąt kilometrów od Ałmatów. Mężczyzna żył w IV–III wieku przed naszą erą, w chwili śmierci miał szesnaście–osiemnaście lat. W komorze grobowej znaleziono obok szkieletu cztery tysiące płatków złota, pierwotnie naszytych na ubranie, buty i nakrycie głowy – najpewniej wysokie i szpiczaste. Poza złotem w komorze były duże ilości broni i naczynia, które miały mu służyć na tamtym świecie. Wojownik miał pod ręką strzałę ze złotym grotem, nahajkę, której rączka była obszyta złotą taśmą, oraz torbę, a w niej lusterko z brązu i trochę czerwonej farby. Złoty Człowiek stał się jednym z symboli Kazachstanu. Na pomniku w Ałmatach stoi na skrzydlatej panterze. W czasach sowieckich znaleziska nie eksponowano, bo, jak tłumaczą kazachscy muzealnicy, nie pasowało do ideologii: koczowniczy lud, nawet indoeuropejski, nie mógł stworzyć takiego dzieła, to przecież Rosja przyniosła w stepy cywilizację.

W pierwszej sali, historycznej, znajdują się eksponaty z epok kamienia, brązu i żelaza. Poza nimi – i kopią Złotego Człowieka – w muzeum nie ma prawie nic o dalszych dziejach Kazachstanu, jakby linearność rzeczywiście nie oddawała tutejszego pojęcia czasu. Tylko słowo o Jedwabnym Szlaku – jego odnoga biegła przez okolice Ałmatów – parę zdjęć ze średniowiecznych grodzisk i mauzoleów oraz staroturecki inskrypcje. To wszystko. W sali drugiej, z kazachską etnografią – jurtą, strojami ludowymi, końskimi rzędami, ozdobami – jest trochę informacji o Chanacie Kazachskim. W trzeciej, poświęconej narodom żyjącym w Kazachstanie, można przeczytać o zasiedlaniu tych ziem przez Rosjan, organizowanym jeszcze w okresie caratu, a przy gablotach prezentujących Polaków, Czeczenów i Koreańczyków – o ich deportacjach w stepy. Ale tego pierwszego nie nazywa się kolonizacją, a drugiego – represjami. W czasie jednego z poprzednich pobytów, w 2015 roku, w sali wystaw czasowych oglądałem prezentację „Siedemdziesiąt lat wielkiego zwycięstwa”. Wojna była tu, co prawda, drugą światową, a nie, jak w Rosji, wielką ojczyźnianą, ale narracja przypominała sowiecką: eksponowała żołnierski heroizm (Stalin chętnie wysyłał na front Kazachów, tak jak Putin – Czeczenów czy Buriatów) i pomijała „białe plamy”. W tym czasie w Astanie

Pobrano ze strony pijafka.pl

działało już muzeum, w którym rzetelnie przedstawiano stalinizm i okres ZSRR (jeszcze w latach dziewięćdziesiątych powstało w Ałmatach muzeum represji, ale szybko je zamknięto, wywożąc gdzieś eksponaty).

Ekspozycja miała nie prowokować konfliktów. W przeciwieństwie do nowej stolicy, Ałmaty pozostawały z ducha rosyjskie, choć samych Rosjan nie zostało już w mieście aż tak dużo. Ale wielu miejscowych Kazachów, zwłaszcza średniego i starszego pokolenia, też na co dzień posługiwało się rosyjskim. Był to wreszcie język innych mniejszości narodowych. A za językiem szła często rosyjskocentryczna wizja świata. Chodziło także o to, by nie urazić Moskwy, która jako spadkobierczyni ZSRR uważała treści antysowieckie za antyrosyjskie. Nie zawsze bezpodstawnie. Dlatego gdy władze Kazachstanu chciały pokazać, jak ważne są relacje z Rosją, to – oprócz innych działań, wizyt czy deklaracji – muzeum w Ałmatach zmieniało akcenty w stałej ekspozycji albo organizowało nową wystawę czasową.

Ostatnia, czwarta sala – a sale są naprawdę duże, zajmują po pół skrzydła muzealnego gmachu – prezentuje „suwerenny Kazachstan". I znów otwiera ją, tak jak całą ekspozycję, „Złoty Człowiek", tym razem nie w postaci figury, ale wielkoformatowej fotografii jego ałmackiego pomnika. Dzieje tej ziemi, tak jak astronomiczny rok, zataczają koło i wracają do punktu wyjścia. Historia okazuje się wieczną teraźniejszością.

Ta część muzeum może rozczarować, bardziej finezyjny przekaz nie wyparł tu jeszcze siermiężnej dydaktyki, na którą zwrócił uwagę Terzani. Widzom serwuje się wykresy ze wzrostem wydobycia ropy i gazu, sylwetki kazachskich kosmonautów i przykłady lokalnej produkcji przemysłowej, na czele ze złożonym w Ałmatach telewizorem LG z autografem Nursułtana Nazarbajewa na kineskopie i datą 28 maja 1998 roku. Sam polityk pokazywany jest w sytuacjach oficjalnych – zdjęcia z innymi przywódcami, pamiątki ze spotkań na szczycie – inaczej niż w latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych, gdy kreowano go tu na żywego świętego i zbawcę narodu (w gablotach żółciły się kopie dyplomów i wycinki z gazet, pamiętałem długi wywiad z Nazarbajewem o jego córkach). W ten sposób muzeum oddaje hołd lokalnej wrażliwości, przywiązanej do sowieckiego uniwersum mimo blichtru nowoczesnego miasta. Całość ma budzić obywatelską dumę i szacunek dla instytucji państwa.

W placówce można jeszcze zobaczyć trochę miejscowej fauny, poznać dorobek wybranych kazachskich uczonych oraz – za dodatkową opłatą –

obejrzeć kolekcję złotych przedmiotów znalezionych podczas różnych wykopalisk.

4

Zwiedzając ałmackie muzeum, zawsze się zastanawiałem, jak najlepiej przedstawić historię Kazachstanu. Tak czy siak, ekspozycję wypadałoby zacząć od pradziejów, pewnie jednak skromniej, od epok kamienia, brązu oraz żelaza na „ziemiach kazachskich", a nie „w Kazachstanie", tak jak to jest w Ałmatach. Chociaż jeśli przyjmiemy, że Kazachstan jest wieczny, ta druga wersja wydaje się właściwsza.

Ważne miejsce powinny zająć dzieje koczowniczych królestw, ich następstwo i granice (przydałyby się mapy i tablice chronologiczne), ale przede wszystkim – ich specyfika. Unikalność. Tu nie obyłoby się bez artefaktów oraz pomocy multimediów, ale także świadectw podróżników. W *Buranie* cytowałem Gustava Krista, austriackiego awanturnika, handlarza dywanów, wreszcie pisarza, który zachwycał się jurtą, jej prostotą i użytecznością. „Jurta jest bezsprzecznie jednym z największych wynalazków Azji" – stwierdził. Wiedział, co mówi, bo zimował w niej w latach dwudziestych XX wieku na „dachu świata", w Pamirze. „Po kilku miesiącach mieszkania w jurcie kirgiskiej najzupełniej zrozumiałem niechęć Kirgizów do zwykłych glinianych chat ludności osiadłej. Domy z gliny w zimie wystawione są na mróz, a w lecie na inwazję wszelkiego rodzaju pasożytów, gdy w jurtach nie widziałem nigdy oprócz wszy żadnych innych pasożytów, a więc ani skorpionów, ani tarantul". W cywilizację Wielkiego Stepu wpisane były też jednak wojna i konflikt, stan pokoju zwykle trwał krótko, a stepowi władcy wiecznie ze sobą rywalizowali, kopali pod sobą dołki, zawierali przymierza i łamali je – i o tym również musiałaby być mowa.

Szczególną uwagę należałoby poświęcić Chanatowi Kazachskiemu. Przyjmuje się, że powstał w 1465 roku, kiedy grupa plemion pod wodzą lokalnych przywódców Kereja i Dżanibeka uszła spod władzy chanów uzbeckich. Chanat bywa przedstawiany jako poprzednik współczesnego Kazachstanu, ale, choć związki są oczywiste, nie jest to określenie ścisłe. Kazachowie nie są potomkami tamtej ludności w linii prostej i nie zamieszkują dokładnie tych samych ziem. Współczesna kazachska tożsamość, oparta na

europejskich kategoriach narodu oraz przynależnego doń terytorium, to konstrukcja bardzo świeża, XX-wieczna. Jej projekcja w mgławicową przeszłość Wielkiego Stepu jest nadużyciem. Równocześnie to właśnie tam tkwią kazachskie korzenie. Do dziś wielu Kazachów, nawet tych mieszkających w mieście i słabo mówiących po kazachsku, potrafi wymienić imiona męskich przodków do siódmego pokolenia wstecz – to szereg zwany *„żeti ata*”, dosłownie: siedmiu ojców, oni za tobą stoją, a ty nie możesz ich zawieść. Dlatego w tej części ekspozycji byłoby dobrze opowiedzieć o żuzach i podziałach plemiennych, bo trwają one na przekór zmieniającym się ustrojom, ograniczone nieco przestrzenią, ale już nie czasem[2]. Nie powinno zniknąć nam z pola widzenia również kazachskie południe, gdzie w oazach życie toczyło się przez wieki swoim rytmem.

Kazachscy władycy nie mieli dworu ani struktur państwowych, które przypominałyby choćby monarchie Krymu albo Buchary, gdzie przeważała gospodarka osiadła. Kres ich niezależności położyły rosyjski podbój i wewnętrzne napięcia. A jednak Chanat Kazachski upadał długo, ponad sto lat. Z silniejszymi Rosja radziła sobie szybciej, wystarczyło zdobyć stolicę, co jednak zrobić, gdy stolicy nie ma, a przeciwnik niczym wiatr wymyka się z rąk? Ostatnim, który trzymał realną, a nie tylko nominalną pieczę nad całością, był Tauke, chan w latach 1680–1715. Atakowany od zachodu przez Kałmuków, od północnego zachodu przez Baszkirów (jedni i drudzy byli już wtedy rosyjskimi poddanymi), a od północy – przez Kozaków syberyjskich, kąsany od południa przez chanów Buchary i Chiwy, wreszcie najeżdżany od wschodu przez Ojratów z Chanatu Dżungarskiego, za wszelką cenę chciał umocnić państwo, bo ów podporządkowany mu system koczowisk był przecież państwem, tyle że rozproszonym, sieciowym, w wiecznym ruchu. Na wezwanie chana stawili się najtęższi kazachscy *bijowie* (sędziowie): Tole bi ze Starszego żuzu, Kazybek bi ze Średniego i Ajteke bi z Młodszego, biegli w odwiecznych obyczajach i w szariacie. Wraz z chanem ułożyli zbiór praw, stepową konstytucję. Nazywała się *Żeti Żargy*, Siedem Rozstrzygnięć. Tak jak polska Konstytucja 3 maja była wzlotem ducha narodu. I tak jak ona – poprzedziła upadek.

Po Taukem każdy z żuzów zamienił się faktycznie w samodzielny chanat z własnym chanem. Pracowali nad tym ciężko rosyjscy szpiedzy: z przeciwnikiem skłóconym i podzielonym łatwiej sobie poradzić. Pierwszy złamał się Abułchair, chan Młodszego żuzu. Nękany najazdami przez sąsiadów

i nęcony przez carskich posłów wizją wsparcia jego władzy, w 1731 roku przysiągł wierność carycy Annie. W rosyjskiej narracji było to pokojowe przyłączenie Kazachstanu do Rosji (w ZSRR dodawano, że na żądanie mas ludowych), ale przypominało raczej wchłonięcie państw bałtyckich przez Stalina w 1940 roku. Za chanem nie stanął nawet cały jego ród, nie mówiąc o żuzie czy tym bardziej o wszystkich Kazachach. On sam myślał pewnie o taktycznym sojuszu z silniejszym władyką i doraźnych korzyściach, w rodzaju zapewnienia tronu synowi. Proces już się jednak rozpoczął. Przez następne dziesięciolecia przekupstwem, szantażem, a gdzie trzeba – siłą, Rosja zajmie kolejne przyczółki. Będzie podburzać przeciw Kazachom Kałmuków i Baszkirów, a gdy zbuntują się ci ostatni – Kałmuków i Kazachów. Jednocześnie będzie ograniczać, a z czasem likwidować władzę kolejnych chanów.

Lata dwudzieste, trzydzieste i czterdzieste XIX wieku to pasmo antyrosyjskich powstań. Ostatnim dużym zrywem dowodził sułtan Kenesary. On też został wybrany przez delegatów trzech żuzów na ostatniego chana Chanatu Kazachskiego (car wyboru nie uznał). Latem 1846 roku, gdy powstanie już dogorywało, przez ziemie Średniego żuzu, do którego należał Kenesary, podróżował zesłaniec Adolf Januszkiewicz. Pracował w komisji rządowej, tworzącej projekty ustaw dla nowo podbitych obszarów. W jednym z aułów wystąpiła przed nim i towarzyszami niewidoma pieśniarka o imieniu Dżazyk. W *Listach ze stepów kirgizkich* Januszkiewicz zapisał jej lament: „»Od wieków zajmowaliśmy tutejsze ziemie, ziemie najlepsze w świecie, bo nigdzie nie masz takiego powietrza, takiej wody, takich pastwisk jak w naszej karkaralińskiej krainie; nigdzie takich stad koni, bydła i baranów, takich kierkej (kóz) cienkowełnistych, takiego kumysu. Żyliśmy wolni, spokojni, niezależni od nikogo, pod rządem własnych naszych bijów. […] Urusy [Rosjanie] zbudowali sobie miasto w karkaralińskich górach, zabrali nam najlepsze miejsca na swoje pikiety i postawili w nich ludzi złych, dla trzymania nas w poddaństwie«. […] Na zapytanie, czy nie zaśpiewa nam czego o Kenesarym, odpowiedziała, że jeszcze nie ułożyła żadnej pieśni o nim, ale zdaje się, że skłamała […]”.

Chan poległ rok później w bitwie z trzymającym stronę Rosjan kirgiskim wodzem. Zwycięzca odrąbał mu głowę i wysłał carowi. Trafiła ponoć do Kunstkamery, petersburskiego gabinetu osobliwości, gdzie wkrótce znajdzie się też zabalsamowana głowa bohatera wojny kaukaskiej, Hadżi-Murata. Niepodległy Kazachstan zażądał zwrotu, ale głowa miała zaginąć. Opozycja

twierdziła jednak, że władze działają mało stanowczo, gdyż prezydent Nazarbajew boi się, aby sława Kenesarego nie przyćmiła jego osiągnięć. W 2021 roku – już po dymisji Nazarbajewa, ale przed ostatecznym odsunięciem go od władzy – głowa odnalazła się w muzeum w syberyjskim Omsku, leżącym sto kilometrów od granicy z Kazachstanem. Sprawa jej zwrotu miała być na dobrej drodze, o czym prezydent Władimir Putin podobno osobiście zapewniał Nazarbajewa.

W styczniu 2023 roku kazachstańskie media podały, że głowę przewieziono do Moskwy.

W mojej wyobrażonej ekspozycji okresy rosyjski (od zakończenia podboju około 1850 roku do przewrotu bolszewickiego) oraz sowiecki (od przewrotu do rozpadu ZSRR) można byłoby połączyć. Z krótkim przerywnikiem na lata 1917–1920, gdy w czasie wojny domowej w Rosji kazachscy działacze narodowi powołali republikę autonomiczną, zwaną Ałasz Ordą (pomimo że ostatecznie wzięła stronę bolszewików, ałaszowców rozstrzelano). Przez te sto czterdzieści lat najpierw biały Petersburg, a następnie czerwona Moskwa prowadziły wobec Kazachstanu jedną, konsekwentną politykę. Różna była jej forma, ale nie treść.

Wszystko mówią dane z kolejnych spisów powszechnych.

W 1897 roku Kazachstan (w obecnych granicach) zamieszkiwało nieco ponad 4 miliony ludzi. Kazachów było prawie 3,4 miliona, niemal 82 procent. Rosjan – niespełna 0,5 miliona, mniej niż 11 procent.

W 1959 roku populacja wzrosła do 9,3 miliona, ale liczba Kazachów spadła do niespełna 2,8 miliona. Stanowili już tylko 30 procent! Rosjan było przy tym prawie 4 miliony (niecałe 43 procent).

W 1989 roku ludność całego Kazachstanu osiągnęła prawie 16,5 miliona. Liczba Kazachów wyniosła ponad 6,5 miliona (około 40 procent), a Rosjan – ponad 6,2 miliona (niespełna 38 procent).

Jak widać, w ciągu pierwszych dekad liczba Kazachów zmniejszyła się tak drastycznie, że – dodając do tego skokowy wzrost liczby Rosjan – stali się mniejszością we własnym kraju. Ich udział w całej populacji spadł poniżej jednej trzeciej, choć jeszcze po śmierci Kenesarego, u progu nowej epoki, poza paroma miastami trudno było spotkać w kraju nie-Kazacha. Potem Kazachowie zaczęli odrabiać straty i w przededniu upadku ZSRR znów byli w większości, ale większości względnej. Lekko wyprzedzili Rosjan, ale daleko im było do

pięćdziesięciu procent ogółu. Żadna inna republika związkowa nie miała takich proporcji. W ostatnim sowieckim spisie ludności na trzecim miejscu znaleźli się Niemcy (prawie milion, co siedemnasty Kazachstańczyk był Niemcem). Stało się tak na skutek deportacji i wywózek.

Armagedon, hekatomba, zagłada. Żadne ze słów nie będzie za mocne.

Trzech było jeźdźców kazachskiej apokalipsy, a wszystkich wyprawił w drogę człowiek. Ani jeden jeździec nie reprezentował wyższych sił natury.

Pierwszym jeźdźcem była kolonizacja. Rosyjscy chłopi osiedlali się na północy pasa stepów już w XVI wieku, ale zorganizowana, wspierana przez rosyjski rząd akcja osadnicza rozpoczęła się w ostatnim ćwierćwieczu XIX stulecia. W latach 1871–1916 na kazachskich ziemiach zamieszkało ponad półtora miliona przesiedleńców. Kolejne miliony osiadły tam już w czasach sowieckich, w ramach dwóch kampanii: „zagospodarowywania nieużytków", czyli zamiany stepów w pola uprawne (gospodarka rabunkowa doprowadziła do erozji gleby i ekologicznej katastrofy) oraz industrializacji. W jej wyniku w większości miast Kazachstanu język rosyjski do dziś można usłyszeć częściej niż kazachski.

Drugim jeźdźcem była deportacja. Jeszcze przed II wojną światową władze w Moskwie przesiedliły do Kazachstanu ludność sowieckiego pogranicza uznaną za element wrogi: Koreańczyków z Dalekiego Wschodu oraz Finów i Polaków z zachodu ZSRR. Po wybuchu wojny dołączyły do nich kolejne grupy: znów Polacy, tym razem z zajętych przez Sowietów terenów II Rzeczypospolitej, a także Niemcy, Bałtowie, Czeczeni, Ingusze, Bałkarzy i Karaczajowie. Kazachski badacz oszacował, że do Kazachstanu po rosyjskim podboju trafiło w sumie, dobrowolnie lub nie, osiem i pół miliona ludzi.

Trzecim jeźdźcem, najstraszniejszym ze wszystkich, była eksterminacja. Miała wiele twarzy: pomordowanych powstańców 1916 roku; zmarłych w kolejnych falach sztucznie wywołanego głodu; wytrzebionej młodej kazachskiej inteligencji; rozstrzelanych kułaków nazywanych *bajami*. Zamęczonych w łagrach, poległych na frontach różnych wojen. Najwięcej ofiar, na pewno dwa miliony, ale może znacznie więcej, przyniosła jednak kolektywizacja połączona z przymusowym osiedlaniem koczowników oraz konfiskatą bydła. Akcją, przeprowadzoną w latach 1931–1933, kierował Filipp Gołoszczokin, ówczesny sekretarz partii bolszewickiej w Kazachstanie, z zawodu technik dentystyczny („Moskwa nadawała kierunek, ale ofiar byłoby mniej, gdyby nie lokalni nadgorliwcy" – powie mi historyk Turganbiek

Ałłanijazow). „Kościstą ręką głodu” zagnał on nomadów do kołchozów jak do rezerwatów i w ciągu dwóch lat odwrócił bieg dziejów Wielkiego Stepu.

Historia stanęła dęba, czas rozciągnął się jak pęknięta sprężyna. „Jeśli Kazach miał dwa konie, traktowany bywał jako koczownik, wróg osiadłego trybu życia. Ilu wówczas pomarło z głodu…” – usłyszał reporter Romuald Karaś od kazachskiego poety. A komunistyczny cenzor to puścił. Pogłowie bydła spadło w Kazachstanie o 85 procent, koni o 88 procent, owiec o 93 procent, wielbłądów o 94 procent. Do strat demograficznych trzeba doliczyć zaś kilkaset tysięcy Kazachów, którzy uciekli przed represjami do Chin, Mongolii, Afganistanu, Iranu i Turcji (część wytropiło po drodze NKWD i rozstrzelało).

Demograf Makasz Tatimow napisał, że w ujęciu procentowym – czyli pod względem liczby ofiar do całej populacji – straty Kazachów były wyższe niż ofiar XX-wiecznych ludobójstw. Rozciągniętą na kilka dekad eksterminację miała według niego przetrwać zaledwie jedna trzecia narodu (uwzględniając możliwy przyrost naturalny). „Bardzo możliwe, że zagłada Kazachów została zaplanowana i precyzyjnie zorganizowana przez Centrum, tak aby można było potem urządzić na wielkich kazachstańskich stepach poligon do prób migracyjnych dla wielu narodów świata – spekulował krótko po rozpadzie ZSRR. – Tak znaczącego wyniszczenia substancji narodu nie przeżywała żadna radziecka republika związkowa ani żaden naród świata (jeżeli nie liczyć zagłady amerykańskich Indian czy australijskich Aborygenów)”.

Tak, Kazachstan był dla Rosjan polem eksperymentów. Nie tylko demograficznych (być może to tu, w sztucznym tyglu narodów, miał się narodzić modelowy człowiek radziecki?).Także jądrowych, kosmicznych, ekologicznych (zaoranie stepów, prace nad zmianą kierunku Irtyszu i Iszymu, regulacja Syr-darii). Był również śmietniskiem wszelkich odpadów oraz, jak typowa kolonia, zapleczem surowcowym. Tiziano Terzani opisał problemy z miedzianymi kablami i przewodami: w Ałmatach w 1991 roku były nie do dostania, chociaż Kazachstan ma wielkie zasoby miedzi. Ale wysyłano ją do Rosji czy na Ukrainę i tam odbywała się produkcja. Republika nie mogła korzystać z własnych bogactw.

Czy rosyjskie rządy przyniosły Kazachstanowi jedynie zło i zniszczenie? Nie wszystko da się zważyć na szalach dobra i zła. I nie chodzi o modernizację, choć dwadzieścia sześć tysięcy zakładów przemysłowych oraz trzynaście

tysięcy kilometrów linii kolejowych, które powstały tylko do lat siedemdziesiątych, robią wrażenie. Na naszej ekspozycji można by to pokazać na przykładach konkretnych rodzin. Choćby znajomego właściciela eleganckiej restauracji z Ałmatów.

– Moja babcia, rocznik mniej więcej 1915, żyła jeszcze w jurcie. Koczowała razem z psami, kozami i całym tym bałaganem – opowiadał mi, gdy w czasie jednego ze spotkań zebrało mu się na zwierzenia. – Ojciec urodził się w kołchozie, skończył szkołę i studia i został sowieckim urzędnikiem, dyrektorem w ministerstwie. Ja jestem kapitalistycznym przedsiębiorcą. Trzy pokolenia i trzy ustroje. Kim bym był, gdyby nie komunizm? Kim byłyby moje dzieci?

Po upadku ZSRR Kazachowie nie mogli wrócić do czasów przedrosyjskich, gdyż wtedy koczowali. Teraz byli najbardziej zrusyfikowanym i zsowietyzowanym narodem w regionie. Ale na poziomie instytucji rusyfikacja i sowietyzacja oznaczały okcydentalizację, czyli przyjęcie zachodnich wzorców i rozwiązań. Nie mając innych przykładów, Kazachowie zaczęli więc budować państwo typu europejskiego, wypełniając rzecz jasna tę formę własną treścią. W Turkmenistanie (tradycje koczownicze przy niskim stopniu rusyfikacji i sowietyzacji) Saparmurat Nijazow nawiązywał, być może nieświadomie, do Chanatu Chiwy, a Isłam Karimow w Uzbekistanie (stopień rusyfikacji/sowietyzacji też był tam w miarę niski, ale ludność była od wieków osiadła) – do Emiratu Buchary. Dzięki zasobom ropy, gazu i uranu oraz rosyjsko-sowieckiej spuściźnie Kazachstan może dołączyć z czasem do bogatej Północy. Jego sąsiedzi ciążą w stronę globalnego Południa.

Nie wiemy, jak potoczyłaby się historia, gdyby Rosja nie podbiła Kazachstanu. Mamy jednak oniryczną wizję Andrzeja Stasiuka: „Ilekroć tu przyjeżdżałem, wyobrażałem sobie, jakby to było bez Rosji. Abulchajr [Abułchair] nie musiałby się opłacać czterema tysiącami lisich skór. Przemierzałby step, wyglądając kolejnych najeźdźców z głębi kontynentu, z którymi stawałby do walki, zawierał sojusze albo umykał przed nimi na zachód czy północ. W nieustannym ruchu, ze wzrokiem nadającym horyzont, nasłuchując odgłosu końskich kopyt. Wysyłając szpiegów, chwytając jeńców. Jak sto, jak dwieście lat wcześniej. Jak zawsze w tych stronach, w tych krainach jakby zrodzonych przez nieskończoność, aby ludzie nabrali pojęcia o tym, czym może być wieczność. Teraźniejszością, której nie sposób opuścić. Można tylko wędrować w głąb niej z całym dobytkiem, wozami, jurtami, bydłem, psiarnią

i dziećmi, zostawiając dzień po dniu i tydzień po tygodniu wygniecioną trawę i czarne kręgi po ogniskach. Tylko to można robić. Ze stadami tłuściejącymi z upływem lata. Od wschodu do zachodu słońca. […]

Ilekroć tu przyjeżdżałem, wyobrażałem sobie, że to trwa. Że od czasu do czasu zjawia się jakiś nowy Temudżyn, nowy Timur Lenk i zagarnia ziemie i ludy, i buduje kolejne imperium, które w apokaliptycznym paroksyzmie sięga od wschodu po zachód, a potem, po śmierci wodza, znów rozpada się na osierocone plemiona, ułusy i ordy, które wędrują przez step, wyglądając nowego władcy. I nie ma Rosji, w której lesistym, bagiennym wnętrzu mogliby przepaść".

Okładkę jednego z kazachskich podręczników historii zdobi podkolorowane, trochę westernowe zdjęcie: koczownicy na koniach i wielbłądach otaczają sowiecki pociąg z czerwoną gwiazdą na czole parowozu. Tym zdjęciem – albo podobnym, z Bajkonurem i startującą rakietą w tle, może być nawet fotomontaż – zamknąłbym ekspozycję. W czasach sowieckich kazachscy jeźdźcy symbolizowali tradycję i przeszłość, a rosyjski zapewne maszynista – nowoczesność i przyszłość. Teraz te oba światy zlały się w jeden, parowóz pędzi przez step, prowadzony już przez Kazacha, a niewidoczna karawana idzie spokojnie dalej i nie zatrzyma jej już żaden Gołoszczokin.

Tak, w czasie tej podróży dopadła mnie historia, choć wokół tyle się działo – to był na pewno najburzliwszy rok od trzydziestu lat, odkąd świat uznał kazachstańską niepodległość. Historia pozwalała spojrzeć z dystansem na bieżące wypadki.

Częściej niż zwykle do historii sięgali również ludzie, z którymi się spotykałem. Teraźniejszość miały tłumaczyć analogie do okresu pierestrojki. Wtedy rozpadało się sowieckie imperium, teraz – przestrzeń postsowiecka, nie tyle polityczna, ile rozumiana jako wspólnota doświadczeń i odniesień. Wszyscy byli zdania, że wojna rosyjsko-ukraińska wzmacnia w regionie Chiny, co zwiększało poczucie niepewności – obawy przed Pekinem były silne, choć strach przed Rosją jeszcze silniejszy. I tylko trochę łagodziło go poczucie, że Rosję przecież znamy i mówimy po rosyjsku. Tak samo łudziło się do niedawna wielu Ukraińców.

W chwilach zagrożenia oglądamy się na swoich, dlatego Kazachstan patrzył z nadzieją na Ankarę i najbliższych sąsiadów z regionu. Jeden z moich rozmówców porównał sojusz państw turkijskich, który krzepł z każdym

miesiącem, do NATO – rolę USA miała w nim grać sama Turcja, a Kazachstan i Uzbekistan miałyby być Niemcami i Francją, niby że każdy ciągnie w swoją stronę, ale priorytety są przecież wspólne.

Na tym tle dokonywał się w Kazachstanie newralgiczny proces wymiany władzy.

5

Po Ałmatach można chodzić godzinami, nie czując oddechu wielkiej metropolii. Chyba że zapuścimy się do city, w krainę wysokościowców i wielopasmowych arterii. Najlepszy widok na miasto daje wjazd na górę Kök Töbe. Stacja kolejki linowej znajduje się w samym centrum, z wagonika widać najpierw stare domki na prawym brzegu Małej Ałmatynki (mieszka się tam jak na wsi – wiem, bo kiedyś zatrzymałem się w jednym z takich domków u znajomej), a potem całą panoramę Ałmatów z drapaczami gór. Niewiele jest metropolii, gdzie w parę minut można przesiąść się z metra do górskiej kolejki, a w parę następnych wjechać na wysokość naszej Gubałówki. Komu mało, może wybrać się do ośrodka sportów zimowych Medeu, z miasta to dwadzieścia minut, najwyżej pół godziny. Tam jest kolejka, która wjeżdża na trzy tysiące dwieście metrów. Aleksander Wat byłby zachwycony.

Ale panorama na wznoszące się nad miastem szczyty otwiera się już z placu Republiki. Wznosi się tam obelisk niepodległości, ten ze Złotym Człowiekiem na skrzydlatej panterze, otoczony przez zespół rzeźb i reliefów. W grudniu 1986 roku doszło na tym placu do krwawo stłumionej demonstracji na tle narodowościowym. Był to pierwszy masowy protest epoki pierestrojki, poprzedził protesty w Erywaniu, Tbilisi, Baku, Rydze i Wilnie. A w samym Kazachstanie uruchomił łańcuch wydarzeń, w których wyniku do władzy doszedł Nursułtan Nazarbajew.

Ełbasy. Wywiad z Nazarbajewem

Pamięci Marka Karpia (1952–2004)

1

W czwartek 16 maja 2002 roku przyszedłem jak co dzień do pracy. Sekretarka, legendarna pani Czesia Adamowska, już mnie szukała. Coś się działo. Zapukałem do gabinetu dyrektora.

– Machniesz się ze mną do Astany? – raczej oznajmił, niż spytał nie mniej legendarny Marek Karp, twórca i ówczesny szef Ośrodka Studiów Wschodnich. – Za tydzień będzie w Polsce Nazarbajew. Trzeba zrobić z nim wywiad. Ma się ukazać w dniu wizyty.

– Kiedy lecimy?

– W niedzielę.

Ośrodek, w którym pracowałem czwarty rok, był dzieckiem polskiej transformacji. Utworzono go z potrzeby chwili, aby służył analizą sytuacji w Związku Radzieckim, a następnie w państwach, które powstały na jego gruzach (z czasem ten obszar się rozszerzył). Wiedzę czerpaliśmy z rosyjskojęzycznych mediów: agencji prasowych, gazet – najpierw papierowych, potem coraz częściej w wersji elektronicznej – i programów telewizyjnych, które nagrywało się na kasety wideo. Stopniowo wchodził internet. Ale najbardziej lubiliśmy podróże studyjne, mogliśmy się wtedy spotkać z miejscowymi ekspertami, ludźmi biznesu czy dziennikarzami, zwiedzić muzeum, obejrzeć wystawę i zwyczajnie się przejść, zajrzeć na bazar, pogadać z taksówkarzem. Poczuć kraj.

Sytuacje nadzwyczajne nie należały w Ośrodku do rzadkości. Następne godziny zeszły mi na przeglądaniu naszych baz i układaniu listy pytań do wywiadu. Zgodnie z umową wysłaliśmy je faksem do ambasady Kazachstanu (na miejscu trochę od nich odeszliśmy, co Nazarbajew wypomniał nam z udawaną przyganą – „Polacy zawsze wszystko robią po swojemu!”). Potem zrobiłem zdjęcie do wizy, a kazachski konsul wydał mi ją od ręki.

W piątek załatwiałem formalności z delegacją i zgodnie z sugestią szefa („Strzeżonego Pan Bóg strzeże”) wziąłem obok należnych diet sporą zaliczkę na nieprzewidziane wydatki. Pozostawała jeszcze pieczątka AB, na którą wjeżdżało się wtedy służbowo do Rosji i paru innych krajów. W biurze paszportowym na Kruczej na szczęście nie było kolejki. Pieczątkę wbili mi na podstawie pisma z Ośrodka.

Całą sobotę czytałem zebrane materiały. Przed południem następnego dnia ruszyliśmy do Moskwy. Tam zmienialiśmy lotnisko.

– No to co o nim wiemy? – Karp wrócił do przerwanego wątku. Rozmowę w hali odlotów uniemożliwił dzwoniący co chwila dyrektorski telefon.

– Nazarbajew Nursułtan Abiszewicz, urodzony 6 lipca 1940 roku we wsi Szamałgan, członek partii komunistycznej od roku… – zacząłem. Nabraliśmy już wysokości i właśnie skręciliśmy na wschód. Ikonki „zapiąć pasy” zamigotały i zgasły.

– Jasne, dostał legitymację z niskim numerem – mruknął szef. Miał poczucie humoru i też znał radziecki serial *Siedemnaście mgnień wiosny*. Gdy jego bohater, pułkownik Isajew, pracujący w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy pod nazwiskiem Max Otto von Stirlitz, rozważał jakiś problem, głos z offu mówił, co się dzieje w jego głowie. Po słowach „materiał do przemyślenia” następowało zwykle dossier rozpracowywanego osobnika. – To bardzo ważne, ale lepiej powiedz, jak Nazarbajew został prezydentem.

Dobrze, Marku. Musimy się cofnąć o kilkadziesiąt lat.

2

Nazarbajew należy do Starszego żuzu, tego, który według kazachskiej tradycji najbardziej nadaje się do rządzenia. Jego plemię Szapraszty nie plasuje się w wewnętrznej hierarchii szczególnie wysoko, ale w przeszłości bywało, że kiedy znaczniejsze plemiona nie mogły się porozumieć, wybierano szaprasztowca na wodza na zasadzie „ani twoje, ani moje”. W taki sam sposób duże czeczeńskie klany postawiły w swoim czasie na generała Dżochara Dudajewa.

Dobre pochodzenie było dla kariery niezbędne, ale niewystarczające. Tym bardziej że ród nie zaliczał się do białej kości. Nazarbajew wcześnie opuścił dom i rodzinną wieś, a plotki wiążą jego wyjazd z młodzieńczą miłością.

W jednym z dwóch miast – biografie nie są tutaj zgodne – ukończył szkołę zawodową. Nie wiadomo, dlaczego nie służył w wojsku, choć powodów do odroczenia nie było, od dziecka cieszył się dobrym zdrowiem. Ale na Wschodzie władzę zawsze otacza tajemnica.

W wieku dwudziestu lat podjął pracę w kombinacie metalurgicznym w Temyrtau, a następnie przeniósł się do podobnych zakładów w pobliskiej Karagandzie (to kilkaset kilometrów od Szamałganu). Na produkcji było mało Kazachów, więc jako przedstawiciel kazachskiej klasy robotniczej stał się cennym nabytkiem dla lokalnego Komsomołu. Reprezentował miejscowych komsomolców na republikańskich i ogólnozwiązkowych zjazdach. Okazało się, że świetnie czuje się na trybunie. Porywające, improwizowane przemówienia umiał wygłaszać po kazachsku i po rosyjsku. Wstąpił do partii. Przed trzydziestką został zawodowym działaczem.

Po drodze uzupełnił wykształcenie – skończył wyższą uczelnię techniczną przy zakładach w Karagandzie. Potem ukończy jeszcze zaocznie Wyższą Szkołę Partyjną w Moskwie i obroni doktorat z ekonomii. W tym czasie był już żonaty. Sara miała pracować przy wielkim piecu, choć plotka głosi, że naprawdę była bufetową w stołówce. Należała do Średniego żuzu, a jej wuj Sydzyk Abiszew pełnił wymarzoną w czasach deficytów funkcję dyrektora do spraw handlu w karagandyjskiej administracji. Był człowiekiem na tyle obrotnym, że po latach Nazarbajew zrobi go pierwszym kazachstańskim ministrem współpracy gospodarczej z zagranicą. I dobrze na tym wyjdzie.

Błyskotliwy, młody komunista o wzorowym życiorysie, umocowany w lokalnych strukturach partyjnych i akceptowany przez żuzową starszyznę szybko wpadł w oko Dinmuchamiedowi Kunajewowi, który rządził sowieckim Kazachstanem w latach 1960–1986. Podczas jednej z wizyt w Karagandzie ten upatrzył sobie Nazarbajewa i został jego protektorem. Jeszcze przed czterdziestką, przeskoczywszy za jednym zamachem kilka szczebli kariery, Nazarbajew awansował do Ałmatów, do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Kazachstanu. Niedługo później świętujący urodziny Kunajew nazwie go na bankiecie synem, czyli namaści na sukcesora. Komitety partyjne w Azji Centralnej przypominały wtedy chańskie dwory, wola „pierwszego” była rozkazem. W marcu 1984 roku niespełna czterdziestoczteroletni polityk stanął na czele rządu Kazachskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Tymczasem z Moskwy zaczęły wiać nowe wiatry. Przywódcą Związku Radzieckiego został Michaił Gorbaczow, który ogłosił pierestrojkę i ze stanowisk w Moskwie i republikach zaczął usuwać „starców” – twardogłowych towarzyszy trzymających się od dekad swoich stołków. Kunajew nie chciał odejść po dobroci, więc Gorbaczow zawiązał intrygę. W lutym 1986 roku, na kolejnym zjeździe Komunistycznej Partii Kazachstanu, o głos poprosił wtajemniczony w sprawę Nazarbajew. Ku zaskoczeniu sali, która czekała na solenne sprawozdanie okraszone dziesiątkami liczb, bezpardonowo napadł na swojego zwierzchnika i dobroczyńcę, wytaczając najcięższe armaty. W płomiennej mowie oskarżył go o doprowadzenie do upadku kazachskiej gospodarki i, jak na ironię, o błędy w polityce kadrowej. Nie oszczędził też młodszego brata Kunajewa, Askara, który kierował akademią nauk. Zarzucił mu przekształcenie jej w folwark i oskarżył o pijaństwo, które w czasach ówczesnej kampanii antyalkoholowej było poważnym grzechem. Gdy skończył, zapadła cisza. Zebrani popatrzyli po sobie, ale nikt nie wstał, aby poprzeć premiera. A następnego dnia Kunajew w oparach wazeliny został ponownie wybrany na pierwszego sekretarza. Nazarbajew, widząc, co się dzieje, też głosował „za”. Tym razem przegrał, ale nie wypadł z gry.

W ciągu następnych miesięcy Kunajew i Nazarbajew prowadzili wojnę podjazdową, donosząc na siebie do Moskwy: „To niebezpieczny człowiek. Trzeba go powstrzymać” – tak pierwszy z nich charakteryzował teraz drugiego. Za Nazarbajewem stał jednak Gorbaczow, a Kunajewa obciążały sprawy o korupcję wytaczane sekretarzom w poszczególnych obwodach Kazachstanu. W końcu stary lis – miał już prawie siedemdziesiąt pięć lat – zrozumiał, że jego czas się skończył, i sam napisał prośbę o dymisję (odbywało się to, rzecz jasna, za zamkniętymi drzwiami, na ulice docierały najwyżej dalekie echa toczącej się walki). Wniosek miał być głosowany na plenum Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Kazachstanu zwołanym na 16 grudnia 1986 roku.

Naturalnym następcą był Nazarbajew, ale Gorbaczow postanowił inaczej. Może się bał, że tamtego zjedzą – po lutym narobił sobie wielu wrogów – może wziął sobie do serca słowa Kunajewa, a może miał wobec wciąż młodego jeszcze Kazacha inne plany. Tak czy inaczej, uznał, że najlepszy będzie ktoś z zewnątrz. Towarzysze jednogłośnie odesłali Kunajewa na emeryturę, a na pierwszego sekretarza wybrali przysłanego w teczce Giennadija Kołbina, Rosjanina, który nie miał wcześniej z Kazachstanem nic wspólnego. Plenum

trwało kilkanaście minut, a o jego wynikach społeczeństwo dowiedziało się z lakonicznego komunikatu. I ludzie się wściekli.

Pierwsze grupki zaczęły się zbierać na placu zaraz po plenum, ale milicja na bieżąco je rozpędzała (plac Republiki nosił wówczas imię Leonida Breżniewa, który zanim doszedł do władzy w Moskwie, był „pierwszym" w Kazachstanie). Pod wieczór demonstrantów było już kilka tysięcy, a następnego dnia kilkanaście. Żądali odwołania Kołbina. Może gdyby był Rosjaninem tutejszym, z Kazachstanu, albo przynajmniej mieszkał dłuższy czas w republice, gdyby ludzie go znali, protesty by nie wybuchły. Oczywiście, lepiej, żeby nowy sekretarz był Kazachem – domagała się tego głównie kazachska młodzież, w większości studenci, którzy ściągnęli na plac z transparentami: „Niech żyją idee Lenina!", „Każdemu narodowi – własny przywódca!", „Jesteśmy za dobrowolnym zbliżeniem narodów, a nie za wymuszonym!". Ale także: „Precz z wielkomocarstwowym szaleństwem!". Pierestrojka rozbudziła już narodowe emocje.

Do dziś nie wiadomo, czy wystąpienia były spontaniczne, czy sprowokowane, a jeśli tak, to przez kogo. Jedna z teorii mówi, że stał za nimi Kunajew, który nie chciał rozstawać się z władzą. Druga, że wręcz przeciwnie – wszystko zorganizowali wrogowie Kunajewa, aby go do końca pogrążyć, oskarżając o rozkwit kazachskiego nacjonalizmu. Trzecia, że wrogowie pokrzyżowali mu plany – wiedząc o szykowanej kunajewowskiej demonstracji, wysłali na plac swoich ludzi, którym dostarczyli transparenty. Nazarbajew, jako jeden z nielicznych, nie bał się wystąpić przed tłumem – wzywał do spokoju i zakończenia protestu – a po latach uczyni z grudniowych wydarzeń symbol walki z totalitaryzmem i punkt zwrotny na drodze do niepodległości. Na ich pamiątkę postawi też w Ałmatach okazały pomnik. Ale wtedy walczył o swoją pozycję.

– Niektórzy przedstawiciele obecnej władzy stanęli wtedy po niewłaściwej stronie – mówił mi w 2015 roku, najoględniej, jak mógł, Siejdachmiet Kuttykadam, redaktor miesięcznika „Mysl′". – Wierzę, że nie wszystkie dokumenty zniszczono. Niektóre przetrwały i kiedyś wypłyną. *Is fecit, cui prodest*: ten uczynił, kto na tym skorzystał. Naród wszystko pamięta.

Władze rzuciły na demonstrantów milicję i inne służby, a także drużyny ludowe skrzyknięte na gorąco po fabrykach. Tam przeważali Rosjanie, którzy bali się jak ognia kazachskiego odrodzenia i nie mieli żadnych skrupułów. Atak

Pobrano ze strony pijafka.pl

nastąpił 18 grudnia po południu. Oficjalnie były dwie ofiary śmiertelne, ale różne źródła szacują liczbę zabitych na dwieście, a nawet tysiąc i więcej. Wiadomo o ludziach wywożonych z miasta, rozbieranych do naga na mrozie i zostawianych na pewną śmierć. Osiem i pół tysiąca osób zatrzymano, tysiąc ukarano aresztem lub grzywną, sto – więzieniem. Jedną skazano na karę śmierci. Kilkuset studentów wyrzucono z uczelni. Wypadki przejdą do kazachskiej historii pod nazwą Żełtoksan. Po kazachsku – Grudzień.

Nazarbajew wziął władzę niecałe trzy lata później, gdy Kołbinowi, który od początku czuł się w Kazachstanie źle i nie rozumiał miejscowych układów, udało się wychodzić w Moskwie inne stanowisko. Nie miał już konkurencji. Potem zostanie jeszcze prezydentem republiki, jak Gorbaczow – prezydentem Związku Radzieckiego (wybrała go miejscowa Rada Najwyższa). Gdyby nie nieudany pucz w sierpniu 1991 roku, który osłabił Gorbaczowa i bardzo wzmocnił przywódcę Rosji Borysa Jelcyna, Nazarbajew objąłby zapewne stanowisko premiera ZSRR. Potem Gorbaczow, próbujący zatrzymać rozpędzoną historię, chciał go mianować rzutem na taśmę swoim zastępcą. Ale w tym czasie Jelcyn oraz przywódcy republik białoruskiej i ukraińskiej siedzieli już w Puszczy Białowieskiej i rozwiązywali Związek. Kojarzonego z Gorbaczowem kazachskiego polityka nie doprosili.

Kazachstan był ostatnią republiką sowiecką, która ogłosiła niepodległość. Stało się to w piątą rocznicę Żełtoksanu, 16 grudnia 1991 roku. Zawsze ostrożny, a czasami wręcz kunktatorski Nazarbajew zwlekał z tym do ostatniej chwili. Ale wcześniej zapewnił sobie dalsze rządy. 1 grudnia wziął udział jako jedyny kandydat w powszechnych wyborach prezydenckich i dostał prawie dziewięćdziesiąt dziewięć procent głosów.

Do samolotu zabrałem całą walizkę różnych wycinków i wydruków. Była tam rozmowa z Nazarbajewem, która ukazała się kilka lat wcześniej w „Gazecie Wyborczej”. Pierwsze pytanie brzmiało: „Kiedy po raz pierwszy przyszło Panu do głowy, że nadchodzi koniec komunizmu i ZSRR?”. Prezydent odpowiedział, że w roku 1980. „Już wtedy?! Dlaczego?” – zdziwił się rozmówca. Pokazałem ten fragment Karpiowi:

– Rzuć okiem. Ciekawe.

„Obchodziliśmy 60-lecie radzieckiego Kazachstanu – wspominał w rozmowie Nazarbajew. – Na to święto przyjechali wszyscy, 500–600 osób

z Moskwy, całe Biuro Polityczne. Breżniew też. Widzieliśmy w telewizji, że jest chory i słaby, ale co innego zobaczyć to na własne oczy.

To był sierpień. Siedzimy z członkami Biura Politycznego, pijemy herbatę, Breżniewa podtrzymują cały czas dwaj młodzi ludzie. Patrzyłem w jego oczy – nie wyrażały absolutnie nic. Nagle szef KGB Andropow wezwał go do telefonu, dzwonił w związku z wydarzeniami w Polsce. Breżniew powiada nam później: »Andropow mówi, że Gierek chce się ze mną spotkać, ale on mi to odradza. Chyba przyszła pora, żeby coś zrobić. Podobno jest tam niezły chłop – Kania«. Zapamiętałem to na całe życie. A więc sam Breżniew nie miał pojęcia, co się dzieje w Polsce. Nie czytał, nie zastanawiał się, nie analizował. Powiedziano mu: Kania. I było jasne, że z Gierkiem koniec.

I jeszcze jedno. Kazachska gościnność jest wszystkim znana. W foyer pałacu-teatru, gdzie odbywała się cała uroczystość, podano obiad, przygotowano naszą ulubioną narodową potrawę – besbarmak. Przemówił robotnik, bohater pracy socjalistycznej: »Za naszą armię i nasz naród!«. No to podnieśli kieliszki i wypili. Ledwie się zaczęło, ledwie usiedliśmy, jak Breżniew wypił kilka kropli, wstał i wyszedł. A tu stół nakryty na kilkaset osób. A jeśli Breżniew wychodzi, to inni też. Chociaż jasne było, że nie wiedział, ani gdzie się znajduje, ani co powinien zrobić. I ten człowiek stał na czele wielkiego mocarstwa!

Znałem sytuację gospodarczą, wiedziałem, że obóz socjalistyczny, zaczynając od Polski, rozsypuje się, widziałem, jakiego mamy przywódcę – i zrozumiałem, że niedługo nastąpi koniec ZSRR”.

– No i jak to widzisz? – zapytał szef, oddając wydruk.

– Trochę naciągane. Gdyby wszystko przewidział, nie trzymałby do końca z Gorbaczowem. W 1980 roku miał czterdziestkę i dopiero zaczynał karierę w Ałmatach. Ale coś mogło być na rzeczy. Ze Wspólnotą Niepodległych Państw i z przeniesieniem stolicy miał nosa. Nieraz myśli o pięć kroków do przodu. I często sprzyja mu szczęście.

– Opowiadaj.

3

Wspólnota Niepodległych Państw powstała 8 grudnia 1991 roku. Powołali ją porozumieniem białowieskim demokratycznie wybrani przywódcy sowieckich

Rosji, Ukrainy i Białorusi. Tym samym pogrzebali ZSRR – choć część znawców prawa międzynarodowego uważa, że formalnie Związek przestanie istnieć dopiero 26 grudnia, kiedy deklarację w tej sprawie przyjmie sowiecka Rada Najwyższa. Borys Jelcyn i jego koledzy nie chcieli zrywać więzów łączących trzy „słowiańskie" republiki, ale odrzucali dyktat Kremla (na Kremlu urzędowały władze ogólnosowieckie; władze republiki rosyjskiej – w moskiewskim Białym Domu). Nie przejmowali się ani Gorbaczowem, który stał się w jednej chwili prezydentem bez państwa, współczesnym Janem bez Ziemi, ani resztą republik związkowych. Te z Azji Centralnej miały wieczny deficyt i wiązały koniec z końcem dzięki dotacjom z centrum. Teraz można było ten balast odrzucić.

Byłem w tamtych dniach w Moskwie, chodziłem po mieście i rozmawiałem z ludźmi. Zaszedłem do Muzeum Rewolucji – właśnie otworzyła się tam wystawa o nieudanym puczu sprzed trzech i pół miesiąca. Przed gmachem stał wrak trolejbusu rozjechanego czołgami w rejonie Nowego Arbatu oraz spychacz użyty do budowy barykady przed Białym Domem (puczyści chcieli go szturmować). Afisz informował, że ekspozycja jest poświęcona walce sił demokratycznych z antykonstytucyjnym przewrotem, owym „trzem dniom, które pokazały zdecydowanie narodu gotowego bronić demokracji, wolności i praworządności". Eksponaty zgromadzono w jednej sali, w pozostałych królowały w najlepsze leniny i dzierżyńskie. Kustosz Anatolij Jegorow na dzień dobry oświadczył, że bliżej mu do nich niż do demokratów, którzy rozwalili wielkie państwo, sprowokowali konflikty, napytali biedy. Muzealnik gładko mieszał komunizm z wielkoruskim szowinizmem i nie przebierał w słowach, przecież jest *głasnost*, czyli jawność, każdy głosi, co chce. Powiedział mi, że czuje się patriotą, ale prawdziwym, takim, który jak mówi „Rosja", to myśli też o Pribałtyce – Litwie, Łotwie i Estonii – i o Azji Środkowej, „bo to tysiąc lat naszej historii". Wystawę przygotował wbrew sobie, Jelcyna miał za zdrajcę. Fakt, to właśnie od puczu i odporu, jaki puczystom dał Jelcyn, zaczęły się równia pochyła i ostatnia faza upadku Sojuza, co mnie tylko cieszyło, a muzealnika napawało przerażeniem. Los sowieckiego imperium dokonał się co prawda w samej Moskwie, ale ostatnie akordy wybrzmiały na peryferiach – w Puszczy Białowieskiej, w Aszchabadzie i Ałmatach.

Kraje bałtyckie były gotowe na niepodległość, utraciły ją pół wieku wcześniej i żyły jeszcze pokolenia, które pamiętały dawniejsze czasy. Kraje Kaukazu,

Gruzja, Armenia i Azerbejdżan, też miały w XX wieku epizod wolności (dwa–trzy lata po roku 1918) i alternatywne wobec komunistów elity. Mołdawia ciążyła w stronę Rumunii, choć konflikt w Naddniestrzu, które nie chciało zrywać z Moskwą, wiązał jej władzom ręce. Za to w republikach azjatyckich – Kazachstanie, Kirgizji, Tadżykistanie, Turkmenii i Uzbekistanie – zapanowała panika: jak żyć bez wytycznych z centrali, czym załatać dziury w budżetach? Na spotkaniu w Aszchabadzie pięciu azjatyckich przywódców zgłosiło akces do „słowiańskiej" WNP. I może na tym by się skończyło, gdyby spraw nie wziął w swoje ręce Nazarbajew, który kuł żelazo póki gorące i zaprosił do siebie wszystkich. Przekonywał, że nie można rozwieść się z dnia na dzień, myśleć tylko o sobie. Konieczny jest okres przejściowy. W ten sposób 21 grudnia 1991 roku powstała w Ałmatach rozszerzona Wspólnota Niepodległych Państw z udziałem trzech republik „słowiańskich", pięciu azjatyckich, Mołdawii oraz Armenii i Azerbejdżanu. Gruzja dołączy później, Bałtowie odrzucali wszystko, co kojarzyło się z Sowietami.

Nowe państwa Azji Centralnej, które zaczynały przygodę z niepodległością od zera, zyskały czas, aby okrzepnąć, zbudować struktury, stworzyć te wszystkie ministerstwa, ambasady, siły zbrojne, a potem wprowadzić własne waluty, programy szkolne i polityki historyczne, aby dowieść całemu światu, że miejsce na mapie im się po prostu należy. Inna rzecz, jak ze swojej szansy skorzystały. W Tadżykistanie wybuchła wojna domowa, która potrwa do 1997 roku. Kirgistan, rozdzielony górami na Północ i Południe, nie zdołał się posklejać i funkcjonował w stanie wiecznej anarchii, co miało tę dobrą stronę, że nie było tam mowy o żadnej dyktaturze. Turkmenistan poszedł w izolację i skrajny zamordyzm. Uzbekistan – w ostry autorytaryzm.

Nazarbajew bał się Rosji. Dochodziły stamtąd głosy, że północ kraju należy zaanektować, bo „tutaj Kazachów nigdy nie było", a do 1936 roku w ogóle cały Kazachstan był republiką autonomiczną w składzie republiki rosyjskiej (w składzie ZSRR). Pomysł polegał na ucieczce w integrację, na oplątaniu regionu i Rosji tak gęstą siecią powiązań i zależności, żeby nikomu nie przyszła do głowy zmiana granic. Wkrótce prezydent rzuci ideę Unii Eurazjatyckiej, a w 2000 roku narodzi się w Astanie Eurazjatycka Wspólnota Gospodarcza. Ale gdy Putin sięgnie po te formaty, aby zbudować związek państw z ponadnarodowymi organami i z Moskwą jako liderem, Nazarbajew powie „stop". Wpływy rosyjskie będzie równoważył chińskimi, doda do tego zachodnie inwestycje i nadaktywność w organizacjach międzynarodowych.

Nazwą go „prezydentem stu narodów” i trudno powiedzieć, ile w tym lizusostwa, ile ironii, a ile – trzeźwej oceny. Kazachstan był najbardziej wieloetniczną, najbardziej pstrą narodowościowo republiką związkową rozpadającego się ZSRR. Jedyną, w której naród tytularny nie miał bezwzględnej większości. Przeniesienie stolicy z przytulnych Ałmatów do Astany, gdzie latem skwar i susza, a zimą zaspy i buran, trudno uznać za kaprys orientalnego kacyka siedzącego na petrodolarach. Choć pretekstem było zagrożenie sejsmiczne na południu, Nazarbajewowi chodziło o podciągnięcie państwowości bliżej Rosji, gdzie Kazachów żyło rzeczywiście niewielu. Wzmacniając kazachskość – ściągał do kraju rodaków z Chin, Mongolii i całego regionu – starał się nie zrażać „swoich” Rosjan, choć ci i tak narzekali, że do sfery publicznej wkroczył język kazachski (w konstytucji zapisano, że w urzędach można używać języka rosyjskiego na równi z państwowym – ale dotyczyło to petentów, urzędnicy musieli w praktyce znać oba). Hamował kazachski nacjonalizm.

Uniknął konfliktów, które wydawały się nieuchronne – w latach dziewięćdziesiątych prasa ciągle pisała o drakach z udziałem Kazachów i Rosjan, o Kozakach żądających kazachskich ziem, o wybuchających tu i tam niepokojach. Ze słabości uczynił siłę, promując Kazachstan jako państwo wielokulturowe, tolerancyjne, otwarte. Mniejszości zaczęto nazywać w żartach czwartym kazachskim żuzem.

– Jako obywatel czuję się Kazachstańczykiem. Używam języka rosyjskiego, ale należę do literatury kazachstańskiej, a nie rosyjskiej. Z rosyjskimi autorami nie mam wspólnych tematów – powiedział mi podczas któregoś pobytu Jurij Sieriebrianski, ałmacki pisarz o polskich korzeniach.

Nazarbajew rządził jak chan – nie, że był taki okrutny, tylko dlatego, że podobnie rozgrywał wpływowe grupy, by zachować między nimi równowagę. Tyle że teraz nie były to już rody i rodziny, ale elity partyjne, regionalne i żuzowe, metalurdzy, nafciarze i górnicy. Najmłodszą córkę, Aliję, wydał za mąż za syna prezydenta Kirgistanu. Małżeństwo zapowiadało unię obydwu państw, ale rozpadło się po trzech latach, Azja Centralna nie zaistniała jako region polityczny. Niczym ojciec łajał lokalnych bonzów: „Zamiast napychać sobie brzuchy, pouczylibyście się języków obcych albo komputera” – sarkał na spotkaniach w terenie (komputery nie były jeszcze wtedy powszechne).

Rzecz jasna, Kazachstan nie był wzorcową demokracją. Gdy Nazarbajewowi kończyła się pierwsza kadencja, urządził referendum w sprawie jej przedłużenia do 2000 roku. Dostał, co chciał – i postanowił częściej stosować ten chwyt. Znów, nie doczekawszy konstytucyjnego terminu, ogłosił przedterminowe wybory na styczeń 1999 roku i, oczywiście, ponownie zwyciężył. Zaczął wtedy drugą kadencję, która formalnie liczyła się jako pierwsza, gdyż po drodze, w kolejnym referendum, przyjęto nową konstytucję. Według obowiązującej wykładni zerowało to dotychczasowe elekcje. W przekonaniu Kazachów alternatywą dla autorytaryzmu był jednak w najlepszym razie chaos, a w najgorszym – wojna domowa i upadek państwa. Poza tym na tle regionu sytuacja i tak wyglądała całkiem dobrze. Istniały wolne media, prawa człowieka nie były ostentacyjnie łamane, Kazachom zaczęło się żyć dostatniej. A poza krytyką był tylko Nazarbajew.

We wrześniu 2001 roku, na kilka miesięcy przed naszą podróżą, kraj odwiedził Jan Paweł II. Na spotkaniu z młodzieżą akademicką nazwał Kazachstan „ziemią spotkania, wymiany, nowości; ziemią, która rozbudza zainteresowanie nowymi odkryciami i skłania do traktowania różnic nie jako zagrożenia, lecz jako wzbogacenie”. Krzysztofa Renika, obsługującego pielgrzymkę dla Polskiego Radia, poruszyła scena pożegnania. Opisze ją dwie dekady później w swojej książce: „Odbyła się jego oficjalna część, odegrano hymny, ostatni uścisk dłoni i wymiana kilku słów z prezydentem Kazachstanu Nursułtanem Nazarbajewem. Jan Paweł II rusza po czerwonym dywanie w stronę samolotu. Chodził już wówczas z wyraźnym trudem. Do Armenii, drugiego celu ówczesnej pielgrzymki, odlatywał boeingiem 767. To duży samolot. Do jego wnętrza musiał wejść po długich i dość stromych schodach. Wyraźnie miał z tym problem. Szedł powoli, pokonując z wysiłkiem kolejne stopnie. Zatrzymywał się co chwilę. I wtedy – nie bacząc na protokół – ruszył w kierunku samolotu szybkim krokiem Nazarbajew. Wziął papieża pod rękę. Powoli i długo szli razem”.

A w 2009 roku ukaże się książka innego byłego zięcia Nazarbajewa, Rachata Alijewa, *Kriostnyj tiest'* [Teść chrzestny]. Będzie jeszcze o niej mowa. Autor utrzymywał – rzecz nie do zweryfikowania – że wizyta kosztowała sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Za tę sumę watykańscy kurialiści mieli od ręki wpisać Kazachstan w wypełniony na wiele miesięcy grafik papieskich pielgrzymek. Wszystko załatwił ponoć zaufany człowiek prezydenta. Nazarbajew zabiegał o przyjazd Jana Pawła II ze względów prestiżowych, ale

nie mógł przewidzieć, że do wizyty dojdzie jedenaście dni po zamachach terrorystycznych na USA. Akcje Kazachstanu, kraju kulturowo muzułmańskiego, który włączył się w takiej chwili w pokojowy dialog cywilizacji, poszybowały w górę.

4

W Moskwie uratowała nas zapobiegliwość szefa. Gdy późnym wieczorem zjawiliśmy się na Domodiedowie, usłyszeliśmy, że nasze bilety są nieważne. Okazało się, że współpracujące z Ośrodkiem biuro podróży nie miało umowy agencyjnej z rosyjskimi liniami Transaero, które latały do Astany (z Warszawy przylecieliśmy LOT-em). Prostowanie tej sprawy zajmie naszej księgowości wiele miesięcy i będzie biurokratyczną drogą przez mękę.

Miejsca na szczęście były, utrzymano nasze rezerwacje, ale musieliśmy kupić nowe bilety. Zaliczka wystarczyła z nawiązką, choć w lotniskowym kantorze, gdzie wymieniałem dolary na ruble, mieli zbójecki kurs. Kart płatniczych jeszcze prawie nikt nie używał. Marku, chylę czoła! Odprawiliśmy się jako ostatni, poganiani przez obsługę. Do samolotu wiózł nas pusty autobus. Jeszcze dobrze nie usiedliśmy, gdy zaczęło się kołowanie.

– To przypomnij na dobranoc, o co chodzi z tą kleptokracją – ziewnął dyrektor. Byliśmy już w powietrzu i czekaliśmy na kolację. W Aerofłocie zawsze dawali krewetki, ale Transaero też ponoć dobrze karmiło. Leciałem z nimi pierwszy raz. – Potem muszę się zdrzemnąć.

– *Kleptokratija. Kazachgiejt. Nowoje rassledowanije* [Kleptokracja. Kazachgate. Nowe dochodzenie] – wyrecytowałem i sięgnąłem do teczki. – Skserowałem wstęp do tej książki.

Rzecz ukazała się rok wcześniej po rosyjsku, było też wydanie angielskie i chyba francuskie. Autorzy, moskiewscy dziennikarze śledczy, którzy mieli już na koncie podobne publikacje, nazwali panujący w Kazachstanie ustrój polityczny „dyktaturą klanową”, a ekonomiczny – „klanową oligarchią”. Nie mając syna, którego mógłby wychowywać na następcę, Nazarbajew inwestował w zięciów i sprawdzał ich na coraz to wyższych stanowiskach, przyglądał się bratankom, chuchał na wnuki. Oczywiście, nie zapomniał o swoich córkach, wszystkie trzy wejdą do polityki i wielkiego biznesu.

Twórcą rodzinnego imperium miał być Sydzyk Abiszew, wuj żony prezydenta. Przy resorcie współpracy gospodarczej z zagranicą, którym kierował, założył sieć firm eksportowych zajmujących się handlem poszczególnymi bogactwami: ropą, gazem, rudami metali kolorowych, a także zbożem, bawełną, wełną, czarnym kawiorem. Na ich czele postawił zaufanych ludzi. W Londynie, Wiedniu, Luksemburgu i Frankfurcie powstały kazachstańskie domy handlowe. Dewizowe zyski trafiały na rachunki na Zachodzie. Kiedy pod koniec 1993 roku Kazachstan opuścił strefę rublową i wprowadził narodową walutę, tenge, system zdążył już okrzepnąć. We wstępie do *Kleptokratii* czytamy: „Setki milionów dolarów na koncie Nazarbajewa, miliardy wydane przez spółki, które prezydent kontroluje, dziesiątki miliardów petrodolarów, które nigdy nie trafiły do kraju: to wszystko wiadomo od dawna. […] Prezydent Nazarbajew, członkowie jego rodziny i otoczenie są bohaterami permanentnego skandalu finansowego na grube miliardy dolarów. Tymi środkami […] obracają zachodnie banki. Środki są wydawane na Zachodzie – dlatego znajdują się w centrum uwagi społeczności zachodniej”.

Podobnych publikacji było więcej. Wynikało z nich, że rodzina Nazarbajewa trzyma w garści cały kraj i kontroluje wszystko, co przynosi zysk. Trzy czwarte kazachstańskiej gospodarki miało należeć do dwustu oligarchów, z których większość była rodzinnie związana z prezydentem. Niemający takich związków „biznesmeni niezależni” wchodzili z Rodziną w różne układy. W Kazachstanie oburzało to tylko ludzi z trzeciego sektora i starych opozycjonistów, którzy nie chcieli emigrować – niepisana umowa społeczna zapewniała wszystkim dochody pozwalające się utrzymać. Wystarczyło tylko nie mieszać się do polityki. Podobnie działało to wobec Zachodu. Amerykański dziennikarz i współpracownik autorów *Kleptokratii* rozmawiał z kazachstańskimi dyplomatami, którzy tłumaczyli, że nawet jeśli władze ich kraju naprawdę przywłaszczają sobie majątki, jest to wewnętrzna sprawa Kazachstanu. I rzeczywiście: mimo że dla Nazarbajewa pracowały rzesze zachodnich konsultantów i doradców, którzy pomagali mu bezpiecznie inwestować na Zachodzie, przed sądem stawali nieliczni. Jednym z nich był James Griffen, oskarżony o wręczenie osiemdziesięciu milionów dolarów łapówki za kontrakty dla zachodnich firm naftowych. USA porozumiały się jednak z Kazachstanem i Griffen zapłacił ostatecznie mandat w wysokości dwudziestu pięciu dolarów.

Kilka lat później ukaże się wspomniana już książka *Kriostnyj tiest'*, poświęcona panującym w Rodzinie stosunkom i opisująca najbliższe otoczenie

Nazarbajewa. Autor, Rachat Alijew, znał te sprawy od podszewki jako mąż najstarszej córki prezydenta, Darigi – pobrali się, gdy teść nie był jeszcze nawet premierem. Książkę wydał jednak już po rozwodzie (ponoć przeprowadzono go bez jego udziału i wiedzy), skazany zaocznie przez kazachstańskie sądy za najcięższe przestępstwa. W konflikt z teściem miał popaść, gdy ogłosił, że zamierza startować w kolejnych wyborach prezydenckich. Był to błąd większy niż zbrodnia. Aby ratować skórę, ukrył się w Austrii, gdzie kiedyś był ambasadorem, i właśnie palił za sobą ostatnie mosty. Chciał jak najmocniej uderzyć Nazarbajewa, dlatego książka nie mogła być obiektywna. Nie dowiemy się, czy i gdzie Alijew mija się z prawdą. Ale był świadkiem, który ręczył głową. I sam przyznał, że złamał śluby milczenia. W lutym 2015 roku strażnicy znajdą go powieszonego w celi wiedeńskiego aresztu, gdzie czekał na kolejny proces o ekstradycję – władze w Astanie ścigały go pod nowymi zarzutami. Jak zawsze w takich wypadkach, nie wszystkich przekona oficjalna wersja z samobójstwem. Choć będąc lekarzem, Alijew na pewno wiedział, jak skutecznie odebrać sobie życie.

Do najściślejszego kręgu władzy pierwszy zięć Kazachstanu miał zostać przyjęty latem 1994 roku. Wprowadzającym miał być Bułat Utiemuratow, zwany „portmonetką Nazarbajewa", który zdobywał szlify jako wiceminister u Sydzyka Abiszewa. Obrzęd przypominał inicjację w tajnym stowarzyszeniu. Zgodnie z relacją zawartą w książce Alijew i Utiemuratow zostali przywiezieni do rezydencji Nazarbajewa przez uzbrojonych i zamaskowanych oficerów prezydenckiej ochrony (w razie nieprzewidzianych okoliczności mieli rozkaz zabicia aspiranta). Alijew, ubrany w tradycyjny kazachski kaftan, wszedł do gabinetu prezydenta, padł na kolana, podpełzł na czworakach do jego fotela i pocałował pierścień na środkowym palcu wyciągniętej ku sobie dłoni. Następnie wygłosił przysięgę, której tekst dał mu wcześniej do nauczenia się Utiemuratow. Cały czas patrząc w podłogę, Alijew poczekał, aż teść dotknie jego głowy, po czym wycofał się na czworakach i wstał dopiero przy drzwiach. Następnego dnia Utiemuratow urządził kolację, na którą przybył Nazarbajew. Zebrani witali go, całując w rękę i przyklękając na jedno kolano. Prezydent wziął zięcia na stronę i powiedział, czego od niego oczekuje.

W książce *Kriostnyj tiest'* znalazło się wiele historii i anegdot, których nie da się sprawdzić ani potwierdzić. Mówią o fascynacji Nazarbajewa orientalną duchowością i lewitacją – w Astanie gościli ponoć tybetańscy mnisi i hinduscy guru – a także o jego legendarnej potencji (stugębna plotka przypisuje mu

legion kochanek). W Kazachstanie książka została zakazana, a strony internetowe, na których była dostępna, zablokowano. Chociaż przedstawiciele władz utrzymywali, że to stek bzdur i konfabulacje, to prokuratura oskarżyła Alijewa o zniesławienie prezydenta, naruszenie tajemnicy korespondencji (opublikował zapisy rozmów telefonicznych) i ujawnienie tajemnic państwowych. Alijew sam nie był jednak święty i nie cieszył się w Kazachstanie najlepszą opinią. Jeżeli chciał zjednoczyć opozycję i pod swoim przewodem poderwać naród do powstania, to mocno się przeliczył.

Najlepszymi fragmentami książki – jeśli odrzucić wątki sensacyjne – były te o mechanizmach władzy. Alijew pisał o Nazarbajewie z nieskrywanym podziwem, próbując samemu dla siebie dociec, w jaki sposób komunistycznemu aparatczykowi z prowincji udało się wedrzeć do światowej polityki. Oraz zdobyć miłość narodu. Były zięć doszedł do wniosku, że prezydent „był pająkiem pająków, który w sensie dosłownym trzymał w swoich chwytliwych rękach wszystkie nici. W tym systemie każdy pilnował każdego i o wszystkim informował Chański Namiot. On wiedział wszystko o wszystkich. O nim nikt nie wiedział nic. To trzeba było umieć. Dalece nie każdy ma taki dar".

Oprócz najważniejszego pająka były zatem pająki pomniejsze, które na niższych szczeblach powtarzały zachowania tamtego. Do podobnych wniosków doszli autorzy *Kleptokratii*: „Prezydent pozwala swoim przybocznym kraść i brać łapówki, pod warunkiem że dochowują mu wierności i płacą daninę. Z kolei przyboczni delegują to prawo własnym wasalom na tych samych zasadach". W każdym urzędzie, przedsiębiorstwie czy uczelni w kraju siedział więc nazarbajew, który na swoim terenie mógł prawie wszystko.

– System schodził ze wszystkim w dół – opowiadał mi znajomy Polak, nazwijmy go Ryszardem, który przez kilka lat kierował na kontrakcie dużą kazachstańską firmą. – Zaczęło się już na lotnisku. Wyjechali po mnie mercedesem klasy S, w którym na zakrętach wysuwały się poduszki, żeby pasażer miał miękko. To miało być moje auto. Nie chciałem się zgodzić, bo firmę trzeba było wyprowadzić na prostą, wyniki nie były najlepsze, tego merca zresztą pożyczyli. W końcu stanęło na toyocie camry, prestiż musi być. W naszym biurowcu jedno piętro zajmował zarząd. Pracownicy nie mogli tam wchodzić, żeby nie przeszkadzać. Natychmiast to zmieniłem. Na korytarzu przed moim gabinetem zaaranżowałem strefę relaksu, można tam było chwilę posiedzieć i napić się kawy. Patrzyli na mnie dziwnie, ale jakoś to kupili,

a potem okazało się, że skończyły się problemy z obiegiem informacji. Na zebraniach miałem zwyczaj siadania gdziekolwiek, niekoniecznie za stołem. Wyglądało to jednak groteskowo: wchodzę, zajmuję pierwsze wolne krzesło, a wszyscy zrywają się i w sekundę aranżują salę tak, żeby moje miejsce stało się honorowym. Wierzę w mądrość zbiorową i czasem przy trudniejszych decyzjach urządzałem głosowanie. Zdarzało się, że mnie przegłosowywano, bo przezornie nie odzywałem się jako pierwszy. Moi współpracownicy czuli się z tym nieswojo. Rzecz jasna nie brałem łapówek za przyjęcie do pracy czy awans, a było to powszechne.

Ryszard miał „patrona", który z ramienia Rodziny nadzorował jego firmę (i wiele innych też, w Kazachstanie nikogo to nie dziwiło). Był nim jeden z najbliższych ludzi prezydenta. U siebie Ryszard miał wolną rękę, ale wobec patrona jego pozycja była taka sama jak menedżerów Kazachów. No dobrze, jednak wyższa. Nie musiał całować go po nogach, o czym się od czasu do czasu słyszało. Zawsze mógł też wrócić do Polski.

– Dzwoni jego asystent – wspominał Ryszard. – Mówi, że tego a tego dnia będę mógł pogadać z patronem: „Najlepiej wpadnij z rana". Pytam, o której mnie przyjmie. „Pewnie koło czternastej". To po co mam być tak wcześnie? „Bo nigdy nic nie wiadomo". Wszyscy, którzy danego dnia mieli się z nim spotkać, czekali w jednej salce. Proszą najpierw jednego, potem drugiego. Oczywiście była giełda, w jakim nastroju jest dziś szef, bo od tego zależało powodzenie sprawy, z którą się przyszło. Spędzało się tam cały dzień.

Czasem dzwonili do Ryszarda z władz miasta, aby przysłał z pięćset osób na stadion, na wiec poparcia dla prezydenta. Odmawiał, na czym cierpiały firmy, które miały słabszych patronów – kazano im przysyłać jeszcze więcej ludzi. Ale bezpieczniaka na etacie, który meldował, co się dzieje w przedsiębiorstwie, i nawet się z tym nie krył, musiał tolerować. Nie wybronił też szefa działu, który postanowił sam z siebie kandydować do parlamentu.

– Uprzedzał, że do mnie przyjdą, i tak było – opowiadał Ryszard. – Najpierw służby nachodziły tego człowieka i namawiały, żeby dał sobie spokój, a potem i ja miałem odwiedziny. Nie zwolniłem go, chociaż mi to sugerowano, ale facet w końcu się załamał i sam odszedł. Wybory to nawet nie była farsa, tylko bardzo sprawnie zagrana sztuka, w której każdy odgrywał swoją rolę. Z góry było wiadomo, ile głosów dostanie partia rządząca, ile koncesjonowana opozycja i jaka będzie frekwencja.

Doświadczenia Ryszarda nie były wyjątkowe. Grupa Polaków pracujących w Kazachstanie – menedżerów, profesorów, pilotów – spotykała się co jakiś czas w Ałmatach i na tych spotkaniach można było usłyszeć wiele podobnych historii. Anonimowo. Raz tam trafiłem i ktoś mi opowiedział o dużej polskiej firmie, którą chcieli przejąć lokalni silni ludzie. Prawie im się udało, ale właściciel zdołał dotrzeć do prezydenta i się poskarżyć. I Nazarbajew wziął tę firmę pod swoje skrzydła. „Jeśli ktoś jeszcze przyjdzie, wyślij go do mnie" – przykazał. To wystarczyło. W zamian za przysługę Polak miał zainwestować w Kazachstanie określoną sumę pieniędzy. Opłaciło się, firma działa na tamtym rynku do dziś.

– Wiadomo, że do pewnego poziomu kraj może się rozwijać wbrew czy na przekór korupcji i złym instytucjom. – Ryszard latami pracował za granicą i miał skalę porównawczą. – Potem, jeśli się tego nie zwalczy, zaczyna się patologia, jak w Chinach, gdzie rozwój społeczny nie nadąża za gospodarczym. Dodatkowym czynnikiem ryzyka jest ropa naftowa. Wśród państw, które mają ropę, tylko Norwegia jest stabilną demokracją. Myślę, że system w Kazachstanie zbliża się do kresu swojej wyporności.

Tak mówił Ryszard późnym latem 2022 roku. Ponad pół roku po wydarzeniach, które odsuną Nazarbajewa od wpływu na państwo. W tym czasie „osobisty" majątek prezydenta szacowano nawet na sto miliardów dolarów. Tylko w Wielkiej Brytanii kazachscy oligarchowie, w ogromnej większości związani z prezydentem, kupili nieruchomości za co najmniej pół miliarda funtów. Warty podobno sto czterdzieści milionów dom przy 221B Baker Street w Londynie – pod tym adresem mieszkał detektyw Sherlock Holmes – nabyli Dariga Nazarbajewa i jej syn Nurali Alijew. Za sto milionów euro Nazarbajewowie weszli w posiadanie zamku Seelach w niemieckim Baden-Baden oraz kilku innych obiektów w okolicy. Były to sumy i transakcje, które nie śniły się autorom wydanej ponad dwie dekady wcześniej książki *Kleptokratija. Kazachgiejt. Nowoje rassledowanije*.

5

W Astanie wylądowaliśmy o świcie. Był poniedziałek, 20 maja 2002 roku.

Odebrał nas Jerdien Chasienow, chłopak z biura prasowego szefa państwa. Zawiózł Marka i mnie do hotelu, gdzie się chwilę przespaliśmy

i odświeżyliśmy, a potem zabrał na spacer po mieście. Pokazał powstający dopiero bulwar nad Iszymem i okolice pałacu prezydenckiego, który znajdował się wtedy w dawnym centrum miasta. Nowa rezydencja, Ak Orda (Biała Orda), dopiero się budowała. Dzieliłem z Markiem pewną przypadłość – i jemu, i mnie ciągle rozwiązywały się buty. Zapamiętałem z tamtego spaceru, jak jeden czeka na drugiego, bo sznurówki nigdy nie buntowały się nam w tym samym czasie.

Wywiad zaczął się około szesnastej. Wcześniej obejrzeliśmy salę obrad z okrągłym stołem na dwadzieścia kilka miejsc i wystawę prezentów od ważnych gości ze świata. Po wyprowadzce Nazarbajewa pozostaną na miejscu jako eksponaty w Muzeum Pierwszego Prezydenta, które otworzy się w pałacu. Od jakiegoś czasu mówiło się o Pierwszym Prezydencie jako odrębnej instytucji, bez wymieniania nazwiska. Parlament przyjął w tej sprawie ustawę.

Najbardziej interesowała nas kazachstańska transformacja, budowanie nowego państwa z wieloetnicznym społeczeństwem. Ale pytaliśmy też o politykę zagraniczną, relacje z Rosją, Chinami i Zachodem oraz bezpieczeństwo w regionie po zamachach 11 września. Nie zabrakło też kwestii energetycznych. Nazarbajew odpowiadał zwięźle i dość krótko, chociaż unikał ogólników. Rozgadał się o eurazjatyckiej integracji, to był jego konik. Gdzie tylko się dało, nawiązywał do Polski. Był dobrze przygotowany.

Zapamiętałem, co mówił o sytuacji etnicznej:

– Pierwsze słowa naszej konstytucji brzmią: „My, naród Kazachstanu”. Inaczej niż inne byłe republiki nie przyjęliśmy zapisu, że państwo powołuje i tworzy naród tytularny, Kazachowie. Wiedziałem, że bez jedności i zgody nie będzie rozwoju. Zwłaszcza Rosjanie, którzy wszędzie czuli się najważniejsi, mogli źle znosić nową sytuację. Językiem państwowym jest kazachski, ale rosyjski pozostał językiem oficjalnym. Używamy go na równi z państwowym. Powstało trzydzieści centrów kulturalnych poszczególnych mniejszości. Stworzyliśmy Zgromadzenie Narodów Kazachstanu, któremu przewodniczę. Lekcje w kazachstańskich szkołach są prowadzone w osiemnastu językach, media ukazują się w siedmiu, teatry grają w sześciu. Oczywiście kazachstańscy Rosjanie wyjeżdżają do Rosji, Niemcy do Niemiec, a Żydzi do Izraela. Nie możemy nikomu zabronić żyć tam, gdzie chce.

Po wywiadzie z prezydentem Nursułtanem Nazarbajewem. Pierwszy z lewej – Marek Karp. Z prawej – autor. Astana, 2002

I o początkach Wspólnoty Niepodległych Państw:

– Kilka dni po tym, jak przywódcy Rosji, Ukrainy i Białorusi powołali WNP, my, prezydenci naszego regionu, zebraliśmy się w Aszchabadzie. Koledzy mówili o utworzeniu Konfederacji Centralnoazjatyckiej, ja byłem przeciwny. Gdybyśmy ją wtedy zawiązali, doszłoby pewnie do konfrontacji Słowian z nie-Słowianami i chrześcijan z muzułmanami, co mogło skończyć się wojną, rozlewem krwi. Dlatego 21 grudnia zaprosiłem wszystkich poradzieckich liderów do Ałmatów i tam kolejne państwa zgłosiły akces do WNP. Wiedziałem, że jest to organizacja amorficzna, może przejściowa. Wielu ją dziś krytykuje, ale w tamtym czasie odegrała bardzo dużą rolę.

O sąsiedztwie z Rosją:

– Wielkie państwo zawsze daje odczuć, że jest wielkie. Ale co robić. Od historii i od geografii nie ma ucieczki.

I o miejscu Stanów Zjednoczonych w Azji Centralnej (na pytanie, czy po 11 września USA stały się uczestnikiem regionalnego systemu bezpieczeństwa):

– Waszyngton ogłosił, że region kaspijski wchodzi w strefę jego strategicznych interesów. To ważna deklaracja, ale wszystko zależy od tego, jak długo Amerykanie tutaj zostaną.

Najmocniej wryło mi się jednak w pamięć to, co mówił o ropociągach. Powiedział, że chce, aby w przyszłości biegły one z Kazachstanu we wszystkich kierunkach, nie tylko, jak do tej pory, przez Rosję. Te trzeba oczywiście utrzymać, wszak Rosja to najbliższy sojusznik i przyjaciel! Popierał jednak również projekt Baku–Tbilisi–Ceyhan (opracowany na Zachodzie w celu ominięcia Rosji i ostro przez Moskwę krytykowany), nie wykluczał ropociągu do Iranu (trasa nie do zaakceptowania przez Amerykanów) i myślał o ropociągu do Chin. Kraje importujące ropę i gaz dążą do dywersyfikacji kierunków dostaw, czyli do ich zróżnicowania, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo energetyczne: nawet jak jeden szlak się zamknie, pozostaną inne. On myślał o dywersyfikacji odbiorców. Nasza rozmowa trwała trzy kwadranse.

– Oświecony autokrata – podsumował Marek. Wyszliśmy już z pałacu i czekaliśmy na Jerdiena, który jeszcze coś załatwiał. – Zauważyłeś, jak się pilnował, by mówić „my”, „Kazachstan” czy „Astana”, ale ciągle wyrywało mu się „ja”, „mnie”, „mną”?

– Wie, czego chce i daje to odczuć – odpowiedziałem. – Gdy pytaliśmy o perspektywę dostaw ropy do Polski, rzucił, że przed nami przyjmował prezesa francuskiego koncernu TotalFinaElf, żebyśmy znali swoje miejsce. Jest twardy i wysoko licytuje.

Zjawił się Jerdien i wziął nas na obiad. Lokal przypominał bar mleczny skrzyżowany z bufetem zakładowym. W środku sami miejscowi. Sądząc po syntetycznych garniturach i tanich krawatach – urzędniczy proletariat z pobliskich ministerstw. Przewodnik musiał nas polubić, bo gości nie zabiera się w takie miejsca. A może obiadu nie było w planach i Jerdien działał już na własną rękę? Chłopak był antytezą sztywniackiego postsowieckiego biurokraty.

– Powinien daleko zajść – rzucił Karp, gdy Jerdien na chwilę nas zostawił. – Jest inteligentny, wykształcony, otwarty na świat. Do tego patriota, państwowiec. Szczerze się cieszył z nowych domów, które nam pokazywał. Ten kraj ma potencjał. Mam nadzieję, że Nazarbajew tego nie spieprzy.

Pobrano ze strony pijafka.pl

6

Tymczasem w grudniu 2005 roku prezydent zostanie wybrany na swoją trzecią (formalnie drugą) kadencję, a w kwietniu 2011 roku – na czwartą. Umożliwiły to nowe zmiany w prawie. Parlament zniósł dla Pierwszego Prezydenta ograniczenie liczby kadencji do dwóch, a następnie przyjął ustawę nadającą Nazarbajewowi tytuł Ełbasego, czyli Przywódcy Narodu. Zapewniała mu udział we władzy nawet po ustąpieniu – rząd musiał nadal konsultować z nim różne kwestie polityki państwa. Dostał też immunitet, gwarantujący nietykalność majątku jego i najbliższej rodziny z zachowaniem tajemnicy bankowej. Wiosną 2015 roku Nazarbajew wygra po raz piąty, otrzymując 97,75 procent głosów. Koleżanka z Ośrodka Studiów Wschodnich zauważyła, że prezydent jest dla Kazachstanu jednocześnie atutem i obciążeniem. Opierał się na nim cały system, on był jego zwornikiem.

Starzejący się przywódca rządził coraz silniejszą ręką, ale mówienie o orientalnej despotii, zwłaszcza w sąsiedztwie naprawdę opresyjnych reżimów, ciągle wydawało się przesadą. Największą skazą na jego wizerunku był Żangaözen (Żanaozien). Wiosną 2011 roku w tym przemysłowym mieście położonym na zachodzie kraju i żyjącym z ropy i gazu wybuchł strajk. Żądano podwyżek. Jak na Kazachstan miejscowi zarabiali nieźle, ceny były tam jednak wyższe niż gdzie indziej – są to odległe pustkowia, wszystko trzeba wieźć setki kilometrów. A pracownicy zagraniczni dostawali więcej, co kłuło w oczy. Dochodziły do tego rozbudzone w czasie prosperity oczekiwania, konflikty między Kazachami miejscowymi a repatriantami oraz kwestie społeczne, w tym warunki pracy. Lokalne władze nie wiedziały, jak poradzić sobie z protestem, a centralne albo go zlekceważyły, albo nie miały informacji o skali gniewu – i tak się to tliło. Gdy 16 grudnia, w Dniu Niepodległości i w ćwierćwiecze ałmackiego Żełtoksanu, doszło do zamieszek, Astana zareagowała po sowiecku, rzucając na miasto zmasowane siły MSW. Według oficjalnych komunikatów zginęło kilkanaście osób, ale liczba ofiar mogła sięgnąć stu. Świat potępił Astanę za łamanie praw człowieka.

Po Żangaözenie władze dmuchały na zimne i inni protestujący szybko dostali, co chcieli. A Nazarbajew może po raz pierwszy zdał sobie sprawę z niewydolności systemu. Od tamtej pory starał się go reformować, ale tak, żeby zachować zasadnicze zręby. Był jak Gorbaczow, który rozpoczął pierestrojkę tylko po to, aby uratować Sojuz i utrzymać się u władzy. Mimo obciążeń,

z których część była natury mentalnej, bo trudno zburzyć to, co się przez lata budowało, a część wynikała z troski o stan posiadania, wzmacniał jednak państwo, starając się uodpornić je na wstrząsy wewnętrzne i zewnętrzne. Wzmacniał także kazachski żywioł, szeroko rozumianą „kazachskość". Robił to po swojemu, miękko i niekonfrontacyjnie. Ale konsekwentnie. Dwa kroki do przodu, krok do tyłu. Potem znów krok do przodu i pauza, aby sprawdzić reakcję. Po latach przymiarek zarządził stopniowe przejście języka kazachskiego z alfabetu cyrylickiego na łaciński (proces ma się zakończyć w 2025 roku), co Moskwa uznała za zdradę i splunięcie w twarz. Miała ją uspokoić koncepcja „trójjęzyczności", w myśl której obywatele powinni znać w przyszłości kazachski, rosyjski i angielski. Rosyjski wciąż pozostawał też językiem oficjalnym. Prezydent zachował 1 Maja, ale nie było to już święto pracy, tylko Dzień Jedności Narodu Kazachstanu. To tak, jakby na dawniejszym, pogańskim miejscu kultu wznieść kościół czy meczet.

Szokiem stała się dla niego aneksja Krymu i brak poważniejszej reakcji Zachodu na rosyjską awanturę. Latem 2014 roku rozochocony Putin powiedział, że Nazarbajew stworzył państwo Kazachów. Brzmiało to jak komplement, ale Ełbasy, który skądinąd czuł się ojcem Kazachstanu, pojął aluzję: jeśli nie było państwa przedtem, to może go nie być także potem, po nim. Przynajmniej w obecnych granicach. Odpowiedział w swoim stylu, urządzając rok później obchody 550-lecia kazachskiej państwowości (czyli powstania Chanatu Kazachskiego) i zmieniając sowieckie nazwy stu stacji kolejowych. A jednak się wystraszył. Wbrew temu, co mówił nam w wywiadzie, skręcił w stronę Rosji i nie próbował już teraz uniezależniać się od sieci jej rurociągów.

– Skupił się na PR-ze – powie mi w 2022 roku w Ałmatach politolog Dosym Satpajew. – Zamiast podejmować decyzje, brylował na forach, sympozjach, konferencjach.

W miarę upływu lat Nazarbajew w ogóle coraz mniej rządził, sprawował urząd czy pełnił stanowisko, a coraz bardziej – panował. Ojcu narodu nie wypadało inaczej, przecież wyrósł z ograniczeń przynależnych wybieranej władzy, tak jak w dzieciństwie wyrasta się z koszulek czy spodenek, rozrywał je po kolei, cały czas rosnąc mimo sześćdziesiątki, siedemdziesiątki, osiemdziesiątki na karku, aż jego oficjalny życiorys zacznie przypominać dawne kazachskie eposy o batyrach. Coraz łaskawiej patrzył przy tym na składane mu hołdy, wolał jednak, by nie odnosiły się do niego wprost, ale poprzez figurę Pierwszego

Prezydenta, bo to umacniało instytucję. Mimo niewątpliwych pokus zachował instynkty państwowy i samozachowawczy – mógłby, przykładowo, ogłosić się chanem i powołać radę sułtanów, kto bogatemu zabroni, ale czy na Zachodzie, na którym wciąż mu zależało, traktowaliby go wtedy poważnie?

Kult jednostki rozwijał się organicznie, nie osiągając rozmiarów tadżyckich, nie mówiąc o turkmeńskich. Ale pomnik rozpartego w fotelu Nazarbajewa w lobby Muzeum Narodowego w Astanie, wzorowany na siedzącym waszyngtońskim Lincolnie[3] – nie licząc innych, które wyrosły w ostatniej dekadzie jego rządów – odpowiadał puchnącym ambicjom prezydenta. Może zaspokoiłby je pokojowy Nobel, przecież z myślą o nim wywalczył przewodnictwo w OBWE, stworzył astański format pokojowy i zwoływał Kongresy Przywódców Światowych i Tradycyjnych Religii (na jeden z kolejnych przybył w końcu papież Franciszek), ale na to się nie zanosiło, choć na jego rzecz lobbowali były brytyjski premier Tony Blair i inne zachodnie tuzy. Poszedł więc Ełbasy w wizje i wielkie strategie, jak Kazachstan 2050 (cel – wejście do grona trzydziestu najbardziej rozwiniętych państw świata) czy uduchowione nawiązania do cywilizacji Wielkiego Stepu, staroturkijskiego dziedzictwa i wierzeń przedislamskich. Zwieńczy je artykuł *Siedem twarzy Wielkiego Stepu*, zaczynający się od słów „Przestrzeń to miara wszystkich rzeczy, a czas – miara wszystkich zdarzeń”, który ukaże się na oficjalnej stronie internetowej prezydenta. Wreszcie wymyślił ideę Mangilik El i wzniósł jej w Astanie pomnik przypominający paryski Łuk Triumfalny.

Nie znalazłem spójnego opisu tej idei, może w ogóle go nie ma. Są opisy ogólne – że chodzi o jedność narodu KAZACHSTAŃSKIEGO, zgodę i pokój, a także o rozwój KAZACHSKICH kultury, tradycji i języka – oraz opisy szczegółowe, wyliczające, jakie projekty, lekcje szkolne i inne przedsięwzięcia można realizować pod tym szyldem. A wszystko po to, by Kazachstan mógł trwać niezależnie od okoliczności, wbrew geografii i na złość geopolityce – bo Mangilik El to po kazachsku Wieczne Państwo[4]. Twórca idei nie ułatwił sprawy, kluczył, zwodził i robił uniki, że niby, jak mawiał dawny polski polityk, „Ja rzucam myśl, a wy go łapcie!”. Nie dał się sprowokować do podania oficjalnej i jedynie słusznej wykładni. Z jego słów wynikało jednak, że podstawą jest budowa kazachstańskiej tożsamości państwowej oraz tak, nie bójmy się tego powiedzieć, umocnienie narodowej tożsamości kazachskiej.

Pytałem o to politologów, historyków, filozofów. Jedni mówili, że Nazarbajew jest dzieckiem Związku Radzieckiego, który opierał się na ideologii

komunizmu, wyrażanej przez różne symbole. Mangilik El miałoby być czymś takim dla współczesnego Kazachstanu. Według innych Ełbasy bardzo obawiał się islamu, który rozkwitł w Kazachstanie wraz z odrodzeniem narodowym. Islam trudno kontrolować, bo jest uniwersalistyczny i totalny, przekracza granice państw i narodów, a przy tym obejmuje nie tylko relacje człowieka z Bogiem, lecz także stosunki międzyludzkie. Rolą Mangilik El byłoby więc równoważenie wpływów religii. Ale może było to coś bardziej osobistego, może mając wszystko, Nazarbajew zapragnął na koniec, by lud, który od dawna uznawał go za niezmiennego prezydenta i jedynego wodza, zobaczył w nim także proroka, wieszcza, mędrca? Wtedy osiągnąłby nieśmiertelność, o której marzył, przeszedł do historii jako ktoś więcej niż polityk, a nawet mąż stanu, dołączył do tych paru czy parunastu największych, o których wszyscy słyszeli i którzy po setkach lat nadal budzą emocje. Już po swojej rezygnacji wystąpi jeszcze z koncepcją Siedmiu Filarów Państwowości, nawiązującą do *Siedmiu filarów mądrości* Thomasa Edwarda Lawrence'a, czyli Lawrence'a z Arabii, który tytuł swojej książki zapożyczył z kolei ze Starego Testamentu: „Mądrość zbudowała sobie dom i wyciosała siedem kolumn". Filarami tymi były: niepodległość, integralność („nienaruszalność ziemi ojczystej jako sakralnego symbolu"), zgoda narodowa, wartości rodzinne i tradycje, kultura, uczciwa praca, racjonalna ocena własnych sił i możliwości.

Nazarbajew ustąpił 19 marca 2019 roku, w przededniu tradycyjnego Nowego Roku, Nauryzu, obchodzonego pod zbliżonymi nazwami w całym regionie i okolicach. Na rok przed końcem swojej piątej kadencji. W telewizyjnym orędziu do narodu powiedział, że przyszedł czas na pokoleniową zmianę. Obowiązki głowy państwa przejął młodszy od niego o trzynaście lat przewodniczący Senatu Kasym-Żomart Tokajew, który w przeszłości był premierem i szefem dyplomacji, pełnił funkcję zastępcy sekretarza generalnego ONZ oraz kierował genewskim biurem Organizacji. Mówił po rosyjsku, angielsku, francusku i chińsku, i coraz lepiej po kazachsku (dorastał w zrusyfikowanej rodzinie). Ten nie zawiódł mentora i pierwszą decyzją przemianował stolicę kraju, Astanę, na Nur-Sułtan. W czerwcu wygrał wybory, zdobywając prawie siedemdziesiąt jeden procent głosów. A przewodnictwo Senatu objęła po nim Dariga Nazarbajewa.

Nad sukcesją łamie sobie głowę wielu przywódców, zwłaszcza tych, którzy rządzą i rządzą dekadami, i nie pojmują już, nie mieści im się w głowie, że

można po prostu ogłosić wybory, pozwolić kandydować wszystkim chętnym i niech ludzie zdecydują. A jeśli ludzie wybiorą źle, jeżeli postawią na niegodziwca i łajdaka – co wtedy? Takie ryzyko graniczy z pewnością, bo patriarsze, który zjadł zęby na dworskich intrygach, który wszystko widział i wszystkich mierzy własną miarą, nikt nie wydaje się godny dziedzictwa, a lud jest zawsze zbyt niedojrzały, by wypowiadać się w tak ważnej sprawie. I co, masz zostawić łajdakowi z trudem wywalczoną i utrzymaną władzę, przekazać w obce ręce państwo, które zlało się z tobą w jedno, oddać na zatracenie swój dorobek i skazać na poniewierkę najbliższych, bo przecież nikt nie będzie ich żałował? Najlepiej, oczywiście, rządzić do śmierci, ale są trzy pułapki. Po pierwsze, możesz umrzeć, nie zdążywszy wskazać następcy: kogoś, komu naprawdę ufasz (to przypadek Isłama Karimowa z sąsiedniego Uzbekistanu). Po drugie, następca może się nie sprawdzić, a tylko naiwny powie, że to już nie twój problem, dobrze wiesz, że wtedy na lodzie zostaną wszyscy i wszystko, na czym ci zależało. Po trzecie, przyboczni, którzy przysięgali ci wierność, mogą nie uszanować twej woli i gdy tylko zamkniesz powieki, skoczyć następcy do gardła. Żadna gwarancja nie sięga za grób. Nie pogodzisz więc dożywotnich rządów z dopilnowaniem tych spraw do końca, musisz zagrać inaczej.

Ełbasy wymyślił, by odejść, nie odchodząc, nie tak jak papież Benedykt, który po abdykacji wycofał się w prywatność. Z jednej strony namaścił więc spadkobiercę – i był to urzędnik, ktoś obcy, żadna z jego córek ani żaden z zięciów, wnuków, bratanków, kuzynów i stryjów, nawet nikt z plemienia (Tokajew też wywodzi się ze Starszego żuzu, ale z Dżałairów). Dawno zerwał z szamałganizacją i coraz rzadziej obsadzał stołki krewniakami, potrafił za to wysłać oficjela z jednego żuzu, aby rządził miastem czy obwodem na ziemiach innego. Tak spajał państwo. Z drugiej strony dał sobie Ełbasy możliwość korekty. Sprawdzenia, jak radzi sobie nowy prezydent i jak reaguje na niego społeczeństwo. Nadal był bowiem Przywódcą Narodu z jego potężnymi kompetencjami, Pierwszym Prezydentem, szefem Rady Bezpieczeństwa i przewodniczącym rządzącej partii Nur Otan, nie licząc pomniejszych godności. Kontrolował służby specjalne i większość gospodarki. Jak dawniej pociągał za sznurki i trzymał w ryzach Tokajewa, niemającego takich wpływów ani takich pieniędzy, które dają niezależność. Co mogło pójść nie tak?!

A jednak trzy lata później cały układ posypie się jak klocki domina.

7

Po obiedzie Jerdien zawiózł nas na lotnisko. Wsiedliśmy w samolot i półtorej godziny później wylądowaliśmy w Ałmatach.

– Byliście dziś w telewizji, w głównych wiadomościach – powie na przywitanie kolega z ambasady, który podjechał, żeby się z nami spotkać (dopiero pod koniec dekady nasza placówka przeniesie się ze starej stolicy do nowej).

Razem spędziliśmy czas do kolejnego rejsu. Nad ranem – już we wtorek, 21 maja – wylecieliśmy do Frankfurtu. Gdy przesiadaliśmy się tam na Warszawę, wciąż było dość wcześnie. Różnica czasu grała teraz na naszą korzyść. Ostatni lot – i Okęcie.

Odmeldowałem się do domu, żeby spisać rozmowę (nagrywałem ją na dyktafon), a Marek tak jak stał, po dwóch nocach w podróży, pobiegł na spotkanie, nie pamiętam już, do Sejmu czy MSZ.

Nasz wywiad ukazał się w czwartek, 23 maja 2002 roku. W internecie pojawił się późnym popołudniem dzień wcześniej.

***

Marek Karp odszedł w 2004 roku. 13 sierpnia miał ciężki wypadek drogowy i z trudem udało się go odratować. Pracowałem już w ambasadzie w Baku – gościliśmy tam Marka dwa miesiące wcześniej, przyleciał z Kazachstanu przez Moskwę – ale byłem akurat w Polsce na urlopie. Odwiedziłem byłego już dyrektora w szpitalu. Snuliśmy plany wspólnych podróży. Zapowiedziałem się na dłużej przed powrotem do Azerbejdżanu. Nie zdążyłem. 12 września zmarł nagle w szpitalu na zakrzep krwi.

Wśród kondolencji, jakie napłynęły po jego śmierci do Ośrodka Studiów Wschodnich, znalazł się mail od Jerdiena Chasienowa z biura rzecznika prezydenta Nazarbajewa. Tytułował Marka Panem Dyrektorem (po polsku) oraz Profesorem. Mail wysłał z prywatnego konta, aby było od razu widać, że to nie są oficjalne wyrazy współczucia. Widział Marka parę godzin, ale czuł potrzebę pożegnania go osobiście.

Podróż 2022. Ałmaty – Astana

1

Z Ałmatów jechałem do Astany, która nazywała się jeszcze Nur-Sułtan, ale niedługo wróci do poprzedniej nazwy. W linii prostej to tysiąc kilometrów, a drogą i koleją trzysta więcej. Trzeba objechać jezioro Bałchasz, znane z tego, że w jego zachodniej części woda jest słodka, a we wschodniej – słona. Kolega, który dużo jeździł po Kazachstanie, wspominał, że jeszcze w latach dziewięćdziesiątych na północ od Bałchaszu rzadko spotykało się Kazachów i nie było knajpek z lokalną kuchnią: same bliny, barszcze, pielmienie. Teraz w najmniejszej mieścinie, nie mówiąc o Astanie, można znaleźć przyzwoitą szaszłykarnię.

Dziś trudno wyobrazić sobie Kazachstan ze stolicą w Ałmatach – gdyby tak zostało, Moskwa wzięłaby już może północną, zdominowaną przez Rosjan część kraju i trwałyby dyskusje, mądry Kazach po szkodzie, czy i jak można było tego uniknąć. Po czasie wizjonerstwo Nazarbajewa wydaje się oczywiste i racjonalne, choć wtedy niejeden mówił z przekąsem o chanie, który przekoczował z obozem na odległe pastwisko. Ale nawet zgryźliwcy przyznawali, że chan ma prawo do swoich fanaberii, Nazarbajew był od początku kimś więcej niż tuzinkowym prezydentem.

Na tej trasie samoloty latają co godzinę, ale wolałem pociąg i wybierałem go zawsze, gdy miałem możliwość. Najszybsze ekspresy docierają do celu w czternaście godzin, stając po drodze na trzech stacjach. To „hiszpany”, tak mówi się tu na pochodzące z Hiszpanii składy. W pierwszej klasie każdy przedział ma łazienkę z prysznicem, ale komfort rzecz względna – w wysłużonych sowieckich wagonach są szersze prycze i znacznie więcej miejsca na bagaże. „Hiszpany” potrzebują także równych torów i prądu, więc jeżdżą tylko na dwóch–trzech trasach – nie da się od razu wszystkiego zmodernizować, ale od czegoś trzeba zacząć. Mój ekspres odchodził po dwudziestej, w Astanie był przed jedenastą rano, a zmierzał do Orału, z rosyjska Uralska, na północno-zachodnich kresach Kazachstanu. Z Astany to jeszcze doba z małym haczykiem.

Na peronie panie sprzedawały jabłka, morele, czereśnie i banany, owoce trzymały w wiadrach i plastikowych pojemnikach, i można było płacić telefonem. W Kazachstanie to standard, nawet na wsi nikogo nie dziwi już babcia ze smartfonem. Wokół zaimprowizowanych straganów kłębił się tłumek, w „hiszpanie" jest wagon restauracyjny, ale na drogę trzeba się zaopatrzyć, osiadli od kilku pokoleń nomadzi mają to jeszcze we krwi, swoje robi też pewnie genetyczna pamięć czasów sowieckich, gdy tego czy tamtego mogło nagle zabraknąć i bądź, człowieku, mądry. Wziąłem jabłka, tutaj grzech brać inny owoc, a w pobliskim sklepiku nabyłem jeszcze miejscowy koniak, właśnie koniak, tak stało na etykiecie i tego się będę trzymał, poza Unią Europejską każde brandy może być koniakiem. W przedziałach nie wolno tutaj pić, ale jak się bardzo chce, to można, tylko trzeba siedzieć cicho, a jeśli ładnie poprosić, wagonowa pożyczy nam szklankę. Pomyślałem, że parę przegryzionych jabłkiem łyków zrobi mi dobrze na sen.

Ale sen nie był mi pisany.

Pociąg ruszył i powoli nabierał prędkości, gdy drzwi się nagle otworzyły. W progu stanął spóźniony pasażer.

– Dobry wieczór, ja do was – powiedział i zajął ostatnie, czwarte miejsce w przedziale.

Był misiowaty, z pokaźnym mimo młodego wieku brzuszkiem, zapewne od piwa, i z drugim podbródkiem. Krótkie włosy i rzadki zarost o ryżawym odcieniu podkreślały owal pyzatej buzi, pośrodku której tkwił kartoflowaty nos. Całości dopełniały jasnoniebieskie oczy. Wyglądał jak wzorzec wschodniego Słowianina z planszy z narodami świata.

Szybko wskoczył w szary dres i szaroniebieską koszulkę.

– Jestem Iwan – przedstawił się najbardziej rosyjskim z rosyjskich imion.

W odpowiedzi wymieniliśmy nasze imiona.

– Polacy… – Z chytrym półuśmieszkiem, coś jakby „wreszcie was dorwałem!", ogarnął wzrokiem mnie i moich towarzyszy (od Taszkentu jechałem z dwoma kolegami z Ośrodka Studiów Wschodnich, wspólną podróż kończyliśmy w Astanie). Potem nabrał nagle powietrza i wyrzucił z siebie na jednym oddechu: – Dlaczego zabraliście mi *Wiedźmina 3*, tak bardzo go lubię, kupiłem wszystko legalnie, wydałem pieniądze, a teraz mam guzik, tak się nie robi, to nie jest uczciwe!

Nikt nic Iwanowi nie zabierał, ale przez sankcje, które weszły po agresji Rosji na Ukrainę, nie mógł ściągać aktualizacji kultowej polskiej gry.

Zamierzał chyba jeszcze coś dodać, ale ugryzł się w język, mieliśmy przewagę trzech na jednego. My też nie chcieliśmy awantury, choć wiedzieliśmy już, że miło nie będzie. Dobra, panowie – powiedział któryś z nas – ani słowa o wojnie, o Ukrainie. Iwan ochoczo przytaknął: tak, tak, ja wiem swoje, wy swoje. Tak, tak, nie gadajmy o polityce.

Nasz współpasażer miał dwadzieścia sześć lat. Pierwsze czternaście spędził w Ałmatach, w niepodległym Kazachstanie. Potem przeniósł się z rodzicami do Samary, wielkiego przemysłowego miasta na rosyjskim Powołżu. Rodzina była rozrzucona po całej Rosji.

W Ałmatach została jego babcia, od której właśnie wracał, wioząc całą torbę wałówki. Mówił o niej z czułością. Lubił też jej męża Kazacha, z którym związała się po śmierci dziadka. Ale pozostał dla niego Kazachem, tak jakby narodowość była tym, co go najbardziej wyróżniało. Przez całą drogę chyba nie wymienił jego imienia. Zdziwił się, gdy go zapytaliśmy, z jakiego pochodzi żuzu i rodu: „Jak to, z jakiego? To Kazach, po prostu Kazach”. Iwan uczył się kazachskiego w szkole, ale pamiętał tylko pojedyncze słowa, za to wszyscy Kazachowie musieli znać biegle rosyjski. Dla Iwana była to oczywista oczywistość.

2

Spośród podbitych ludów muzułmańskich Rosjanie najwyżej cenili Tatarów i mówiło się, że Kazach, który chce się zrusyfikować, musi wpierw zostać Tatarem. Sami Kazachowie byli dla Rosji tym, czym Indianie dla Ameryki. Tyle że za ziemiami Indian był ocean, natomiast za Wielkim Stepem – muzułmańskie chanaty, a jeszcze dalej kraje, po które sięgała Wielka Brytania.

Władimir Naliwkin, carski oficer, który po odejściu z wojska osiadł w Taszkencie i nauczywszy się lokalnych języków, zajął się etnografią regionu, a na wieść o zwycięstwie bolszewików popełnił samobójstwo, pisał: „Nasz nieprzerwany pochód z Orenburga i Omska w głąb Azji Środkowej […] nosił w sobie piętno czegoś żywiołowego i nieuchronnego”. Naliwkin podkreślał wzajemną obcość, „my nie znaliśmy ich, a oni nie znali nas”, i nie szczędził krytyki rodakom, którzy „siłą zwykłej inercji i niskiego poziomu kultury”,

zamiast uczyć się tutejszego świata, zamknęli się w swoich kancelariach, gdzie „rozwiązywali administracyjnie równania z tysiącem niewiadomych”. Z kolei miejscowi żyli według Naliwkina naiwną nadzieją, że niechciani przybysze, „podobnie do wcześniejszych, azjatyckich zdobywców, nacieszywszy się wojskowymi sukcesami”, prędzej czy później sobie pójdą. Tak się też stało, jednak po białych Rosjanach przyszli Rosjanie czerwoni. Pierwsi zabrali Kazachom ziemię, a drudzy chcieli pozbawić ich duszy. Prawie im się udało.

Romuald Karaś przyjechał do Kazachstanu w 1967 roku z grupą polskich studentów, uczestników kampanii zagospodarowywania ugorów. Reporter widział i czuł więcej, niż mógł napisać. Ale i tak napisał dużo. Najczęściej cytując innych, choćby działacza Komsomołu, zapewne Rosjanina albo Ukraińca: „Kazachstan to kraj pastuchów i owiec. Kraj, w którym obowiązywało koczownictwo. Staramy się tam wprowadzić cywilizację, kulturę. Po to i wy tam jedziecie z komsomolskim zaciągiem”. Od spotkanego po drodze pułkownika (narodowości dungańskiej) usłyszał: „Kazachstan […] jest typową republiką mniejszości narodowościowych. Żadna z nacji nie ma tu przytłaczającej przewagi. To dobre: pogłębia się przez to internacjonalizm”. Ale najlepszy wykład, czym stał się sowiecki Kazachstan, dał mu rodowity Kazach, inżynier rolnictwa: „Jak długo można wieść koczowniczy tryb życia? Jeśli mój naród dobrze na czymś wychodził – to na kontaktach z Rosjanami. Od XVI wieku zaczęły się wpływy rosyjskie. Za nimi opowiadali się najświatlejsi ludzie naszego narodu. Nie darmo pojawiło się u nas przysłowie: »Koczownicy – włóczędzy, ludzie osiadli – naród«. Rosjanie, Polacy, Ukraińcy przyczynili się do tego, że Kazachowie zaczęli budować domy, stawiać obory dla bydła, że przejmowali zdobycze cywilizacji. […] Zyski społeczne są znacznie większe niż materialne. Nowi osadnicy przynoszą ze sobą wyższą kulturę, co ma wpływ na podniesienie poziomu życia miejscowej ludności. To nic, że Kazachów w Kazachstanie jest już tylko 30 procent. Istotne, że nasz naród z każdym rokiem żyje lepiej”.

Działo się to kilka dekad po wielkim głodzie, przymusowym osiedleniu koczowników, kolektywizacji. Podbój trwał jednak dalej, tyle że prowadzony w bardziej wyrafinowany sposób, często rękami miejscowych, w rodzaju rozmówcy polskiego reportera. Współczesna humanistyka nazywa takich ludzi kompradorami. To pomocnicy kolonizatorów, pośrednicy między nimi a podbitym, ujarzmionym narodem. Zwykle dobrze wykształceni, czerpią z tego układu korzyści, pogłębiając świadomie lub mimowolnie zniewolenie rodaków

(intencje inżyniera mogły być przecież najzupełniej czyste, a jego wiara w postęp – szczera). Niektórzy przyjmują z czasem język i kulturę najeźdźców, ale ci nigdy nie będą traktować kompradora jak kogoś równego sobie. Najsprytniejsi kompradorzy grają na dwie strony, a przynajmniej udają: tacy po odejściu kolonizatorów stają się elitą niepodległego już państwa, twierdząc, że zawsze byli wallenrodami, tylko się dobrze maskowali.

Po upadku ZSRR kazachstańskich Rosjan i innych nie-Kazachów posługujących się na co dzień językiem rosyjskim ogarnął strach przed odwetem miejscowych. Może zresztą zaczęło się to już kilka lat wcześniej, od Żełtoksanu i żądania, aby sekretarzem partii w Kazachstanie był Kazach. „Urodziłam się tutaj, tu są pochowani moi rodzice, ale to nie jest już mój dom" – zwierzyła się włoskiemu reporterowi Terzaniemu Rosjanka Jelena. Był początek września 1991 roku, istniał jeszcze Związek Radziecki i nikt Rosjan nie prześladował, zwłaszcza w Ałmatach. Ale pojawili się już kazachscy działacze niepodległościowi, którzy nie bali się mówić, co myślą i czują. Dla nie-Kazachów było to jak pokazanie drzwi i zapowiedź czystek etnicznych.

Mechanizm ten objaśnił Ryszard Kapuściński, który rok wcześniej odwiedził Azerbejdżan. Reporter unikał bieżącej polityki, interesowały go historyczne przemiany, dziejowe wstrząsy tektoniczne. O Kaukazie Południowym napisał: „Tamten mały obszar, podbity przez Rosję, a potem siłą wcielony do ZSRR, ciekawił mnie rzeczywiście, ponieważ to, co interesuje mnie najbardziej, to mentalna i polityczna dekolonizacja świata, a tam, za Kaukazem, taki się właśnie proces rozwijał". W Baku zatrzymał się w mieszkaniu Rosjanki, którą poznał w Moskwie. Zostawiła mu klucze. Gospodyni wyjechała, a raczej uciekła po pogromach Ormian. Mimo że zapewne nic jej nie groziło: „A jednak moja Rosjanka z Baku, przy pierwszym poruszeniu ulicy, przy pierwszych odgłosach nadciągających bojówek, które – wszyscy to wiedzą – idą rozbijać głowy Ormianom, tylko Ormianom, pakuje w pośpiechu walizki i pędzi na lotnisko, szczęśliwa, że udało jej się wydostać z piekła. Gdzie jednak jest to piekło? Gdzie się ono znajduje? Ono znajduje się w niej, w jej świadomości".

Baku przypomniało reporterowi sceny, jakie oglądał w swoim czasie na lotniskach Algieru, Léopoldville i Usumbury, a nieco później w Luandzie i Lourenço Marques: paniczną ucieczkę białych, dotychczasowych panów, byłych kolonizatorów. Uciekali, choć nikt (jeszcze) nie żądał ich głów. Do drogi pchało ich nieczyste sumienie, które „obudziło się i wydostało na

powierzchnię”: „To nieczyste sumienie nie musi dotyczyć każdej jednostki składającej się na rzesze kolonizatorów. Wielu tych ludzi czuje się – i jest – najzupełniej niewinnymi. Ale są oni ofiarami sytuacji, którą sami współtworzą, a mianowicie – sytuacji kolonialnej, której istotą jest zasada asymetrii i podporządkowania człowieka skolonizowanego kolonizatorowi”.

Tego rodzaju strachem, ujawniającym się i wychodzącym na powierzchnię w momencie przesilenia, były podszyte rosyjska bufonada, te wszystkie opowieści o toaletach, z których nauczyliśmy korzystać tubylców (czyżby nikt z was, chciałoby się zapytać, nie wiedział, jak wygląda przeciętna publiczna toaleta w przeciętnym rosyjskim mieście?!), i niepewna nadzieja, że cała ta ichnia niepodległość jest na niby, że zły sen musi się skończyć. Każdy, kto bywał wtedy i nieco później w Kazachstanie, słyszał mnóstwo takich opowieści. Jedną z nich przytacza norweska reporterka Erika Fatland, która spotkała kazachstańskich Rosjan niedaleko granicy z Rosją: „– Często jesteście w Rosji? – drążyłam. – Jeżdżę tak często, jak mogę – odparł Borys. – Tam się czuję bardziej u siebie niż tutaj. Policja nie ma skośnych oczu, wszystkie napisy są po rosyjsku, wokół mnie sami Rosjanie. Jak zobaczę tam Kazacha, zawsze sobie myślę: »Zabieraj się do siebie!«”.

Odwetu bali się też wynarodowieni Kazachowie, tacy jak poeta Hakim Bulibiekow, który w latach dziewięćdziesiątych długo nie miał pracy, bo raz, że był kryzys, a dwa, że nie mówił po kazachsku.

– W biznesie możesz tutaj funkcjonować z samym rosyjskim, z samym kazachskim jest nawet trudniej – opowiadał mi wtedy. – Ale we wszystkim, co ociera się o administrację i aparat państwa, bez kazachskiego nie istniejesz. Niektórzy mówią, że trzeba zmuszać ludzi do jego nauki. Co do zasady się zgadzam, ale jak będziesz za mocno naciskał, to wielu z tych rosyjskojęzycznych inżynierów i fachowców, na których opiera się gospodarka, wyjedzie, a ty sam będziesz się musiał uczyć chińskiego.

Jako fizyk Bulibiekow nie miał wyboru, podręczników akademickich po kazachsku nie było. Zresztą w jego specjalizacji – lasery – nawet rosyjskie nie wystarczały i musiał sięgać po angielskie. Po doktoracie spędził rok w radzieckiej stacji badawczej na Antarktydzie.

– Poza mną byli sami Rosjanie. Ludzie na poziomie, uczeni, a traktowali mnie jak małpę, która umie mówić – wspominał. – Byłem dla nich czarnodupcem, mimo że wiele rzeczy robiłem lepiej od nich i pisałem niezłe

wiersze w ich języku. Jeden mnie spytał, czy to prawda, że gdy przychodzi do nas gość, oddajemy mu żonę. Odpowiedziałem, że prawda, ale wcześniej obcinamy gościowi jaja. Co się dziwić: sowieccy historycy pisali, że mieliśmy wspólnotę pierwotną, aż przyszedł wielki rosyjski brat i przeniósł nas w świetlaną przyszłość. Tylko czemu było tyle powstań, jeśli tak dobrze żyło się nam pod ich butem.

Bulibiekow przeżywał kryzys twórczy: nie chciał już pisać po rosyjsku, a po kazachsku nie potrafił. Kryzys był teoretyczny, bo wszystkie wysiłki pochłaniało utrzymanie rodziny i przeżycie, ale o poezji wciąż mówił i rozmyślał.

– Poeci kazachskojęzyczni są zwykle zaściankowi i po ludzku nudni. – Rozłożył ręce, że tak już jest i nic się nie poradzi, ale może usprawiedliwiał w ten sposób własne wybory. – Od tej ich tęsknicy, od tych zawodzeń aż chce się rzygać. Jeśli nie znają rosyjskiego, to nie mają dostępu do literatury światowej, bo takiego Balzaca nikt na kazachski nie przekładał. To się czuje w tych wierszach. A jednak coraz częściej myślę, że jeśli człowiek nie umie wypowiedzieć siebie w swoim języku, to w ogóle nie powinien pisać.

Siejdachmiet Kuttykadam, redaktor miesięcznika „Mysl′” ukazującego się po rosyjsku, nie miał takich rozterek. Ale, w przeciwieństwie do Bulibiekowa, biegle mówił po kazachsku.

– Nasi nacjonaliści uważają, że jak nie znasz kazachskiego, to nie możesz się uważać za Kazacha. – Machnął ręką, że nie ma się co nimi przejmować. A było to już pod koniec lat dwutysięcznych, gdy spotkaliśmy się za którymś razem w Ałmatach. – Tymczasem wśród rosyjskojęzycznych Kazachów jest wielu patriotów, którzy polemizują z rosyjskimi szowinistami po rosyjsku. W ich języku dowodzą naszych praw i odkłamują historię. Kazach wyłącznie kazachskojęzyczny nie będzie w stanie tego zrobić. Teraz pojawili się jeszcze Kazachowie anglojęzyczni. To młodzi ludzie, na razie jest ich mało, ale ta grupa będzie się powiększać.

Zupełnie innym typem rosyjskojęzycznego Kazacha – człowiekiem cichym i pokornego serca – musiał być kazachski mąż babci naszego Iwana z pociągu.

3

– …roz-ku ła-czać, roz-ku ła-czać, roz-ku ła-czać… – skandował tymczasem w rytm stukotu kół Iwan, klepiąc się rytmicznie po udach. Minęła północ, jechaliśmy już dobre cztery godziny, a on się trochę rozluźnił, choć cały czas uważał, żeby nie stracić nad sobą panowania. Wcześniej zaciskał szczęki i przymykał oczy, i zza tych półprzymkniętych oczu świdrował nas wzrokiem, obserwując naszą reakcję. Może swoje zrobił alkohol, choć nie było tego dużo, mój koniak i kilka piw na czterech chłopa, do tego nie od razu (po piwo do restauracyjnego poszedł Iwan, pije się tam na miejscu, nie wolno brać alkoholu do przedziału, ale jak się bardzo chce, to można). Tak, alkohol był najwyżej katalizatorem. Tylko wyostrzył to, co w Iwanie i tak tkwiło. Co i tak musiał rozpowiadać na prawo i lewo.

A tkwiła w nim wszechświatowa rewolucja komunistyczna. Spokojnym, beznamiętnym głosem Iwan tłumaczył nam, że wybuchnie ona w Rosji, a kiedy Rosja zapłonie, on i tacy jak on przyniosą ją na swoich bagnetach do Polski, odwiecznego wroga, który stoi Rosji na drodze. I będzie nas Iwan rozkułaczał, czyli odbierał nam majątki, i będzie zsyłał do łagrów. Powiedzieliśmy, że nie mamy żadnych majątków, ale Iwan tylko wzruszył ramionami, wszyscy jesteście burżujami, powiedział, w głowie wam to siedzi, nie musicie mieć dwustu hektarów ani pałacu, na paru metrach kwadratowych też można być burżujem, którego trzeba rozkułaczyć. I on tego dokona.

Doszliśmy do tej rewolucji, bo spytaliśmy Iwana, jaki ma w życiu cel. A spytaliśmy, bo w pewnej chwili oświadczył, że jest komunistą. Ten komunizm też wyszedł trochę przy okazji. Najpierw Iwan opowiadał nam, czym się zajmuje – był przedstawicielem firmy tytoniowej, wstawiał jej papierosy do sklepów – i ile zarabia. A zarabiał nieźle, pięćdziesiąt tysięcy rubli, przed sankcjami było to prawie osiemset euro, teraz jest pięćset pięćdziesiąt, jakieś dwa i pół tysiąca złotych na rękę, ale nie płacili mu przecież w obcej walucie. Z tymi pieniędzmi miał jednak, jak się nam zwierzył, problem. Otóż dostawał dwa razy więcej niż zwykły robotnik, co samo w sobie jest krzyczącą niesprawiedliwością, a poza tym nie utrzymywał się z pracy własnych rąk. Ale o co chodzi? – spytaliśmy. Odpowiedział, że komuniście tak nie wypada. Komuniście?! Chłopie, masz dwadzieścia sześć lat…

Przed oczami stanął mi Taszkent – relokanci, państwo X, i przypomniałem sobie ich opowieść o dawnych szkolnych kolegach ich córki, którzy też czują

się komunistami. Wtedy słuchałem tego z niedowierzaniem, a teraz metr ode mnie siedział dokładnie ktoś taki. Już wiedziałem, co miał na myśli pan X, mówiąc, że boi się, że po rządach Putina w Rosji powróci komunizm. Bo Iwan po tym, jak dokonał ideologicznego coming outu, poszedł na całość:

– Tak, chcę władzy radzieckiej, ale prawdziwej, jak za Stalina, a nie takiej jak pod koniec u nas, kiedy złodziej siedział na złodzieju – mówił z przekonaniem. – Skąd wiem, jak to było? Rodzice opowiadali. Sowiety były super, ale w pewnym momencie do władzy dorwały się *żuliki*, typy spod ciemnej gwiazdy, i sprzedawczyki. Poszli na pasku CIA i MFW, zaśpiewali, jak im Waszyngton zagrał, zgarnęli swoje dolary i rozpieprzyli wielkie mocarstwo. Potem Jelcyn rozdał majątek Żydom, a to, co zostało, wzięli oligarchowie, bo Putin okazał się za miękki, za naiwny. Sami tego nie oddadzą, musimy zrobić rewolucję, jak bolszewicy w siedemnastym roku.

Jeden z kolegów nie wytrzymał, ty cholerny idioto, syknął, nie wiesz nawet, co mówisz, nie wiesz, co to był Gułag, rok trzydziesty siódmy, Katyń. Zaczęliśmy go uciszać: daj spokój, niech gada! Też trafiał nas szlag, ale ciekawość była silniejsza, właśnie uchylała się zasłona świata, do którego na co dzień nie ma dostępu, przenikaliśmy wciąż głębiej i głębiej w jądro ciemności. Mijała jedna z najkrótszych nocy w roku, z 24 na 25 czerwca, dzień po nocy świętojańskiej, zakwita wtedy kwiat paproci i możliwe są wszelakie cuda, ale Iwan tylko zabulgotał, gdy o tym wspomnieliśmy, co za bzdury, ciemnogród i średniowiecze. Z dumą oświadczył, że jest niewierzący, wśród jego znajomych wszyscy są za komunizmem i prawie wszyscy to ateiści, tylko jedna dziewczyna chodzi jeszcze czasem do cerkwi, ale to kurewka, a poza tym co tam baby mogą wiedzieć, przy garach i na manikiurze nie gada się przecież o polityce, a tym bardziej w wyrku, he, he, he.

W pewnej chwili Iwan sięgnął do torby po babcine wypieki, domowe bułeczki z mięsnym, kapuścianym i kartoflanym nadzieniem, i zaczął nas częstować: jedzcie, jedzcie, jedzcie na zdrowie! Był teraz tak samo szczery, serce na dłoni, jak wtedy, gdy mówił o rozkułaczaniu. Te bułeczki zachwalał już wcześniej, takich dobrych nie było ponoć nigdzie na świecie, więc nie mieliśmy siły odmówić, zresztą trochę zgłodnieliśmy, a Iwan wyciągał już kolejną partię, spróbujcie jeszcze koniecznie tych dużych! Przypomniała mi się historia deportowanej na Syberię w czasie II wojny światowej Polki, do której zamachał raz przyjaźnie sowiecki żołnierz. Wydał się jej znajomy, ale nie kojarzyła, gdzie

Pobrano ze strony pijafka.pl

się mogli zetknąć. Okazało się, że to on z towarzyszami przyszedł po nią we Lwowie, aby ją wyrzucić wraz z dziećmi z domu i wywieźć w nieznane. Ucieszył się, że na drugim krańcu Kraju Rad zobaczył znajomą twarz, i było mu przykro, że Polka nie podziela jego radości, przecież obszedł się z nią po ludzku, uczciwie odliczył należne pół godziny na spakowanie rzeczy, nie poganiał i jeszcze pomógł znieść walizkę, a potem zapakować się ze wszystkim na ciężarówkę.

Iwan jadł za trzech wbrew radom narratora z kultowego poematu Wieniedikta Jerofiejewa, który prawił: „Tak, więcej pijcie, mniej zakąszajcie. To najlepszy sposób na zarozumialstwo i powierzchowny ateizm. Spójrzcie tylko na czkającego bezbożnika: rozkojarzony, pociemniały na twarzy, męczy się i budzi obrzydzenie”. Ale jechaliśmy przecież pociągiem do Astany, nie do żadnych Pietuszek. I alkoholu było nieporównanie mniej.

Przeżuwając jeszcze ostanie kęsy, nasz współpasażer pochwalił się, że przeczytał wszystkie dzieła Marksa i Lenina, i na dowód zaczął cytować tych klasyków z pamięci. I przekonywać, że teraz komunizm to przyjaźń narodów i mieszkanie dla każdego. Pierwsze, tłumaczył, jest ważniejsze, bo rewolucja musi być wszechświatowa, inaczej się wyrodzi i znowu będzie to, co było. Ale w takich Chinach już się udało – mają komunizm i proszę, jak się kraj rozwija. Próbowaliśmy mu wytłumaczyć, że akurat tam panuje najdzikszy, najbardziej drapieżny kapitalizm, jaki można sobie wyobrazić, ale chyba nie uwierzył, nie pasowało mu to do jego wizji. W ogóle jego wiedza była wyrywkowa i do tego teoretyczna, spytaliśmy więc, czy był za granicą. Poza, rzecz jasna, Kazachstanem. Odpowiedział, że nie – i nie ma ochoty nigdzie się ruszać. I bez tego wie, co się w świecie dzieje, czyta przecież internet.

– A z tym Kazachstanem to nie pierdolcie, Kazachstan to Kazachstan, taka gorsza Rosja, chuja tam zagranica. Roz-ku ła-czać, roz-ku ła-czać, roz-ku ła-czać…

4

Tymczasem Kazachstan w czerwcu 2022 roku był już inny niż cztery miesiące wcześniej, przed agresją Rosji na Ukrainę, i całkiem inny od tego, który opuszczał Iwan, przenosząc się do Samary. Nie mówiąc o Kazachstanie z roku 1991, gdy rozpadał się Związek Radziecki. Kazachowie byli teraz u siebie

stabilną większością, stanowili ponad 70 procent ludności. Udział Rosjan skurczył się do 15,5 procent. Swoje zrobiły migracje – Rosjanie, Niemcy czy Polacy wciąż wyjeżdżali, a Kazachowie z diaspory wracali – i przyrost naturalny, wyższy u Kazachów. Ale w badaniach z 2020 roku biegłą znajomość kazachskiego deklarowało jeszcze tylko 39 procent respondentów, a rosyjskiego – 51 procent. Bez rosyjskiego ciągle trudno było myśleć o studiach, zwłaszcza technicznych (literatury fachowej po kazachsku nie ma do dziś). I wiele Kazaszek wciąż dawało się poderwać na tekst: „Nie wyglądasz na Kazaszkę!", co oznaczało, że dziewczyna jest postępowa, zadbana i świetnie się ubiera. I bardzo dobrze mówi po rosyjsku.

Ostrożna kazachizacja, obliczona przez Nazarbajewa na dekady, przyspieszyła z początkiem wojny na Ukrainie, do której doszło wkrótce po potężnym kryzysie wewnętrznym i rosyjskiej interwencji (wrócę do tych spraw trochę dalej). Padł strach, że Kazachstan stanie się kolejną ofiarą Moskwy: co jakiś czas Rosjanie otwarcie albo w aluzjach sugerowali, że kazachskie państwo, ich sojusznik i strategiczny partner, nie ma racji bytu w obecnym kształcie i granicach. I tutejsze sondaże zaczęły pokazywać, że Kazachowie się od Rosji odwracają. W jednym z badań poparcie dla Moskwy w toczonej przez nią wojnie wyraziło 13 procent respondentów (poparcie dla Kijowa – 22 procent); 60 procent zadeklarowało neutralność, a 5 procent nie miało zdania lub odmówiło odpowiedzi. Były to wyniki rewolucyjne. Kazachstan to nie Gruzja czy Mołdawia, i choć od dawna prowadził z Rosją swoją grę, w deklaracjach zawsze stał murem za Moskwą. Zaś kazachski nacjonalizm istniał do tej pory głównie w wyobraźni nie-Kazachów.

Astana przyspieszyła kurs na dekolonizację. Kolonialne dziedzictwo było wcześniej tematem tabu, władze bały się konfliktów narodowościowych i zadrażnień z Moskwą, która krzyczała o prześladowanych Rosjanach i swoim prawie do ich obrony. Teraz wciąż unikano słowa „dekolonizacja", ale badacze zajmujący się podbojem kraju przez sąsiada dostali zielone światło i granty na projekty. W budżecie na 2023 rok pięciokrotnie zwiększono wydatki na „wzmocnienie patriotyzmu". Pozycja objęła propagandę symboli narodowych, ale też kazachski dubbing do zagranicznych filmów. Na miejscu bilbordów z Nazarbajewem pojawiły się hasła głoszące, że najwyższą wartością jest niepodległość, a państwo jest wspólnym domem, o który musi dbać każdy jego mieszkaniec. Następowało narodowe przebudzenie.

Przez trzy dekady Kazachstan dorobił się nowych elit, wykształconych na dobrych uczelniach w Ameryce i Europie, także w Polsce. Większość wyjechała dzięki państwowemu stypendium o nazwie Bołaszak, po kazachsku – przyszłość. Przez Bołaszak przeszło już ponad dziesięć tysięcy młodych ludzi. Trzymają się razem. Budzą zazdrość, a często też niechęć. Politolog Dosym Satpajew nazywał ich kastą i stwierdził, że są do bólu koniunkturalni. Z kolei Jewgienij Żowtis, obrońca praw człowieka, tłumaczył, że po powrocie do kraju wchodzą oni do starych, tylko powierzchownie zreformowanych postsowieckich instytucji. Dlatego dobrze wpisują się w system.

– Przywódcy Czerwonych Khmerów kształcili się we Francji – przypomina. – U siebie zbudowali totalitaryzm, ale umieli rozmawiać z Zachodem językiem Zachodu.

Zgodnie z regułami Bołaszaku stypendysta musi wrócić do Kazachstanu, a gwarantuje to zastaw nieruchomości. Następnie musi przepracować określony czas we wskazanym miejscu. Pierwszy warunek eliminuje mniej zamożnych. Według danych Satpajewa w połowie 2022 roku w ubóstwie żyło siedemdziesiąt procent mieszkańców kraju, a spośród sześciu milionów dzieci milion wychowywało się w rodzinach biednych i bardzo biednych. Dlatego najczęściej po naukę jeździ za granicę młodzież ustawiona, z dobrych, często kompradorskich domów. Chociaż sam konkurs stypendialny jest uczciwy.

Reporter Krzysztof Renik opisał pożegnanie stypendysty. Zaprosili go bołaszakowcy, którzy skończyli studia w Warszawie (jeden z nich zostanie w przyszłości ambasadorem w Polsce). Uroczystość odbyła się w osadzie na stepie. Po drodze goście odwiedzili kurhan, gdzie leżeli krewni bohatera dnia: „Mogłem przekonać się naocznie, jak islamska modlitwa współgra z dawnymi tradycjami kazachskiego kultu przodków”. W wiosce czekał besbarmak, tradycyjne danie z baraniny i makaronu: „Elegancja, z jaką młodzi Kazachowie jedli, nie używając sztućców, posiłkując się jedynie pięcioma palcami prawej ręki, była zadziwiająca”. Wszyscy ubrani byli przy tym w garnitury.

Młodzi znajomi Renika pochodzili z rodzin komunistycznych aparatczyków. Bardzo możliwe, że należeli równocześnie do rodów białej kości. „To tutejszy standard. Dzieci komunistów i partokratów budują teraz kazachską niepodległość”.

Rosyjski komunista Iwan dopiero czekał na swoją szansę.

5

Nie mogliśmy nie spytać go o Putina. Iwan miał z nim problem. Bo z jednej strony Putin trzyma z wielkim kapitałem i sam nakradł tyle, że ho, ho, ho. Ale z drugiej, tu oczy naszego sąsiada z przedziału błysnęły, pokazał, że jest facetem. Dopierdolił ukraińskim naziolom.

Tak, Iwan popierał wojnę całym sercem. To on naruszył niepisaną umowę i wsiadł w końcu na tego konia. Najwyraźniej dojrzał do konfrontacji. I miał już gdzieś, co się wydarzy, musiał wykrzyczeć krzywdę, domniemaną krzywdę swojej ojczyzny.

– Był spisek. Amerykański – zaczął nieswoim głosem. Popatrzył na nas badawczo, jakby szukając potwierdzenia, że się nie myli. Że nas rozgryzł. Polska trzyma z Ameryką, więc każdy Polak musiał przecież maczać w tym spisku palce. – Chcieliście nas rozwalić, zniszczyć. Rękami ukraińskich nazioli. Ale się nie daliśmy. Zajebiemy was! Przyjdzie do was Putin i was zajebie! Wszystkich zajebie! Pierdolone rusofoby!

Zobaczyłem, że jeden z kolegów stężał, jakby szykował się do bójki. Przemknęło mi przez myśl, że jeśli nie powali Iwana pierwszym ciosem – a powietrze w mikrokosmosie przedziału w sekundę się zagęściło i teraz musiało się coś wydarzyć – mogą być kłopoty. Iwan ze swoją misiowatą posturą musiał mieć krzepę, wystarczyło spojrzeć na jego wielkie, chłopskie piąchy, z których umiał pewnie robić użytek.

Przed rozkwaszeniem nosa uratowało Iwana energiczne pukanie do drzwi.

Policja kolejowa? Ktoś się skarżył na hałasy – chyba nie było aż tak głośno? Nie, to tylko konduktor. Ale nie przyszedł nas uspokajać.

– Zamykamy wagon restauracyjny. Jak chcecie coś jeszcze, to doniosę. – Musiał dostać od Iwana solidny napiwek albo miał miękkie serce i znał życie. Albo i to, i to.

Nie chcieliśmy.

– Przecież w przedziale się nie pije.

– Jasne, że nie. – Ogarnął wzrokiem stojące na stoliku butelki po koniaku i piwach. – Chyba że bardzo przypili. Aha, i gadajcie troszkę ciszej.

Pociąg kołysał się rytmicznie, szkło pobrzękiwało – butelki stały jedna przy drugiej – i ten wibrujący dźwięk, którego w emocjach nawet nie słyszeliśmy, był teraz do bólu irytujący. Ale nikomu nie chciało się nic z tym zrobić.

Ze wszystkich zeszło powietrze. Za oknem, na stepie, budził się powoli nowy dzień. W milczeniu zlegliśmy na swoje prycze.

Iwan nie spał. Pewnie się bał, że mu się oberwie. Kątem oka widziałem, że gra na komórce w jakąś grę. No, *Wiedźmin* toto nie był.

Też nie spałem, choć musiałem na chwilę przymknąć oczy, bo umknęło mi, kiedy skończył grać. Teraz z przyciszonej komórki niosła się radziecka pieśń wojenna *Wstawaj, strana ogromnaja*, czyli *Wstawaj, ogromny kraju*. Po niej poszły rosyjskie marsze jeszcze z pierwszej wojny i bolszewickiego przewrotu. Zamykałem i otwierałem oczy, i w wyobraźni widziałem Iwana to na taczance, to na pace toyoty hilux. W czarnej skórze przemierzał niezmierzone rosyjskie przestrzenie, kierował ogniem na białych i zaprowadzał komunizm.

A my płynęliśmy przez Wielki Step, który nie miał początku ani końca.

Wstaliśmy przed Astaną i Iwan na dzień dobry przeprosił za tę gadkę o wojnie i Ukrainie. Nie chciało się nam do niego odzywać, ale sam z tym wyszedł. Przyznał, że złamał umowę. Lekki półuśmieszek wskazywał jednak, że nie żałuje i jest z siebie zadowolony. Było warto. Mleko i tak się rozlało, a on powiedział przynajmniej, co myśli, i przekonał się, że Polacy naprawdę są rusofobami, utwierdził w swoich poglądach. My też.

Jechał do końca, do Orału, miał stamtąd do siebie, do Samary, niespełna trzysta kilometrów, ale w Astanie wyszedł z nami na peron. Postój trwa tutaj dwadzieścia minut, można rozprostować kości, zapalić papierosa albo coś kupić. Zrobiliśmy sobie na pamiątkę zdjęcie z nim i konduktorem – Iwan ma na nim ten swój półuśmieszek – nie wymieniliśmy się jednak rzecz jasna namiarami. Po tym, co zaszło, nie było o tym mowy. Nawet to zdjęcie przekraczało granice dobrego smaku. Po chwili ruszyłem z kolegami do miasta, tam mieliśmy się rozdzielić, a Iwan wrócił do wagonu.

Mam nadzieję, że już go nie spotkam.

Czykruli. Fersztejs, mużyk?

1

– *Fersztejs, mużyk?* – zapytał sąsiad swojego znajomego niemiecko-rosyjskim żargonem, akcentując słowo „mużyk” na pierwszą sylabę. Rozumiesz, chłopie? Tamten przytaknął. Był Polakiem, ale nie mógł nie zrozumieć. W Krasnodolsku, czterysta kilometrów na północny zachód od Astany, w latach dziewięćdziesiątych jeszcze wszyscy tak mówili.

Mały Dima, który przysłuchiwał się rozmowie, też zrozumiał. Aby bawić się z rówieśnikami, musiał nauczyć się trochę po niemiecku. U niego w domu mówiło się „po chochliacku”, czyli mieszaniną polskiego i ukraińskiego. Z literacką polszczyzną osłuchał się w kościele. Księża, którzy pojawili się po rozpadzie ZSRR, pochodzili z Polski. Już w szkole wszyscy gładko przyswajali sobie język rosyjski. Ale na przykład słownictwo techniczne pozostawało domeną niemieckiego. Wynikało to z faktu, że Niemcy wyspecjalizowali się w niektórych profesjach. W ich kołchozie tradycyjnie obsadzali stanowisko głównego weterynarza, z Niemców rekrutowali się też zduni. Dlatego piec nie był piecem, *pieczą* ani *piczą*, tylko *ofenem*.

Dima przyszedł na świat w 1986 roku w mieście Kokczetaw – kazachskim Kökszetau – na północy kraju, w czwartym pokoleniu kazachstańskich Polaków. Sowieci deportowali jego pradziadka, dziadek był w chwili wywózki małym dzieckiem. Urodzony już na miejscu dwudziestotrzyletni tata Dimy, Iwan, pracował jako hydraulik w kombinacie budowlanym nazywanym „fabryką domów”. Młodsza o cztery lata mama Galina była kucharką w stołówce kokczetawskiego *ispołkomu*, czyli lokalnych władz. Do miasta przeprowadzili się już po ślubie, licząc, że szybciej staną na nogi. Wkrótce jednak rozpadł się Związek Radziecki, a z nim nadzieje młodych małżonków. Iwan rychło stracił robotę, a z pensji Galiny – jej etat nie był zagrożony, władza zawsze lubi sobie podjeść – nie byliby w stanie się utrzymać. Zresztą taki układ nie mieścił im się w głowie. W roku 1992 wrócili na wieś, do dziadków.

W Krasnodolsku oprócz Polaków i Niemców mieszkali też Ukraińcy, Białorusini, Czeczeni, Ingusze, a nawet Węgrzy. Wieś należała teraz do niepodległego Kazachstanu, ale w okolicy prawie nie było Kazachów. Jedynym,

którego Dima pamięta z dzieciństwa, był nauczyciel języka kazachskiego, który pracował w ich szkole. Nie mieszkał jednak w Krasnodolsku, tylko dojeżdżał na zajęcia z jednej z okolicznych miejscowości.

2

Pierwszymi Europejczykami, którzy przemierzyli Kazachstan i zostawili spisane świadectwo, byli franciszkanie, Giovanni da Pian del Carpine, Włoch, oraz niejaki Benedykt. Jego narodowość zdradzał przydomek: Polak. Z łacińska – Benedictus Polonus. Celem ich misji, odbytej w latach 1245–1247, była stolica imperium mongolskiego, Karakorum. Bracia zakonni wieźli list papieża Innocentego IV do wielkiego chana. Przywódca Kościoła chciał wybadać, jakie są zamiary Mongołów – Europa poznała niszczycielską siłę ich jazdy choćby w bitwie pod Legnicą – i czy byliby skłonni się ochrzcić. Chan Gujuk odpowiedział, że może przyjąć od papieża hołd. Sporządzone po persku pismo odnaleziono w 1920 roku w Archiwum Watykańskim. To najstarszy zachowany w oryginale dokument mongolskich władców.

Znamy trasę tamtej podróży. Giovanni wyruszył z Lyonu, Benedykt dołączył we Wrocławiu. Polak był sekretarzem i tłumaczem Włocha. Mówił po rusku i poprzez ruskich jeńców mógł się porozumiewać z Mongołami. Przez Łęczycę bracia dotarli do Kijowa, w którym rządzili już Mongołowie. Korzystając z ich stacji pocztowych i zmieniając konie kilka razy dziennie, mogli teraz poruszać się szybciej. Przeprawili się przez Dniepr i Don. W Saraju nad Wołgą franciszkanów przyjął Batu-chan, kuzyn Gujuka (obaj byli wnukami Czyngis-chana). Z relacji Benedykta wiemy, że „na skraju Komanii [Stepu Kazachskiego] bracia przebyli rzekę zwaną Iarach [najpewniej – Ural], gdzie zaczyna się kraj Kangitarów [koczujących ludów turkijskich]. Podróżowali przezeń dwadzieścia dni. Tam napotkali niewielu ludzi, a bardzo dużo bagien rozległych i słonych oraz słone rzeki […]. Następnie w ciągu ośmiu dni jechali przez bezludną i piaszczystą pustynię zupełnie poszarzałą z powodu suszy”. Minęli ówczesne Morze Aralskie i jezioro Bałchasz, wreszcie przekroczyli Bramę Dżungarską, gdzie przebiega obecnie granica kazachstańsko-chińska. Wrócili tą samą drogą.

Dwadzieścia lat po franciszkanach do stolicy Mongołów dotarli ojciec i stryj Marca Polo, a sam Marco – dopiero około roku 1275. Ale to Wenecjanin

uchodzi za pioniera kontaktów Europy z Azją Centralną i Dalekim Wschodem. Już w średniowieczu nie wystarczyło czegoś dokonać, trzeba było jeszcze umieć to sprzedać. Inna rzecz, że bracia nie zostawili po sobie dzieła porównywalnego do *Opisania świata*, średniowiecznego megareportażu, skrzącego się zdaniami w rodzaju: „I to, co wam mówię, to jest cała prawda o salamandrze, a wszystko inne, co o niej powiadają, jest kłamstwo i bajka". Ich rzetelne, szczególarskie kroniki znane są jedynie specjalistom.

Kolejnych polskich śladów w Kazachstanie trzeba szukać w XIX wieku. Zostawili je zesłańcy. Po zaborach znaczna część Polski, a z czasem też cały Kazachstan znalazły się w jednym państwie: między Warszawą a Ałmatami nie było granicy. Za najwybitniejszego w tym gronie uchodził Adolf Januszkiewicz. Jego *Listy ze stepów kirgizkich* można czytać jak encyklopedię kazachskich obyczajów i folkloru. Tutaj konieczny jest przypis. Do początków XX wieku bliscy sobie etnicznie Kazachowie i Kirgizi byli określani wspólnym mianem Kirgizów. Jeśli chciano wyróżnić tych pierwszych, mówiono o Kajsakach albo Kirgiz-Kajsakach. Jeżeli drugich – o Kara-Kirgizach. Pierwsza kazachska autonomia w ZSRR nosiła nazwę Kirgiskiej (1920–1925), zaś kirgiska – Kara-Kirgiskiej. Dopiero w 1925 roku ustalił się podział na Kazachów i Kirgizów. Dzieło Januszkiewicza traktuje jednak bez wątpienia o przodkach współczesnych Kazachów.

W *Listach*… uderza empatia. Januszkiewicz spędził na stepach dziesięć lat, zżył się z Kazachami i rozumiał ich lepiej od etnografów, dla których lud to przedmiot badań. Skąd mu się to wzięło, przecież epoka głosiła supremację białych, a Bronisław Malinowski, który wywróci antropologię do góry nogami, urodzi się ćwierć wieku po jego śmierci? Może z faktu, że pochodził z narodu, który tak jak Kazachowie kochał wolność, ale został podbity – i to przez tego samego zaborcę? Albo stąd, że w jego rodzinnych stronach – obecna Białoruś – wielokulturowość i wielowyznaniowość były stanem naturalnym? (W wielu wspomnieniach Polaków deportowanych z Kresów Wschodnich po zajęciu ich we wrześniu 1939 roku przez Armię Czerwoną także rzuca się w oczy wrażliwość na Innego). Czy też z „polskiego" genu anarchii i wolności? (Karol Baliński, inny poeta zesłany do Kazachstanu, znajomy Januszkiewicza młodszy od niego o pół pokolenia, pisał: „Gdziekolwiek wyrok carski nas zawlecze, / Oszukamy jego dumę, / Niesiemy z sobą prawa człowiecze! / Niesiemy wolności dżumę!"). W Kazachstanie pamięta się o nim do dziś, na kazachskiej

Wikipedii Januszkiewicz ma biogram dłuższy niż na polskiej, a w wielu miastach są jego ulice.

Początkowo Januszkiewicz daje się ponieść czystej przygodzie. 8 maja 1846 roku pisze z Omska do matki: „Długa droga otwiera się przede mną, w ciągu jej czekają mnie wielkie trudy, niewygody i niejedno może niebezpieczeństwo; bo nie jest to podróż, jaką przed laty odbywałem po cywilizowanej Europie. Dziś jadę w strony nieznane jej wcale, jadę w głąb stepów kirgiskich; będę żył wśród hord koczujących z orężem w ręku; będę na dzikim koniu przepływał rzeki i wdzierał się na szczyty gór, nietkniętych stopą żadnego Polaka: ale ta podróż nie zatrważa bynajmniej mojego serca, przedsiębiorę ją z zupełną ufnością w Bogu, bo jestem aż nadto pewien, że w każdym kroku tej drogi, w każdej przygodzie mojej, błogosławieństwo najlepszej z matek spoczywać będzie nad głową jej syna”.

Kolejne listy przynoszą soczyste opisy życia koczowników, choćby ich przejść z pastwisk zimowych na letnie: „Nie masz dla nich przyjemniejszego dnia w całym roku, jak ten, w którym, po kilkomiesięcznym spoczywaniu na jednym miejscu, mogą przymarzłą do ziemi swoją jurtę włożyć na garby wielbłąda i z całym swoim dostatkiem, ze wszystkimi swymi stadami koni, owiec i kóz rozpocząć tę ciągłą wędrówkę, co się kończy dopiero aż za nastaniem śniegów i mrozów. Dzień ten jest dla nich dniem szczęścia i powszechnej radości. Smutny dotąd, nudny, okopcony dymem tezeku [kiziaku] Kirgiz wsiada z wesołym licem na swego najlepszego bieguna i z dzielną miną wywija na nim wpośród tabunów występujących w pochód”.

Manifestem Januszkiewicza są jego uwagi, spisane po turnieju ludowych pieśniarzy, których występy podziwiał: „I toż są dzicy barbarzyńcy? Jestże to lud przeznaczony na wieczną nikczemność pastuchów i pozbawiony wszelkiej innej przyszłości?… O! nie, zaiste! lud, który Stwórca obdarzył takimi zdolnościami, nie może pozostać obcym cywilizacji: duch jej przeniknie kiedyś kirgiskie pustynie, roznieci tu iskrę światła, i przyjdzie czas, że i koczujący dziś nomada zaszczytne zajmie miejsce wpośród ludów, co nań patrzą teraz z góry, jak wyższe kasty Indostanu na nieszczęśliwego paria…”.

Zesłańcy byli ofiarami imperium. W *Dziadach*, w scenie w salonie warszawskim, Adolf pod koniec swojego monologu mówi: „Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach, / Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach”. Jednocześnie, przyjmując posadę w carskiej administracji,

zesłańcy dokładali cegiełkę do imperialnego gmachu. Ich rozprawy naukowe i utwory literackie pomagały Rosji sprawniej zarządzać podbitym krajem, skuteczniej go kolonizować, mocniej ujarzmiać jego mieszkańców. Januszkiewicz i inni musieli to rozumieć. Szczerze współczuli Kazachom, ale byli też dziećmi swojej epoki i wierzyli, że „cywilizacja", którą nieśli w step, w ostatecznym rachunku poprawi ich byt. Dziś powiedzielibyśmy, że orientalizowali Kazachstan, jesteśmy jednak w głębokim XIX wieku. Zarzucanie zesłańcom eurocentryzmu byłoby nieporozumieniem. Z ich dorobku czerpią współcześni kazachscy badacze, polskie dzieła weszły do kanonu kazachstańskiej historiografii.

Przyjacielem Januszkiewicza był poeta Gustaw Zieliński, także zesłaniec, autor wydanego w 1847 roku i świetnie przyjętego przez krytykę, chociaż miejscami ckliwie naiwnego poematu *Kirgiz* („Bom na stepach się rodził; / Wiatr pustynny mnie chłodził / Gdym na koniu biegł stada dozierać… / Ciągle widne niebiosy… / I step lśniący od rosy… / Ach!… tam tylko i żyć, i umierać"). Inny zesłaniec, Bronisław Zaleski, nie tylko pisał, lecz także znakomicie rysował. Jego relacje, zamieszczane w prasie krajowej i emigracyjnej, przybliżały czytelnikom zachodni Kazachstan. Etnograf Jan Witort wykorzystał zesłanie do badań nad stosunkami rodzinnymi i kwestiami własności u Kazachów. Prawnik Seweryn Gross, pracujący na zesłaniu w carskiej administracji, spisał kazachskie prawo zwyczajowe. Pomogła mu w tym bliska znajomość z wielkim kazachskim poetą Abajem (1845–1904).

Weterynarz Edward Feliks Ostrowski podróżował na stepy naukowo. W dwutomowych *Listach z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich* uwagę przyciągają opisy koni i popularnych wśród nomadów wyścigów („Śmieszne ci się zapewne wydają te stepowe kirgiskie żokeje, lecz spójrz na nich z bliska, jak każdy siedzi na koniu, zdaje się ćwiekami do niego przybity, wrośnięty; zobacz, z jaką zręcznością, wprawą i energią umie użyć swojego bieguna, a zapewniam cię, że niczym przy nich będą wyuczone i wyważone wasze Jakobsony, Williamsy Smity i Ify").

Muzykolog Aleksander Zatajewicz opuścił Warszawę w 1915 roku z falą *bieżeństwa*, czyli ewakuacji przed zbliżającymi się Niemcami, i osiadł w Orenburgu. Przez następne dwie dekady zebrał i opracował ponad dwa tysiące kazachskich pieśni i melodii ludowych. Gdyby nie on, wiele z nich na pewno by przepadło. W tym czasie rozpętał się czerwony terror, Kazachowie masowo marli z głodu i ginęli w pacyfikacjach, a tysiące uciekały za granicę.

Nie myśli się wtedy o piosenkach. Badacz zmarł w Moskwie w roku 1936. W tym samym czasie Stalin przymusowo przesiedlił do Kazachstanu Polaków z ówczesnych zachodnich kresów ZSRR.

3

– Krasnodolsk narodził się w 1936 roku – opowiada po latach Dima, który od dawna mieszka już w Polsce i naukowo zajmuje się deportacjami Polaków w ZSRR. – Osiedlono tam deportowanych z obwodów żytomierskiego i chmielnickiego radzieckiej Ukrainy. Przesiedleńców nie kwaterowano w istniejących już wsiach, zakładano dla nich nowe.

Na początku nie było zresztą żadnych wsi, tylko punkty na mapie, po rosyjsku *toczki*. Tych toczek było ponad czterdzieści. W step rzucono piętnaście tysięcy rodzin, z czego trzy czwarte stanowiły polskie, a jedną czwartą niemieckie i mieszane. W sumie siedemdziesiąt tysięcy ludzi. Po półtora tysiąca na toczkę. Dzisiejsza kazachstańska Polonia to w ogromnej większości potomkowie tamtych przesiedleńców (już wcześniej, w oddzielnej akcji, deportowano do sowieckiej Azji, w tym do Kazachstanu, kułaków, czyli bogatych chłopów, ale nie wiemy, ilu Polaków tam trafiło).

Wywieziona ludność zamieszkiwała wcześniej sowiecko-polskie pogranicze. Dominowali tam Polacy, którzy po powstaniu II Rzeczypospolitej w 1918 roku znaleźli się poza ojczyzną. Powrót do kraju zamknęły im zapisy traktatu ryskiego kończącego wojnę polsko-bolszewicką. Sowieci, dla których Polska była państwem wrogim, uważali „swoich” Polaków za element niepewny – szpiegów Warszawy i potencjalnych dywersantów, a w najlepszym razie przemytników. Przewidując nową wojnę, władze w Moskwie planowały budowę sieci lotnisk wojskowych i umocnień wzdłuż granicy. Świadkowie nie byli im potrzebni. Podobny los spotkał Finów mieszkających przy granicy z Finlandią (w roku 1935) oraz Koreańczyków z Dalekiego Wschodu (dwa lata później), którzy też trafili do Kazachstanu. Były to pierwsze, ale nie ostatnie czystki etniczne w ZSRR.

Przesiedleńcom – część z nich pochodziła ze zlikwidowanej już wcześniej polskiej autonomii, zwanej Marchlewszczyzną – mówiono, że czekają na nich domy i nowe gospodarstwa, że jadą do raju. Załadowano ich na ciężarówki, a potem do wagonów towarowych – mogli zabrać ze sobą dobytek i żywy

inwentarz – a dzieci cieszyły się na podróż pociągiem. Jaki to raj, do którego wloką na siłę, pod konwojem?! Potem jazda przez pół świata, tydzień, dziesięć dni, dwa tygodnie w wagonie, po drodze pierwszy głód, bo suchy prowiant szybko się kończył, brak wody, choroby, ktoś umarł. I stacja Taincza, dziś – Tajynsza. Wysiadać!

Tych, którzy przyjechali w czerwcu, witało upalne stepowe lato, przybyszów z października – były dwie fale wywózek, wiosenna i jesienna – niskie słońce, zwiastujące nieuchronne mrozy. Poza pogodą relacje przesiedleńców zebrane w bogatej literaturze przedmiotu niewiele się od siebie różnią. Oto jedna z nich, spisana przez Kazimierza Polańskiego: „Zaczął się wyładunek z wagonów. Ludzie wychodzili z nich jak pijani. Wydawało się im, że ziemia kołysze się jak wagon. Zaczęto wynosić rzeczy, zbierać dzieci. Podeszliśmy do czekających opodal samochodów ciężarowych, którymi mieli nas przetransportować do miejsca przeznaczenia. Zaczął się formować tabor marszowy. […] Przejechali jeszcze dwadzieścia kilometrów i maszyna zatrzymała się przed samotną studnią w pustym stepie.

– Znowu będziemy dolewać wodę? – spytały [dziewczyny]. – Przecież nasza wioska już chyba niedaleko.

– To jest wasza wioska – zaśmiał się kierowca.

– Gdzie jest nasza wioska? – zapytały zdziwione, rozglądając się dokoła.

– A tak, wokół tej studni będzie i wasza wioska. – Dziewczęta gorzko zapłakały”. Dobrze, że była choć studnia. W innych toczkach trzeba ją było dopiero kopać.

W relacjach powtarzają się sceny stawiania namiotów – pierwsze noce przesiedleńcy przesypiali często na gołej ziemi – a następnie pospiesznego kopania ziemianek, byle zdążyć przed zimą (nie wszyscy zdążyli). Powtarzają się głód, praca ponad siły, codzienna walka o przeżycie. I pytania: „Za co?!”, „Dlaczego?!”. Zdobywanie jedzenia, opału, lekarstw, ciepłych ubrań, jedzenia, słomy na ogacenie ziemianki, desek na proste meble, jedzenia, desek na krzyże dla zmarłych, łoju do kaganków, jedzenia, jedzenia, jedzenia. Handel wymienny przywiezionym z Ukrainy dobrem, dalekie wyprawy w tym celu do kazachskich wiosek, czyli aułów (po drodze śnieżne burany, wilki, uzbrojeni enkawudziści), zbieranie krowich placków, suszonych na łatwopalny kiziak, wyrób *samanu*, czyli cegieł z gliny i słomy wzbogaconych zwierzęcym łajnem. Tymczasem przychodzi rok 1937, początek „operacji polskiej”. Funkcjonariusze NKWD wyłapują mężczyzn polskiego pochodzenia i niektórych zabierają na zawsze,

mają swoją normę, którą muszą wypełnić – tylu a tylu aresztowanych, a później tylu a tylu rozstrzelanych. I znowu: „Za co?!”, „Dlaczego?!”.

Wieś z toczki zamienia się w Toczkę, pisaną właśnie tak, wielką literą, bo wraz z numerem porządkowym to już nazwa własna – Toczka 1, Toczka 2, Toczka 3. Z czasem każda z nich otrzyma normalną nazwę. Ale wszystkie mają status *specposielenija*, czyli osiedla specjalnego. A deportowani to *specposielency*. Na miejscu rządzi komendantura, ona decyduje o życiu i śmierci. Nie można opuszczać wioski bez przepustki, dalsze wyjście traktowane jest jak próba ucieczki, złapanym grozi kilka lat więzienia, dlatego eskapady do Kazachów trzeba dobrze zaplanować i mieć szczęście. Step zachwyca, zwłaszcza wiosną, gdy kwitnie, ale nie pachnie wolnością, jest za duży, nie da się go przejść, to więzienie bez krat, jak Syberia.

Dima – obecnie doktor Dmitriy Panto, pracownik gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej – mówi, że w ZSRR były dwa archipelagi: Gułag, czyli system łagrów i kolonii karnych, znany na cały świat dzięki pracy Sołżenicyna[5], oraz prawie nieznany i do dziś niezbadany jak należy archipelag osiedli specjalnych. Oboma zarządzała ta sama instytucja, ale były to różne rzeczy, chociaż razem składały się na sowiecką politykę represji. Do gułagu trafiali w większości więźniowie skazani wyrokiem sądu, a do osiedli specjalnych – przesiedleńcy kilku kategorii, które różniły się stopniem ograniczenia ich praw (w Związku Radzieckim istniało siedem form pozbawienia wolności). Tu wystarczyła decyzja administracyjna.

Reżim komendantury zostanie zniesiony dopiero w 1956 roku.

Poznałem kilka osób, które przeżyły deportację.

– Z dzieciństwa pamiętam wszystko, a z tego, co było przed chwilą, nie. – Maria Jabłońska rozłożyła ręce. – Biorę Pismo Święte, czytam jedno zdanie, potem następne i już zapominam, co było w poprzednim.

Rozmawialiśmy w lipcu 2022 roku w Karagandzie. Pani Maria urodziła się dziewięćdziesiąt lat wcześniej na sowieckiej Ukrainie – obwód chmielnicki, rejon wołoczyski, wieś Kaniwka (po polsku: Kaniówka). W chwili wywózki miała cztery lata.

Kilkupiętrowy blok, wysprzątana klatka schodowa, cała pomalowana na niebiesko. Przytulne mieszkanie – dywany, tapety, narzuty. Na jednej z półek domowa kapliczka: krzyż, świeczka, figurki aniołów i dwa obrazki, Słodkie Serce Pana Jezusa oraz Panny Maryi.

– Takie same, tylko większe, na całą ścianę, przywieźliśmy z Ukrainy. Zabrała je komendantura, ktoś przyuważył, nie wolno było trzymać świętych obrazów.

Pani Maria mówiła najpierw całymi zdaniami po polsku, ale szybko przeszła na rosyjski, wplatając tu i ówdzie polskie słowo. Czystej polszczyzny nigdy nie znała, tylko swojską, domową, z jej stron, pełną ukraińskich i białoruskich domieszek, więc wstydziła się odezwać przy Polaku z Polski. Nie dała się przekonać, że to piękna, soczysta mowa. Za bardzo przeżywała, że zrobi błąd i będę się śmiał.

– W trzydziestym szóstym wysypali nas z wagonów jak myszy – opowiadała. – Potem powieźli na fermę bydła. Nic więcej nie było, tylko golutki step i ta ferma. Na to miejsce mówili Gurt Popowa, pewnie żył tam kiedyś jakiś Popow, który miał gospodarstwo.

„*Gurt*” to po rosyjsku „stado” albo „trzoda”. A nowa wioska dostanie kilka lat później nazwę Oziornoje.

– Pomieścili nas w długiej, wąskiej oborze – ciągnęła. – Ludzie naściągali kijków, patyków, prętów, ponawieszali prześcieradeł i podzielili tę oborę na oddzielne cele, żeby każda rodzina miała swój kąt, choć ciasny i bez okien. Dzieci marły tam jak muchy. Co parę dni to z jednej, to z drugiej klitki wynosili pod pachą ciałka, by zakopać w jednym miejscu. Szybko zrobił się tam cmentarz. Tatko po pracy kopał ziemiankę, przed zimą skończył, przykryliśmy darnią i potem mieszkaliśmy tam dziewięć czy dziesięć lat. Ja miałam jedenaście, jak poszłam do pracy, była wojna i mężczyzn wzięli na front. Młóciłam z mamą zboże, a potem zostałam kuchtą w stołówce dla traktorzystów. Raz zachorowała jedna dojarka i brygadzista zapytał, czy bym jej nie zastąpiła. I tak zostałam na pięć lat przy krowach. A naszą krówkę zabrali jako podatek na wojnę. Jak był czas, chodziłam do szkoły, ale nie tak, żeby na stałe, bo się musiałam jeszcze opiekować młodszym drobiazgiem. W sumie skończyłam cztery klasy.

Przyszły mąż pani Marii, Wacław, miał w Oziornym ciotki, siostry ojca, i raz przyjechał do nich w odwiedziny. Tak się poznali. Pobrali się w pięćdziesiątym drugim, ale pojawił się kłopot, bo on był wolny, a ona – jeszcze pod komendanturą, nie mogła opuszczać wioski i musiała się co jakiś czas meldować. Wacław, były żołnierz, zaczął pisać do Ałma Aty i do Moskwy, że całe siedem lat bronił ojczyzny, walczył na froncie, a teraz nie może się połączyć z rodziną: pracował w Karagandzie, a żona chodziła już w ciąży.

W końcu pozwolili Marii wyjechać. Odchowała dzieci i poszła pracować jako operator dźwigu, a potem w tłoczni gazu w fabryce mebli. Mąż robił jako pomocnik maszynisty na parowozach.

Polski nigdy nie odwiedziła – jak już było można, w organizacji polonijnej mówili, że jest za młoda, niech starsi sobie pojadą albo dzieci. A teraz to już jest za stara. Wnuk z rodziną mieli się przesiedlić, papiery pozałatwiali, ale przez tę wojnę nie wiadomo, gdzie jest lepiej, gdzie bezpieczniej, i coraz bardziej się wahają. Walki są na Ukrainie, nie w Polsce, ale Polska też jest zamieszana, pani Maria o wszystkim wie, bo słucha rosyjskich wiadomości. I wcale się jej nie podoba, że Ameryka znów zaczyna mącić wodę, że Kazachowie podnoszą głowy, że na granicy Polski z Białorusią powstaje mur czy coś jeszcze. Bratnie narody nie powinny odgradzać się murem.

– Ciepło mam w chacie, dzieci dbają, ksiądz mnie odwiedza, chodzę jeszcze sama, mogę się ubrać, umyć. Czego jeszcze chcieć. Dobre życie miałam, a teraz dożyję po cichutku swojego wieku. Niech pan pozdrowi ode mnie Polskę, całą Polskę! – powiedziała na pożegnanie.

Rodzina karmelitanki, siostry Marii Olanin z domu Doberczak, pochodziła z tej samej wsi, co jej imienniczka, pani Jabłońska – z Kaniówki. I też trafiła do Oziornego. Ale okrężną drogą, przez Syberię. Było to tak: kilka lat przed deportacją jej przyszły ojciec przenosił do Polski kontrabandę. Daleko nie miał, wystarczyło przeprawić się przez graniczny Zbrucz. Za usługę dostał materiał na pościel: niedawno się ożenił, rodzina była na dorobku. NKWD wytropiło go po śladach i oskarżyło o zdradę ojczyzny i trockizm, chociaż był niepiśmienny, jaki tam z niego spiskowiec. Na wygnanie w 1936 toku matka pojechała więc sama ze starszymi dziećmi. W Oziornym jakimś cudem znalazł ją list. Ojciec, a raczej ktoś w jego imieniu, pisał, że siedzi w półotwartym zakładzie i można go odwiedzić. Matka uciekła więc spod komendantury i w ten sposób siostra Maria przyszła na świat w roku trzydziestym ósmym w Turuchańsku, gdzie w swoim czasie przebywał na zesłaniu sam Józef Stalin. Małżonkowie długo razem nie pobyli – pewnego dnia ojca dokądś zabrali, a potem został rozstrzelany pod Krasnojarskiem, ale o tym rodzina dowiedziała się po latach. A matka wróciła do Oziornego, był tam wtedy ludzki komendant, który zatuszował jej ucieczkę (następca potrafił aresztować dwanaście osób za kradzież samanu).

Pobrano ze strony pijafka.pl

Maria wyszła za Polaka, Jaśka. Dochowali się czwórki dzieci: dwóch córek i dwóch synów.

– Mąż był straszna pijanica, alkoholik – opowiadała siostra kresową polszczyzną. – Nauczył się pędzić bimber i pociągał go przy każdej okazji. Już przy trzecim dziecku namawiał mnie do aborcji, a przy czwartym to wręcz zmuszał. Ja nie chciałam, więc gonił mnie do ciężkich prac, żebym poroniła. Ale, dzięki Bogu, wytrzymałam. Byłam robotna, lubiłam śpiewać i tańczyć, to zawsze dałam sobie radę.

Całe życie ciągnęło ją do kościoła. W Oziornym ludzie od początku zbierali się i modlili przy zasłoniętych oknach, żeby nikt nie zobaczył i nie doniósł. Czasem, ale to już pod koniec komendantury, we wsi zjawiał się potajemnie wędrowny ksiądz – wtedy konspiracja była poważniejsza, za to ciągle groził kryminał. Wszystko organizowały starsze, nabożne babki, które najbardziej zaufanym dawały znać, że nocą w tym i tym domu będą spowiedź i msza. Młodzieży zwykle nie wtajemniczano, w szkole nakładli im już do łbów propagandy, jeszcze pobiegłby jeden z drugim na milicję. Ale Maria zawsze wiedziała o tych wizytach. Należała do nielicznych, którzy brali ślub kościelny – jej i Jaśkowi udzielił go w Tainczy ksiądz Józef Kuczyński. A w siedemdziesiątym pierwszym, na Piotra i Pawła, pojechała do Karagandy – z Oziornego to sześćset kilometrów w jedną stronę – wyspowiadać się ze starszymi dziećmi u księdza Władysława Bukowińskiego, przyszłego błogosławionego, nazywanego apostołem Kazachstanu.

– Był sprawiedliwy – wspominała. – I umiał trafić do człowieka.

Pod koniec lat pięćdziesiątych życie stało się znośniejsze. Zniesiono komendanturę, ludzie zaczęli przenosić się z ziemianek do normalnych domów i powoli obrastać w dobytek. Ktoś odłożył na rower, ktoś inny na motor. Dawni deportowani wrośli już w Kazachstan i przyjmowali jak gospodarze nowo przybyłych z zachodnich regionów ZSRR *celinników* – młodych najczęściej ludzi, którzy mieli zamienić kazachski step w wielkie pole uprawne w ramach kampanii zagospodarowania nieużytków (*celina* – to po rosyjsku odłogi i ugory, calizna). Byli jak pionierzy z Dzikiego Zachodu, którzy uczą życia żółtodziobów, greenhornów. W latach sześćdziesiątych do Oziornego i innych wiosek dotarła chruszczowowska stabilizacja, a w siedemdziesiątych – breżniewowski dobrobyt. Można było kupić telewizor i pojechać na urlop na Krym. Maria bawiła dzieci, a potem wnuki – w rodzinie wszyscy się wcześnie żenili – i pracowała w kołchozie. Robiła przy świniach.

Szła już pierestrojka, gdy pochowała męża („Żartowaliśmy sobie, że jak jedno z nas umrze, to drugie już się nie będzie z nikim wiązać, kłaść z obcym do łóżka. Śmialiśmy się. Potem zobaczyłam Pana Jezusa. Przyszedł i zabrał Jaśka"). Wkrótce w Oziornym pojawiły się siostry służebniczki i Maria przyjęła je na kwaterę. Następne były karmelitanki. Przyjechały na rekonesans, planowały założyć dom. Zachęcały, żeby do nich przyszła.

– Dzieci miały już własne rodziny, pobudowały się, jeździły do Polski, ja nie pracowałam – wyliczała siostra. – Nie miałam żadnych zobowiązań. Pomyślałam: „Czemu nie?".

Sześćdziesięcioletnia Maria wstąpiła do karmelitanek w Karagandzie, w Oziornym jeszcze nie miały klasztoru.

– Pan mnie powołał, nie brzydził się takiej starej. – Siostra puściła oko zza kraty rozmównicy. – Ale wnuczki miałam młode. A teraz są i prawnuczki. Przecież już prawie ćwierć wieku tu jestem. Nie do każdej zakonnicy dzwonią prawnuki!

W Karagandzie spotkałem jeszcze Nadzieję Brodecką, rocznik 1926, deportowaną z obwodu żytomierskiego (rejon baranowski, wieś Mokre). Jej matka urodziła się w polsko-żydowskim małżeństwie. To historia jak ze *Skrzypka na dachu*, przypomina związek żydówki Chawy – trzeciej córki Tewjego Mleczarza – i chrześcijanina Fietki. Było tam wszystko: ucieczka zakochanych przed jedną i drugą rodziną, potajemna konwersja i ślub, a po latach przelotne spotkanie z najbliższymi. Na zesłaniu matka Nadziei nie przeżyła nawet roku.

– Nas karmiła, a sobie nic nie brała. Mówiła: „Dzieci, ja już jadłam". Ale nigdy nie widziałam, żeby jadła cokolwiek – opowiadała pani Nadzieja polsko-ukraińsko-rosyjskim narzeczem (musiała wynieść z domu „chochliacki", który z czasem obrósł rusycyzmami).

W Ałmatach poznałem kiedyś Alberta Lewkowskiego, rocznik 1928, wysiedlonego z obwodu chmielnickiego, który wychował się w wiosce Stiepnoje, dziewięć kilometrów od Oziornego. W swoim pokoleniu był jednym z nielicznych, którzy skończyli studia (Instytut Pedagogiczny w Pietropawłowsku na skrajnej północy Kazachstanu) i nie pracowali fizycznie. Dochrapał się stanowiska naczelnika w republikańskim ministerstwie edukacji. Ceną było odrzucenie języka.

– W dzieciństwie rozmawialiśmy w domu po polsku. Od przyjazdu do Kazachstanu już nie. Przez pięćdziesiąt cztery lata nie mówiłem. Zacząłem znowu na kursie polskiego w Lublinie, w roku dziewięćdziesiątym. Byli tam Polacy z sześciu republik ZSRR i na początku nauczyciel kazał nam opowiedzieć, tak jak kto umie, o swoich krajach. Gdy doszło do mnie, zapytałem, czy mogę po rosyjsku, ale sala zabuczała: „Uuuuu, nie, nie, nie, tylko po polsku!” – wspominał. Pan Albert przewodniczył lokalnej organizacji polonijnej, a po latach repatriował się do Polski.

Joanna Krupa, po mężu Kriwopusk, miała w czasie deportacji dwa lata. Od tamtej pory mieszkała we wsi Pierwomajka, niespełna sto kilometrów na zachód od Astany. Wyszła za Rosjanina, celinnika, i może dlatego nie plątały się jej języki: z mężem mówiła po rosyjsku, a z krewnymi, a potem z trzema córkami – po polsku.

Jak potoczyłoby się życie tych ludzi, gdyby nie deportacja? Kim zostaliby na sowieckiej Ukrainie? Maria Olanin może w ogóle nie przyszłaby na świat. Jej matka pewnie nie ruszyłaby do Turuchańska z Kaniówki.

– Co komu pisane… – zamyśliła się siostra. – W Kazachstanie nie było wojny, a na Ukrainie szaleli hitlerowcy i banderowcy. W czasie rzezi wołyńskiej bandery dopadły moją ciocię Franię, której w trzydziestym szóstym cudem nie wywieźli. Obcięli jej piersi, męczyli, a na koniec wrzucili ciało do rzeki. Wszystko wiem z listu od rodziny. Mamusię też mógł spotkać taki los.

Deportowani byli ofiarami Sowietów, tak jak XIX-wieczni zesłańcy – ofiarami Rosji carskiej. I gdy tamci pomagali swoim prześladowcom rusyfikować Kazachstan, przesiedleńcy z trzydziestego szóstego roku przyłożyli rękę do jego sowietyzacji.

Oto do Kazachstanu, na stepowe pustkowia, daleko od ośrodków kultury zachodniej, zwieziono jeden i drugi dziesiątek narodów, wykorzenionych w sposób dosłowny. Pod okiem partii i bezpieki miały się ze sobą wymieszać, jak mieszają się roztopione metale w wielkich piecach. Dlatego szkoła była tylko po rosyjsku (pierwsza w Kazachstanie klasa z językiem polskim została utworzona w 1988 roku w Oziornym), a komendantury zabierały przesiedleńcom święte obrazy. Dlatego sekretarzem partii zostawał często nie-Kazach i dlatego do milicji i KGB chętnie brano mniejszości (taką karierę wybrało wielu urodzonych już w Kazachstanie Polaków). Pisał o tym Jacek Kaczmarski w *Epitafium dla Brunona Jasieńskiego* – choć Jasieński działał

akurat w Tadżykistanie: „A mój port jest w stolicy krasnolicych Azjatów, / Gdzie w moździerzu historii nowy utrze się lud, / Tam mi Kałmuk otworzy duszę swoją jak bratu, / Tam pod ziemią bogactwa siarki, węgla i rud”.

Grunt pod diaboliczny eksperyment położyła masakra Kazachów w latach dwudziestych i trzydziestych. Zdziesiątkowani głodem, przykuci do kołchozów, mogli tylko patrzeć, jak na ich ziemie zjeżdżają wciąż nowi i nowi mieszkańcy. Jedni przymusowo, pod konwojem, jak deportowane narody czy łagiernicy, inni – dobrowolnie albo prawie dobrowolnie: na wielkie budowy, do fabryk, kopalń i hut, wreszcie aby ujarzmić nieużytki i wycisnąć z oczyszczonego z koczowników Wielkiego Stepu jak najwięcej pszenicy. Wszyscy oni byli trybikami w machinie sowieckiej inżynierii społecznej.

Amerykańska badaczka Kate Brown, przygotowując na początku lat dwutysięcznych książkę o polskich Kresach, postanowiła dotrzeć do dawnych przesiedleńców (jeszcze sporo ich żyło). Udała się na północ Kazachstanu: „Sądziłam, że przybyłam, aby utrwalić historię wysiedlenia, dzieje zachowania swej tożsamości narodowej pomimo cierpień związanych z deportacją i trwania przy tej tożsamości na samotnych placówkach. Nieoczekiwanie jednak stanęłam wobec znacznie bardziej skomplikowanej opowieści – a w zasadzie wobec wielu opowieści – o tym, jak deportowani przedzierzgnęli się w często ochoczych kolonizatorów kazachstańskiego stepu, jak podjęli wyzwanie sowieckiego programu modernizacyjnego, który odebrał autochtonicznym nomadom kazachskim ziemię ich przodków i ich sposób życia, zamknął w kołchozach niczym w rezerwatach, a step przekształcił w uzbrojony teren przemysłowy”.

Polski historyk Jerzy Rohoziński poświęcił zderzeniu polskiej martyrologii z „wewnętrzną” kolonizacją Azji Centralnej przez Moskwę całą rozprawę. Zatytułował ją *Pionierzy w stepie? Kazachstańscy Polacy jako element sowieckiego projektu modernizacyjnego*.

Na obrzeżach wioski Łozowoje, położonej nieopodal Astany (nieopodal – to w Kazachstanie około stu kilometrów), godzinę marszu od Pierwomajki, gdzie mieszkała pani Joanna, która wyszła za celinnika, znajduje się kompleks pamięci ofiar represji politycznych. Na stepie usypano niewielki kurhan i ustawiono na nim obelisk z solidną podmurówką. Całość ogrodzono barierkami. Na święta i rocznice przyjeżdżają tam – tak jak do wielu podobnych miejsc – konsulowie z naszej ambasady, aby złożyć wiązankę. Kompleks w Łozowym różni się jednak od stu innych, które skupiają się na cierpieniach

i krzywdach. Tekst na tablicy to jednocześnie historia wioski, hołd dla ofiar oraz hymn ku chwale pionierskiego trudu deportowanych. Musiał to pisać ktoś z miejscowych:

„W tym miejscu w 1936 roku stanął barak, który dał pierwszy dach nad głową przybyłym na kazachską ziemię specprzesiedleńcom z Ukrainy. Tutaj, wypełniając postanowienie rządu ZSRR, organy NKWD utworzyły 13. Toczkę Karłagu [Łagru Karagandzkiego]. W latach 1942–1944 toczka przyjęła specprzesiedleńców z Powołża i Kaukazu. W 1938 roku na wiecu mieszkańców, zgodnie z propozycją zesłańca T. K. Maszewskiego, wieś została nazwana Łozowoje. Wraz z całym krajem wieś przeżyła ciężkie lata stalinowskich represji, czarną godzinę Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i aktywnie uczestniczyła w zagospodarowaniu calizny. Po likwidacji komendantury jedni powrócili do rodzinnych miejsc, inni zaś, zapuściwszy korzenie, pozostali na zawsze. Na terytorium wsi istniał kołchoz imienia Kirowa. W latach 1961–1997 wieś stanowiła drugi oddział sowchozu Pierwomajski. Tutejszych ludzi zawsze cechowały pracowitość i miłość do ziemi. Dzisiaj we wsi mieszkają potomkowie tych, którzy przybyli w te strony w latach 1936–1944. My, żyjący tutaj obecnie, pamiętamy o nich. Byli mieszkańcy Łozowego – gdziekolwiek byście się nie znaleźli, dokądkolwiek by los was nie rzucił, pamiętajcie, że gdzieś w kazachskich stepach jest wasza mała Ojczyzna – wieś Łozowoje”. Dalej następuje lista represjonowanych mieszkańców z datami urodzenia i aresztowania. Jest tam pięćdziesiąt nazwisk. Wszystko oczywiście po rosyjsku.

Według spisu powszechnego z 1970 roku odsetek kazachstańskich Polaków posługujących się językiem ojczystym wynosił 17,7 procent. Wśród kazachstańskich Czeczenów było to 91,8 procent, Niemców – 75 procent, Koreańczyków – 64 procent, Ukraińców – 51,5 procent. Dziewiętnaście lat później, w przeddzień rozpadu ZSRR, w swoim języku ojczystym mówiło już tylko 12,2 procent Polaków (oraz 98,6 procent Czeczenów, 54,4 procent Niemców, 51,7 procent Koreańczyków oraz 36,6 procent Ukraińców). Na pięćdziesiąt cztery uwzględnione narody Polacy zajęli ostatnie miejsce. Ale nawet ci, którzy deklarowali znajomość polskiego, rzadko mówili literacką polszczyzną.

W latach dziewięćdziesiątych Polacy zawierali w obrębie własnej grupy etnicznej mniej niż połowę małżeństw. Współmałżonkiem zostawała częściej osoba innej narodowości.

4

Po powrocie z Kokczetawu na wieś, do Krasnodolska, tata Dimy zatrudnił się w miejscowym kołchozie imienia 40-lecia Października (był rok 1992, ZSRR upadł kilka miesięcy wcześniej, ale starych nazw jeszcze długo nikt nie ruszał. Choć najbardziej rzucające się w oczy pomniki pochowano jednak po magazynach. Nazarbajew starał się, żeby rosyjski wilk był syty i kazachska owca cała).

– Pensji w gotówce tata nie widział przez siedem lat – wspomina Dima, czyli doktor Dmitriy Panto. – Wynagrodzenie dostawał w naturze: w ziarnie czy w sianie. Hodowało się na tym bydło, po uboju sprzedawało mięso i dopiero z tego był żywy pieniądz. Raz ojciec przyniósł jako wypłatę cielaka, innym razem zamrożoną końską nogę.

Rodzice Dimy trzymali pięć krów, więc mieli swoje mleko, a w ogródku uprawiali cebulę i paprykę. Jesienią przyjeżdżali ciężarówkami kołchoźnicy z południa Kazachstanu. Przywozili owoce – zwłaszcza słynne ałmackie jabłka. Wymieniali je z miejscowymi na warzywa w proporcjach jeden do jednego: worek jabłek za worek ziemniaków czy cebuli. Każdy rachował, żeby wyjść na swoje. Na wsi można było jakoś przeżyć, w miastach było wtedy gorzej.

Problemem był prąd. W Krasnodolsku przez dwa–trzy lata dawali go mieszkańcom na godzinę dziennie. Wszyscy ładowali wtedy baterie i akumulatory. Tym, którzy nie zdążyli albo którym wybiło korki, zostawała lampa naftowa.

W 1993 roku badania terenowe wśród kazachstańskich Polaków prowadził wraz z zespołem profesor etnologii Marek Gawęcki (niedługo potem zostanie pierwszym polskim ambasadorem w Kazachstanie). I doszedł do takich wniosków: „Powszechna jest w środowiskach wiejskich Kazachstanu nostalgia za systemem sowieckim. W zasadzie wszyscy nasi rozmówcy wyrażali żal z powodu rozpadu Związku Radzieckiego. Uzyskanie niepodległości przez Kazachstan, jako konsekwencja tego rozpadu, postrzegane jest przez Polaków, jak i przez pozostałą ludność napływową, jako zagrożenie własnej egzystencji. Obecnie system sowiecki w opiniach, a także w świadomości miejscowych Polaków, ulega idealizacji. Wobec trudnej obecnej sytuacji ekonomicznej, braku stabilności politycznej oraz wzrostu nastrojów nacjonalistycznych wśród Kazachów wydaje się on faktycznie systemem sprawiedliwości i bezpieczeństwa społecznego, a także niemal dobrobytu. Represje,

prześladowania i zniewolenie, jakiego w tym systemie doświadczali przesiedleńcy, nie są już traktowane w sposób tak martyrologiczny, jak to interpretowane jest z zewnątrz”.

Jeden z Polaków, do których dotarł zespół badawczy, powiedział: „Związek Radziecki zawsze był moją ojczyzną. Tu się urodziliśmy, a niedługo będziemy cudzoziemcami we własnej ojczyźnie, którą teraz stał się Kazachstan. Nie potrafię powiedzieć, co dla mnie oznacza Polska; jest ona krajem mojej nacji”.

Była bieda, więc kto mógł – wyjeżdżał. Gdy Dima rozpoczynał naukę, w krasnodolskiej szkole podstawowej były dwie klasy pierwsze, a i b, każda po trzydziestu uczniów. Gdy kończył, została jedna klasa, a uczniów w niej szesnastu. Po kolei emigrowali Niemcy, władze w Berlinie masowo ściągały rodaków. Krasnodolsk skurczył się z dwóch tysięcy do niespełna trzystu mieszkańców.

– Moja wieś powstała dzięki przymusowej migracji, a wykończyła ją migracja dobrowolna – mówi Dmitriy Panto.

Polacy najczęściej wyjeżdżali do Rosji. Warszawa nie wiedziała, co zrobić z Polakami z Azji, państwo nie było gotowe na ich przyjęcie. Polska wychodziła z komunizmu i mierzyła się z tysiącem innych wyzwań. A sytuacja na Wschodzie była niepewna. Wizje wojny i milionowych rzesz uciekinierów trafiały do wyobraźni (trwały już walki w Czeczenii). Zapał idealistów, którzy chcieli natychmiast ściągnąć wszystkich, studzili eksperci, choćby profesor Gawęcki. Nie było też jasne, komu dać prawo do repatriacji – wywiezieni w trzydziestym szóstym nigdy nie mieli polskiego obywatelstwa, mało kto zachował język. Przykład Niemców, z których spora grupa wróciła do Kazachstanu, bo nie ułożyła sobie życia w nowym miejscu, a pozostali najlepiej czuli się w rosyjskojęzycznych enklawach, nie skłaniał do pośpiechu. Postawiono więc na pracę u podstaw: wakacje w Polsce dla dzieci, stypendia dla młodzieży, a na miejscu, w Kazachstanie – polskie domy, kluby, świetlice, biblioteki.

Warszawa wysłała do Kazachstanu legion nauczycieli: mieli uczyć polskiego, zapoznawać z kulturą, przypominać tradycje i zwyczaje. Jeden z nich trafił do wsi o nazwie Jasna Polana. O swoich podopiecznych mówił dziennikarzowi Krzysztofowi Renikowi: „Ci ludzie przyznają się do polskości, ale oni z równą łatwością mogą się przyznać do pochodzenia ukraińskiego lub niemieckiego. Pytanie o narodowość nie jest pytaniem, które ludzie tutejsi zadają sobie na co dzień”. Renik rozmawiał też z jego słuchaczami: „Państwo

Polańscy uczą się języka polskiego już drugi rok. Słysząc to, próbuję rozpocząć rozmowę w języku polskim, ale nie bardzo mi się to udaje. Wszystkie odpowiedzi padają w języku rosyjskim”.

Inna nauczycielka, autorka wspomnień, załamywała ręce: „Nawet osoby bardziej świadome, które twierdzą, że trzeba szukać informacji w różnych źródłach, żeby wyrobić sobie własne zdanie, utrzymują, że sprawa Katynia do dziś pozostaje niewyjaśniona, że nie wiadomo, czy sprawcami byli Niemcy, czy Rosjanie. Większość uważa, że każde państwo tak przedstawia fakty, żeby to było dla niego korzystne, i obciąża innych”. Syndrom ofiary broniącej kata?

Po rosyjskiej agresji na Ukrainę większość kazachstańskich Polaków stanęła najpewniej po stronie Rosji. Najpewniej – bo nie ma badań, tak jednak zgodnie mówią polscy nauczyciele, dyplomaci i księża. Jeden z nich, wiedząc o tych nastrojach, chciał w czasie mszy pomodlić się po prostu o zakończenie wojny. Ledwie to powiedział, czerwona ze złości parafianka poderwała się z miejsca i wypaliła: „Proszę się nie mieszać do polityki!”. Gdy w 2022 roku Kazachstan odwołał paradę na Dzień Zwycięstwa, tłumacząc się oszczędnościami, choć było jasne, że to sprzeciw wobec działań Moskwy, stróż z seminarium duchownego w Karagandzie odebrał to jak splunięcie w twarz: „Nasi dziadowie ginęli, a my nie możemy ich teraz uczcić. Pewnie Ameryka zapłaciła za to naszemu prezydentowi!” – powtarzał każdemu, kto chciał słuchać. Polski dyplomata oceniał, że Ukrainę popiera trzydzieści, góra czterdzieści procent kazachstańskiej Polonii. Reszta stoi twardo za Rosją.

– Rozmawiałem z kolegą z ambasady ukraińskiej – wspominał. – Wśród tutejszych Ukraińców jest podobno tak samo.

W 2000 roku Polska przyjęła wreszcie ustawę o repatriacji. Procedury nie były proste i mogły się ciągnąć latami, ale jak ktoś naprawdę chciał, to w końcu wyjechał. Może to było lepsze niż niemiecka masówka? Dmitriy Panto jest w Polsce od 2011 roku.

– Przyjechałem na studia doktoranckie, a potem zostałem. Za to moi rodzice i brat przesiedlili się w ramach repatriacji – opowiada. Wszyscy mieszkają w Gdańsku. I do dziś rozmawiają ze sobą „po chochliacku”. Chyba że jest z nimi żona Dimy – Patrycja. Wtedy przechodzą na literacki polski. Dima żartuje, że „chochliacki” jest dla nich jak jidysz, którym mówi się w domu, a standardowa polszczyzna jak hebrajski – język liturgii i modlitwy oraz język urzędowy współczesnego państwa.

Ten język Dima opanował dopiero w Polsce, choć w Kazachstanie chodził na kursy. I dopiero w Polsce zrozumiał, że święto „Czykruli”, które obchodzili w Krasnodolsku zaraz po Bożym Narodzeniu i Nowym Roku, to po prostu Objawienie Pańskie. Epifania. Trzech Króli.

5

Aby dostać się z Astany do Oziornego, trzeba najpierw dojechać do Kellerowki. Nic trudnego. Tylko trzysta osiemdziesiąt kilometrów dobrą drogą na Pietropawłowsk, zwany z kazachska Petropawłem. Można też złapać pociąg do Tajynszy i obejrzeć dworzec, na który przywożono Polaków – jest tam tablica pamiątkowa – ale potem i tak trzeba do Kellerowki.

A z Kellerowki to już loteria. Niby bliziutko, trzydzieści kilometrów, ale normalnej drogi nie ma, tylko polna przez step. Jak popada, to i dwie godziny będzie mało, zamiast drogi robi się jedna kałuża. Kierowcy zjeżdżają wtedy na pobocze, cały step jest tutaj poboczem, i prują na przełaj do pierwszego rowu, zapadliska, kamienia. Po drodze migają zwały śmieci, szkielety baraków i rdzewiejące maszyny rolnicze pamiętające głęboki Sojuz. Gdyby docierały tu wycieczki, przewodnik z pewnością zwróciłby uwagę na wyłaniające się z lewej strony pozostałości kołchozu Krasnaja Zaria (Czerwona Zorza) z późnych lat trzydziestych XX wieku, a z prawej – na ruiny kołchozu Awangard (Awangarda) z okresu nieco późniejszego (pozostał tu elewator zbożowy, wykonany częściowo z drewna, a częściowo ze stali rdzewnej przez nieznanego mistrza z Europy Wschodniej, widać w nim także wpływy niemieckie i rosyjskie).

Wreszcie pojawia się jezioro.

Przy wjeździe do wsi wita przybysza klasztor karmelitanek, bezwstydnie solidny, z beżowej cegły, z ciemnymi spadzistymi dachami i ażurową sygnaturką, otoczony betonowym płotem. To dzięki niemu klasztor trochę mniej gryzie się z otoczeniem. Za bramą jest ogród, a dalej – sad i grządki warzyw, ale tam nie wpuszczają, to już klauzura. Za to w samym domu można zobaczyć pamiątki po deportowanych: drukowane i ręcznie przepisywane modlitewniki, święte obrazy i rodzinne zdjęcia zabrane ze sobą z Ukrainy na tułaczkę. Na ścianie wiszą dwa duże oleodruki w drewnianych ramkach – Słodkie Serce Pana Jezusa oraz Panny Maryi. Może to te skonfiskowane kiedyś rodzicom Marii Jabłońskiej, które się potem gdzieś odnalazły? Ile trudu, ile wysiłku

kosztowało, by przytaszczyć je z Wołynia czy Podola, przechować po drodze wśród drobiu i bydła, uchronić przed dzieciarnią, a potem dowieźć na toczkę, zabezpieczyć w ziemiance przed pleśnią, wilgocią, tłuszczem i jeszcze ukryć przed milicją. Nie tylko książki mają swoje losy, także oleodruki, które na Wielkim Stepie w XXI wieku nie są wcale kiczem, tylko symbolem przetrwania. Siostry nie miały w planach muzeum, ale gdy pierwsza, druga, trzecia osoba przyniosła im rzeczy po rodzicach, dziadkach, pradziadkach, bo grzech wyrzucić, urządziły w korytarzu na parterze ekspozycję artefaktów z epoki przedkołchozowej. Te przedmioty z jednej strony, a nowiutki klasztor z drugiej biorą komunę w nawias i dają złudną nadzieję, że była tylko epizodem – złudną, bo jej agonia trwa już dekady i końca nie widać, a w ludzkich głowach trzyma się całkiem mocno.

W miarę blisko klasztoru jest cmentarz, wchodzi się tam przez bramę z trzema krzyżami i z datą 1936. Na starszych grobach są w większości polskie nazwiska i imiona: Bolesław, Adam, Frania, ale wszystko po rosyjsku, wszystko w cyrylicy, po polsku nie znalazłem ani jednego napisu. Dlaczego? Czy ci ludzie, ich bliscy i sąsiedzi byli niepiśmienni albo umieli czytać i pisać po rosyjsku, a polskim posługiwali się tylko w mowie? Nie, przecież modlitewniki w „muzeum” u sióstr były po polsku. Może więc nie było wolno? To bardziej prawdopodobne, choć w Uzbekistanie widziałem cmentarze Tatarów Krymskich deportowanych w 1944 roku i tam inskrypcje były po krymskotatarsku, część nawet w alfabecie arabskim. Ale może byli już tak zrusyfikowani, że im nie zależało, dokumenty mieli rosyjskie, po rosyjsku była dokumentacja w komendanturze, więc nazwisko na grobie – na kawałku blachy, przybitym do zespawanego z prętów czy rurek krzyża, który zastąpił pewnie starszy, drewniany – też ryto cyrylickimi bukwami? Nie udało mi się rozwikłać tej zagadki.

Krzyż na szczycie Sopki Wołyńskiej. Symboliczny pomnik Polaków i Niemców, wysiedlonych w 1936 roku z sowieckiej Ukrainy w kazachstańskie stepy. Oziornoje, 2016

W centrum wioski stoi kompozycja poświęcona bohaterom wojny, Wielkiej Wojny Ojczyźnianej z lat 1941–1945 (na egzaminie na Kartę Polaka znajomy konsul nieraz zadaje pytanie, kiedy wybuchła druga wojna – i kiedy słyszy, że w 1941 roku, oblewa zdającego). Składa się z pomnika żołnierza z pepeszą, betonowego reliefu z czerwonymi sztandarami, złotymi sierpem i młotem, pięcioramienną gwiazdą i napisem: „Wieczna pamięć naszym krajanom – żołnierzom, którzy polegli w bojach za ojczyznę”, oraz tablicy z nazwiskami poległych i tych, którym udało się wrócić (Białas, Jakubowski, Kamiński, Korczyński, Pszoniak, Suchowiecki, Zwolski), wszystko świeżo odmalowane, a sztuczne kwiaty nie zdążyły jeszcze wyblaknąć. Obok – zdewastowany budynek domu kultury z salką koncertową, w której od lat nikt nie występował.

Przy szerokich, krzyżujących się pod kątem prostym wiejskich ulicach stoją jeszcze ostatnie, bielone wapnem ziemianki z gliny, słomy i nawozu. Nikt już w nich nie mieszka, może jedna czy druga służy jeszcze jako składzik. Zapadają

się w grunt, zarastają zielenią. Warto byłoby zachować którąś tutaj, w Oziornym, albo odtworzyć taką w Polsce, aby pokazać, jak żyli specprzesiedleńcy.

Leonid ma stare audi 80 i dużo czasu, za parę groszy chętnie obwiezie po okolicy i opowie o tych stronach. Poleciły go zakonnice, bo dorabia sobie u nich jako konserwator, poza tym amatorsko rzeźbi i w klasztornej kaplicy wisi masywny drewniany krucyfiks jego autorstwa. A prywatnie – to syn siostry Marii Olanin, karmelitanki z Karagandy. Stary jeszcze nie jest, rocznik 1965, ale wygląda poważniej. Swoje robią kaszkiet i wysypujące się spod niego siwe włosy, życie w stepie nie oszczędza. Pierwszy punkt na naszej trasie: Sopka Wołyńska (*sopka* to wzgórze, pagórek lub niewielki wulkan). Na stepie widać ją z daleka. Na jej szczycie, jak na Giewoncie, wznosi się kilkunastometrowy krzyż, symboliczny pomnik wysiedlonych. „Bogu – chwała, ludziom – pokój, męczennikom – królestwo niebieskie, narodowi Kazachstanu – wdzięczność, Kazachstanowi – rozkwit” – głosi po kazachsku, niemiecku, polsku i rosyjsku napis na postumencie. Kamienne kopczyki po drodze to stacje drogi krzyżowej.

Punkt drugi: Żaman sopka, czyli sopka zła, złowroga. Porasta ją las. Przed wiekami mieli tam ponoć kryjówkę zbójcy, którzy napadali na karawany. Za Sowietów pod wzgórzem powstała kolonia karna dla najcięższych przestępców. Więźniowie pracowali w kamieniołomach, a w wolnych chwilach…

– To dla dzieci – mówi Leonid.

Dla dzieci?

Oto klasyczne więzienie, takie z wieżyczkami strażniczymi i drutem kolczastym, tyle że w stepie. Niedaleko droga, za nią zabudowania wioski, opodal Żaman sopka, a przed więzieniem – betonowe safari: niedźwiedzie, konie, jelenie, lwy, pasiasty tygrys, jest i sokolnik w stroju kazachskim z psem u boku i z gotowym do lotu drapieżnikiem, na kopcach usypanych z kawałków skał stoją koziorożec i pantera, a pośrodku tej menażerii huśtawka i zjeżdżalnia. Figury są naturalnej wielkości, beton trzyma się na prętach zbrojeniowych, detale wykonano chyba z gipsu, a wszystko pomalowano na jaskrawe kolory; farby ktoś nie pożałował. Koński łeb przypomina żyrafę gruzińskiego malarza samouka Pirosmaniego, dominują wielkie smutne oczy, lew też jest jak wyjęty z Pirosmaniego, to wszystko wygląda jak galeria prymitywistów, nie tego

spodziewasz się w stepie, w cieniu Żaman sopki, pod kryminałem, więc szczypiesz się kilka razy – ale nie, to jednak nie majak, to Kazachstan.

– Dla dzieci skazańców – precyzuje Leonid. – Rodziny przyjeżdżały na widzenia i zostawały kilka dni, dostać się tu z południa czy z zachodu kraju to cała wyprawa. A dzieci miały się gdzie bawić. Więźniowie sami robili te figurki.

W 2018 roku więzienie zamknięto. Trzy lata później jakiś biznesmen kupił je za jedenaście tysięcy dolarów. Bezpański zwierzyniec będzie teraz kruszał i z czasem podzieli pewnie los kołchozów Krasnaja Zaria i Awangard.

Betonowe safari przed byłym więzieniem (wtedy jeszcze działało). Plac zabaw dla dzieci, które przyjeżdżały w odwiedziny do skazańców. Oziornoje, 2016

Zatoczyliśmy koło i znowu jesteśmy przy klasztorze karmelitanek i przy jeziorze, od którego nazwano wieś (po rosyjsku jezioro to *oziero*). Czy 25 marca 1941 roku, w dzień Zwiastowania Pańskiego, naprawdę doszło tam do cudu? Owego roku zima była wyjątkowo surowa i na przednówku ludzie przymierali głodem. I oto rozniosła się wieść, że w jeziorze są ryby.

– Przyszły z wodą na wiosnę – wspominała w Karagandzie siostra Maria Olanin. – Dzieci je wypatrzyły, opowiedziały starszym, ale nikt nie chciał wierzyć. Potem okazało się, że ryby naprawdę się pojawiły i jest ich bardzo dużo. Ludzie nauczyli się je łowić, w każdym domu wiązano sieci.

Z innych relacji wiadomo, że jezioro – którego nie zasilają żadne źródła, woda pochodzi z topniejących śniegów i z deszczu – było zarybiane. Cudem byłoby zatem nie samo pojawienie się ryb, ale ich obfite rozmnożenie, niczym w biblijnej przypowieści. W Oziornym skończył się głód, a lokalny kołchoz zaczął wysyłać ryby na sprzedaż. Miejscowi byli przekonani, że ocaliła ich Matka Boża.

Leonid należy do nielicznych, którzy jeszcze mówią tutaj po polsku. Nawet „chochliacki” prawie wymarł. Według spisu z 2021 roku w całym Kazachstanie do narodowości polskiej przyznaje się trzydzieści pięć tysięcy osób – niemal o połowę mniej niż u schyłku ZSRR. Wtedy Polaków było oficjalnie sześćdziesiąt tysięcy, a nieoficjalnie – od stu do nawet stu dwudziestu. W tym czasie liczba Niemców zmniejszyła się z dziewięciuset pięćdziesięciu do dwustu dwudziestu pięciu tysięcy. W wyludniającym się Oziornym dominuje rosyjski, choć słychać także kazachski. Po rozpadzie ZSRR władze najchętniej osiedlały ściąganych z innych państw rodaków na północy kraju, bo właśnie tu, niedaleko granicy z Rosją, było ich najmniej. Przybysze nie znali rosyjskiego, co zwiększało dystans nie-Kazachów do nowego państwa.

– Za mojej młodości Kazachów w ogóle się nie widziało. – Leonid potwierdza spostrzeżenia Dimy z oddalonego o kilkanaście kilometrów Krasnodolska. – Siedzieli po aułach. Czasami pojawiali się na dworcach, w tych swoich wielgachnych szubach, wierzchnich okryciach podbitych futrem. A teraz wszędzie się rozpanoszyli. Obsadzają wszystkie stanowiska, nawet najniższe, ściągają swoich, spychają nas na margines.

Rozpanoszyli… Tak, Leonid użył właśnie tego czasownika. Wobec narodu tytularnego, który mieszka w swojej niepodległej ojczyźnie. Choć można go zrozumieć. Jego dziadkowie sami się tu nie pchali, siłą zabrano ich z ojczystych stron. Rodzice zadomowili się, oswoili te miejsca. Dzieci Leonida mieszkają już w Polsce, ale on sam nigdzie się nie wybiera. I mieliby go teraz stąd wyrzucić? Naprawić historyczną krzywdę, wyrządzając inną? Nikt nie wyrzuca, ale strach ma wielkie oczy. A świadomość, że nawet znając kazachski – którego Leonid

i tak się nie nauczy – nigdy nie będzie się czuło we własnej wsi jak u siebie, boli. Bardzo boli.

Tak tłumaczył to Krzysztofowi Renikowi arcybiskup Tomasz Peta, metropolita Astany: „Kazachizacja życia? […] Przywołajmy historię. Ja pochodzę z ziem dawnego zaboru pruskiego. Gdy Polska powstała po 120 latach nieistnienia na mapach świata, to kto miał większe szanse, by stać się urzędnikiem państwowym – czy Polak, czy Niemiec, który słabo mówił po polsku, ale w Polsce pozostał? Myślę, że tu nie było niesprawiedliwości, raczej chodziło o sprawiedliwość dziejową, tak jak obecnie w przypadku Kazachstanu".

Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą – mawiał w takich sytuacjach twórca sowieckiego państwa Włodzimierz Lenin.

6

Oddzielnym rozdziałem polskiej historii Kazachstanu były wywózki ze wschodnich ziem II Rzeczypospolitej zajętych przez Armię Czerwoną po 17 września 1939 roku. Objęły około trzystu dwudziestu tysięcy osób, z czego przynajmniej osiemdziesiąt tysięcy trafiło do Kazachstanu. Niektórzy – do wsi, które założyli Polacy deportowani wcześniej z Ukrainy. Także do Oziornego, w którym właśnie pojawiły się ryby.

Poza narodowością niewiele ich łączyło. A i ta nie zawsze. Pierwsi – ci z roku 1936 – byli etnicznymi Polakami z obywatelstwem ZSRR. Drudzy, deportowani w latach 1940–1941 – polskimi obywatelami różnych narodowości: Polakami, ale także Białorusinami, Ukraińcami, Żydami.

Pierwsi wywodzili się w większości ze wsi, drudzy – z miast i miasteczek.

Wśród pierwszych przeważali chłopi, wśród drugich – inteligencja i pracownicy umysłowi, choć zabierano też wykwalifikowanych robotników, rzemieślników i rodziny funkcjonariuszy służb mundurowych, w tym leśników czy kolejarzy (samych funkcjonariuszy w najlepszym wypadku aresztowano). Nieproporcjonalnie dużą grupę stanowiły kobiety.

Losy pierwszych znamy z relacji zebranych przez historyków, etnografów czy dziennikarzy i tylko sporadycznie ze spisanych osobiście wspomnień. Drudzy najczęściej sami chwytali za pióro. Pozostawili po sobie dziesiątki książek, wydawanych początkowo na emigracji, a w Polsce – w drugim obiegu.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Po 1989 roku wiele pozycji ukazało się w Polsce ponownie, teraz już oficjalnie i często w naukowym opracowaniu, z komentarzami i przypisami.

Są wśród tej literatury rzeczy wybitne, jak wspomnienia Aleksandra i Oli Watów (o wojennej tułaczce poety tak pisał Jacek Kaczmarski: „Zmęczony Piorun – wzrok Parsifala / Biały od żaru kazachskich pól / Oświetlił owal Świętego Graala / Krwi Boskiej Kielich – Mądrość i Ból"). Dwie znakomite powieści, *Wielbłąd na stepie* i *Krzyż Południa*, napisał Jerzy Krzysztoń. Ukazały się w komunistycznej Polsce, są więc pełne aluzji i niedomówień: „Postanowiły z Jaśką przedostać się wraz z dziećmi przez zieloną granicę do Lublina, do krewnych, ale nie zdążyły na czas. Zaskoczyła je noc trzynastego kwietnia. Przewędrowały wraz z innymi szmat ziemi, aby znaleźć się w kazachstańskim siole" – tyle przeczytamy o samej deportacji. W nocy z 13 na 14 kwietnia 1940 roku miała miejsce druga fala wojennych wywózek, objęła rodziny aresztowanych wcześniej „wrogów ustroju". A „przewędrowały" znaczyło tyle, że wywieziono je w bydlęcych wagonach pod konwojem.

Rzuca się w oczy, że deportowani z 1936 roku prawie nie wspominają o Kazachach. Owszem, spotykają ich, załatwią z nimi czasem jakiś interes, ale nie próbują poznać ich bliżej. Zesłani już w czasie wojny mniej zamykają się we własnym cierpieniu i bardziej ciekawi ich świat, w którym się znaleźli. Znowu Jerzy Krzysztoń:

„– To Ubagan – powiedział Jurek. – Dopływ Iszyma.

– Co takiego? – spytała Jaśka.

– Rzeka Ubagan. To po kazachsku.

– Aha. A skąd tyś taki mądry?

– Kazachowie koczują niedaleko. W jurtach. To wiem.

– Ty się nie zadawaj z tymi Kitajcami! – powiedziała Ziuta. – To bezbożniki. Duszę w tułubie [futrze] oddaliby za czarkę herbaty.

– Kazachowie to nie Kitajcy, tylko naród mongolski. I nie żadne bezbożniki, tylko mahometanie.

– Na jedno wychodzi. Kobyle mleko piją.

– Pani Ziuto – zaoponował Jurek. – Kumys to jest… wspaniała rzecz!

– Tfu!… Smarkacz. Wszystkie rozumy pozjadał. Wspaniała rzecz to tylko jedna jest, chłopcze – wódeczka…".

Pierwsze kontakty miały nieraz smak ostrego, pasterskiego sera. Podobne opisy spotyka się w wielu wspomnieniach: wynędzniali Polacy docierają na miejsce zesłania, z oddali przygląda się im grupa Kazachów (nie mogą się

zbliżyć, Polacy są wrogami i pilnuje ich uzbrojona eskorta). W pewnej chwili kazachskie dzieci zaczynają obrzucać przybyszów kamieniami. Ci przyjmują to obojętnie: niech jeszcze i to. Ale dostrzegają, że kamienie są białawe i idealnie kuliste. Ktoś wpada na pomysł, aby je obejrzeć – wącha, potem bierze do ust. To suszony ser, nazywany *kurtem*. Pierwszy posiłek w Kazachstanie. Podarunek od tych, którzy sami często nie dojadali.

Najwrażliwsi potrafili głęboko wczuć się w kazachski los, a Kazachowie otwierali przed nimi jurty i dusze. Zwłaszcza przed kobietami. Maria Jadwiga Łęczycka spisała taki dialog:

„– Mamerbek jest *durak* [głupi] – odpowiedziałam ze śmiechem. – Kazachstan nigdy nie da rady Stalinowi! On jest *kriepkij* jak *czort* [mocny jak diabeł]!

– Allach jest mocniejszy od Stalina! Kazachstan będzie nasz!”.

W przeciwieństwie do poprzedników wojenni zesłańcy mogli się repatriować – choć polscy Białorusini czy Ukraińcy napotykali przeszkody, których nie mieli etniczni Polacy. Pierwsi ewakuowali się już w 1942 roku – do Iranu wraz z Armią Andersa. Wielu z nich nie wróciło potem z emigracji. Zasadnicza grupa opuściła ZSRR po wojnie (do roku 1946). Reszta – w latach 1954–1959. Na miejscu zostali nieliczni: ktoś stracił wszystkie dokumenty, ktoś się ożenił, ktoś – rozchorował i nie zgłosił o czasie na wyjazd. Tylko szaleniec mógł odmówić powrotu i przyjąć sowieckie obywatelstwo, wiedząc, że czekają go prześladowania i łagry. Takim szaleńcem był ksiądz Władysław Bukowiński, który potajemnie duszpasterzował w Karagandzie – wśród tamtejszych Polaków, ale także wśród Niemców i Ukraińców (mówił biegle w ich językach).

7

Badacze szacują, że w latach 1928–1952 władze sowieckie deportowały do Kazachstanu sto siedemdziesiąt–sto osiemdziesiąt tysięcy Polaków i polskich obywateli różnych narodowości. W narodowym imaginarium Kazachstan stał się częścią Sybiru, którego granice wykraczają poza geograficzną Syberię. To kraina zesłań, katorgi i męczeństwa. Klucz do niej dzierży władca Wszechrosji.

Kiedyś w Ałmatach pokazywano wystawę o polskich zesłańcach. Nosiła tytuł „Na nieludzkiej ziemi”. Na otwarcie przyszedł pewien kazachski

profesor – i bardzo się wzburzył.

– Dlaczego nazywacie naszą ziemię nieludzką?! – dopytywał dyplomatów z polskiej ambasady. – Czy nie przyjęliśmy was, nie okazaliśmy wam serca? Czy Kazachstan was nie wykarmił i dla wielu nie stał się domem? To ziemia błogosławiona, ziemia przodków. Dla mnie jest jak matka. Ja ją kocham!

Ta opowieść – konsul, od którego ją usłyszałem, dodał, że profesor lubi Polskę i dobrze zna jej historię – pomogła mi zrozumieć Żydów. Tych, dla których mój kraj to jeden cmentarz, miejsce Zagłady. Chociaż Polska to przecież znacznie, znacznie więcej.

Podróż 2022. Astana – Aktau

1

– Jako Unia musimy mocniej wspierać Kazachstan. – Ambasador, a formalnie szef Delegatury UE w Astanie, Litwin Kęstutis Jankauskas, wyznaczył spotkanie w sieciówce Boom na stacji benzynowej niedaleko katolickiej katedry. Ale gdzie miał wyznaczyć? W niedzielę o ósmej rano Astana śpi, a ten lokal jest otwarty całą dobę. – Trzeba zmienić stereotyp, że to kraj prorosyjski. To nie Białoruś. Ale związany jest z Rosją tysiącem nici. Praktycznie cała kazachska ropa idzie w świat przez port w Noworosyjsku. Z innymi towarami jest tak samo. Rosyjskie koleje przez lata zaniżały ceny, żeby Kazachów uzależnić.

Perwersyjnie wzięliśmy śniadanie rosyjskie: z blinami i czerwonym kawiorem. A do wyboru było ze dwadzieścia zestawów. Lokal nie odbiegał od podobnych w Berlinie czy Paryżu.

– To ciężka praca u podstaw – ciągnął Jankauskas. – Wojna na Ukrainie potrwa lata. Nie możemy czekać, aż się skończy. Musimy przekazywać Kazachstanowi technologie i inwestować tutaj. Oczywiście, patrząc na ręce. Prezydent Tokajew ma spore poparcie, ale musi dać ludziom zarabiać. Trzeba pomagać tak, aby nie wmanewrować Kazachstanu w konflikt z Rosją, ale go wzmocnić i usamodzielnić.

Unijny dyplomata mówił to, co wydawało się oczywiste, choć raczej nie przebijało się w oficjalnych komunikatach z Brukseli. I mało kto dałby się wyciągnąć na rozmowę w niedzielny poranek.

Chciałem się spotkać z Jankauskasem, aby spytać o wydarzenia ze stycznia – największy kryzys w historii niepodległego Kazachstanu, gdy to stabilne i silne na tle sąsiadów państwo zaczęło się nagle składać jak domek z kart.

– Z grubsza wiadomo, że doszło do buntu w łonie elity władzy. Ale czy buntownicy byli już po słowie z Moskwą, czy ktoś im coś obiecał i czy podwyżka była częścią planu, a chodziło o to, aby podburzyć naród i sprowokować, żeby wyszedł na ulicę, tego nie wiemy. – Ambasador rozłożył ręce. – Dziwne rzeczy się tu działy.

Niemal stuprocentowa podwyżka na LPG weszła w życie z Nowym Rokiem, a już 2 stycznia 2022 roku wybuchł protest w Żangaözenie. Tym samym, gdzie jedenaście lat wcześniej długo tlił się strajk, w końcu brutalnie zdławiony. I trudno się dziwić – dużo aut jeździ tu na gaz, który powinien być tani, bo Kazachstan siedzi na węglowodorach. Wyglądało to na oddolną, spontaniczną akcję, nie wypłynęli żadni samozwańczy liderzy ani organizacje, jakieś komitety ocalenia czy rady narodowe, chociaż na placu pojawiło się od razu nagłośnienie, a wokół – toi toie. Ludzie na zachodzie kraju umieją się jednak skrzyknąć, to ziemie Młodszego żuzu, co we krwi ma wojaczkę i *ordung*, ponadto w tej okolicy przeważają Adajowie, najbardziej wojownicze z młodszożuzowych plemion. Zaś podwyżka była tylko katalizatorem, iskrą, która rozniecіła ogień. Niezadowolenie narastało od dawna, ludzie mieli dosyć korupcji, samowoli i niekompetencji urzędników, ostentacyjnej pogardy nowobogackich dla gorzej ustawionych rodaków. Poziom życia, nie ma co ukrywać, coraz mocniej odbiegał też od rozbudzonych aspiracji.

Jedna osoba uosabiała te patologie, jeden człowiek firmował skostniały kazachstański układ – i nie był to prezydent Kasym-Żomart Tokajew, którego ograniczały rozbuchane kompetencje jego poprzednika. Tokajew od trzech lat rządził, ale panował cały czas Nursułtan Nazarbajew, Ełbasy, dożywotni Przywódca Narodu. Dlatego na protestach, które z Żangaözenu jak ogień na stepie rozlały się na cały kraj, obok żądania cofnięcia podwyżki szybko pojawiło się hasło: *Szal, kiet!* Starcze, odejdź! („*szal*” to dosłownie osoba sparaliżowana, ale mówi się też tak o stetryczałym dziadydze – kulturalne określenie starszego człowieka to „*aksakał*”).

Żądano więc odejścia polityka, który trzymał państwo w garści, choć dawno podał się do dymisji – i to obnażało absurd wymyślonej przez Nazarbajewa sukcesji. Choć może pomysł nie był taki absurdalny, ale starzejący się wódz nie potrafił już wszystkiego dopilnować, a nikt inny nie miał jego pozycji i autorytetu. Niewykluczone, że zawiódł go też instynkt i nie wyczuł nastrojów wśród ludu. Wtedy, w 2011 roku, także nie zareagował w Żangaözenie, jak powinien, choćby poświęcając jakiegoś lokalnego bonzę, aby ludzie zobaczyli, że całe zło wzięło się z chciwości tego wyrzutka.

– Chan ma prawa i obowiązki. Kieruje ludźmi, ale musi się też o nich troszczyć. – Dla dyplomaty nazarbajewowski Kazachstan był współczesnym chanatem i Jankauskas się z tą opinią nie krył. – Ełbasy zaniedbał jednak naród, więc naród się od niego odwrócił.

Ta diagnoza brzmiała znajomo, skądś znałem już przypowieść o chańskich powinnościach. Oczywiście, z trylogii *Koczownicy* Iliasa Esenberlina! Kiedy podczas pierwszego pobytu w Kazachstanie zaszedłem do antykwariatu i spytałem, co muszę przeczytać, żeby zrozumieć Kazachów, księgarka bez wahania sięgnęła po to dzieło: to o nas, my tacy jesteśmy! Literacki fresk przypominający rozmachem *Iliadę* ukazał się w połowie lat siedemdziesiątych i opowiada – w pierwszej części – o narodzinach Chanatu Kazachskiego, ale można go traktować jak przewodnik po współczesnej kazachskiej polityce. I pewnie równie dobrze tłumaczył relacje na dworach kazachskich sekretarzy partii w sowieckiej republice.

Mamy więc lata sześćdziesiąte XV wieku. Uzbecki chan spotyka w stepie koczującą wieś, która w ślad za Kerejem i Dżanibekiem ucieka spod jego władzy.

„Kiedy ucichły krzyki, aksakał Konurbaj ruszył wolno na wzgórze i stanął przed pyskiem chańskiego konia. Pochyliwszy godnie głowę, rzekł:

– Dziewięćdziesięcioletni Konurbaj z rodu Dżabagajły chyli przed tobą głowę, wielki panie i władco!

– Dokąd zmierzacie? – zapytał cicho chan, nie odpowiedziawszy na pozdrowienie aksakała.

– Nad rzekę Czu, panie najmiłościwszy. Tam, dokąd odeszli wszyscy nasi ludzie!

– Po co wam to było potrzebne?

– Żyć się już nie dało, panie najmiłościwszy. Twoi poborcy podatków zamienili się w głodne wilki!

– Czy tam, dokąd zdążacie, nikt nie będzie zbierał daniny?

– Będzie, ale żywimy nadzieję, że będzie to jeden pan. Tutaj oprócz tego, co zabierają rodowi sułtani, bierzesz także i ty. I to tak bierzesz, że ludziom ciemno robi się w oczach.

– Jestem przecież waszym chanem. Od zarania wieków ludzie płacą chanowi należną mu część. Czyżbyś zapomniał o głównym przykazaniu przodków, starcze?

– Nie, nie zapomniałem. Jednakże w myśl owego przykazania chan, który otrzymał należną mu część, winien ochraniać swoich poddanych przed wrogiem i niesprawiedliwością. Ty, panie, nie czynisz ani jednego, ani drugiego […].

Starzec mówił monotonnym głosem, a w jego starych oczach widoczny był niezachwiany upór. Żółte błyski, które zapaliły się w oczach Abulchaira [Abu

al-Chajra], zgasły bezsilne. Dał znak ręką. Setnik kiwnął pospiesznie głową, okrutny uśmiech wykrzywił jego sine wargi.

– Odwróć się, starcze niewdzięczny, abyś mógł oglądać zgubę nasienia swego! – powiedział.

Starzec odwrócił z wolna twarz w stronę swego aułu. W tym samym momencie rozwścieczeni żołnierze z ochrony chana rzucili się z obnażonymi szablami na bezbronnych ludzi. Wielogłosy krzyk ludzki uderzył w jasne puste niebo".

W innym zaś miejscu czytamy: „Możesz podbić nie wiem ile ziem, lecz jeśli nie dogodzisz ludziom, to twój chanat podobny będzie do przyciasnego chałata na ramionach olbrzyma. Przy najmniejszym ruchu zacznie pękać w szwach".

2

Tymczasem pokojowe protesty dosłownie w dwa dni przerodziły się w krwawe zamieszki. W różnych miastach pojawili się teraz prowodyrzy, którzy zagrzewali tłumy do walki z policją, prowadzili je do szturmów na siedziby lokalnych władz, plądrowali centra handlowe. W Ałmatach, gdzie zajścia miały najcięższy przebieg, uzbrojona banda zajęła międzynarodowe lotnisko, największe w kraju i całej Azji Centralnej. Samoloty przestały latać. Państwo zatrzęsło się w posadach. Tak się nie protestuje przeciwko podwyżkom!

Niejasną rolę w tych wypadkach odegrał Komitet Bezpieczeństwa Narodowego. Kierowali nim ludzie bardzo blisko, często rodzinnie, związani z Nazarbajewem. Za ich pośrednictwem Ełbasy wciąż mógł na bieżąco wpływać na sprawy kraju. Czy wtedy wpływał? Według relacji świadków mundurowi rzadko interweniowali – patrzyli beznamiętnie na rabunki i grabież, a nieraz sami dolewali oliwy do ognia, jakby zależało im na jeszcze większym chaosie i jeszcze mocniejszym rozhuśtaniu nastrojów. Jeśli tak rzeczywiście było – nie mamy powodu nie wierzyć świadkom, ale w Kazachstanie nie działał wtedy internet i wielu informacji nie da się zweryfikować – musieli dostać rozkazy. Ci, którzy je wydali, chcieli najwidoczniej zniszczyć Tokajewa i jego ekipę, pokazać, że nie radzi sobie z kryzysem i nie nadaje się do rządzenia. Po co? Żeby odsunąć prezydenta i przejąć kontrolę nad państwem? Tak podpowiada logika, choć cała prawda może nigdy nie wyjść na jaw.

Jeśli jednak tak było – czym kierowali się ci ludzie, pchając Kazachstan ku przepaści? Tylko żądzą władzy, czy także poczuciem krzywdy? Wejdźmy w skórę bratanków i pociotków Nazarbajewa, ulokowanych na ważnych urzędach. Czy gdy wuj wskazał na swojego następcę Tokajewa – to nic, że formalnie i trochę na niby – nie mogli pomyśleć, że na jego miejscu powinien znaleźć się któryś z nich? Że to im należała się cała scheda, przecież pochodzili z nazarbajewowskiego rodu, krew z krwi i kość z kości plemienia Szapraszty ze Starszego żuzu? Że w takim razie trzeba poczekać na stosowny moment i samemu wziąć, co należne? Resztę doczytamy u Esenberlina, który nie mógł słyszeć o idei Mangilik El, bo umarł, zanim Nazarbajew doszedł do władzy, ale znał Wielki Step i doskonale rozumiał tryby wiecznego państwa.

„Jak piersiowa choroba zżera płuca chorego, tak od wieków namiętność do podbojów zżerała serca Czyngisydów. Panowała nad nimi, kierowała wszystkimi poczynaniami i zamiarami, decydowała o sprawach rodzinnych. Zarażeni ową najstraszniejszą i nieubłaganą chorobą, ludzie przestają widzieć świat we właściwym świetle. Ślepcami się stają, wierząc jedynie w swoje wielkie przeznaczenie. Wydaje im się, że są panami historii.

A przecież są to najczęściej najzwyklejsi pod słońcem ludzie. Bezgraniczna władza pozbawia ich rozsądku, przeszkadza w ocenie sytuacji, nie pozwala wniknąć w istotę bieżących wydarzeń. I wówczas najłatwiej im przychodzi wykonać nakaz, aby strzegli się mądrych ludzi. Pewnego pięknego dnia pozostaje tylko złote mamidło, a pod nogami całego ludu rozwiera się przepaść…”

Tokajew na pewno to rozumiał. Kiedy godził się na swój udział w dwuwładzy, wiedział, na co się pisze. Ale może liczył, że nowy układ okaże się stabilny – przez trzy lata był – a struktury państwa na tyle okrzepłe, że oprą się nazarbajewidom. A może też, tak jak tamci, czekał – tyle że na swój czas, na ten moment, gdy będzie się mógł urwać z uwięzi i zgarnąć wreszcie całą pulę. Szanse były niewielkie, bo nie miał liczonego w milionach, a lepiej, w miliardach dolarów majątku ani własnego zaplecza – potężnej, wpływowej „rodziny”, która stanie za tobą murem. Jedynie garść współpracowników z MSZ. Nazarbajew właśnie dlatego wybrał jego, a nie któregoś ze swoich drapieżnych zięciów rządzących kazachskimi ropą i gazem – oni od razu przemeblowaliby kraj pod siebie – ani nawet żadnego z bratanków i pociotków, którzy trzęśli resortami siłowymi. Ci gotowi byli wziąć Kazachstan za twarz. Nazarbajewidzi mogli traktować Tokajewa – pełniącego już wcześniej wysokie

funkcje, a teraz uosabiającego państwo – jak pariasa, który bezprawnie wdarł się na ich salony. Może dawali mu to odczuć? Bo nawet próbował się rozpychać, wyrzucił z Senatu córkę Nazarbajewa Darigę (co prawda podpadła ojcu i ten jej nie bronił) i planował przejąć partię rządzącą. Pole manewru było jednak niewielkie, nie mógł pójść do nadprezydenta na skargę, usłyszałby pewnie, że zna reguły gry i sam musi pchać ten wózek.

Ale reguły gry miały znaczenie, dopóki między ośrodkami wpływu, między grupami, klanami i koteriami panowała równowaga. A ta właśnie przestała istnieć. Nie było czasu do stracenia. Tokajew zaczął działać z energią, o którą nikt go nie posądzał, i mogliśmy zobaczyć, jak w kilka godzin przemienia się z wyciszonego dyplomaty w politycznego wojownika, w przywódcę. Skąd wiedział, jak się zachować? Na pewno czytał Iliasa Esenberlina. Bez wątpienia znał również i Machiavellego, i perskiego autora Al-Mulka, który napisał traktat o rządzeniu. Ale sama teoria by nie wystarczyła, musiał zagrać też instynkt. Intelektualista o manierach arystokraty nie może udawać drapieżcy, to wyglądałoby śmiesznie – on musiał być drapieżcą, tylko tego nie ujawniał, choć niby wszyscy wiedzieli, że skończył moskiewskie MGIMO[6] i sowiecką Akademię Dyplomatyczną, a tam frajerów nie brali, tam trzeba było być twardzielem (zanim rozpadł się Związek, zdążył odsłużyć kilkanaście lat w sowieckiej dyplomacji, w tym sześć na ciężkiej placówce w Chinach, gdzie kilka razy awansował).

Gdy tylko protesty zaczęły się rozszerzać, prezydent zamroził ceny gazu, zdymisjonował rząd i pozbawił Nazarbajewa przewodnictwa w Radzie Bezpieczeństwa. Zrobił to bezprawnie, ustawa mówiła, że Ełbasy pełni tę funkcję dożywotnio, ale prawo nigdy nie nadąża za życiem (dwa tygodnie później, gdy sytuacja się uspokoi, parlament, nad którym Tokajew już panował – oponenci nie poświęcili tej instytucji wiele uwagi, nie uważali jej za tak istotną – uchwali nowelizację). Prezydent musiał ostudzić radykalizujących się obywateli. Dać ludowi żer. Następnie wprowadził stan wyjątkowy. A policja ostrzegła, że do naruszających jego zasady będzie strzelać bez uprzedzenia.

Jednocześnie prezydent uderzył w Komitet Bezpieczeństwa Narodowego, gniazdo nazarbajewidów i państwo w państwie, wolny elektron systemu władzy. Uderzył z najgrubszej rury – wyrzucił szefa Komitetu, Karima Masimowa, i kazał go zamknąć oraz odwołał jego zastępców (jeden z nich był bratankiem Nazarbajewa). Ryzykował życie, ci ludzie mogli w sekundę zgnieść go jak

pluskwę, działał jednak tak szybko i zdecydowanie, że nie zdążyli zewrzeć szeregów. Sprzyjał mu panujący w Kazachstanie system prezydencki, który pozwalał na ręczne sterowanie państwem.

No i Tokajew się ubezpieczył. Gdy Masimow trafiał za kraty, w Astanie i Bałchaszu lądowały już – lotnisko w Ałmatach cały czas okupowali rebelianci – pierwsze oddziały sił pokojowych OUBZ, czyli Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym. Kontyngent liczył w sumie ponad dwa tysiące żołnierzy. Większość stanowili Rosjanie, choć w misji symbolicznie wzięły też udział Armenia, Białoruś, Kirgistan i Tadżykistan. Był 6 stycznia 2022 roku – protesty, przypomnijmy, zaczęły się zaledwie cztery dni wcześniej. Teraz prezydent mógł na chwilę odetchnąć, błyskawiczne posiłki wzmacniały jego pozycję.

Tokajew wezwał OUBZ, bo nie wierzył w lojalność własnych służb. A zdominowany przez Rosję sojusz ma w statucie zapis, że atak na jedno państwo członkowskie obliguje pozostałe do pomocy (tak samo jak w NATO). Spiskowcy i ich podkomendni, którzy zabijaliby bez skrupułów rodaków, nie mogli strzelać do Rosjan – trudno sobie nawet wyobrazić, jak okrutnie ci by się zemścili. Rzecz jasna, gdyby wcześniej udało się obalić Tokajewa, Moskwa pewnie uznałaby z czasem nowe władze – i właśnie o tym mówił Kęstutis Jankauskas, sugerując, że buntownicy mogli już być dogadani z kimś ważnym. Prezydent nie dał się jednak wysadzić z siodła, więc Rosja udzieliła mu wsparcia.

Pozostawało uzasadnić interwencję: OUBZ może wkroczyć do akcji, gdy kraj członkowski jest zagrożony z zewnątrz, w Kazachstanie zaś trwał konflikt wewnętrzny. Naprędce przyjęto wersję, że za zamieszkami stali terroryści inspirowani radykalnym islamem: w poprzednich latach miało przeniknąć z zagranicy dwadzieścia tysięcy bojowników, którzy się przyczaili, czekając na sygnał. Gdy ten nadszedł, ruszyli do ataku, wsparci przez zdrajców z Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego. Wykorzystali protesty po podwyżce cen gazu – słuszny gniew ludzi, którzy wyszli na ulice walczyć o swoje prawa. Narracja ta była tyleż logiczna, co mało prawdopodobna. Chociaż w Ałmatach rzeczywiście pojawili się brodaci mężczyźni o powierzchowności mudżahedinów i przez kilka godzin chodzili po mieście, siejąc strach i grozę.

– Przylecieli rano z Oszu na południu Kirgistanu i wylądowali na lotnisku, które nie pracowało – opowiadał ambasador UE. – Było ich trzystu. Wieczorem

wrócili do siebie. Domyślamy się, że za tą akcją stał Komitet, ale może to była jakaś piętrowa intryga?

Obecność Rosjan, którzy obstawili najważniejsze obiekty w kraju, nie dopuszczając do nich żadnych demonstrantów, otrzeźwiła Kazachstan. Z ulic wywiało prowodyrów – zwykli ludzie dawno siedzieli po domach. Po kilku dniach Ałmaty, a z nimi inne miasta, zaczęły wracać do życia. Pojawiły się służby miejskie, które zbierały walające się szkło, usuwały spalone samochody i łatały wyrwany bruk. Znowu otwierały się sklepy, tu i ówdzie łapano już internet. Wiatr rozwiewał swąd wypalonych śmieci. Podliczono ofiary: prawie dwustu pięćdziesięciu zabitych, najwięcej w Ałmatach, ale byli też w Kyzyłordzie czy Szymkencie. Prawie cztery i pół tysiąca rannych. Plotki, jak zwykle, podawały w wątpliwość oficjalne komunikaty. Tokajew, który na gwałt ściągał interwentów, teraz myślał, jak się ich pozbyć, żeby naród nie zaczął szemrać, że prezydent trzyma się na ruskich bagnetach.

Kontyngent OUBZ zniknął tymczasem tak szybko, jak się pojawił, i już po dwóch tygodniach nie było po nim śladu, choć Rosjanie wszędzie tam, gdzie wchodzą, zwykle zostają na dłużej. Może stało się tak pod naciskiem Pekinu, który nie chciał, by równowaga sił w regionie zmieniła się na jego niekorzyść. Może Moskwa sama dała hasło do odwrotu, bo szykowała się do wojny. Może jedno i drugie. A 24 lutego Rosja napadła na Ukrainę i Tokajew wpadł w nową pułapkę: Putin liczył, że ten się odwdzięczy za uratowanie stołka, a może i życia, i poprze operację. A w najgorszym razie zrobi to ze strachu, że Kazachstan będzie następny. Prezydent dyplomata, który musiał się liczyć nie tylko z Kremlem, lecz także z własnym społeczeństwem i jego rozdwojonym spojrzeniem na Rosję, wziął jednak kurs na przeczekanie. Astana zachowała zatem neutralność, chociaż uznała integralność Ukrainy. Ale w ONZ raz i drugi głosowała tak jak Moskwa. Wreszcie w czerwcu, w panelowej dyskusji z udziałem Putina na forum ekonomicznym w Petersburgu, na pytanie prowadzącej, znanej rosyjskiej propagandystki, Tokajew odpowiedział, że nie zamierza uznać samozwańczych republik Donbasu. Dał w ten sposób do zrozumienia, że nie czuje się niczyim dłużnikiem: z Rosją możemy i będziemy współpracować, ale na równych zasadach[7].

Przed podróżą do Petersburga Tokajew odwiedził mauzoleum Dżocziego, najstarszego syna Czyngis-chana, które znajduje się w centralnej części kraju, niedaleko miasta Żezkazgan. Zanim Rosja stała się światowym mocarstwem i zagarnęła kawał Azji, ludy Wielkiego Stepu po wielokroć zapuszczały się na

jej obecne ziemie, biorąc pod but tamtejszych książąt. W Kazachstanie stopniowo wraca pamięć o tamtych czasach.

Denazarbajewizacja – tym zajmował się Tokajew w miesiącach po stłumieniu buntu. Krok po kroku pozbawił poprzednika wszystkich funkcji, które ten jeszcze sprawował, doprowadził do uchylenia ustawy o Ełbasym, wreszcie zwołał referendum, w którym przyjęto pakiet kilkudziesięciu poprawek do konstytucji. Korygowały one ustrój państwa, wzmacniając nieco parlament i samorządy kosztem prezydenta, ograniczając pole do korupcji i nadużyć oraz ułatwiając organizowanie się obywateli. Z ustawy zasadniczej zniknęły wszystkie wzmianki o pierwszym prezydencie – pozostał tylko zapis o byłych szefach państwa, którym miał przysługiwać tytuł eksprezydenta. Tokajew chciał zreformować kraj, zachowując jednak ciągłość instytucji, dlatego wolał przepisać starą konstytucję, niż uchwalać nową. Sam nie należał do „rodziny” Nazarbajewa, wywodził się jednak z szerokiej nazarbajewowskiej elity.

Swoim trybem szły rozliczenia z nazarbajewidami i ich otoczeniem. Najbardziej znani krewniacy i ludzie z kręgu Nazarbajewa stracili stanowiska w państwowym biznesie i wysokie urzędy, przejęto część ich aktywów. Ale nie puszczono z torbami.

– Rodzina kontrolowała wcześniej pięćdziesiąt procent gospodarki kraju – oceniał ambasador Kęstutis Jankauskas. – Teraz kontroluje trzydzieści pięć, może czterdzieści procent.

Odbyły się przyspieszone wybory prezydenckie, które wygrał Tokajew (liczbę kadencji zmniejszono teraz do jednej, siedmioletniej), a następnie wybory parlamentarne i lokalne.

Wybiwszy się na samodzielność, prezydent skupił się na kazachizacji. Budowie państwa Kazachów. Orędzia wygłaszał nadal po rosyjsku – mówił do wszystkich Kazachstańczyków, nie tylko do rodaków, zresztą nie władał biegle kazachskim – otoczył się jednak doradcami z narodowych kazachskich kręgów. Rozwinął dyskretny kult Dinmuchamieda Kunajewa, wieloletniego sekretarza partii i protektora, a potem śmiertelnego wroga Nursułtana Nazarbajewa. Nazwał jego imieniem jedno z miast w okolicach Ałmatów. Kult miał łączyć Kazachów oraz wszystkich, którym dobrze kojarzył się Związek Radziecki, czyli również miejscowych Rosjan. Miał też zapewne wypierać kult Nazarbajewa. Jednocześnie rozgorzała, jak pamiętamy, dyskusja o kolonialnym

dziedzictwie i sposobach przezwyciężenia syndromu postkolonialnego. Tej dyskusji sprzyjała wojna na Ukrainie.

Wiosną 2023 roku, po utajnionym procesie, zapadł wyrok w sprawie byłego kierownictwa Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego. Karim Masimow, który wcześniej był między innymi dwukrotnie premierem Kazachstanu, został skazany na osiemnaście lat więzienia za zdradę stanu, próbę siłowego przejęcia władzy i przekroczenie uprawnień. Wszystkich interesowało, czy Masimow działał sam, czy też ktoś za nim stał – był bardzo bliskim współpracownikiem Nazarbajewa, nie należał jednak do najwęższego, wewnętrznego kręgu władzy – ale na to nie znaleziono odpowiedzi. Trzech zastępców Masimowa dostało krótsze wyroki. A czwarty zastępca, bratanek Nazarbajewa, wystąpił jako świadek. Nie wiemy, czy było to przedmiotem targów i jakiejś umowy, czy też Tokajew był ciągle zbyt słaby, by się z nim rozprawić. A może Samat Abisz, bo tak się ten bratanek nazywa, okazał się po prostu niewinny? Nazarbajewidzi wyszli z tych wypadków mocno poobijani, ale wciąż mają potężne aktywa (swój majątek zachował też, rzecz jasna, były prezydent). Czy kiedyś znowu ruszą do walki o władzę? Ilias Esenberlin przestrzegał, że wroga trzeba pokonać do końca, ostatecznie, nie dając mu szans na przyszły kontratak. I przytoczył przysłowie: „Aby postawić nową jurtę, musisz rozebrać starą”. Rozebrać do końca, do ostatniego elementu rusztowania.

Przy okazji wyroku dziennikarze zapytali Nazarbajewa, czy wiedział o spisku Masimowa. Było to na jakiejś uroczystości, oglądałem tę scenkę w kazachskiej telewizji. W skulonym starcu niewiele zostało z potężnego Przywódcy Narodu, ale nie mam wątpliwości, że gdyby znów jakimś cudem przyszło mu rządzić, gdyby do jego zwapnionych żył popłynął kroplówką życiodajny nektar władzy, a nozdrza poczuły krew, zebrałby jeszcze siły, wyprostował się i ruszył ku nowym wyzwaniom. Ciekawe, ile razy wyrzucał sobie dymisję i kombinację z sukcesorem? Czy był zły na siebie, na bratanków oraz pociotków, na Tokajewa? A może – choć brzmi to nieprawdopodobnie – po tym wszystkim, co się tutaj i na świecie wydarzyło, nie żałował jednak swojej decyzji? I jak wyglądałby kraj, gdyby on pozostawał przy władzy – czy wytrzymałby presję Kremla? Tymczasem cichym i słabym głosem tłumaczył teraz dziennikarzom, że nie, niczego nawet nie przeczuwał. Jezus wiedział, że Judasz go zdradzi, ponieważ Jezus był Bogiem – takiego użył porównania. Ja, westchnął, nie jestem wszechmogący. Zrobiło mi się go nawet żal.

Jego epoka właśnie dobiegła końca. Rządził Kazachstanem trzydzieści trzy lata. Tyle, ile żył Chrystus. Dwa lata jako pierwszy sekretarz, dwadzieścia osiem jako prezydent oraz trzy jako nieformalny zarządca, nadprezydent albo ojciec chrzestny państwa. Aż historia zatoczyła pełne koło i zapętlił się życiowy cykl. Nazarbajew doszedł do władzy, zdradziwszy swojego protektora Kunajewa, a stracił ją po zdradzie Tokajewa, swojego protegowanego, który zabrał mu wszystkie przywileje, chociaż nie tak się umawiali. Ale w świecie Wielkiego Stepu syn, aby się usamodzielnić, musi zabić ojca. Przynajmniej symbolicznie.

W *Koczownikach* ojcobójstwo było fizyczne i boleśnie dosłowne – to jednak tylko szczegół, kwestia formy, piętno epoki: „Gdy miałem szesnaście lat, własnymi rękami zarżnąłem Kazy-beja, syna samego Edige, o potężnej czaszce – wspominał Abulchair [Abu al-Chajr], a jego wargi wykrzywiała duma. – Kiedy skończyłem siedemnastą wiosnę, odbyłem słynny pojedynek z chanem Żumadekiem, który władał stepem Deszt-i-Kipczak. Kochał mnie był jak syna i od wczesnych lat wychowywał jak ojciec. Czyż drgnęła moja ręka, kiedy zwaliwszy go z siodła, przeciąłem mu gardło? On sam przyjął śmierć lekko, rozumiejąc, że takie jest prawo życia, że tak samo postąpię z mymi wrogami. Przekazał swój tron w pewne ręce”.

Ostatnim akordem denazarbajewizacji, owym śmiertelnym ciosem, po którym ojciec już się nie podniesie, a syn rozpocznie wreszcie życie na własny rachunek, była kolejna zmiana nazwy stolicy. Pewnego dnia Tokajew oświadczył mianowicie, że Nur-Sułtan znowu będzie Astaną. I życie potoczyło się dalej.

3

Akmolińsk – Celinograd – Akmoła – Astana – Nur-Sułtan – i znowu Astana. W Związku Radzieckim krążył dowcip o mężczyźnie przesłuchiwanym przez KGB. Rzecz działa się w ówczesnym Leningradzie, który też kilka razy w historii zmieniał nazwę:

– Gdzie się urodziliście?

– W Sankt Petersburgu.

– Gdzie skończyliście edukację?

– W Piotrogrodzie.

– Gdzie mieszkacie obecnie?
– W Leningradzie.
– A gdzie chcielibyście mieszkać?
– W Sankt Petersburgu!

Taki sam dowcip można wymyślić o Astanie. W niektórych kulturach Azji ludzie przyjmują nowe imiona, gdy wchodzą w nowe role społeczne – idą na studia albo zakładają rodzinę. To symbol dojrzewania, wewnętrznej przemiany. Podobnie pod kolejnymi nazwami Astany kryły się w rzeczywistości różne miasta.

Założony w 1830 roku Akmolińsk był początkowo rosyjską twierdzą, a następnie niewielkim miasteczkiem. W roku 1863 został siedzibą powiatu. Dopiero w ZSRR dociągnięto tam kolej. Dominowała prowincjonalna rosyjska zabudowa, parterowa albo piętrowa. Niewiele się jej zachowało – cerkiew z początków XX wieku, fragment ściany jeszcze starszego meczetu, trochę domów.

W sowieckim Kazachstanie powstała na czas kampanii zagospodarowania nieużytków odrębna jednostka administracyjna – Kraj Celinny o powierzchni dwukrotnie większej niż Polska. Jego siedzibą został Celinograd (nazwę tę miasto nosiło w latach 1961–1992). Na prawym brzegu Iszymu, na gruzach Akmolińska, wyrosło socrealistyczne „miasto idealne” z szerokimi alejami, rozległymi placami i Pałacem Celinników – domiszczem kultury z salą koncertową na dwa i pół tysiąca miejsc. Im dalej od centrum, tym zabudowa była skromniejsza. A za celinogradzkimi blokowiskami ciągną się do dziś kolonie biedadomków z tamtych czasów, przypominające brazylijskie fawele.

Tuż po upadku Związku Radzieckiego miasto wróciło do swojej najpierwotniejszej nazwy, rosyjski Akmolińsk wziął się bowiem od kazachskiej Akmoły, uroczyska położonego na południe od dzisiejszego centrum. Początkowo twierdza miała stanąć właśnie tam, ale okazało się, że to tereny zalewowe. Postsowiecka Akmoła (1992–1998) uosabiała okres przejściowy, czas przełomu i transformacji, nierównej walki między starym a nowym. Fasady z kolumnami w stylu sowieckiego empire’u znikały pod panelami i sidingiem, rozkwitł żywiołowy handel, zapanowały szyldoza i reklamoza. Gdy Nazarbajew przeniósł tutaj stolicę – stało się to pod koniec 1997 roku – zapadła decyzja o kolejnej zmianie nazwy: Akmoła to w przekładzie „biała mogiła”, co nie kojarzyło się najlepiej. Astana to po prostu „stolica”.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Pierwsza Astana (1998–2019) rozlała się na lewym brzegu Iszymu i była miastem sztucznym, jak Brasília w Brazylii czy Naypyidaw w Mjanmie (Birmie). Jako pierwsze powstały obiekty rządowe i gmachy publiczne. Pomiędzy nimi długo nie było normalnej miejskiej tkanki, domów mieszkalnych, parków, nawet ulic. Z wzniesionej w 2002 roku wieży Bajterek (w kazachskiej łacince Bäjterek), stojącej na głównej osi nowego miasta, widać było wokół goły step. Zawsze, jak byłem w Astanie, wjeżdżałem na górę, i za każdym razem step coraz bardziej się oddalał. Budująca się stolica przypominała stylem Aszchabad, choć daleko było jej do tamtejszych fantasmagorii. Turkmeński architekt Rusłan Muradow nazwał taki styl „prezydenckim”: ma być prestiżowo, luksusowo i błyszcząco. Do tego nieco orientalnie – z kopułami i łukami, ale też modernistycznie – ze szkłem i betonem. Plus lokalny koloryt: znak rodowy czy przedislamski symbol na fasadzie, jakieś odniesienie do jurty. Co jednak ważniejsze, w przeciwieństwie do rosyjskojęzycznego Celinogradu – i do rosyjskojęzycznych Ałmatów – w Astanie od początku częściej mówiło się po kazachsku.

Ikoniczna wieża Bajterek wyznacza środek nowego miasta. Astana, 2016

W Nur-Sułtanie (2019–2022) dało się już jakoś żyć mimo korkujących się bez przerwy przelotówek. Stopniowo pojawiła się infrastruktura, a oba brzegi Iszymu zaczęły się do siebie zbliżać. Najmocniej spaja je park Centralny, położony w zakolu rzeki i połączony z ciągnącą się po drugiej stronie promenadą mostami dla pieszych i rowerzystów.

Druga Astana to już regionalna metropolia, gdzie co najmniej tak często, jak rosyjski, słychać język angielski. Pojawia się też chiński. Ale na ulicach dominuje kazachski.

4

– Gdyby Rosja napadła na Kazachstan, byłby tu dżihad – powiedział mi na pożegnanie Kęstutis Jankauskas. – W razie czego Kazachom pomoże też Turcja. Tureckość i islam stały się częścią kazachskiej tożsamości.

Ambasador podrzucił mnie w stronę centrum i po drodze się rozstaliśmy. Miałem kilka godzin do samolotu. Zaszedłem do księgarni i kupiłem niedawno wydany szkolny podręcznik do najnowszej historii Kazachstanu – księgarnie są tu otwarte w niedziele. Kurs kończył się na wyborze Tokajewa na prezydenta. Na trzydzieści trzy pozycje, rekomendowane uczniom do dalszej lektury, dziewięć wyszło spod pióra Nazarbajewa (ale już cztery napisał nowy szef państwa). W kolejnym wydaniu znajdzie się zapewne opis styczniowych zajść – jeśli nic się nie zmieni, zostaną przedstawione jako efekt spisku wrogów wewnętrznych i zewnętrznych – z bibliografii zniknie zaś przynajmniej część nazarbajewowskiej twórczości.

Teraz wybierałem się na zachód, nad Morze Kaspijskie, na ziemie Młodszego żuzu i wchodzącego w jego skład plemienia Adajów. Tam, gdzie są najbogatsze złoża kazachstańskiej ropy i gdzie zaczynają się wszystkie niepokoje i bunty. Chciałem zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Poznać tamtejszą specyfikę. Na zakończenie podróży i tak wracałem jeszcze do Astany.

Po drodze na lotnisko zapytałem taksówkarza o Nazarbajewa.

– Za długo rządził. Ile można?! – odpowiedział bez zastanowienia.

Będę to słyszał wiele razy. Gdyby Nazarbajew odszedł dekadę wcześniej, ale odszedł naprawdę, bez kombinacji, byłby pewnie noszony na rękach i nikomu nie przyszłoby do głowy żądać, by zniknął ludziom z oczu: „*Szal, kiet! Szal, kiet! Szal, kiet!*”. Ale nie dowiemy się, jak by było. Ważne, że możemy o tym spokojnie rozmawiać, bez rozglądania się, czy ktoś nas nie podsłuchuje, a kierowca wali prosto z mostu, co myśli. To też jest dziedzictwo Nazarbajewa.

W samolocie do Aktau dostałem miejsce obok zwalistego gościa, który się bez przerwy wiercił, wstawał, coś poprawiał, przesuwał bagaż, siadał, znowu wstawał. Trochę nim rzucało, widać było, że jest podpity, ale sprawy miał jeszcze z grubsza pod kontrolą. Parę razy zahaczył mnie torbą, kurtką, jakimś pakunkiem i w końcu nie wytrzymałem, i zwróciłem mu uwagę. Gość sprawiał wrażenie, jakby dopiero teraz mnie zauważył. Podał mi rękę i zaczął wylewnie przepraszać:

– Hamid jestem, z wesela wracam. Dwa samoloty przespałem, na ten też ledwie zdążyłem.

Ucieszył się, że jestem Polakiem i może sobie ulżyć.

– Bo Ruscy to świnie. Okupanci. Zobacz, co robią na Ukrainie. Widziałeś Buczę? Kolonizatorzy, psia ich mać. Nieludzko nas męczyli. Słyszałeś o głodzie w Kazachstanie? A was po prostu nienawidzą, bo zawsze się im stawiacie.

Wyrzucił z siebie to wszystko na dzień dobry i zaproponował, żeby opić znajomość. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, już trzymał dwa piwa. Podjeżdżała akurat stewardesa z wózkiem i chciałem poprosić o sok pomidorowy, ale Hamid błyskawicznie się odwrócił, zagadał i prawie wyrwał jej z rąk butelki. W liniach Air Astana nawet na rejsach wewnętrznych mają piwo w gratisie.

– Za spotkanie!

– Za spotkanie. Masz refleks!

– Jestem byłym bokserem.

Zrobiliśmy to piwo i nowy znajomy przycichł, jakby uszła z niego para, ale minutę później zaczął się znów niespokojnie kręcić – był jednak wciąż niedopity. Wracająca właśnie stewardesa na chwilę się odwróciła, a on już miał w ręku dwie nowe butelki, z kocią zręcznością sam wyciągnął je z wózka i zasłonił kurtką, którą miał na kolanach. I to wszystko jedną ręką. Widać, że latami ćwiczył uniki, zwody i wyprowadzanie ciosów.

– Na zdrowie!

– Wybacz, ja już nie będę.

Westchnął i wypił oba piwa na hejnał. A chwilę później powtórzył akcję z wózkiem – stewardesa cofała się z nim przez pół samolotu, kogoś przepuszczała. Tym razem dostrzegła chyba kątem oka, co się święci, ale machnęła ręką, nie chciała awantury. Ale może się mylę. Hamid był naprawdę piekielnie szybki, a do tego działał na bezczela, mało komu przyjdzie do głowy, że człowiek nie schyla się po długopis czy komórkę, tylko na oczach całego samolotu obrabia wózek cateringowy. Szkło nawet nie zabrzęczało. Mistrz.

Próbowałem czytać, ale mój sąsiad miał fazę na gadanie. Piwa zrobiły swoje, mówił lekko niewyraźnie, ale jeszcze nad sobą panował, był zaprawiony nie tylko w bokserskich bojach. Teraz namawiał mnie, żeby po przylocie zjeść z nim na kolację, ugości mnie tak, jak tylko Adajowie potrafią.

– Kumpel będzie na lotnisku. Ma mnie zabrać do domu, ale pojedziemy, hmmm, dłuższą drogą. Znam jedno miejsce. A potem cię odwieziemy, gdzie trzeba – zachęcał.

Miałem ochotę, przypadkowe spotkania uchylają nieraz drzwi do nowych światów, nigdy nie biesiadowałem z bokserem, tym bardziej kazachskim. Ale wiedziałem, czym by się to skończyło – pijatyką w obcym miejscu i kacem gigantem. I nienawistnym spojrzeniem żony, czy z kim on tam mieszka, bo przecież zawlókłby mnie do siebie jako alibi – że Polak, że musiał. A następnego dnia byłem już poumawiany, zaś jeszcze następnego miałem lecieć dalej. Chociaż nie powiem, przygoda kusiła jak cholera, z tego się nigdy nie wyrasta.

Stary lis wyczuł wahanie.

– To może na piwko? Wypijemy jedno, góra dwa…

– Dzięki, Hamid. Naprawdę nie mogę. – Wariant z piwem zapowiadał inny początek wieczoru, ale takie samo zakończenie.

– Naprawdę nie?

– Naprawdę.

– Naprawdę naprawdę?

– Naprawdę naprawdę.

Posmutniał, ale nie na długo. W głowie zaświtała mu nowa myśl.

– A na winko?

Pokręciłem głową. Wino też nie wchodziło w grę.

– Na… portwajn?

– Yhm. Nie.

– Na szampan? Na koniak? Na whisky? Na wódkę? Na rum? Na gin? Na tequilę? Na likier? Na kumys? – wyliczał kolejne alkohole, sam bawiąc się coraz bardziej całą sytuacją, bo już widział, że z alibi nici, chociaż może miał jeszcze nadzieję, że w końcu się złamię: a co tam, raz kozie śmierć! Jego pomysłowość nie znała granic, przechodził samego siebie. Na arak? Na calvados? Na śliwowicę? Na nalewkę? Na koktajl?

– Nie, nie, nie.

– Słuchaj – nachylił się i zniżył głos – a co będzie, jak kiedyś umrzesz, oby jak najpóźniej, a Pan Bóg zapyta cię, dlaczego się nie napiłeś z Hamidem? I powie, że zrobiłeś źle, a ty już nie będziesz mógł tego naprawić? Pomyśl, jeszcze nie jest za późno…

Zamilkł i umościł się w swoim fotelu. Udałem, że przysypiam, a może naprawdę się na chwilę zdrzemnąłem. Wtem poczułem, jak łapie mnie za ramię, a potem usłyszałem przytłumiony stuk. Hamid wyciągnął jedną z pustych

butelek, które pochował przed stewardesą, podsunął mi pod ucho i dziobał w nią palcem.

– To co, może jednak na piwko?

5

Z lotniska do centrum Aktau jest dwadzieścia parę kilometrów. Taksówkarze wołali pięć–sześć tysięcy tenge (jedenaście–trzynaście dolarów), ale przez aplikację szybko złapałem kurs za dwa tysiące pięćset. Kierowca miał na imię Alik i był Gruzinem, a jeździł mercedesem na blachach z Armenii. Potem widziałem w okolicy jeszcze dużo armeńskich numerów.

– Tam są tańsze auta – uświadomił mnie Alik. – A jak masz upoważnienie od właściciela, nie musisz robić odprawy, bo Armenia i Kazachstan są w Unii Celnej. Czysty zysk.

– Ale formalnie to nie twój samochód.

– No i co z tego? Kupiłem go tu, na miejscu, razem z pełnomocnictwem i jeżdżę, dokąd chcę.

Rzut oka na mapę uświadamia, dlaczego związki Aktau z Kaukazem są tak żywe. Do Tbilisi jest stąd w linii prostej pięćset pięćdziesiąt kilometrów, a do Baku – nawet o sto kilkadziesiąt mniej. Morze Kaspijskie, zwane w staropolszczyźnie Chwalińskim, a w niektórych językach Orientu – Chazarskim, przeskakuje się samolotem jak kałużę. W każdym razie Alikowi opłacało się przylatywać tu co jakiś czas na parę tygodni i jeździć na taksówce. Do Baku też lata samolot, a raz w tygodniu pływa prom. Zaś z perspektywy Astany to koniec świata: prawie trzy godziny lotu, bite dwie doby pociągiem. I co najmniej dwa tysiące siedemset kilometrów samochodem, bo trzeba ominąć płaskowyż Ustiurt, ciągnący się od Jeziora Aralskiego do nasady półwyspu, na którym leży Aktau. A na samym półwyspie – półpustynie i pustynie. Sama geografia izoluje Aktau od reszty kraju.

Prostą jak strzała drogą przecięliśmy zachodni kraniec pustyni, która dochodzi tu prawie do morza. Dookoła był piasek, potem pojawiły się karłowata zieleń, farmy wiatrowe, a w oddali jakiś przemysł. Ta część półwyspu jest niemal płaska, ale dalej zaczynają się wzniesienia i zapadliska. Kryją się w nich dawne cmentarze, mauzolea sufickich świętych, wykute w skałach pustelnie, podziemne meczety. Niektóre z tych miejsc uwiecznił na swoich rysunkach

Bronisław Zaleski, który w połowie XIX wieku był tu zesłany i brał udział w ekspedycjach naukowych w okoliczne góry. Tutaj zaprzyjaźnił się z ukraińskim wieszczem, poetą i malarzem Tarasem Szewczenką, z którym dzielił zesłańczy los. Szewczenko poświęcił Zaleskiemu ostatnie zwrotki wiersza *Do Polaków* – „Podajże rękę Kozakowi / I serce swe do niego przychyl".

Miasto zaczyna się na pustyni, przedmiejskie domy sprawiają wrażenie, jakby stały w piasku. Powstaje tu dużo wielopiętrowych apartamentowców – i je również owiewa piasek. Z piasku wyrastają skarlałe drzewka, do każdego z nich gumowy wąż doprowadza wodę. W centrum robi się na chwilę wielkomiejsko, place, budynki rządowe, większe sklepy, ale parę przecznic dalej znowu wjeżdża się w piach, tylko jest więcej zieleni, widać, że to starsza dzielnica. Byłem tu już czternaście lat wcześniej, ale nie mogłem sobie nic przypomnieć, nie kojarzyłem żadnego domu, wróciło tylko poczucie tymczasowości i niepewności, z którym wtedy wyjeżdżałem. Tak, Aktau ma w sobie coś z miasteczek z Dzikiego Zachodu, które zrodziła gorączka złota i które wraz z jej końcem upadły. Tutaj też znaleźli złoto, tyle że czarne, i jeszcze się nie skończyło. Przeciwnie, ropy ma starczyć na długo, więc Aktau będzie żyć dalej, a nawet się rozwijać, wznosząc kolejne domy na piasku.

Stanęliśmy przed hotelem. Umówiłem się z Alikiem, że za dwa dni odwiezie mnie z powrotem na lotnisko.

Następnego ranka zacząłem od morza. Najbliższa od hotelu plaża okazała się żwirkowata, a woda nie najczystsza, wokół walały się jakieś deski i betonowe płyty, ale ktoś się już kąpał, a ktoś inny spał na jedynym plastikowym leżaku. Parę kilometrów dalej był kawałek plaży z prawdziwego zdarzenia, z domami wypoczynkowymi, kafejkami, promenadą i całą plażową infrastrukturą, w pobliżu ulokował się nawet jachtklub, a przez nadmorskie skały przebito parokilometrową pieszą ścieżkę, po zmroku podświetlaną na kolorowo, z ławkami i punktami widokowymi. Wybrałem się tam wieczorem, było światowo i elegancko, jak gdzieś w Europie, a nie na kazachskiej prowincji. Całe Aktau by tak wyglądało, i nie tylko Aktau, gdyby przez ostatnie trzy dekady zarabiane na surowcach petrodolary trafiały tam, gdzie powinny. I nie byłoby pewnie zajść w Żangaözenie, leżącym sto czterdzieści kilometrów stąd. Ale czy w Kazachstanie mogli nie narodzić się oligarchowie? Oni zastąpili państwo, które na początku było słabe i niewydolne, licząc sobie za to bajońskie

honoraria, niczym mafie we Włoszech czy na Bałkanach. Teraz są dla państwa coraz większym obciążeniem.

Zaraz po plaży miałem w planach lokalne muzeum. Kolejny taksówkarz z aplikacji był obłożony elektroniką jak pilot odrzutowca. Kierował swoją toyotą camry lewą ręką i jeszcze barkiem przyciskał do policzka komórkę, przez którą non stop gadał. Prawą przeglądał smartfon. Jednocześnie oglądał film na tablecie, od czasu do czasu zerkając na drogę. Gnał przy tym ile wlezie i trąbił na innych, tłukąc w klakson otwartą dłonią lewej ręki, którą w tym celu odrywał od kierownicy. Powietrze było zmętniałe, nie wiem, od piasku czy nadciągającego żaru, wydawało się nabite elektrycznością, a on pruł prosto w ten piasek, w żar, nie przestając nadawać do komórki. Klakson trąbił, aplikacje popiskiwały, tablet ryczał – ciekawe, pomyślałem, co to za film. Mimo podkręconej klimatyzacji wysiadłem spocony i zderzyłem się z falą gorąca, nad morzem było o wiele przyjemniej.

Murale z kazachskimi bohaterkami II wojny światowej na jednym z blokowisk. Aktau, 2022

Muzeum historyczno-krajoznawcze w Aktau pachniało nowością, w Kazachstanie w wielu miastach muzea przeniosły się albo właśnie przenoszą do większych, nowocześniejszych obiektów, ciągle powstają też nowe placówki. W walce o przyszłość kraju władze postawiły na przeszłość, muzea mają czarno na białym pokazywać, że tutaj od zawsze był Kazachstan – i nic innego. W hallu głównym wyeksponowano plansze z portretami czterech autorów, którzy pisali o półwyspie Mangystau, zwanym dawniej Mangyszłakiem – tym, na którym leży Aktau. Zamieszczono też cytaty z ich prac po kazachsku, angielsku i rosyjsku (właśnie w takiej kolejności). Na pierwszym miejscu wisiał portret Bronisława Zaleskiego.

– Wolimy Zaleskiego niż Szewczenkę, który też zostawił tu po sobie wiele rysunków – zadeklarował dyrektor Sułtanbiek Kudajbiergien, a ja wziąłem to za przesadną kurtuazję. Zaleski nie wytrzymuje porównania ze słynnym Ukraińcem, nawet w Polsce mało kto o tym twórcy słyszał. – Szewczenko uwieczniał biedę i biedaków – wyjaśnił dyrektor. – Żal mu było mangystauskich Kazachów i chciał pokazać światu ich niedolę, krzywdę, cierpienie. Wzbudzić dla nich litość i współczucie. Na jego pracach ludzie chodzą w podartych łachach, zwierzęta są wychudzone. Zaleski nie pudrował rzeczywistości, ale oprócz nędzy potrafił dostrzec piękno: szlachetne rysy twarzy, starą biżuterię, wzorzysty kilim. Rysował obrzędy, tańce, wyścigi konne. Lepiej nas rozumiał.

– „Nas” Kazachów czy „nas” Adajów? – spytałem.

Dyrektor znieruchomiał i przez dobrą chwilę milczał. Podziały żuzowe to grząski grunt, lotny piasek. Chwila nieuwagi i po tobie. Jako plemię najbardziej bitne nie tylko w całym Młodszym żuzie, lecz w ogóle wśród Kazachów, Adajowie budzili podziw, ale też nieufność rodaków. W czasach sowieckich uchodzili za element wywrotowy i niepewny. Dlatego mało kto z nich zrobił karierę w partii, wielkim przemyśle czy nauce. Zła fama przetrwała rozpad ZSRR i nasiliła się po zajściach w Żangaözenie w 2011 roku i niepokojach ze stycznia tego roku. Te wydarzenia były jak samospełniająca się przepowiednia: Adajowie znowu podnoszą głowy i mącą wodę! Z wielu opowieści wiedziałem, że we współczesnym Kazachstanie ludzie z tego plemienia czują się na cenzurowanym.

– Galisyjczycy i Katalończycy bardzo się różnią, ale Hiszpania jest jedna. Podobnie jest z Kazachami – zaczął w końcu ostrożnie. I zrobił krótki wykład o tym, jak Adajowie o sto lat opóźnili przyjście Rosjan do Azji Centralnej, a potem o utopionych we krwi powstaniach mangystauskich (w 1870 roku

przeciwko Rosji carskiej i w latach 1929–1932 przeciwko bolszewickiej). Wspomniał o kontaktach adajsko-kaukaskich i adajsko-turkmeńskich. Opowiedział też o Adajach, którzy skryli się przed prześladowaniami w innych republikach albo uciekli za granicę.

Być może Adajki, które Ella Maillart spotkała w pociągu w roku upadku antybolszewickiego powstania, chciały właśnie zejść władzy z oczu? Albo jechały do Taszkentu, aby dołączyć do reszty rodziny? Na szwajcarskiej pisarce zrobiły duże wrażenie: „Trzy miejscowe kobiety wdrapują się na metalowy mostek łączący dwa wagony, ja znajduję sobie bezpieczniejsze miejsce: malutką platformę nad schodkami, gdzie ulokowało się już dwóch staruszków. Jedna z Kazaszek to chyba najbardziej fascynująca istota, jaką dotąd widziałam. […] W podniesionych kącikach wąskich oczu błyszczy inteligencja, prosty nos, wąskie nieregularne brwi, małe pełne usta zdają się mówić z pobłażaniem: »To, że siedzę na mostku między bydlęcymi wagonami, nie odbiera mi godności«”.

– Walka z tożsamością adajską trwa. – Dyrektor przeszedł od historii do współczesności i wreszcie trochę rozwiązał mu się język. – W oficjalnej narracji nie jesteśmy zresztą Adajami, tylko Mangystauczykami. Z ludowych piosenek usuwa się słowo „Adaj”, bo pachnie ponoć separatyzmem. Chyba pan rozumie, że nie czujemy się z tym najlepiej.

Dla rodaków z żuzów Średniego i Starszego rozmowa dwóch Adajów przypomina kłótnię, tak głośno i twardo mówią po kazachsku (inne plemiona z Młodszego żuzu nie wyróżniają się tak bardzo wymową i intonacją). Kazachskie matki straszą ponoć Adajami niegrzeczne dzieci.

Dyrektor muzeum nie skarżył się na władze – nawet mu nie wypadało, pracował w końcu na państwowym. Odniosłem jednak wrażenie, że uważał swój Mangystau za wewnętrzną kolonię. Że dla Astany półwysep to stacja benzynowa z buntującą się od czasu do czasu załogą. Zaplecze surowcowe z kłopotliwym ludzkim dodatkiem.

6

Rzeczywiście, na rozpalonym słońcem półwyspie, którego trzymali się najtwardsi z twardych, adajscy pasterze-wojownicy oraz islamscy eremici i anachoreci (mistycy żywiący się korzonkami i powietrzem), miasta zbudowano jedynie z powodu bogactw naturalnych: ropy naftowej, gazu

ziemnego i rudy uranu. Wcześniej stały tam tylko forty, wojskowe przyczółki i prowizoryczne obozowiska wokół nielicznych studni.

W założonym w 1961 roku Aktau, które wyrosło na stolicę tych pustkowi, brakowało nawet wody pitnej, trzeba ją było dowozić. Potem powstała elektrownia jądrowa, a w niej pierwszy na świecie reaktor na neutronach prędkich, który służył do odsalania wody morskiej. Dużym, ponadstutysięcznym miastem został jeszcze Żangaözen. Pozostałe kilkanaście czekał los *monomiast* – dodatków mieszkaniowych do jednego przedsiębiorstwa. Wszystkie wybudowano w tym samym czasie, w latach sześćdziesiątych XX wieku.

Jak wiele sowieckich ośrodków, gdzie produkowano broń, wytwarzano energię atomową albo korzystano z pracy więźniów, Aktau było miastem zamkniętym.

– Drogę przegradzał szlaban, którego strzegli żołnierze – wspomniał w rozmowie Muchtar Umbietow, legendarny mangystauski działacz związkowy, również pochodzący z Adajów. – Mieszkaliśmy w przysiółku, pod koniec ZSRR nie można tam było niczego dostać, a w Aktau zaopatrzenie było przyzwoite. Czasem żołnierze litowali się i przepuszczali dzieci, które szły kupić chleb. Dorosłych nie puszczali. I to wszystko na naszej ziemi. Pomyśl, jakie to było upokorzenie.

Miasto nazywało się wtedy Szewczenko – pierwotną nazwę Aktau przywrócono w 1991 roku (w pobliżu jest jeszcze miasteczko Fort Szewczenko wyrosłe z dawnej twierdzy, w której wielki Ukrainiec odbywał zesłanie). W przeciwieństwie do Żangaözenu i całego Mangystau, gdzie żyli właściwie sami Adajowie, Aktau było Związkiem Radzieckim w miniaturze. Przeważali Rosjanie, ale sporo było także Ukraińców, Azerbejdżan i Tatarów. Ściągano ich tutaj do pracy. Dominował język rosyjski. Potem miasto otwarto i szeroką falą napłynęli Kazachowie z zagranicy, zwani *orałmanami*, a potem *kandasami*. Ludność całego obwodu, licząca u progu niepodległości nieco ponad ćwierć miliona, skoczyła do ponad siedmiuset tysięcy. Ale samo Aktau zachowało jeszcze kosmopolityczny sznyt.

Spotkałem się z Umbietowem, bo chciałem zrozumieć, jakie było podłoże protestów i niepokojów, do których dochodziło tu tak często. Kto, jak nie on, mógł to wytłumaczyć. Usiedliśmy w hotelowym barze, związkowiec zamówił piwo. W tym mieście wpływy islamu nie były jeszcze znaczące.

– Pierwsze zamieszki wybuchły w 1989 roku na tle etnicznym. Kazachowie pobili się z ludźmi z Kaukazu. Do dziś nie wiadomo, ile osób zginęło – zaczął. – A potem były już protesty w przedsiębiorstwach.

I popłynęła opowieść o kolejnych postulatach, strajkach, porażkach i sukcesach, o grze wokół ropy i gazu i o niezależnych związkach zawodowych. A także o cenie, jaką przyszło płacić rozmówcy za obronę praw pracowników. W najgorętszym okresie, na przełomie pierwszej i drugiej dekady XXI wieku, jeszcze przed żangaözeńską masakrą 2011 roku, dostawał ciągle telefony z pogróżkami. W końcu dopadli go bandyci w maskach i stłukli tak, że musiał się leczyć za granicą. Dwa lata dochodził do siebie. Wcześniej stracił pracę, siedział w areszcie. Nazarbajewowski Kazachstan, regionalny prymus i pupil Zachodu – w roku 2010 kraj przewodniczył w OBWE – miał swoje ciemne strony.

A strajkowano, bo warunki pracy były złe – gdzieś miesiącami zatrudniali na czarno, gdzieś indziej nie dawali odzieży ochronnej – a pensje niewielkie. Mangystau to synonim eldorado, ludzie cały czas ciągną tu za pracą, dlatego buduje się tak dużo domów. Ale dobrze zarabiają tylko nafciarze, a wszystko jest droższe niż w reszcie kraju. Było widać, tu się z tym nie ukryjesz, że obcokrajowcy dostają przy tym więcej niż miejscowi, a ci z kolei – po uważaniu. I każdy wiedział, jak ustawiane są przetargi i jak nazarbajewidzi prywatyzują zakłady, kupując je przez podstawionych zagranicznych inwestorów. I bolało, że z tych ciężkich milionów, które każdego dnia płynęły do Kazachstanu za ropę wysyłaną z ich półwyspu w świat, na miejscu zostają ochłapy. Więc te wszystkie strajki były o sprawiedliwość. Choć w sąsiednim obwodzie atyrauskim, gdzie też mają ropę i gaz, wszystko potoczyło się inaczej. Kilka dni później w Atyrau dowiem się dlaczego.

Tymczasem na półwyspie Adajowie oraz kazachscy repatrianci stworzyli mieszankę prawdziwie wybuchową. Pierwsi nigdy nie dawali sobie w kaszę dmuchać, inaczej nie przeżyliby na tych odludziach. Drudzy przetrwali na obczyźnie, a teraz walczyli o miejsce na ojczystej ziemi. Dołączyli do nich migranci zarobkowi z innych części Kazachstanu – a na wyjazd zawsze decydują się ludzie najsilniejsi, najbardziej energiczni. Te trzy grupy, nieraz skonfliktowane, umiały razem sięgać po swoje. Ale półwysep strajkował w samotności, w kraju mało kto wspierał Mangystau. Bo raz, że to daleko i informacje nie zawsze docierały, dwa, że o co w ogóle chodzi, we łbach im się poprzewracało, zarabiają kokosy i jeszcze im mało. A trzy, że od razu zapalała

się lampka: aha, to Młodszy żuz i Adajowie. Narwani awanturnicy. Ciągle są z nimi problemy. Nawet 2011 rok przeszedł bez echa. Masakra, rzecz jasna, wstrząsnęła narodem, ale wieści z Żangaözenu docierały z opóźnieniem, tylko w Ałmatach odbył się mały mityng solidarności. Dopiero ostatnie protesty, ze stycznia 2022 roku, ogarnęły cały kraj. Wówczas do ludzi w innych częściach Kazachstanu wreszcie dotarło, że odległy półwysep walczy o sprawy ważne dla wszystkich.

Czekało mnie jeszcze jedno spotkanie – w organizacji broniącej praw człowieka. Miała siedzibę w biurowcu w samym centrum Aktau, ale pewnie nie trafiłbym od razu pod właściwy adres, gdyby nie Umbietow, który zabrał się ze mną po naszej rozmowie do taksówki, objaśnił, jak poruszać się po mieście, gdzie ulice nie mają nazw i numerów, ponumerowane są zaś kwartały, zwane tu mikrorejonami, a na koniec pokazał właściwą klatkę schodową. Tam pożegnałem się ze związkowcem.

Szef organizacji, Aleksandr Mucha, potwierdził, że w styczniu 2022 roku w Aktau wszystko było wzorowo zorganizowane: żadnych prowokacji, a gdy pewien człowiek krzyknął „Allahu Akbar!”, porządkowi – lokalni aktywiści – od razu go wyprowadzili z placu. Tutaj prowokacje nie przechodziły, wieloletni staż protestacyjny zrobił swoje. Nie było też ani żadnych ofiar, ani aresztów, policja zatrzymała raptem trzy osoby na kilka godzin. Ale chociaż protestujący dostali to, co chcieli, bo podwyżki LPG cofnięto, a Nazarbajew chyba naprawdę odszedł, według Muchy wszystko się jeszcze może zdarzyć.

– Oligarchowie wciąż trzymają się mocno – powiedział. – Jeśli Tokajew nie pozbawi ich wpływów i aktywów, prędzej czy później go obalą.

Zrobiło się późne popołudnie, ale na ulicy wciąż panował obezwładniający upał. Powietrze falowało i całe Aktau zdawało się unosić nad ziemią. W takich chwilach nasze receptory wariują, przekazując do mózgu informację, że to z nami jest coś nie tak, to w nas się coś zepsuło, przecież nie może być aż tak gorąco. Czujemy się zagubieni, ogarnia nas panika. Kryjemy się na moment pod kolejną klimatyzacją, ale potem wszystko się powtarza. W końcu machamy ręką i idziemy załatwiać swoje sprawy, chrzanić wszystko, będzie, co ma być.

Sprawdziłem, że tego dnia temperatura w Aktau skoczyła do czterdziestu dwóch stopni. Był to najgorętszy dzień mojej podróży.

Podróż 2022. Aktau – Atyrau

1

– Czy masz ogon?

– Co takiego?!

– No, ogon. Czy chodzi za tobą KBN, Komitet Bezpieczeństwa Narodowego? Śledzą cię?

– Nie mam pojęcia…

Wokół nie było żywego ducha. Z Maksem Bokajem spotkaliśmy się wcześnie rano nad rzeką Ural, po kazachsku Żajyk, na promenadzie, ale daleko od jej centralnego, reprezentacyjnego odcinka i plaży, przez cały dzień ludnych i gwarnych. Nabrzeże ciągnie się kilometrami, jest się gdzie w spokoju przejść albo pobiegać.

Po Aktau Atyrau było wytchnieniem. Wciąż miałem w pamięci aktauski żar i obraz stojącej wprost na bloku mieszkalnym latarni morskiej, opisywanej w przewodnikach jako największa lokalna atrakcja turystyczna. Przypominała wykrzyknik, który mocnym akordem wieńczy to widmowe miasto, wzniesione wbrew historii i na przekór geografii. Tutaj było znacznie chłodniej i bardziej do życia, ulice nadawały się do chodzenia, a na ziemi nie było piasku, tylko normalna trawa.

Maks popatrzył na mnie z pobłażaniem i machnął ręką. Tykowaty, łysawy pięćdziesięciolatek rzucał się w oczy. Był tutaj znany, nieliczni przechodnie pozdrawiali go kiwnięciem głowy, a jeden nawet zagadał.

– Jestem aktywistą obywatelskim – mówił o sobie – żadnym działaczem czy politykiem. Patrzę, co się dzieje, słucham ludzi i zgłaszam swoje pomysły. W Związku Radzieckim to była działalność wywrotowa. Owszem, w Moskwie działali Sacharow i inni dysydenci, ale na prowincji patrzono na takich jak na kosmitów. A my jeszcze tak daleko od ZSRR nie odeszliśmy.

Swoje powołanie odkrył późno, około trzydziestki, wcześniej studiował na politechnice w Moskwie, trochę zajmował się biznesem i obronił licencjat z prawa („Ale u nas prawo w ruinie, to tak, jakbyś robił najlepsze buty, a i tak wszyscy chodzili boso”). Do polityki jako takiej go nie ciągnęło, więc zaczął się kręcić koło organizacji pozarządowych. Szybko zainteresowało się nim KBN,

kontakt złapali przez szkolnego kolegę Maksa, który tam pracował. Zaprosili go niby towarzysko, a na miejscu zaczęli werbować.

– Chcieli, żebym im mówił, co się dzieje w organizacjach – wspominał. – Trochę biłem się z myślami, ale doszedłem do wniosku, że mam to gdzieś. Dzieci ani majątku nie mam, nie mają mnie czym szantażować. Najwyżej wyjadę z kraju. To już nie są czasy stalinowskie.

Opowiedział o wszystkim nowym znajomym. Zaszył sobie kieszenie – żeby nikt nie podrzucił mu narkotyków. I przestał chodzić po restauracjach i nocnych klubach, bo tam najłatwiej o jakąś prowokację. Na początku zajął się prawami inwalidów, zdrowym trybem życia, ekologią. Rzeczami, które nawet nie pachniały polityką. Ale w Kazachstanie wszystko było polityczne. A krąg spraw szybko się rozszerzył.

– Ludzie zaczęli do mnie przychodzić: „Maks, pomóż!”. No to starałem się pomagać. Wszedłem w prawo pracy, patodeweloperkę, lokalny budżet. W końcu pojawiła się kwestia ziemi.

Zaczęło się od poprawki do kodeksu ziemskiego, którą parlament przyjął pod koniec 2015 roku. Umożliwiała obcokrajowcom dzierżawę ziemi uprawnej na okres do dwudziestu pięciu lat. Miała wejść w życie po kilku miesiącach. Wszyscy wiedzieli, że regulacja była pisana pod Chińczyków, którzy od dawna urabiali Nazarbajewa. Tymczasem w Chinach wzmogły się prześladowania tamtejszych Kazachów i Ujgurów. W Kazachstanie budziło to wściekłość tyleż na Pekin, co na własne władze – że nic w tej sprawie nie robią. Jednocześnie spadły ceny ropy i firmy naftowe, szukając oszczędności, zaczęły obcinać bonusy. Ludziom zajrzał w oczy kryzys. Grunt pod protesty był gotowy.

– W kwietniu 2016 roku skrzyknęliśmy ludzi na mityng – ciągnął Maks, który nazywał się wtedy Bokajew, dopiero potem odruszczył nazwisko. – Żądaliśmy wycofania się z poprawki. Były tłumy, a w mediach społecznościowych szła transmisja na żywo. Staliśmy na placu ze cztery–pięć godzin. W następnych dniach poszły za nami inne miasta, ale pierwsze było Atyrau. Ludzie mówili o rewolucji atyrauskiej. Nazarbajew rzucił wtedy z przekąsem, że sprawami ziemi zajmują się ci, którzy wyrośli na asfalcie. Pił do mnie. Nie brzmiało to dobrze.

Miesiąc później Maks został aresztowany. Najpierw oskarżono go o nawoływanie do obalenia władzy państwowej. Potem prokuratura się z tego wycofała. Zarzuciła mu wzniecanie waśni społecznych i rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji (na mityngu mówiono o sprzedaży ziemi

Pobrano ze strony pijafka.pl

Chińczykom, a w grę wchodziła tylko jej dzierżawa) oraz organizację nielegalnej manifestacji. Tu sprawa była jasna – Bokaj nie występował o zgodę na mityng. Odsiedział prawie pięć lat. Amnesty International uznała go za więźnia sumienia.

Ale poprawka nie weszła w życie do dziś. W 2021 roku Tokajew zawiesił ją na kolejne pięć lat.

Zapytałem Maksa, czym się wyróżnia Atyrau.

– Mamy własną klasę średnią – odpowiedział bez zastanowienia. – Oczywiście, o wiele więcej ludzi bogatych i bardzo bogatych żyje w Ałmatach i w Astanie, ale to miasta stołeczne, tam są banki, giełdy, główne siedziby firm, ludzie z całego kraju. A w Atyrau jest nasz zasiedziały, kazachski kapitał.

Ropę naftową wydobywano tu już w początkach XX wieku. Znacznie wcześniej niż w sąsiednich obwodach. A bolszewicy zaczęli kształcić miejscowe, kazachskie kadry, bo okolice były czysto kazachskie, etnicznie jednorodne. To historyczne ziemie Młodszego żuzu (Bokaj należy do plemienia Taz, które w przeszłości wchodziło w sojusze z Adajami). Mimo represji przez następne dekady niewiele się zmieniło. Słowianie osiedlali się tu niechętnie i pod koniec ZSRR obwód atyrauski był jedynym w tej części Kazachstanu, gdzie Kazachowie stanowili bezwzględną większość.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, opowiadał Maks, z inżynierów, kadry dyrektorskiej i sekretarzy partii komunistycznej zaczęła się tworzyć lokalna elita. Kiedy rozpadał się Związek, była już na tyle silna, że mogła powalczyć o miejscowe aktywa i zacząć się uwłaszczać. Najtłustsze kąski dostały się, rzecz jasna, nazarbajewidom, ci jednak musieli się liczyć z atyrauczykami (wspomniany wcześniej Ryszard, który kilka lat kierował kazachstańskim przedsiębiorstwem, był pod wrażeniem interesownego pragmatyzmu Kazachów: „Jeżeli da się tak podzielić tort, żeby każdy coś dostał, zawsze się dogadają. Ostry konflikt to ostateczność”).

Tymczasem w sąsiednim Aktau elita nie zdążyła się uformować. Nie miała kiedy. Pierwsi inżynierowie przyjechali tam z Atyrau, korpus dyrektorski był wielonarodowy, elektrownia atomowa podlegała bezpośrednio Moskwie. A Adajów trzymano na dystans. Gdy przyszło co do czego, aktywami zaopiekowali się przyjezdni i aktauczycy zostali z niczym.

– Potem, gdy się trochę odkuli, starali się nadrobić stracony czas i przejąć część tortu, bo czuli się pokrzywdzeni – tłumaczył Maks.

– Uważasz, że za protestami na półwyspie stała lokalna elita?

– Nie za wszystkimi i nie wprost. Ale w 2011 roku elita musiała po cichu wspierać strajk w Żangaözenie. Robotnicy nie pociągnęliby go sami przez tyle miesięcy.

To był ostatni element mangystauskiej układanki: interesy lokalnych klanów. Z wiadomych powodów milczał o nich związkowiec Muchtar Umbietow. Chociaż występował w dobrych zawodach i walczył o słuszne sprawy, do tego nadstawiając za nie karku.

– Balkon u rodziców wychodził na tory kolejowe – wspominał Bokaj. Znużeni spacerem przysiedliśmy na ławce. Nawet z dala od centrum stały one w regularnych odstępach, podobnie jak kosze na śmieci. – Lubiłem patrzeć stamtąd na pociągi i liczyć jadące na zachód cysterny. Były ich setki. Wiadomo, że te cysterny nie przewożą ani wina, ani oleju roślinnego, tylko ropę czy produkty naftowe. Do tego dochodzą biegnące pod ziemią rury. Dopiero jak to wszystko widzisz, uświadamiasz sobie skalę. Złoże Tengiz daje codziennie, zaokrąglam, pół miliona baryłek. Kaszagan na Morzu Kaspijskim trzysta tysięcy. Inne, mniejsze złoża w sumie ze dwieście tysięcy. Razem milion baryłek. Mówię tylko o naszym obwodzie. Ale u nas są największe zasoby. Baryłka kosztuje teraz – Maks sięgnął po smartfon i sprawdził w internecie – sto pięć dolarów. Nasz dzisiejszy, jednodniowy przychód to zatem sto pięć milionów. Właściwie za nic. Spada nam z nieba, bo Allah dał ropę.

– Co mają z tego mieszkańcy?

– Z jednej strony niewiele. Z drugiej tysiące ludzi pracuje w wielonarodowych korporacjach, przyjmuje zachodnie standardy, szlifuje angielski. Brat i siostra są po uczelniach naftowych. Zatrudnili się w zachodnich firmach i dostają dwa–trzy tysiące dolarów. Konsumpcja napędza mały i średni biznes. A jak się gdzieś nie świeci latarnia, od razu jest awantura na Facebooku: „Co, budżet się skończył? Gdzie nasze podatki?! Nie trzeba tyle kraść!”. I *akim*[8] dla świętego spokoju naprawia, co trzeba. W takim Tarazie, starożytnym mieście na południu, tylko wzruszyłby ramionami: „Pieniędzy nie ma i nie będzie”.

Ropa naftowa to krew tutejszej gospodarki. Stanowi mniej więcej siedemdziesiąt procent kazachstańskiego eksportu i przynosi połowę wpływów do budżetu. A jeśli dodamy do tego gaz ziemny, a także uran, miedź, chrom, cynk, mangan, antymon, siarkę i resztę tablicy Mendelejewa, okaże się, że

rolnictwo, metalurgia, przemysł petrochemiczny czy transport to tylko dodatki do eksploatacji zalegających pod ziemią bogactw. Stopniowy upadek innych dziedzin gospodarki to pierwszy objaw choroby holenderskiej, czyli uzależnienia się od eksportu surowców. W kraju, który zapadł na tę chorobę, rząd nie ma już pełnej kontroli nad finansami państwa, musi się zdać na łaskę globalnego rynku z jego tąpnięciami i sinusoidą cen. Można się zabezpieczać, zawierać długoterminowe kontrakty, ale jeśli wpiszemy w budżet, że sprzedana baryłka da nam sto dolarów, a jej cena spadnie do pięćdziesięciu, zabraknie nam na emerytury i pensje dla nauczycieli.

Jak wszystko, co przynosi łatwy pieniądz, ropa także demoralizuje – zniechęca do reform, sprzyja korupcji i innym patologiom.

W 2020 roku kazachscy dziennikarze nakręcili film dokumentalny *The Other Side of Oil* [Druga strona ropy naftowej]. Można go zobaczyć w internecie. Obraz zaczyna się od cytatu z wodza Irokezów, Canassatego: „Zdajemy sobie sprawę, że nasze ziemie stają się coraz cenniejsze. Biali ludzie myślą, że nie znamy ich wartości. My jednak wiemy, że ziemia jest wieczna, a te faramuszki, które za nią dajecie, szybko się rozejdą i przeminą". Autorzy filmu odwiedzili wioski w obwodach mangystauskim, atyrauskim i aktobskim (od miasta Aktobe, dawnego Aktiubińska), w których odkryto ropę. Ludzie żyjący w cieniu wiertniczych wież dostali na odczepnego pracę w firmach wydobywczych, ale stracili zdrowie. Musieli się pozbyć swoich stad, bo ropa zatruła ujęcia wody – dowożą ją teraz beczkowozy – i glebę. Chorują na nadciśnienie, skarżą się na oczy i problemy z trawieniem, a ich dzieci rodzą się z porażeniem mózgowym. Na co dzień najbardziej dokucza im smród. Kto mógł, wyjechał, ale nie każdy ma dokąd. Lokalne władze mówią, że wszystko jest w normie, i bronią inwestorów – akurat do obwodu aktobskiego weszły firmy z Chin i Korei. Gdy ludzie się burzą, nasyłają policję. Czasem trafi się urzędnik, który chce pomóc, ale taki nie zagrzewa długo miejsca. Nawet Maks Bokaj byłby bezradny. W jednej ze scen rachityczny wielbłąd rozgrzebuje śmietnisko, szukając czegoś do jedzenia.

Państwo ma z ropy nie tylko pieniądze i miejsca pracy. Naprawdę poważni inwestorzy to jakaś polisa od rosyjskiej agresji. Zagrożony interes Exxonu czy Chevronu zmusi do działania Waszyngton, Shella – Londyn, Totalu – Paryż, a Eni – Rzym. Pekin ujmie się za kompanią CNPC. „Twoja jest krew, a ich jest nafta!" – pisał sto lat temu Julian Tuwim.

Z Maksem do dziś korespondujemy na WhatsAppie. Raz wysłałem mu skecz o mistrzostwach świata w języku kazachskim. Pierwsze miejsce zajęła w nich Amerykanka, drugie – przedstawiciel Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Kazach był dopiero trzeci: co drugie słowo wtrącał rusycyzm, czasem z kazachską końcówką. Była to satyra na językowe niechlujstwo młodego pokolenia. Bokaj ma poczucie humoru, ale odpowiedział wyjątkowo poważnie: „Kolonizacja zostawiła swoje ślady. Dla wielu Kazachów to naprawdę duży problem”.

2

Jeszcze w Ałmatach ktoś mi poradził, żeby się spotkać z Bakytżanem agą: „To patriota, ciekawy człowiek. Wie mnóstwo o kazachskich zwyczajach”. Zadzwoniłem i umówiłem się. Podjechał luksusową terenówką z limitowanej serii. Nic mi się nie zgadzało.

„Aga” znaczy „starszy brat” albo „wujek”. W Kazachstanie tak zwracają się też do ludzi, którzy zasługują na szacunek – dodając „aga” do imienia. To nie muszą być czcigodni starcy, ale myślałem, że Bakytżan ma swoje lata, brodę czy choćby zarost, i że nosi się po wschodniemu, a przynajmniej chodzi w kazachskiej czapeczce. Z auta wyszedł jednak wygolony mężczyzna w średnim wieku, w świetnie skrojonym garniturze, pachnący perfumami z najwyższej półki. „Eurokazach” – przyszło mi do głowy określenie redaktora Siejdachmieta Kuttykadama, który nazywa tak Kazachów anglojęzycznych, wrośniętych w Zachód. I rzeczywiście, Bakytżan, choć biegle mówił po rosyjsku, na co dzień częściej używał angielskiego. Okazało się, że był prawnikiem i obsługiwał zachodnie koncerny naftowe. Przywitaliśmy się.

– Pewnie nie jadł pan jeszcze lunchu?

– Nie.

– To zapraszam.

Restauracja nazywała się Sarkyt. Środek sali wypełniała przepołowiona jurta, a raczej dwie połówki jurty, zwrócone do siebie plecami, pełne skrzyń, dywanów i poduszek. Były tam też niskie stoliki, przy których można było usiąść po turecku. Normalne stoły z krzesłami stały dookoła sali. Przed jurtą prężył się wypchany, osiodłany koń z bogato zdobioną uzdą i resztą uprzęży.

Muzykanci w strojach stylizowanych na ludowe przygrywali do kotleta na dombrze.

– Poznajmy się – rozpoczął Bakytżan aga, gdy kelner przyjął już zamówienie. Specjalnością zakładu była konina. – Pochodzę z Młodszego żuzu, związek plemienny Ałszyn, plemię Bajuły, ród Tana. Jednym z moich przodków był Chaleł Dostmuchamiedow, lekarz, członek kazachskiego rządu narodowego w latach 1917–1920.

I znowu zbił mnie z tropu. Eurokazach nie zaczynałby od rodowej genealogii. Bakytżan nie pasował do żadnej szufladki, jakie ułożyły mi się w głowie w przegrodzie „Kazachstan". Wyglądało, jakby miał kilka tożsamości – czysto kazachską, postsowiecką i zachodnią – i zmieniał je jak marynarki. Na dodatek bawił się konwencjami, przedstawiał na przykład kazachskie żuzy językiem rosyjskiego kolonisty („Młodszemu to tylko dać broń do ręki, a od razu, uraaa!, popędzi na wroga"), by za chwilę opisać podbój Kazachstanu z ich perspektywy („Kozacy siedzieli na brzegu nad Uralem i nie dopuszczali nas na odległość strzału"). Jedno jest pewne – prawnik nie miał żadnych kompleksów wobec innych narodów.

Historię zachodniego Kazachstanu od momentu, kiedy pojawili się tu Rosjanie, widział jako ciąg powstań i następujących po nich represji. Ratunkiem była według niego kultura. Naród miał przetrwać dzięki swoim tradycjom i sztuce wędrownych bardów.

– Prawdziwa kazachskość to dombra. – Batykżan spojrzał na muzykantów, rozpoczynających kolejny utwór. Dwustrunowy instrument, który przypomina lutnię, potrafi oddać, przekonywał, każde drgnienie kazachskiej duszy. I nie tylko kazachskiej. W internecie można posłuchać granych na dombrze utworów Beatlesów albo poloneza Ogińskiego.

Cenił Tokajewa, bo ten mówił o idei narodowej – to wokół niej prezydent chciał zjednoczyć Kazachstan i to ona miała go umocnić jako lidera. Nowo utworzone obwody dostały nazwy nawiązujące do historii: ułytauski do gór Ułytau, kryjących mauzoleum Dżocziego, syna Czyngis-chana; żetyski – do historycznego rejonu Siedmiorzecza („*żety su*" to „siedem wód"). W telewizji pojawił się kanał inspirowany osobą wielkiego poety Abaja. (Maks Bokaj uważał z kolei, że Tokajew jest człowiekiem z przeszłości, dzieckiem Sojuza: „W styczniowych zamieszkach nie znalazł innego wyjścia, niż strzelać do ludzi, a potem nie potrafił wziąć na siebie odpowiedzialności za to, co się stało").

Zagadnąłem Bakytżana o islam – jakie jest jego miejsce w Kazachstanie. Jako Eurokazach odrzekłby, że religia to rzecz prywatna, a jako człowiek, który wyrósł w ZSRR – że musi być pod kontrolą państwa. On jednak zaczął od zajść sprzed kilku miesięcy, bo cały czas budziły emocje.

– Tam, gdzie mają wpływy islamscy mistycy, sufiowie, jak w Aktau i w ogóle na całym Mangystau, protesty były najspokojniejsze – powiedział. Potem wspomniał o spoczywających na półwyspie trzystu sześćdziesięciu dwóch sufickich świętych. A na końcu wyznał, że traktuje ich jak przodków i modli się do nich, oni zaś dają mu siłę.

No tak, nie powinien mi mówić, że wierzy i praktykuje, że się codziennie modli i odstawił alkohol. Wyglądało to, jakby się chwalił i właśnie przekreślał swoje zasługi przed Najwyższym – bo już na ziemi odebrał należną mu nagrodę w postaci ludzkiego poklasku. Ale, tłumaczył, sam go przecież spytałem, a on chciał, żebym zrozumiał cały kontekst.

Zanim się rozstaliśmy i wrócił terenówką do pracy, gdzie żonglował językami i paragrafami, przekładając kazachstańskie kodeksy na zachodnie systemy prawne i odwrotnie, zadzwonił do swojego przyjaciela.

– To archeolog, nazywa się Sieiłchan Mirasz. Prowadzi ciekawe badania. Warto z nim porozmawiać – zachęcał. Okazało się, że uczony jest akurat w okolicy, właśnie wrócił z ekspedycji. Bakytżan domówił z nim szczegóły i podrzucił mnie na miejsce.

Stanęliśmy obok ubłoconego auta archeologa. Była to któraś z rosyjskich ład, *gniotsa nie łamiotsa*, której nie szkoda na wyboje i wertepy. „Właśnie” naprawdę znaczyło, że przyjechał dopiero co. Ściągnął z wykopalisk godzinę wcześniej i nie był jeszcze w domu, zamarudził ze sprawunkami.

Siedliśmy w lobby pobliskiego hotelu. Szczupły, drobniutki archeolog miał koszulę z długim rękawem i bejsbolówkę, ale i tak był mocno spalony, słońce na Wielkim Stepie nie oszczędza. Od razu wyciągnął telefon.

– Zobacz, co tutaj mam! – Z wypisanym na twarzy szczęściem przewijał zdjęcia ostatnich znalezisk: nagrobnych steli, nazywanych w tej części Kazachstanu *kułpytasami*, kamiennych bab – *bałbali* i drobnych naczyń, leżących w piasku albo w stepowej trawie. Mówił po rosyjsku sprawnie, ale gorzej od Bakytżana. Jego pierwszym językiem był kazachski.

Wykopaliska i towarzyszące im badania odbywały się w ramach programu „Dziedzictwo Kulturowe Kazachstanu”, który ruszył jeszcze w 2003 roku,

jednak w ostatnich miesiącach gwałtownie przyspieszył, pojawiły się nowe etaty i większe pieniądze. Celem jest inwentaryzacja wszystkich obiektów archeologicznych w kraju. Przy okazji znajdowane są kolejne zabytki, archeolodzy rozkopują kurhany i pradawne osiedla. Do tej pory w obwodzie atyrauskim opisano tysiąc trzysta obiektów.

– Rosjanie mówią, że północny Kazachstan to ich ziemia. – Mirasz pokazywał teraz zdjęcia samej ekspedycji: bezkresny step z grupą starych mogił, stojące nieopodal namioty i kuchnio-jadalnię skrytą częściowo pod brezentowym dachem, zaparkowane samochody. – My mówimy, że to nieprawda. I przedstawiamy dowody. Jeśli nasi przodkowie, turkojęzyczni koczownicy, żyli tutaj czterysta, pięćset czy więcej lat temu, to mamy prawo do tej ziemi.

Ostatnie znaleziska przeszły oczekiwania badaczy: bałbale mają wyraźnie skośne rysy.

– Takich kamiennych bab zachowało się niewiele, bo po przyjściu islamu niszczono je albo zakopywano – objaśnił archeolog. – Tradycja islamska zabrania przedstawiania wizerunków ludzi i zwierząt. Pod ziemią na pewno leży ich jeszcze dużo.

Nagrobki kułpytasy pokrywały inskrypcje w językach turkijskich, ale zapisywanych arabskim alfabetem. Z przodu widniały imię zmarłego, imię jego ojca, nazwa rodu i data śmierci, a z boku modlitwa z Koranu. Starsze inskrypcje były po czagatajsku, a nowsze po kazachsku.

– Tak u nas pisano jeszcze w XX wieku, do przyjścia bolszewików. – Mirasz powiększył jedno ze zdjęć i odczytał napis. – Rosjanie twierdzą, że byliśmy niepiśmienni i to oni przynieśli nam oświatę. A my mieliśmy pismo, tyle że oparte na grafice arabskiej, której oni nie znali.

Powiedziałem mu, że następnego dnia chcę zwiedzić ruiny Sarajszyku, średniowiecznego miasta nad Uralem. Podobnie jak Saraj nad Wołgą, założył je w XIII wieku Batu-chan, przywódca Złotej Ordy. Arabskiemu podróżnikowi Ibn Battucie przypominało Bagdad. Leży pięćdziesiąt kilometrów na północ od Atyrau.

– To nasz ból – westchnął uczony. – Już w XIX wieku działali tam Rosjanie i wywozili artefakty do Rosji. W latach trzydziestych Sarajszyk rozkopał archeolog Nikołaj Artiuzow. Wszystko, co znalazł, zabrał do Saratowa. Do dzisiaj są tam nasze zabytki. Rosyjscy archeolodzy i etnografowie to szpiedzy, którzy rozkradli nasze dziedzictwo! A w ogóle nazwa Saratów

pochodzi z języków turkijskich, od słów „*sary tau*”, czyli „żółta góra”. Może to Kazachstanowi należy się część Rosji, a nie odwrotnie? Ale cudzego nie chcemy, więc niech się odczepią od naszego!

Tyrada Sieiłchana Mirasza przypomniała mi klasyczną książkę Petera Hopkirka *Obce diabły na Jedwabnym Szlaku*. Jej bohaterami są poszukiwacze skarbów, którzy w XIX i na początku XX wieku wzięli na cel chińską część Azji Centralnej. To, co wpadło im w ręce, a sięgali po bezcenne zabytki jak po swoje, możemy oglądać w muzeach Londynu, Paryża, Berlina.

3

Z Atyrau jest już dość blisko do Rosji, ale nie czuć tu jeszcze jej imperialnego oddechu. Może dlatego, że Kazachowie są w tej okolicy w zdecydowanej większości, może dzięki zachodnim gigantom naftowym. A może swoje robi pamięć historyczna, o której opowiadał mi Maks Bokaj:

Brama wjazdowa do wioski, opodal której kryją się pozostałości jednej ze stolic Chanatu Kazachskiego. Sarajszyk, 2022

– Na południe Kazachstanu, do Szymkentu czy Tarazu, Rosjanie przyszli od razu jako zdobywcy, agresorzy. Tutaj nasi przodkowie setkami lat żyli po sąsiedzku z ich przodkami. Mój ród koczował pomiędzy Mangystau, gdzie miał zimowe pastwiska, a okolicami Orenburga, gdzie były letnie (to z górą tysiąc kilometrów). Równolegle z nami chodzili Adajowie. A do Saraju, stolicy Złotej Ordy, jest stąd trzysta pięćdziesiąt kilometrów, czyli tyle, co nic. W podaniach i bajkach dla dzieci powtarza się wątek daniny, jaką Ruś płaciła Ordzie. Tu wszyscy o tym pamiętają.

W podobnym duchu Dosym Satpajew odpowiedział na prowokację Dmitrija Miedwiediewa. W sierpniu 2022 roku były prezydent Rosji napisał w mediach społecznościowych, że do XIX wieku Gruzja nie istniała, Kazachstan zaś to sztuczne państwo, zajmujące dawne rosyjskie terytoria: „Dopóki nie przyjdą tam Rosjanie, porządku nie będzie…”. Wpis szybko zniknął, ale po internecie rozeszły się zrzuty ekranu. Kazachski politolog zauważył, że „jeśli już zagłębić

się w fakty, to przez dwieście pięćdziesiąt lat istniała polityczna zależność ruskich książąt od Ordy”.

Rosyjscy politycy, dziennikarze i eksperci zgłaszają pretensje do północnego Kazachstanu od ponad trzydziestu lat. Pierwszy był pisarz Aleksander Sołżenicyn. W wydanym w 1990 roku eseju *Jak odbudować Rosję?* proponował utworzenie Związku Rosyjskiego złożonego z Rosji, Białorusi i Ukrainy. Jedenaście innych republik ZSRR mogłoby pójść swoją drogą. A Kazachstan byłby podzielony: „Jego dzisiejsze ogromne terytorium zostało przez komunistów skrojone bez zastanowienia, jak popadło: gdzie choć raz w roku przeciągają wędrowne stada, tam jest Kazachstan. Rozumowano przecież wtedy tak: zupełnie nieważne, gdzie się przeprowadzi granice, bo lada chwila wszystkie narody zleją się w jeden. Przenikliwy Iljicz I [Lenin] nazwał problem granic »wręcz dziesięciorzędnym«. […] Przecież jeszcze do roku 1936 Kazachstan był tylko republiką autonomiczną w ramach RFSRR [Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej], dopiero potem został podniesiony do rangi republiki związkowej. Składa się on zaś z części południowej Syberii, południowego Pogórza Uralskiego oraz obszarów centralnych, które od tamtych czasów zostały przeobrażone przez Rosjan, zeków [więźniów, łagierników] i zesłane tam narody. Obecnie w całym rozdętym Kazachstanie Kazachów jest zdecydowanie mniej niż połowa. Ich rdzenną i stałą ojczyzną są tereny rozciągające się łukiem z daleka od wschodu na zachód prawie aż do Morza Kaspijskiego, rzeczywiście zasiedlone głównie przez Kazachów. I jeśli w tym zakresie zechcą się odłączyć, to Bóg z nimi”. Kilka lat później pisarz stwierdził, że Kazachstan powinien zostać państwem federalnym.

Urodzony w Ałmatach nacjonalistyczny rosyjski polityk Władimir Żyrinowski groził Kazachstanowi w sposób jawny (był tam osobą niepożądaną), Władimir Putin natomiast – w aluzjach i półsłówkach. Profesor Wiaczesław Nikonow, ważny polityk rządzącej w Rosji partii i wnuk Wiaczesława Mołotowa, szefa stalinowskiej dyplomacji, nazwał terytorium Kazachstanu darem od Rosji. A ten można przecież odebrać tak samo jak Krym – „dar” Chruszczowa dla Ukrainy. Groźbą pozostaje putinowska doktryna, która zakłada, że Rosja może zbrojnie interweniować za granicą w obronie prześladowanych rodaków. Taki był pretekst do agresji na Ukrainę w 2014 roku oraz do wojny rosyjsko-gruzińskiej w 2008 roku. W Kazachstanie jest wciąż dużo Rosjan, którzy mieszkają w zwartych skupiskach na północy

kraju i w wielu kazachskich miastach. To od Kremla zależy, czy uzna ich za prześladowanych, czy nie.

Moskwa nie traktowała Kazachstanu i całej reszty byłych republik, może poza bałtyckimi, jak suwerennych podmiotów o własnych ambicjach. Ich odrębność miała być tymczasowa. Trwać do czasu, póki Rosja się nie wzmocni i ponownie ich nie przyłączy. Tak było po upadku Rosji carskiej, gdy różne Armenie, Azerbejdżany i Gruzje, nie mówiąc o Ukrainie czy Białorusi, poogłaszały niepodległość, nawet – kto by pomyślał – Kazachstan zamarzył o autonomii, ale po kilku latach bolszewicy przyszli i zrobili z tym towarzystwem porządek. Tymczasem teraz mijały dekady, a nowe państwa wciąż istniały, wrastając coraz mocniej w międzynarodowy krajobraz, tak jak byłe kolonie angielskie, francuskie czy portugalskie.

„Większość rosyjskich uczonych do tej pory nie umie przyznać, że Związek Sowiecki był projektem kolonialnym – pisały w kwietniu 2022 roku Botakoz Kassymbiekowa i Erika Marat, badaczki z Azji Centralnej, które pracują na Zachodzie. – Jednocześnie rosyjskie elity polityczne oczekują od byłych rosyjskich kolonii lojalności, obejmującej znajomość języka rosyjskiego, wierności politycznej oraz jedności w przeciwdziałaniu zachodnim wpływom. Zgodnie z tym imperialnym spojrzeniem rosyjski nadzór to nie kolonializm, lecz bezinteresowny dar postępu dla zacofanych narodów. […]. Dążenie tych państw do niezależności budzi w Rosji uczucie obrazy, jakby niezgoda na rosyjski imperializm miała się równać atakowi na wspaniałości rosyjskiej kultury”.

Szczytem rosyjskich wpływów była interwencja Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym w trakcie styczniowych zamieszek w 2022 roku. Przypominała okres podboju kazachskich ziem, gdy rosyjscy generałowie brali lokalnych władyków w obronę przed ich rywalami i własnym ludem i żądali w zamian nowych koncesji na rzecz carów. Po interwencji wydawało się, że Rosja uzależniła od siebie Kasyma-Żomarta Tokajewa i może łatwo kontrolować kraj. Potem jednak ugrzęzła na Ukrainie. Rozwiał się mit drugiej armii świata. Tokajew krok po kroku odbił utracone pozycje, a Kazachstan zaczął się kazachizować (ktoś powiedział, że Putin przez rok zrobił dla języka kazachskiego więcej niż Nazarbajew przez trzydzieści trzy lata swoich rządów). Gdy w czerwcu 2023 roku najemnicy Jewgienija Prigożyna z Grupy Wagnera ruszyli na Moskwę i spanikowany rosyjski prezydent dzwonił po wsparcie do

poradzieckich przywódców, których na co dzień lekceważył, Tokajew odparł, że to wewnętrzna sprawa Rosji.

Trzeba było Kazachstan skarcić. Moskwa kilka razy zatrzymywała tranzyt kazachskiej ropy, a potem rozwinęła propagandową nagonkę (miarka się przebrała, gdy w Kazachstanie zrodził się pomysł delegalizacji symboli „Z” i „V” oraz emblematów Grupy Wagnera). Przeróżni znawcy i eksperci ruszyli dowodzić, że Pawłodar, Pietropawłowsk, Uralsk i inne ośrodki na kazachstańskiej północy to miasta rosyjskie, a telewizyjni cyngle straszyli już bez owijania w bawełnę, że zapłata za wrogi akt może być tylko jedna i Kazachstan będzie następny po Ukrainie. I to wszystko wobec państwa, które pozostaje z Rosją w sojuszu, domagając się jedynie szacunku.

Tokajew nie zamierzał wypowiadać traktatów, nie był samobójcą. Kazachstan i Rosję łączy granica licząca 6846 kilometrów i jest to druga pod względem długości granica lądowa na świecie, a najdłuższa w jednym odcinku (dłuższa od niej granica amerykańsko-kanadyjska składa się z dwóch części – druga przypada na Alaskę). Nie da się jej ochronić. Nie da się też z dnia na dzień, ani nawet z dekady na dekadę, zrezygnować z tranzytu surowców przez Rosję. Są poszlaki, że Kazachstan pomaga Rosji obchodzić zachodnie sankcje, zresztą dobrze na tym zarabiając. Ale Kazachowie traktują rosyjskie groźby pod swoim adresem poważnie – ludowa mądrość głosi, że ranny, zagnany do rogu zwierz kąsa najboleśniej.

Natychmiast uaktywnił się też drugi wielki sąsiad. Pekin tworzy z Moskwą wspólny front przeciwko Zachodowi, ale lokalnie z nią rywalizuje. Grając Kremlowi na nosie, przewodniczący Xi Jinping ostentacyjnie potwierdził uznanie dla integralności terytorialnej Kazachstanu. Chociaż w relacjach kazachstańsko-chińskich nie brakuje wzajemnych pretensji, a strony nie bardzo sobie ufają. Ale z perspektywy Atyrau Chiny to niemal inna planeta, stąd jest bliżej do Unii Europejskiej. Tutaj mało kto zawraca sobie głowę Chinami.

4

Do Sarajszyka wybrałem się z Jerlanem, drobnym atyrauskim przedsiębiorcą. W Ałmatach poznałem jego siostrę, to ona nas umówiła. Rodzeństwo pochodziło ze wsi, która przylega do ruin dawnego grodu i też nazywa się Sarajszyk. Na ojcowiźnie został ich starszy brat.

Ruszyliśmy szosą na Uralsk. Dalej biegnie ona do rosyjskiej Samary, rodzinnego miasta naszego Iwana z pociągu. Gdzieś obok płynęła w drugą stronę rzeka Ural, wzdłuż jej brzegów ciągnął się wąziutki pas zieleni. Za ostatnimi krzakami zaczynała się półpustynia.

– Znasz Dimasza? – Jerlan włączył odtwarzacz i chiński SUV przeszyło monumentalne crescendo.

Wstyd powiedzieć, ale nie znałem. Naprawdę wstyd, bo Dimasz Kudajbiergien to fenomen o sześciooktawowej skali głosu, rozpiętej pomiędzy niskim basem a wysokim sopranem. Jego repertuar jest tak samo różnorodny. Dimasz łączy w swoich utworach elementy muzyki klasycznej i rozrywkowej z kazachskim etno. Koncertuje po całym świecie.

W tutejszej muzyce dzieją się w ogóle ciekawe rzeczy. Działający od 2015 roku boysband Ninety One (Dziewięćdziesiąt Jeden) wylansował nowy gatunek i nazwał go Q-popem, popem kazachskim (Qazaq). Była to odpowiedź na koreański K-pop. Nazwa zespołu nawiązuje do roku, w którym kraj ogłosił niepodległość. Chłopcy z Ninety One malują się, noszą kolczyki, mają tatuaże i wystylizowane fryzury. W pierwszych latach ich koncerty obok fanów przyciągały zajadłych wrogów. „Tak wygląda kazachski mężczyzna?! Mąż, ojciec, obrońca ojczyzny?!” – wykrzykiwali. Organizatorzy nieraz odwoływali występy, bo bali się burd. Parę razy wkraczała policja. Teraz boysband jest częścią kazachskiego mainstreamu. Na świecie wiele grup, choćby Beatlesi, najpierw szokowało, a potem weszło do klasyki.

W 2019 roku Katierina Suworowa nakręciła o Ninety One film dokumentalny *Piet' swoi piesni* [Śpiewać swoje piosenki]. Grupa stała się głosem pierwszego pokolenia Kazachów wychowanych w wolnym kraju. Ich rodzice często pochodzili ze wsi, oni wżyli się już w miasto, mieszkają tam, a przynajmniej uczą się lub studiują. A boysband z jednej strony wpisuje się w globalną popkulturę, a z drugiej – śpiewa tylko po kazachsku. Na YouTubie ktoś zostawił pod filmem komentarz: „Jestem zrusyfikowaną Kazaszką, mieszkam w Rosji i po kazachsku nie mówię. Zaczęłam słuchać języka i rozumieć go dzięki grupie Ninety One i Dimaszowi. Chciałabym wam bardzo podziękować za waszą pracowitość i niezłomność!”.

Droga do Sarajszyku wiodła przez bramę triumfalną, w Związku Radzieckim często ustawiano takie przed wjazdem do większych i mniejszych miast, a nawet kołchozów. Ta była solidna, nowa, z bloków piaskowca. Widniały na niej kazachskie ornamenty i płaskorzeźby z jurtami, karawanami, meczetami,

kazachską jazdą, orłem i śnieżną panterą. Ulice w wiosce nosiły imiona widmowych kazachskich chanów, o których często wiemy tyle, że byli – po rozpadzie Złotej Ordy Sarajszyk przez krótki czas uchodził za stolicę Chanatu Kazachskiego.

Zwiedzanie zaczęliśmy od muzeum. Najciekawszy był model grodu stworzony na podstawie wykopalisk. Otaczała go naturalna fosa w postaci rzeki Ural, która układała się tu dawniej w grecką literę omega, podobnie jak Smotrycz oplatający Kamieniec Podolski (potem zmieniła bieg). Na ścianach wisiały mapy, plansze informacyjne i malunki ze scenkami rodzajowymi. Eksponatów nie było prawie wcale – trochę posklejanych glinianych naczyń, zwierzęce kości, ułomki kolumny. Cenne rzeczy, jak już wiemy, wywieziono. Ale dzięki dobremu oświetleniu i przestronnym gablotom ekspozycja nie wyglądała aż tak ubogo. Na koniec przewodniczka z dumą pokazała kawałek ceramicznej rury kanalizacyjnej.

– Według Rosjan nie mieliśmy kultury, a tutaj proszę: kanalizacja!

Miesiąc później Jerlan przysłał mi link do artykułu z miejscowej gazety. Archeolodzy znaleźli w Sarajszyku skarb srebrnych i miedzianych monet oraz dalszy ciąg ceramicznych rur kanalizacyjnych. Rosjanie nie przeszukali jednak wszystkiego.

Muzeum wchodziło w skład kompleksu, na który składały się jeszcze meczet i symboliczne mauzoleum kazachskich chanów. Obok budowano kazachską etnowioskę, na montaż czekały piec chlebowy i szkielety dwóch jurt. Trzecia stała już na podmurówce. Widać, że władze postanowiły ożywić to miejsce i ściągnąć turystów. Liczono może na zachodnich nafciarzy z Atyrau, bo wszędzie były angielskie podpisy. A jeszcze niedawno, wspominał Jerlan, zamiast tego wszystkiego była zapyziała izba pamięci, do której raz w roku zganiano szkolną dziatwę.

– Nazarbajew rozkradł kraj i porozdawał ziomkom, na muzea nie starczyło. – Przedsiębiorca uważał, że przez korupcję kraj stanął w miejscu, chociaż była stabilność i nie doszło do wojny domowej, i za to trzeba jednak byłego prezydenta szanować.

Poszliśmy nad Ural. Za czasów Złotej Ordy jego brzegi łączył most pontonowy. Odsłonięte fundamenty dawnego grodu nie były zabezpieczone i nikt ich nie pilnował. Wyglądały jak szkic, plan zabudowy. Według tablicy informacyjnej w tym miejscu wznosił się zespół pałacowy z XIV wieku. Dalej resztki murów osłaniał blaszany dach, a wokoło rozciągał się wiekowy

cmentarz. Było to odrębne stanowisko archeologiczne. Wyglądało na to, że wykopaliska jeszcze trwają – mówił mi o nich Sieiłchan Mirasz – choć teraz nikt tam nie pracował.

Jerlan znał w Sarajszyku każdy kamień, w dzieciństwie ganiał z chłopakami po grodzisku i po plaży nad Uralem. Weszliśmy na pagórek i przedsiębiorca pokazał mi, którędy płynęła rzeka w średniowieczu. Potem podniósł parocentymetrowy okruch jakiegoś naczynia, w zasięgu wzroku leżały trzy–cztery takie emaliowane kawałki, i podał mi.

– Weź sobie na pamiątkę i zachowaj w sercu Sarajszyk – powiedział. Czuł się tu gospodarzem, potomkiem dawnych mieszkańców. To było jego dziedzictwo. Uważał, że ma prawo się nim podzielić.

Europa – Azja – Europa – Azja – Europa. Jeden z mostów w Atyrau jest przeznaczony dla pieszych i rowerzystów. Z kontynentu na kontynent można przechodzić choćby co minutę, bo granica biegnie środkiem rzeki. Ural-Żajyk (dawny rosyjski Jaik) nie jest tutaj szeroki, ma ze sto, może sto dwadzieścia metrów. W jego nurtach zginął – nie wiadomo, utonął, czy został zastrzelony – legendarny dowódca Armii Czerwonej z czasów rosyjskiej wojny domowej, Wasilij Czapajew. Czapajew Gieroj. Stało się to między Atyrau a Uralskiem.

Prawobrzeżną, europejską część miasta zwano dawniej samarską, a lewobrzeżną, azjatycką – bucharską. Zaś samo Atyrau do 1992 roku nazywało się Gurjew od kupca Gurija Nazarowa, który w połowie XVII wieku dostał od cara przywilej łowienia jesiotra i się w tym miejscu osiedlił. Chociaż już wcześniej, od XIV do XVI wieku, na obecnych przedmieściach istniał gród, który bił nawet własną monetę. Po powodzi mieszkańcy porzucili jednak domy i przenieśli się nieco wyżej.

– Więc to nieprawda, że Rosjanie założyli Atyrau! – tłumaczył mi z przekonaniem archeolog Mirasz.

Urzekły mnie w tym mieście dwa pomniki. Pierwszy jest raczej instalacją, litery składają się w napis „*I love Atyrau*” (Kocham Atyrau) stojący na centralnym placu, niby banał, w setkach miast takie mają, ale tutaj zamiast oznaczającego miłość serduszka jest kropla ropy naftowej. Drugi to pomnik rośliny, która po polsku nie ma nazwy, używa się łacińskiej – *Agriophyllum*, a konkretniej *Agriophyllum squarrosum*, po kazachsku zaś to *kumarszyk*. Kompozycja składa się z kamienia i przedstawionych na nim krzaku kumarszyka, kobiety z naczyniem pełnym nasion rośliny oraz dwójki

Pobrano ze strony pijafka.pl

wychudzonych dzieci (pomiędzy nimi jest jeszcze ślad po trzecim, które najpewniej zmarło z głodu). Wielu Kazachów, którym udało się przetrwać lata dwudzieste i trzydzieste, zawdzięcza życie kumarszykowi. Z jego nasion tłoczyło się olej albo ucierało je na mąkę i piekło chleb. Zamiast podpisu na pomniku jest wiersz o roślinie, co uratowała kraj, chociaż sama „żywiła się białym piaskiem”. Oba pomniki odwołują się do natury. I ropa, i kumarszyk to dzieła przyrody, nie człowieka, ale człowiek robi z nich użytek. Pierwsze może mu dać bogactwo, a drugie – życie.

Mimo późnej pory na moście i nadrzecznej promenadzie były tłumy spacerowiczów. Sporo kobiet zasłaniało włosy, a niektóre nawet twarz, w żadnym innym kazachstańskim mieście nie widziałem tak wiele muzułmańskiej ortodoksji. Oczywiście nie brakowało też dziewczyn w minispódniczkach. Wyglądało na to, że jedne drugim nie przeszkadzają, ale pewnie nie zwracały na siebie uwagi, krążyły po prostu po różnych orbitach. Odwiedziłem ostatni raz Azję i wróciłem do Europy, gdzie miałem nocleg. Następnego dnia opuszczałem Europę na dłużej.

Podróż 2022. Atyrau – Aktobe

1

„Pomknęli po stepie samotni włochaci jeźdźcy, niby spazmy wielkiego strachu dotarli do gardzieli aułów. Nad stepem ukazał się nigdy dotąd niewidziany ptak. Cień jego olbrzymich skrzydeł ślizga się, nakrywając jeźdźca wraz z koniem, gardłowy jego klekot, wyprzedzając koński kłus, przetacza się przez odległe obozowisko. Ptak przyleciał do miasta Aktiubińsk. Okrążył je trzykrotnie i osiadł w stepie. Ukryci w burzanach pasterze widzieli, jak z ptaka zlazł niewielki człowiek, jak zabrał go nadjeżdżający samochód i powiózł do miasta. […] Za pół roku nad tymi okolicami przejdzie wielka linia powietrzna”.

Był początek lat trzydziestych, bohaterowie powieści Brunona Jasieńskiego *Człowiek zmienia skórę* lecieli z Moskwy. Ich czteromiejscowy samolocik miał po drodze do Taszkentu kilka międzylądowań. Jedno wypadło w Aktobe, zwanym z rosyjska Aktiubińskiem, lotnisko otwarto tu w sierpniu 1933 roku. Dziś należy do największych w kraju, a miejscowi kontrolerzy ruchu lotniczego odpowiadają za cały zachodni Kazachstan. Miasto żyje lataniem. Aktobskie osiedla nazywają się: Aeroport (Lotnisko), Awiagorodok (Miasteczko Lotnicze, prowadzi do niego ulica o tej samej nazwie) oraz Awiator 1 i Awiator 2. Są też park i stadion Awiator (po polsku także będzie awiator – dawniej tak nazywano lotnika).

Wspomniana w powieści „wielka linia powietrzna” skróciła czas przelotu na trasie Moskwa–Taszkent do osiemnastu godzin, co biło na głowę przejazd pociągiem. Wszystko dzięki temu, że samoloty mogły wreszcie latać w nocy.

Z lotniska odebrał mnie ksiądz Tadeusz Smereczyński, aktobski proboszcz – w mieście działa katolicka parafia Dobrego Pasterza. Wysoki, chudy, żwawy mimo z górą siedemdziesiątki na karku, w bejsbolówce i dżinsowej kurtce (ochłodziło się), na dzień dobry zarządził, że będziemy mówić sobie po imieniu. Palił papierosa za papierosem. Po drodze zatrzymał się pod bankiem, aby opłacić parafialne rachunki.

Do centrum było blisko. Po dawnych czasach pozostały tu szerokie aleje i ulice. Przestrzeni jest dosyć, dookoła step, nie ma się co ograniczać. „Szeroką

piaszczystą deltą ciągnęło się miasto Aktiubińsk. Piaszczyste rzeki ulic płyną w niziutkich gliniastych brzegach. Wolno przepływają obładowane wozy zaprzężone w wielbłądy. Miasto szeroką deltą przechodzi w step, w ciszę, w żółte mgły” (to znowu Bruno Jasieński).

Minęliśmy gmaszydło uczelni kształcącej pilotów wojskowych i specjalistów okołolotniczych, jedynej tego rodzaju w Azji Centralnej. Na błoniach przed nią rozłożył się lotniczy skansen – park starych samolotów i śmigłowców. Stały tam maszyny szkolne i transportowe, sowieckie myśliwce i bombowce. Na honorowym miejscu pysznił się czterosilnikowy turbośmigłowiec An-12.

Zabudowa była nowa, późnosowiecka i już postsowiecka, czasem z nowobogackim rozmachem, ale bez atyrauskiej ostentacji. Bliżej dawnego śródmieścia zachowało się kilka kwartałów stalinowskiego klasycyzmu. A okolice kościoła to kolonia drewnianych domów z ogródkami. Tutaj w ogóle nie czuć, że jesteśmy w Kazachstanie, tak wygląda rosyjska prowincja, jakiś Psków, jakiś Sierpuchow, jakiś Stawropol.

2

Ksiądz pracuje w Aktobe od 1993 roku i zna miasto na wylot. Wydeptał ścieżki do lokalnych władz, zachodzi jak do siebie do meczetów i prawosławnych cerkwi. Wie, gdzie najlepiej wymienić pieniądze i w którym lokalu dają najświeższe piwo. Ale o zamachach dowiedział się z pasków w polskiej telewizji. Odbiera ją przez satelitę.

W maju 2011 roku dwudziestopięcioletni zamachowiec samobójca wysadził się pod aktobską siedzibą Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego. Ciężko ranił trzy osoby. Był to pierwszy w ogóle atak terrorystyczny w Kazachstanie. W następnych miesiącach w zamachach i przypisanych terrorystom strzelaninach, a także w czasie policyjnych akcji antyterrorystycznych, zginęło w całym kraju co najmniej czterdzieści osób. Najwięcej takich zdarzeń miało miejsce właśnie tu, na zachodzie.

Wszyscy zamachowcy okazali się salafitami, czyli islamskimi fundamentalistami. W Kazachstanie i w innych państwach poradzieckich stanowią oni niewielki odsetek wierzących muzułmanów (bo są też niewierzący, czy raczej niepraktykujący – nazywa się ich muzułmanami kulturowymi).

Do tego zdecydowana większość salafitów jest nastawiona pokojowo. Fundamentalizm to dla nich życie zgodne z religią, która powinna być „czysta” jak za Proroka, bez nowinek i lokalnych naleciałości. Salafitów można porównać w uproszczeniu do katolickich tradycjonalistów, zwolenników Kościoła przedsoborowego i odprawianej po łacinie mszy, w której kapłan stoi tyłem do wiernych.

Ci, których salafizm doprowadził do terroryzmu, są więc mniejszością w mniejszości (liczbę wszystkich salafitów w kraju szacowano w tamtych latach na najwyżej piętnaście tysięcy – wobec co najmniej dwunastu milionów muzułmanów wierzących i kulturowych). Dlaczego motywowani religijnie terroryści pojawili się właśnie na zachodzie Kazachstanu? Było kilka powodów. Po pierwsze, tuż za Morzem Kaspijskim działało wtedy pod szyldem Emiratu Północnokaukaskiego zbrojne podziemie, które chciało zbudować na Kaukazie republikę islamską. Imponowało to narwańcom i gorącym głowom, a gdy radykalny inguski duchowny wydał fatwę (opinię), że walka z kazachstańską policją także jest dżihadem, złapali wiatr w żagle.

Po drugie, w ośrodkach naftowych bardziej widoczne są społeczne nierówności. Młodzi ludzie bez życiowych perspektyw, patrzący na karawany jaguarów, bentleyów i aston martinów, odnajdowali w walce z systemem sens życia („Dlaczego ja jestem biedny, a oni bogaci, przecież Allah obdzielił bogactwami nas wszystkich?!”).

Po trzecie, duże, przemysłowe miasta, których tutaj nie brakuje, dają anonimowość. Nikt nie zwraca uwagi, jak się ubierasz i dokąd chodzisz. Inaczej jest na południu, gdzie bliższa i dalsza rodzina żyje zwykle obok siebie, a sąsiedzi też są jak krewni – tam zawsze ktoś ma na ciebie oko i zauważy, że dzieje się coś złego. I sam się bardziej pilnujesz.

Po czwarte, swoje dołożyły policja i Komitet Bezpieczeństwa Narodowego. Salafici znaleźli się na ich celowniku, bo wymykali się kontroli, unikali oficjalnych meczetów i Duchownego Zarządu Muzułmanów Kazachstanu, który uważali za heretycki. Funkcjonariusze, chcąc się wykazać, zaczęli urządzać na nich regularne polowania. Wystarczyło mieć dłuższą brodę i spodnie kończące się przed kostką, aby narazić się na zatrzymanie, przesłuchanie, areszt. Wielu wyjechało z kraju, niektórzy trafili do więzienia z artykułów o terroryzm, skazywani często na podstawie wątpliwych poszlak. Część z nich dopiero wtedy się zradykalizowała. Po zamachach władze zmieniły taktykę i obok metod twardych, takich jak masowe aresztowania (poszło siedzieć pięćset osób)

i zaostrzenie prawa, sięgnęły po miękkie. W więzieniach wzięto się za resocjalizację, oficjalne instytucje islamskie zaczęły wychodzić do ludzi. Lojalni salaficcy przywódcy dostali dyskretne wsparcie. Na tle państw regionu były to kroki rewolucyjne. Zadziałało i przez kilka lat był spokój.

Pięć lat po pierwszym zamachu, w czerwcu 2016 roku, w Aktobe doszło do rzezi. Zaczęło się od sklepu z bronią. Do środka wdarło się dwudziestu kilku terrorystów – wcześniej zebrali się na skwerze naprzeciwko. Strzelali na postrach i grabili wszystko, co wpadło im w ręce. W środku zabili sprzedawcę i ochroniarza, a już przed sklepem emeryta, który zagrodził im drogę. Potem rozdzielili się na dwie grupy. Jedni zatrzymali autobus, wyrzucili pasażerów i kazali się wieźć do jednostki wojskowej. Staranowali bramę i chcieli opanować skład broni, ale zostali wyparci. Zdołali zabić trzech żołnierzy, stracili jednego ze swoich. Drudzy zabrali radiowóz, który właśnie podjechał (ranili trzech policjantów) i ruszyli do kolejnego sklepu, myśliwsko-wędkarskiego. Wzięli go szturmem, zabijając klienta, który oglądał sprzęt rybacki. Tam policja zjawiła się błyskawicznie, mundurowi położyli trzech napastników i ciężko ranili czwartego. A służby ruszyły w pościg za pozostałymi, którzy rozbiegli się po mieście. Operacja trwała pięć dni. Podczas zatrzymań zginęło czternastu terrorystów.

Napastnicy byli zdeterminowani i okrutni, ale działali jak skończeni amatorzy. Na nagraniach z monitoringu, które wyciekły do internetu, widać, jak wpadają na siebie, gubią broń, plądrują sklepy po omacku, bez planu. Nie mieli samochodów, zdali się na przypadek (miejski autobus nie musiał podjechać o czasie). Po akcji wrócili na stare kwatery i zajęli się sprawdzaniem kont w mediach społecznościowych. Decyzja o ataku miała ponoć zapaść kilka dni wcześniej, na wieść o apelu Państwa Islamskiego. Terrorystyczna międzynarodówka wezwała swoich braci z krajów, z których trudno wyjechać na dżihad – a kazachstańskie władze za wszelką cenę powstrzymywały radykałów – aby robili zamachy u siebie. To tłumaczyłoby chaotyczny przebieg akcji. Szczęście w nieszczęściu, że napastnicy nie zdążyli się przygotować.

Komitet Bezpieczeństwa Narodowego podał, że na Bliski Wschód wyjechało ponad trzystu obywateli Kazachstanu, ale mogło ich być nawet dwa razy więcej. Kilka lat wcześniej ponad dwustu Kazachstańczyków zasiliło szeregi dżihadystów w Afganistanie i Pakistanie. Najbardziej radykalne jednostki znalazły się poza krajem i nie zamierzały wracać. A władze znów zaostrzyły

kurs, czego ofiarą padł aktywista Maks Bokajew, który zwołał mityng w sprawie obrotu ziemią kilka tygodni przed wypadkami w Aktobe. Wysoki wyrok, jaki dostał, odpowiadał potrzebom walki z ekstremizmem.

Zamachy się nie powtórzyły. Do stycznia 2022 roku w Kazachstanie było spokojnie i stabilnie.

3

Następnego dnia ksiądz Tadeusz obwiózł mnie po mieście, pokazał najważniejsze miejsca i punkty orientacyjne, i zahaczył o muzeum, które podobnie jak w Aktau znajdowało się poza centrum. Wreszcie stanął przed stadionem miejscowego klubu FC Aktöbe. Miałem w pobliżu spotkanie.

Profesor Gułbanu Izbasarowa, historyczka i szefowa katedry na aktobskim uniwersytecie, wróciła w nocy ze Stambułu. Dzwoniłem do niej rano, wyrwałem ze snu, ale od razu zgodziła się na rozmowę. Potrzebowała tylko trochę czasu. Powołałem się na archeologa Mirasza, który dał mi jej numer, i pewnie to mi pomogło – mogła już mieć na ten dzień inne plany.

Umówiliśmy się w kawiarni sieci Boom, prawie naprzeciwko meczetu Nurdaulet, najdziwniejszej świątyni w mieście. Przylega do centrum handlowego Nurdaulet, razem tworzą całość – od ulicy są sklepy, a od tyłu meczet. Biało-niebieski kompleks wzniósł na przełomie wieków aktobski biznesmen i nadał mu imię swojego ojca, który zaginął na wojnie. Wybuchł skandal – choć meczety mogą nosić różne nazwy, to nie są to wezwania takie jak w chrześcijańskich kościołach. Potem władze chciały zamknąć Nurdaulet w ramach czystek po zamachach, bo nie podlegał Duchownemu Zarządowi Muzułmanów Kazachstanu, głównej strukturze muzułmańskiej w kraju: należał i należy do fundacji, którą kieruje tenże biznesmen filantrop, dziś już mocno leciwy. Ale że nie uczono tam salafizmu, wszystko rozeszło się po kościach. I *sacrum* nadal współistnieje w tym miejscu z *profanum*.

Gabinet oficera śledczego NKWD odtworzony w miejscowym muzeum. Aktobe, 2022

Pani profesor specjalizuje się w dziejach zachodniego Kazachstanu. Najbardziej interesuje ją historia nowożytna i rosyjska kolonizacja. Zwróciła uwagę na paradoks: tutejsza idea narodowa była dziełem kompradorskich kazachskich kadr, kształconych w Rosji dla potrzeb imperialnej administracji. Owych janczarów chowanych po to, aby pomagali carom w zapanowaniu nad stepami i w dalszych podbojach.

– Pierwsze pokolenie naszej inteligencji wywodziło się z żuzów Młodszego i Średniego – powiedziała. – To byli Kazachowie po studiach w Moskwie albo w Kazaniu. Oni zakładali kazachskie gazety, rozwijali oświatę i bronili praw rodaków w Dumie Państwowej. Gdy upadł carat, powołali Ałasz Ordę, kazachską autonomię. Potem ich wszystkich rozstrzelano, ale ziarno zakiełkowało. Żyjący najdalej od Europy Starszy żuz wszedł w skład Rosji najpóźniej i w tym czasie prawie nie miał ludzi ze świeckim wyższym wykształceniem.

A czy dzisiaj studia w Rosji nobilitują? Już nie. Najlepiej wyjechać do Stanów albo do Anglii, trochę niżej cenione są uczelnie w Unii. Dalej idzie Turcja, ale tutaj wiele zależy od miejsca – Uniwersytet Stambulski czy Gazi w Ankarze są w cenie, prowincja to strata czasu. Chiny to wciąż niszówka, choć bardzo się promują i zachęca przykład prezydenta Tokajewa, który mówi po chińsku. Ale w studiowaniu chodzi nie tylko o wiedzę, lecz także o polor, ogładę, szlify. Te może dać tylko Zachód i nic to, że najlepsze uczelnie z Pekinu i Szanghaju biją w rankingach na głowę Berlin, Mediolan czy Warszawę.

Według Izbasarowej do Rosji wyjeżdżają ci, którzy chcą tam zostać na stałe. Najczęściej kazachstańscy Rosjanie, choć trafiają się też Kazachowie. Rosja wabi studentów, rozdaje stypendia i granty, wysyła do Kazachstanu agitatorów. Dla niej to inwestycja, nie biznes. Ci, którzy chcą studiować po rosyjsku na miejscu, mają filie rosyjskich szkół wyższych. Na uczelniach rodzimych, kazachstańskich, jest coraz mniej rosyjskich grup i sekcji.

Profesor jeździ do Rosji do archiwów. Nie zawsze dostaje to, o co prosi. Badacz z Kazachstanu nie poczyta o zbrodniach Sowietów w swojej republice, nie zobaczy dokumentów, które je potwierdzają. Materiałów o kazachskim głodzie lat dwudziestych musi szukać gdzie indziej. Podobnie Uzbek nie poczyta o zbrodniach na Uzbekach. Jeśli Rosja tak ukrywa przeszłość, to co szykuje Kazachom na przyszłość?

– Boimy się – uczona ściszyła głos i odruchowo się rozejrzała, czy nikt nas nie podsłuchuje – że zrobią nam to, co Ukrainie. A styczniowe zamieszki pokazały, jacy jesteśmy bezbronni.

Jej studenci podzielili się na dwa obozy: jedni, delikatna większość, są za Ukrainą, drudzy za Rosją. Dużo zależy od narodowości (wiadomo, że Rosjanie w większości popierają Rosję), ale nie wszystko. Także od tego, co się czyta, i od kręgu znajomych. Bo młodzi ludzie czerpią informacje z Facebooka i TikToka, a tam tworzą się hermetyczne bańki, w których krążą odmienne posty i filmiki. Oba obozy z tygodnia na tydzień coraz bardziej się od siebie oddalają. Ale nikt nie chce w Kazachstanie wojny. Przynajmniej na razie.

Spytałem ją jeszcze o islam – jak odnoszą się do niego kazachscy studenci. Odpowiedziała, że mało jest wśród nich muzułmanów świadomych, znających religię. Ale chcą pokazać, że wierzą, teraz to modne. Dziewczyny noszą hidżaby, zasłaniają włosy. Na uczelni nie powinny, bo państwo jest świeckie, ale zwykle przymyka się oko. A na ulicy te dziewczyny stoją i palą papierosy.

– Czasem podchodzę do takiej i mówię: „Jeśli już przyjęłaś islam, to nie pal. Zachowuj się jak muzułmanka!”. – Pani profesor jest ze starej szkoły i zwraca uwagę, gdy ktoś ze studentów brzydko mówi albo się niechlujnie ubrał. – Nie wiem, czy do nich to dociera. Oni kierują się modą, a nie sercem.

4

W kiosku kupiłem całą stertę gazet. To mój nałóg. Z każdej podróży zwożę tony papierowej galanterii – biletów, folderów, jakichś ulotek. Ale najwięcej gazet i książek. Lokalną prasę warto czytać od deski do deski, z reklamami i ogłoszeniami drobnymi. Najlepiej wszystkie tytuły z kilku dni. Wtedy nie przegapi się niczego ważnego.

Wczesnym latem 2022 roku miasto Aktobe, jedno z najbrudniejszych w Kazachstanie, żyło ekologią. Gazety pisały o wyrzutach siarkowodoru z miejscowej oczyszczalni ścieków, o zatruciu rzeki Ilek rakotwórczym tlenkiem chromu i o problemach sortowni odpadów, która od pół roku szuka ludzi do pracy. Była też dobra wiadomość – minister zasobów naturalnych polecił zamknąć szyby naftowe wokół podziemnego zbiornika wody Kokżydie. To ciąg dalszy historii, którą znałem z filmu *The Other Side of Oil*. Do wielkiego rezerwuaru, zdolnego dać wodę pitną trzem obwodom, przeciekała ropa z odwiertów, ale długo nikt z tym nic nie robił. Teraz miało się to zmienić. Może naprawdę szło nowe, bo w tamtych dniach wzrosły też w Kazachstanie kary za zanieczyszczanie środowiska.

O zamknięciu szybów dowiedziałem się z „Aktobe Tajms”. Świetny tytuł dla lokalnej gazety! Kazachsko-angielski miks rozwijał motto ekologów, by działać lokalnie, ale myśleć – globalnie. Z kolei gazeta „Diapazon” informowała o zbliżającej się nocy muzeów. Z tej okazji tutejsze muzeum sztuki zapraszało na otwarcie wystawy malarsko-fotograficznej *Śladami Wielkiego Stepu*, połączonej z jarmarkiem rękodzieła. Po wernisażu w planach był „wolny mikrofon” (chętni mogą sami coś zagrać albo zaśpiewać). A na finał – pokaz filmu o Andym Warholu. Też miało być więc globalnie i lokalnie jednocześnie.

Na czołówce w ogólnokrajowym tygodniku „Karawan” był duży materiał o kazachstańskich pociągach. Zaczynały się upały i sezon wakacyjny, ale w wielu składach nie było klimatyzacji, do tego dochodziły zamknięte na głucho okna, a prycze w wagonach sypialnych trzymały się często na słowo

honoru (na większości tras wagonów niesypialnych tu nie ma). Standardem miał być wszechobecny brud. Dziennikarka zebrała relacje pasażerów i konduktorów, kolejowa dyrekcja zignorowała przesłane pytania. Artykuł ilustrowały zdjęcia zdezelowanych składów ze szczególnym uwzględnieniem toalet.

Następnego dnia czekała mnie dziesięciogodzinna podróż pociągiem do Aralska, który po kazachsku nazywa się Arał.

Na dworzec znów podrzucił mnie ksiądz Tadeusz. Wcześniej mieliśmy okazję trochę pogadać. Nie był tuzinkowym kapłanem, na Wschodzie w ogóle trudno o ciepłe probostwo, tutaj wytrzymują najtwardsi. Święcenia przyjął w wieku trzydziestu sześciu lat, miał już wtedy za sobą kryzys wiary. W Polsce działał jako duszpasterz rodzin, w Kazachstanie zajął się alkoholikami i narkomanami – wszelkich narodowości i wyznań. W parafii postawił na wspólnoty neokatechumenalne.

Historia Kościoła w Aktobe sięga połowy lat czterdziestych. Zaraz po wojnie do miasta zesłano z Odessy i z innych miejsc na Ukrainie Niemców, których ominęły wcześniejsze deportacje. Wielu z nich było katolikami. Przez lata modlili się po domach, czasem docierali do nich potajemnie przemierzający Kazachstan duchowni, w tym ksiądz Władysław Bukowiński. W końcu wierni dostali zgodę na otwarcie kaplicy. Urządzili ją w 1979 roku w zakupionym na ten cel domu z ogrodem. Wkrótce do Aktobe przyjechał już legalnie łotewski franciszkanin, z pochodzenia Austriak, z bogatą łagrową kartoteką. Po jego śmierci proboszczami byli Litwin i dwóch Niemców. Na działce stanął kościół, bo wierni nie mieścili się w kaplicy. Ale potem rozpadł się Związek Radziecki, Niemcy zaczęli masowo emigrować i parafia się wyludniła. Ksiądz Smereczyński musiał ją tworzyć od nowa. Po przyjeździe rozplakatował miasto, zapraszał do kościoła wszystkich chętnych. Gęsto się potem tłumaczył, bo lokalne władze nie wiedziały, co to za inicjatywa.

Zaczął od mszy po rosyjsku – wcześniej w Aktobe była tylko po niemiecku. Dotarł do ludzi o katolickich korzeniach, zachęcił poszukujących, zgromadził ciekawskich. Z czasem powstała nowa wspólnota. Liczy paruset wiernych, z których dobra setka pojawia się teraz w kościele co tydzień, a niektórzy częściej. Równolegle ksiądz rozwinął akcje pomocowe, ruszył parafialny Caritas, otwarto stołówkę, ambulatorium oraz łaźnię i pralnię, służące ubogim i potrzebującym. Wreszcie, po trzydziestu latach w Kazachstanie, ksiądz

Tadeusz zaczął myśleć o emeryturze. Uczciwie na nią zapracował. Miewał do pomocy wikarych, ale oni przychodzili i odchodzili, a on cały czas trwał na posterunku.

– Teraz ludzie poradzą już sobie beze mnie – powiedział na pożegnanie na aktobskim peronie i zgasił ostatniego papierosa. – Parafia przetrwa. Ja tu już jestem niekonieczny.

Podróż 2022. Aktobe – Aralsk

1

Bilet kupiłem przez internet, przy wejściu do wagonu konduktor zeskanował kod. Gdybym nie miał ze sobą wydruku, odszukałby dane w systemie. Żaden problem, tylko trwa to chwilę dłużej. Czytnik i cała elektronika średnio pasowały do wysłużonego składu, który pamiętał jeszcze czasy zmarłego w 1982 roku Leonida Breżniewa.

Po rozpadzie ZSRR najlepszy tabor kolejowy, drogowy i lotniczy przejęła Rosja, dzieląc się po uważaniu z zachodnimi republikami, Białorusią i Ukrainą. Gorszy sort trafił do Mołdawii i Kazachstanu, a jeszcze gorszy na Kaukaz – do Gruzji, Armenii i Azerbejdżanu. Głębokiej Azji Centralnej przypadł ostatni złom. Jeszcze długo w XXI wieku na trasach wewnętrznych jeździły tam i latały poobijane blaszane trumny, budząc grozę u przygodnych, nienawykłych pasażerów.

Mój skład należał do Kolei Kirgiskich. Chociaż wiekowy, był świeżo pomalowany i odnowiony. Działała klimatyzacja. Połączenie było międzynarodowe, pociąg jechał z Samary do Biszkeku, przecinając Kazachstan tranzytem. Trafił mi się wagon *płackartnyj*, czyli sypialny bez przedziałów, z rzędem piętrowych leżanek wzdłuż jednej ściany wagonu (dolne prycze tworzyły po złożeniu dwa fotele i stolik) oraz czteroosobowymi otwartymi boksami wzdłuż drugiej. Ale przejazd wypadał mi tym razem za dnia, spać miałem już w Aralsku.

Przy końcu wagonu wisiał rozkład. Oprócz listy stacji z godzinami przyjazdów i odjazdów w obu kierunkach były tam też podane odległości w kilometrach, liczone od Samary (choć pociąg zaczynał bieg w Biszkeku i do Biszkeku teraz wracał). Ale zamiast zera przy Samarze stała liczba 1044, przy Aktobe – 1734, a przy Biszkeku – 3720. Kilometrem zero, punktem odniesienia oraz centrum wszechświata pozostawała dla Kolei Kirgiskich Moskwa. W trzydziestym pierwszym roku niepodległego Kirgistanu na rozkładzie jazdy – i w ogóle w całym pociągu – nie było ani słowa po kirgisku. A rozkład był świeżo wydrukowany, połączenie Biszkeku z Samarą uruchomiono niedawno.

W Kazachstanie takie rzeczy już od dawna nie mieściły się w głowie.

Opuściliśmy Aktobe i został za nami przemysł ciężki, wszystkie te cementownie, odlewnie, huty, kombinaty chemiczne, fabryki nawozów sztucznych, zakłady elektromaszynowe. Miasto Chromtau z kopalnią rud chromu (drugie co do wielkości na świecie złoża chromitu) i wioska Nikieltau, gdzie nic się nie wydobywa, ale w pobliżu zalegają rudy kobaltu i niklu. Kominy, kominy, dym. Opuściliśmy sowiecki Kazachstan i znów zaczynało się wieczne państwo. Zaczynała się jazda.

Za oknem pojawił się step i tak już miało być do końca. Step. Step-step. Step-step, step-step. Pięćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Step-step. W rytmie stukotu kół. Kiedyś napisałem o tym wiersz, niedobry, bo nie mam daru do poezji, ale chodziło o to, że krajobraz za oknem nie zmienił się od paru godzin i paru stuleci. Eurazjatycka czasoprzestrzeń. Nie znałem jeszcze taszkenckiego wiersza Anny Achmatowej, który trafia w sedno: „Nie byłam tu z siedemset lat, / Lecz wokół nic się nie zmieniło… […] On trwały jest, mój w Azji dom”. Wziąłem ten fragment na motto *Buranu*, mojej pierwszej książki o regionie.

Jurta, po prostu jurta. W cywilizacji koczowników symbolizuje świat i sama jest całym światem. Azja Centralna, 2011

Pavel Samokhin, łódzki muzyk i potomek Kozaków znad Donu, nagrał z zespołem Samokhin Band piosenkę o tym samym (i o miłości). Nazywa się po prostu *Kazachstan* i otwiera płytę *Życie bez snu*:

Jadę pociągiem do ciebie
Przez lasy, góry i stepy,
Podróż tydzień trwa,
Nie widać końca.
Chłopaki mówią: „Co robię?
Znajdź dziewczynę we Lwowie!”,
To ja odpowiem wam –
Dręczy mnie Kazachstan.

Kazachstan
To inny umysłu stan

Dziewczyny z bajecznych snów
Oczy tak piękne – brak słów.

Pociąg – wagon coupé,
Są goście z Duszanbe,
Dają mi piwo i drink
Im dalej jechać – do Chin.
Dziewczyna czeka na mnie,
Z uśmiechem do mnie lgnie.
Całuję usta miód
Czuję – Wschód.

Kazachstan
To inny umysłu stan
Dziewczyny z bajecznych snów
Oczy tak piękne – brak słów.

2

Odkąd podróżuję na Wschód, prędkość tamtejszych pociągów dalekobieżnych, zwanych w odróżnieniu od podmiejskich „pospiesznymi”, nic się nie zmieniła, średnio to właśnie pięćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. W Azji Centralnej wyjątkiem są naprawdę pospieszne kazachstańskie „hiszpany” i pojedyncze pociągi gdzie indziej. Kiedyś tłumaczyłem współpasażerom, jak zbliżyłyby się do siebie różne miasta, gdyby weszły tutaj koleje dużych prędkości. „Dla was liczy się tylko szybkość” – wzruszył ramionami starszawy Kazach, który wracał od dzieci z Rosji. Miał na myśli Europę, ale również Chiny, Japonię, Koreę Południową. Kultury ludów osiadłych, dla których droga jest tylko środkiem, rzadko celem samym w sobie.

Kilkanaście lat wcześniej jechałem pociągiem z Aktau do Astany (aktauski dworzec znajduje się poza miastem, w sąsiedniej osadzie, która nazywa się jak półwysep – Mangystau). Miałem czteroosobowy przedział i jeden pasażer, policjant, regularnie się modlił. Było to nielegalne, bo w Kazachstanie nie wolno praktykować religii, żadnej religii, w przestrzeni publicznej, można w świątyni albo u siebie w domu, ale nikt się nie obruszał, wychodziliśmy grzecznie z przedziału, gdy policjant rozwijał na podłodze swój modlitewny

Pobrano ze strony pijafka.pl

dywanik. Mógł być rodem z Szymkentu, tak twierdzili kazachscy znajomi, którym opowiadałem tę historię, bo sam jakoś nie spytałem. Muzułmanie z południa lubią demonstrować swą religijność. Te modły, które odprawiał co parę godzin, nadawały naszej podróży rytm, odmierzały czas jak wachty na statku.

W ogóle miałem wrażenie, że żeglujemy po morzu. Kolejne stacje, do których przybijaliśmy, były jak wyspy, a semafory były jak latarnie morskie.

Dla starszawego Kazacha, który nie uważał szybkości za szczególną wartość, dalekobieżny pociąg mógł być refleksem koczowniczych wędrówek, wpisanych w genetyczną pamięć jego narodu. Przejścia z koczowisk zimowych na letnie i z powrotem nie były kaprysem nomadów, domagała się ich sama przyroda. Pastwiska musiały odpocząć, odbić, inaczej stadom groziłby głód. Poza tym zwierzęta, zwłaszcza konie, potrzebowały ruchu, a i ludzie nie lubili siedzieć w miejscu. Dawni rolnicy w podobny sposób uprawiali ziemię: obsiewali jedno pole, a drugie w tym czasie ugorowali. Taki system nazywano dwupolówką.

Kazachowie spęcznieli z dumy, gdy międzynarodowy zespół badaczy dowiódł, że właśnie tu, w obecnym północnym Kazachstanie, udomowiono konia. Stało się to pięć i pół tysiąca lat temu. Europejczycy chodzili wtedy i jeszcze długo na piechotę. Dowody były aż trzy: końskie kości towarzyszące ludzkim nosiły ślady większych obciążeń niż u dziko żyjących krewniaków (to od noszenia ciężarów), zęby wskazywały na obecność wędzidła (to od jazdy wierzchem), a w naczyniach na żywność odkryto ślady kobylego mleka (to znak, że dojono klacze). Swoje wnioski uczeni opublikowali w czasopiśmie „Science”.

Bez konia nie byłoby koczowniczej kultury, nie powstałyby stepowe imperia. Konie i wielbłądy były dla stepu tym, czym łodzie dla wybrzeży. Oceanu nie da się przepłynąć wpław, ale flotylla łódek może tego dokonać. Bo Kazachstan i cała Azja Centralna, niemające dostępu do morza, same są bezkresnym, śródlądowym akwenem. To region przejściowy – taki, który trzeba przejść albo przejechać. Region pomiędzy. Oddziela Rosję od globalnego Południa, Chiny od Bliskiego Wschodu, Europę od Azji. Kaukaz jest stykiem, zwornikiem światowych cywilizacji, ale też ich kresami, natomiast Azja Centralna – gigantycznym buforem między nimi. Chociaż nie czarną dziurą. Jeśli gdzieś bije serce Eurazji, to na Wielkim Stepie, w samym środku superkontynentu. Stąd, niczym fale po wodzie, rozchodzi się jego puls.

Wiem, porównanie stepu do oceanu jest banalne, ale nic nie poradzę, że nie ma lepszego. Mickiewicza już cytowałem – na samym początku, bo on był pierwszy. A za nim poszedł cały legion. Nawet Jasieński w powieści produkcyjnej nie oparł się pokusie: „Szeroką powodzią płynie step. Samotne jurty pływają na powierzchni niby czarne meduzy. Rude susły jak ryby pluskają się w bujnej trawie. Przeciągle świszczą susły, naśladując wiatr, i przysłuchuje się im wicher, przyczajony nieruchomo między łodygami traw”.

Chyba najdalej poszedł w tych paralelach Bronisław Zaleski: „Porównywają step do morza i w istocie są podobieństwa: rozległość przestrzeni ograniczonej tylko horyzontem, wichry stepowe podobne do burz morskich, miraże jak fatamorgana, nawet białe ptastwo, którego nigdzie nie widziałem prócz na morzu, tutaj spotyka się także. I Kirgizi mają w sobie coś podobnego do żeglarzy o tyle, o ile step podobny do morza. Ogorzali od wiatru i słońca, jak tamci mówią bardzo głośno, krzyczą donośnie jak ludzie, co z daleka rozmawiać z sobą przywykli przez wichry i burze; w podróżach kierują się gwiazdami, odbywają je na wielbłądach, prawdziwych łodziach stepowych, kołyszących się jak tamte. Wzrok mają dziwnie bystry i rozpoznają na horyzoncie przedmioty, jak gdyby przez lunety patrzyli. Kiedy dwóch podróżnych spotyka się w stepie, to jak dwa okręty na morzu postrzegli siebie z daleka i dążą ku sobie. Najprzód znakami zapytują się wzajemnie, co są za jedni, swoi czy obcy, to jak wywieszone flagi na statku podjeżdżają i spadły na chwilę. Nie zsiadając z koni, zapyta jeden drugiego, skąd i dokąd jedzie i z jakiego aułu, jaka tam droga, czy nie ma złodziei (korsarzy) i dalej każdy w swoją stronę. A huragan, szczególniej zimą, to prawdziwa burza morska; niejeden przypłacił życiem, a szczęśliwy ten, kto zakopał się w śniegu i tak przesiedzieć potrafił aż do pogody”.

Step między Ałmatami a chińską granicą. Kazachstan, 2015

To, co napisał Zaleski, jest ważne, bo mówi o spotkaniu. Na stepie ludzie do dziś nie mijają się obojętnie, trzeba się przynajmniej pozdrowić i w przelocie zapytać, czy wszystko w porządku. Jasne, że na szosach to nie obowiązuje, ale na bocznych, gruntowych drogach już tak, auta zwalniają, a kierowcy machają do siebie. A na szosie wystarczy stanąć na poboczu i otworzyć maskę, aby zaraz ktoś się zatrzymał – może trzeba pomóc? Dawniej zostawić człowieka w stepie samego i bez pomocy znaczyło skazać go na śmierć, dziś może dałby sobie radę, ale pewności nie ma, więc Kazachowie nie ryzykują. Raz utknął w śniegu polski tirowiec, drogę zawiało dokumentnie i przygodni znajomi zabrali go do domu na noc. Potem, gdy zamieć zelżała, policja znalazła ciężarówkę i dała znać do konsulatu. Zaczęły się poszukiwania i spodziewano się najgorszego, ale kierowca sam się odnalazł, wrócił po auto, gdy po tygodniu gospodarze go wreszcie puścili i porządnie wytrzeźwiał.

W stepie każdy wędrowiec jest gościem, a jeśli gość, to uczta i besbarmak, król kazachskiego stołu. W najprostszym wydaniu potrawa składa się

z kawałków gotowanego mięsa i szerokich płatów makaronu, a jak znajdą się jakieś warzywa i trochę soli i pieprzu, można jeszcze zalać całość wywarem. Nazwa oznacza „pięć palców”, bo besbarmak, zwany także beszbarmakiem albo biszbarmakiem, je się wszystkimi palcami, wyławiając kawałki prosto z sagana. Uzbecy, kochający wyrafinowaną kuchnię – taki sumalak (samanu) trzeba gotować dwanaście godzin, a wcześniej przez parę dni szykuje się składniki – dziwią się, jak można jeść tak na łapu-capu, ot, wrzucił baraninę i ciasto do kotła, wymieszał i ma posiłek, nawet łyżki mu nie trzeba. Ale Uzbecy zawsze wykpią wszystko, co nieuzbeckie, a Kazachowie ugoszczą tym besbarmakiem od serca, instynkt koczownika każe przybysza nakarmić.

– Chciałbym, żeby wszystkie narody, które tu mieszkają, czuły i kochały Kazachstan tak jak ja – mówił mi lata temu Murat Orunchanow, matematyk i umysł ścisły, wtedy prorektor Uniwersytetu Al-Farabiego w Ałmatach, jednego z najlepszych w kraju, a potem wiceminister oświaty i nauki. – Wiem, że to trudne. Weźmy step. Dla mnie to część życia duchowego. Tam leżą moi przodkowie, tam są święte miejsca, tam walczyli z wrogiem nasi chanowie. Dla ciebie step nigdy czymś takim nie będzie.

Aby dostrzec nie tylko ocean trawy, potrzeba czasu i wrażliwości. Jolanta Dylewska miała jedno i drugie. W Stepie Głodowym, który właściwie nie jest stepem, ale pustynną równiną na pograniczu Kazachstanu i Uzbekistanu (kraniec zahacza już o Tadżykistan), przemieszkała półtora roku. Robiła zdjęcia do filmu fabularnego *Tulpan* Siergieja Dworcewoja. Obraz powstawał w sumie cztery lata i tylko Dylewska dotrwała do końca, reszta europejskiej części ekipy uciekła. „Pięknie jest tak pracować – powiedziała w wywiadzie. – Żeby nakręcić poród owcy, dwa tygodnie chodziliśmy za stadem, za ciężarnymi owcami, czekając, aż się oswoją. Zmniejszaliśmy dystans, żeby potem, podczas porodu, pozwoliły się zbliżyć”.

Film opowiada o kazachskim chłopaku, który po odsłużeniu wojska wraca w rodzinne strony. Chce zostać pasterzem i zamieszkać w stepie we własnym domu. Aby marzenie się spełniło, musi się ożenić. *Tulpan* objechał cały świat i zebrał laury w Tokio, Londynie, Zurychu, Montrealu, Belgradzie, Karlowych Warach, Manili. Dylewska dostała za zdjęcia nagrodę Azjatyckiej Akademii Filmowej – azjatyckiego Oscara.

Wspominała, że w czasie pracy nad filmem zmarło dwoje aktorów i porodziły się dzieci:

„– Ten pusty step w Kazachstanie kojarzy się z biedą, głodem, miejscem zsyłki. A tu młody bohater nie chce do miasta, chce żyć tylko tam, w pustkowiu, niebycie.

– A wiesz, że gdybym ja tam pojechała wcześniej, zanim się tu, w Warszawie, osadziłam, to ja bym tam została. Nie czuję się nigdzie zakorzeniona. Takie były losy mojej rodziny, że o żadnym miejscu nie mogłabym powiedzieć: »My tu jesteśmy od zawsze i to jest nasze miejsce na ziemi«. W książkach piszą, że chodzisz, chodzisz i nagle czujesz, że natrafiłaś na to swoje miejsce. Parę lat temu nawet go szukałam, chciałam wybudować dom. Dwa lata to trwało, w końcu zrezygnowałam, bo poczułam, że nic z tego nie będzie. A w tym Stepie Głodowym, który jest jak półpustynia, gdzie ludzie oddaleni od siebie dużymi odległościami trudno żyją i nawet owce padają z głodu, bo muszą kilometry przejść, żeby coś skubnąć, tam nagle poczułam, że to mogłoby być moje miejsce na ziemi.

– I co byś tam robiła?

– Żyłabym”.

Step oszałamiał nawet zesłańców z drugiej wojny, jego opisy pojawiają się w większości ich wspomnień. Choćby u Oli Watowej: „Byliśmy w stepie i teraz jeszcze zachowuję w pamięci urodę wielkich przestrzeni, poszum traw, trzcin, porostów, zapalających się horyzontów o zachodzie słońca i tej nieprawdopodobnie pięknej palety barw, której nie zobaczy się nad Paryżem. Przeważały fiolety roztapiające się w róż, w złoto, a potem w ciemne, ciemniejące coraz bardziej niebieskości. A kiedy niebo stawało się granatowe, zaczynało się iskrzyć od gwiazd, które swoim migotaniem zdawały się, one tylko, mącić tę jedyną, śpiewną ciszę stepu”.

Ksiądz Tadeusz Fedorowicz poszedł w opisy flory i fauny, a nawet nie tyle w opisy, ile w wyliczanki. On też widział step ponad kosmos traw. Miał obsesję, by wspomnieć oddzielnie najmniejsze źdźbło, by każde nazwać i w ten sposób ocalić. Można jego litanie pominąć, ale stracimy z pola widzenia całe światy, całe działy botaniki i zoologii, zresztą warto przebrnąć przez wszystko do końca dla samej urody języka, dla rzadkich nazw, których zestawienia brzmią jak poematy. Zacznijmy od kwiatów:

„Kwiaty w Kazachstanie: w stepie. Po śniegu wiosną: żółte duże margeritki »podśnieżniki«, jaskry, złote gwiazdeczki, złocienie pełne tłuste, białe gwiazdki, ciemnolila dzwoneczki w górę otwarte, storczyki różowe z bordową plamą,

tulipany białe i żółte, migdały, biały bez bardzo pachnący. Piwonie czerwone puste, niebieskoliliowe czterolistne z żółtymi środkami: »kałakolczyki« [dzwonki], potem przekwitłe »carskie kudry« [kędziory] – kule srebrne jak peruki. Storczyki łąkowe, srebrnolistna wysoka wyka, kwiat kremowy (kiść) przekwitły z ciemną peruką jak kropidło, żółte wysokie jakby małe słoneczniki z kwiatem w górę, ślaz różowy, białe malwy, niebieskie i lila ostróżki, słodki korzeń – kiść bladolila, to, co u Mamy w ogrodzie, dwa krążki z poczwórnym nasieniem jak bułka żydowska, różowe i białe kaprifolium, irysy liliowe niskie i żółte wysokie, rodzaj pełnej piwonii morelowopomarańczowej, groszki: różowy, czerwonoceglaste z cielistymi liśćmi, powoje. Fiołki białe i liliowe. […] Czeremcha, kalina, tarnina, poziomki – »kłubieniki« [poziomki-truskawki], maliny, ożyny, rumbarbarum [rabarbar], porzeczki czerwone i czarne, »mgiełki« – spirea [tawuła] – kilimowce (?) kremowe i białe, tłuste kapustki jak na »Ostrej Skale« [wzgórze na Podolu], kwitnące żółtymi kitami, złote gwiazdki w Kamionce [wieś we wschodnim Kazachstanie] na skałach, liście kłujące, pachnące selerami, dziewanna, dziki czosnek, asparagusy, różne dzwoneczki, chmiel, niebieskie suche »mikołajki«, kity szuwarów, cykoria – podróżnik, zielone kuliste krzaki (peruki), kolące z kolącymi nasionami zasychające na żółtawo-biało, wiatr je wyrywa i pędzi po stepie, tzw. perekatipole [łyszczec wiechowaty] – pięknie się palą (w Romanówce pod Kokpektami [wsie we wschodniej części Kazachstanu]). Coś jak kaktusy (w stepie) z tłustymi listkami i z nasieniem skręconym w spiralkę w przejrzystej osłonce”.

Podobnie ksiądz Fedorowicz wymienia stepowe zwierzęta: ssaki, płazy, gady, ptaki i owady (jeden z gadów „szybko biega, a napadnięty przeze mnie, podnosi głowę i szeroko rozdziawia czarną wewnątrz gębę”). Z jego litanii wyłania się obraz zmasowanej, ekstremalnej przyrody – autonomicznego bytu, który przerasta człowieka.

Przerastają także stepowe żywioły. Buran – śnieżna zamieć, która zamienia świat w lodowe piekło, pozbawiając swoje ofiary orientacji i woli walki (widoczność spada do parunastu czy parudziesięciu centymetrów, organizm natychmiast się wychładza). I dżut – masowy pomór zwierząt hodowlanych. Dżut jest wtedy, gdy napada tak dużo śniegu, że owce nie mogą dogrzebać się do trawy, albo przeciwnie, zima się opóźnia i śniegu jest mało. Gdy najpierw przychodzi deszcz, a potem mróz, ziemia zasklepia się pod warstwą lodu i nie da się go już przebić kopytkami. Jeśli na ten lód napada jeszcze śniegu, nie ma

ratunku także dla koni. Jak pisał pod koniec XIX wieku Jan Witort, „w ciągu kilku dni giną z głodu ogromne stada, a ich właściciel z żonami, dziećmi i domownikami, bezsilny wobec nieszczęścia, patrzy na upadek swego dostatku, na mienie topniejące jak śnieg wiosenny i bezładnie wyczekuje nowego gościa – śmierci głodowej. Jednej ciężkiej zimy, jednej gołoledzi wystarcza, by tysiące zamożnych Kirgizów doszło do kija żebraczego, by zaczęła grasować olbrzymia śmiertelność, by ludzie umierali wprost z głodu, jak to się działo w czasie 1882–1883 r., kiedy z powodu »dżutu« padło blisko 3/4 ogółu stad kirgiskich”.

Bliscy zniszczenia stepu byli Sowieci, którzy chcieli zamienić go w pole uprawne. Reporter Romuald Karaś zapisał opowieść celinnika: „Och, urodzaj był wielki, żadną miarą nie nadążaliśmy ze zwózką, a pszenica leżała pod gołym niebem i jak deszcz w nią popadał, to się samozapalała. Były to złote lata »celiny«, głównie rok 1957, kiedy Kazachstan nawiedzały klęski urodzaju. Później dopiero zaczęło się psuć. Wiatry wydmuchiwały, co się posiało na niejednym obszarze, i wychodziło nie tak, jak planowano”.

Ola Watowa wiedziała, kogo trzeba unikać: „A ja tutaj jestem tylko przybłędą, słabszą od najbardziej kruchej trzcinki. […] Wiele razy przemierzałam step, o każdej porze roku. Zawsze miał swoją urodę, ale zawsze też nielitościwe plagi. A jednak nigdy się nie bałam spotkanego przypadkowo w stepie Kazacha. Bałam się natomiast ludzi sowieckich. Kazachowie, jak nauczyło mnie potem doświadczenie, mieli i zachowali swoją wiarę, swoje wierzenia, swoje przykazania moralne. Było to w nich wciąż żywą treścią i każde odstępstwo od tych wiar napawało ich także strachem, że duchy będą się mściły”.

Ostatecznie Sowieci przeminęli, jak tylu najeźdźców z przeszłości. Nie przemogli stepu.

3

W pociągu zrobiło się luźniej i usiadłem na pojedynczym miejscu z własnym stolikiem. Miałem teraz widok na step i na cały wagon. Kazachowie nie patrzyli przez okno, większość grała w coś *offline* na komórkach – zasięg pojawiał się sporadycznie – ktoś czytał, ktoś po cichu rozmawiał. Godzinę później wszystko wyglądało tak samo. Czas stanął w miejscu.

Czułem się jak podmiot liryczny piosenki Samokhina, chociaż nie jechałem do dziewczyny, tylko nad Jezioro Aralskie. Ale wiedziałem też, że po zmroku towarzystwo w wagonie się ożywi i być może, tak jak w drugiej zwrotce, pojawią się z czymś do wypicia faceci z Duszanbe, jadący do Chin.

A za oknem, step-step, step-step, stała w miejscu trawiasta równina. Czasem przesuwała się w niej ciężarówka, czasem popielaty wielbłąd. Taki, jakiego wypatrzył z pociągu młody bohater powieści Jerzego Krzysztonia, opuszczający Związek Sowiecki. „Przysłonił ręką oczy i ujrzał go na wprost zachodzącego słońca, w przejmującym bezruchu – stał wspaniały w swoim wyzwaniu wpośród wielkich łun nieba, wśród żywiołu traw. Wielce wspaniały. Tak trwał. Trwał w śmieszności i powadze swojego nieprawdopodobieństwa. Zdało się chłopcu, że przejrzał jego tajemnicę, gdy pomyślał: koń, wilk, suseł… żaden nie pasował do tego zakątka ziemi tak dobrze, jak ten garbaty duch tych stron. Potrafił znieść na grzbiecie każdą biedę. Zwykły, choć niezwykły, śmiertelny, choć nieśmiertelny”. Wieczny jak państwo.

Raz, drugi i trzeci mignęła samotna zagroda. Domostwa nie wyglądały bogato, ale nie były zapuszczone, miały podciągnięty prąd i duże zbiorniki na wodę, a na podwórkach parkowały łady. Skończył się bajzel, jaki pamiętałem z lat dziewięćdziesiątych i wczesnych dwutysięcznych, ten wieczny rozgardiasz, walające się rupiecie, koślawe sławojki. Komórki i płoty sklecone z fragmentów karoserii, drzwiczek od lodówki, zardzewiałych łóżek i starych opon. Ale było w tych zagrodach, tkwiących samotnie w stepie, coś niejasnego, w ich pozornym spokoju czaiło się jakieś napięcie. Dlaczego nigdzie nie widziałem dzieciarni, która wszędzie na świecie macha do pociągów? Dlaczego z kominów nie unosił się dym? Nie znalazłem na to odpowiedzi.

W takich kropka w kropkę domostwach mieszkali bohaterowie filmów Emira Bajgazina, dziecka pierestrojki (rocznik 1984) i gwiazdy kazachstańskiej kinematografii. On sam urodził się we wsi Tamdy w obwodzie aktobskim, przejeżdżaliśmy przez nią po drodze z Aktobe i na pewno mijaliśmy jego dom, bo wieś nie jest duża. Reżyser tropi drzemiące w stepie demony, pokazuje, do czego są zdolne, kiedy wypełzną ze swoich nor. W *Lekcjach harmonii* chłopiec zostaje upokorzony przez kolegów z klasy – do szkoły ma kawał drogi, chodzi pieszo – co niszczy mu psychikę i rodzi obsesyjne pragnienie zemsty. W *Rannym aniele* czterech nastolatków próbuje znaleźć swoje miejsce w życiu. Ale w latach dziewięćdziesiątych w zabitym dechami aule trudno być kowalem swojego losu. Niczym w antycznej tragedii o wszystkim i tak zadecyduje

przeznaczenie. Z kolei w *Rzece* do wiejskiej rodziny (sadystyczny ojciec, zmuszający synów do pracy ponad siły) przyjeżdża kuzyn z miasta – modnie ubrany, z elektronicznymi gadżetami, które budzą pożądanie krewnych. Po wyprawie nad rzekę chłopak nagle znika.

Obrazy Bajgazina są mroczne i gęste. I kameralne. Wszystko, co najważniejsze, rozgrywa się w oszczędnym dialogu, zawieszeniu głosu, spojrzeniu, geście. W wąskim kadrze. Często w zamkniętym pomieszczeniu. Kiedy kamera wychodzi wreszcie na zewnątrz, czujemy ulgę i odruchowo nabieramy powietrza.

W zupełnie innym klimacie była utrzymana pierwsza kazachstańska telenowela, zatytułowana *Pieriekriostok* [Skrzyżowanie]. Opowiadała historię dwóch rodzin, robotniczej kazachskiej i inteligenckiej rosyjskiej, które łączą się przez małżeństwo dzieci. Chociaż wyświetlano ją w latach 1996–2000, do dziś trzyma rekord oglądalności wśród produkcji telewizyjnych. Ekipę przygotowującą serial wyszkolili brytyjscy filmowcy, którzy przylecieli na parę miesięcy do Ałmatów. Na początku gospodarzom trudno było zrozumieć, że telenowela nie jest sztuką, tylko fabryczną produkcją. Że sukces przynoszą sprawdzone na całym świecie schematy. Że lokalną specyfikę trzeba wtłoczyć w gotowy format. Ale w końcu dostrzegli różnicę między rozrywką a misją. Tak, refleksje o duchowej kondycji narodu lepiej zostawić Bajgazinowi i Dworcewojowi, nie macherom z telewizji.

Wspólnej pracy Brytyjczyków i Kazachów przypatrywał się polski dokumentalista Andrzej Fidyk. Jego film o produkcji filmu nosił tytuł *Dojenie wielbłąda*.

Ta historia też nadawałaby się do filmu – do dramatu obyczajowego, albo przeciwnie, zwariowanej komedii. Opowiedział mi ją znajomy, który przez kilka lat pracował w Kazachstanie i sporo jeździł po kraju. Pewnego razu w wiosce w odległym rejonie drogę przegrodziła mu kałuża wielkości stawu. Odruchowo stanął, żeby pomyśleć. Kałuży nie dało się objechać, bo rozlała się na całą szerokość jedynej drogi, dalej zaczynały się płoty i domostwa. Rozmiary nie zachęcały do forsowania jej przełajem. Dno mogło być pełne dziur albo dużych kamieni. Znajomy miał terenówkę, bez niej wtedy, w latach dziewięćdziesiątych, trudno było wyjechać dalej za miasto, ale bał się utknąć gdzieś w wodzie. U swojego mechanika widział podobne wozy z urwanym zawieszeniem, nie miał ochoty bawić się w kapitalny remont.

Nie wiadomo skąd nadjechał traktor z miejscowymi.

– Wziąć cię na hol?

– Sam nie przejadę?

– Może przejedziesz, a może nie.

– A co, jak się zaklinuję?

– Wyciągniemy za dwadzieścia dolarów.

– Ile?! – wyrwało mu się. Była to wtedy połowa dobrej miejscowej pensji.

– Jak chcesz. Teraz weźmiemy dziesięć.

Znajomy bez słowa wrzucił jedynkę, włączył tryb terenowy i powolutku ruszył. Kilka metrów dalej koła zabuksowały. Koniec jazdy. Traktorzysta pokiwał głową i podjechał do auta, a dwaj pomocnicy szybko założyli hol. Po chwili byli na drugim brzegu. Dopiero teraz znajomy zauważył, że miejscowi chodzili w kaloszach i mieli wszystko pod ręką.

– Skąd wiedzieliście, że będę przejeżdżał?

Okazało się, że nie tak dawno spadł tam pierwszy od tygodni, wyjątkowo obfity deszcz i na drodze, która szła niecką, rozmyło resztki asfaltu. Grunt był gliniasty, więc woda długo się trzymała. Obcy kierowca, który nie wiedział, jak pojechać, grzązł na amen. W wiosce mieli traktor i dużo czasu – kołchoz upadł, mało kto miał zajęcie. Miejscowi raz i drugi pomogli ot tak, z dobrego serca, a potem zaczęli brać pieniądze. Woda jednak nieuchronnie wysychała, więc ktoś wpadł na pomysł, aby dolewać ją z rzeki. Chłopaki wykopali jeszcze w poprzek rów i biznes rozkręcił się na dobre. Gotowa do akcji ekipa czuwała w jednym z obejść, potem zmieniała ją następna. W ciągu dnia trafiało się kilkanaście, rzadko dwadzieścia aut, trasa nie była ruchliwa, ale dobre i to. Teraz, gdy w ręce miejscowych wpadł pierwszy obcokrajowiec, stawka poszybowała ostro w górę. Ale zasada była taka sama. Przejedziesz na własną rękę – twoje szczęście. Od razu na hol – płacisz połowę. Żeby było uczciwie.

W tamtych latach Ryszard Kapuściński wydał swój *Heban* o Afryce z reportażem *Dziura w Onitshy*. Była to opowieść o zapadlisku, które powstało na obrzeżach tego nigeryjskiego miasta. Samochody wjeżdżające do Onitshy od południa musiały się przez nie przebić, więc pakowały się do środka, a samozwańcza pomoc drogowa wyciągała je linami. Kolejka do dziury ciągnęła się wiele kilometrów. Czytając Kapuścińskiego, wspominałem przygodę, jaką przeżył mój znajomy: „Od razu rzucało się w oczy, że okolica dziury stała się centrum miejscowego życia, że przyciągała ludzi, ciekawiła, pobudzała ich do inicjatywy i działań. W miejscu, które jest zwykle sennym,

martwym przedmiejskim zaułkiem z drzemiącymi na ulicach bezrobotnymi, ze stadami bezpańskich, malarycznych psów, nagle, spontanicznie, dzięki owej nieszczęsnej dziurze powstała dynamiczna, pełna ruchu i gwaru dzielnica. Dziura dała pracę bezrobotnym, którzy potworzyli ekipy ratowników i zarabiali, wyciągając z dołu samochody. Przysporzyła konsumentów kobietom – właścicielkom przenośnych ludowych garkuchni. Dzięki istnieniu dziury hamującej ruch i blokującej ulicę, w pustych dotąd okolicznych sklepikach pojawili się mimowolni klienci – pasażerowie i kierowcy oczekujący na przejazd samochodów. Znaleźli nabywców dla swoich towarów uliczni handlarze papierosów i napojów chłodzących. […] Przekleństwo kierowców jadących do Onitshy stało się zbawieniem mieszkańców Oguta Road, całej tej dzielnicy, której nazwy nie znam. Potwierdziło się tylko, że wszelkie zło zawsze znajdzie swoich obrońców, ponieważ wszędzie są tacy, których zło żywi, jest dla nich szansą, nawet – racją istnienia”.

W stepowej kazachskiej wsi wyglądało to znacznie skromniej, ale malutki sklepik z najprostszą spożywką też swoje na kałuży zarobił.

4

Tymczasem nasz pociąg przekroczył granicę obwodów aktobskiego i kyzyłordyńskiego, ale o tym wiedziałem z mapy, bo krajobraz za oknem ciągle stał w miejscu. Rozpytałem pasażerów, czy w tych okolicach też praktykują ludowe uzdrowicielki, koleżanki naszych znachorek, szeptunek i wiedźm, ale nikt nie wiedział. Najbardziej znana mieszka na południu kraju, półtorej godziny jazdy od Ałmatów w stronę Biszkeku – w pewnym momencie trzeba odbić z głównej trasy w stronę gór. Nazywa się Bifatima Dauletowa, ale mówią o niej Apaszka, czyli babcia, staruszka. W artystycznym światku w Ałmatach była na nią moda. Prawie każdy do niej jeździł albo znał kogoś, kto jeździł. W maleńkiej wiosce pod Tienszanem gościli także ludzie z Rosji i innych krajów byłego Związku. W rosyjskojęzycznych mediach ukazało się o Apaszce mnóstwo artykułów. Przedstawiano ją jako „ostatnią derwiszkę” albo „uzdrowicielkę z Pępka Świata”. Było o niej w książkach. To zachęcało kolejne osoby.

Nadal przyjeżdżają do niej ze wszystkim, choć Apaszka najlepiej radzi sobie z depresjami i z nałogami. Gości przyjmuje w kuchni, zaprasza na herbatę, którą

szykują asystentki i pomagierki. Potem pyta o cel wizyty. Przybyłych smaruje krwią świeżo zabitych zwierząt. Następnie kogoś chłoszcze jeszcze płucami barana, które przypominają brudną szmatę, kogoś zawija w zdjętą z barana skórę, krępuje i każe tak leżeć (trudno wytrzymać, zaraz obsiadają człowieka muchy), kogoś bije w wybrane miejsca prostymi ciosami pięścią. Na koniec sama prowadzi do Pępka Świata albo prosi kogoś z przybocznych. Pępek to pobliskie wzgórze, Apaszka długo walczyła o nie z osobą, która kupiła teren. Na mapach Google'a stoi jak wół: Pępek Ziemi. Tuż obok znajduje się punkt połączenia energii ziemskiej i kosmicznej (Energies Connection Point, Точка соединения энергий). Tablicę informacyjną, gdzie można poczytać o tym miejscu po angielsku, opatrzono logotypami lokalnej organizacji turystycznej, partii rządzącej oraz rządowego programu z czasów Nazarbajewa. W Pępku trzeba się położyć i pomodlić.

Chętni mogą zostać u Apaszki na noc. Pełen kurs procedur trwa od trzech do siedmiu dni, ale nawet parę godzin może przynieść poprawę. W nocy uzdrowicielka wchodzi w odmienny stan świadomości. Widzi wówczas sceny z przeszłości tych, którzy u niej pomieszkują, i kontaktuje się z ich bliskimi zmarłymi. Te wizje są zwykle przerażające. Ale nie o każdym ma widzenie i nie zawsze chce o tym mówić. Odkąd skończyła osiemdziesiątkę (urodziła się w 1940 roku w mieście Turkiestan), nie ma już tyle sił i potok gości się zmniejszył. Bywa, że siedzi w domu sama, nie licząc przybocznych, co dawniej się nie zdarzało. A i przybocznych ubywa.

– Pojechałem z ciekawości – opowiadał chłopak, który był u Apaszki kilka lat temu. Chciał rzucić palenie. – Nie wiem nawet, wierzyłem w nią czy nie wierzyłem. Ale kiedy kazała mi wyjąć paczkę papierosów i siarczyście na nią napluła, coś się we mnie zagotowało. Wybiegłem z chałupy, wyciągnąłem najmniej mokrego szluga, trochę przetarłem rękawem i natychmiast zapaliłem, żeby się uspokoić. Nigdy już tam nie wracałem. I palę do dzisiaj.

Scena z pluciem w papierosy na tle Pępka Ziemi i tablicy z logotypami oficjalnych kazachstańskich struktur pasowałaby jak ulał do skeczów z Boratem.

Borata Sagdijewa wymyślił brytyjski komik Sacha Baron Cohen. Jego bohater był reporterem nieistniejącej kazachstańskiej telewizji, wysłanym jako korespondent na Zachód. Pojawił się najpierw w satyrycznym programie telewizyjnym, a następnie w stylizowanym na dokument filmie fabularnym

Borat (pełny tytuł brzmiał: *Borat. Podpatrzone w Ameryce, aby Kazachstan rósł w siłę, a ludzie żyli dostatniej*). Potem powstał jeszcze sequel z równie rozbudowanym tytułem.

Borat przywiózł ze sobą do Wielkiej Brytanii, a potem do Stanów Zjednoczonych cały bagaż kompleksów, uprzedzeń i stereotypów. Jako antysemita wietrzył wszędzie żydowskie spiski, będąc mizoginem, widział w kobietach stworzenia, które można dawać w prezencie. Cohen nie kpił jednak z Kazachstanu, tylko z zachodnich społeczeństw. Rozmówcy „reportera", nie wiedząc, że stoi przed nimi aktor, w odpowiedzi na zadawane łamanym angielskim pytania sami ujawniali pokłady ksenofobii i rasizmu, skryte na co dzień pod maską poprawności politycznej. Mimo to produkcja dotknęła Kazachów do żywego – Borat utrzymywał, że ulubionym napojem Kazachów jest sfermentowany koński mocz, a kobieta lokuje się na społecznej drabinie za koniem i psem, chociaż przed szczurem. Zdarzyło się, że sportsmenka z Kazachstanu, która wygrała organizowane przez Kuwejt mistrzostwa świata w strzelectwie, usłyszała zamiast prawdziwego wymyślony kazachski hymn z *Borata*. Mowa jest w nim o tym, że kazachskie prostytutki są najczystsze w regionie (z wyjątkiem tych z Turkmenistanu), system filtracji w basenie Tinszejn usuwa osiemdziesiąt procent stałych odchodów ludzkich, a Kazachstan jest przyjacielem każdego z wyjątkiem Uzbekistanu. I wybuchł kolejny skandal – poprzedni miał miejsce w czasie kampanii reklamowej filmu, która zbiegła się z wizytą prezydenta Nazarbajewa w USA.

Dystrybucji filmu zakazano w Rosji, na Białorusi i w kilku krajach Bliskiego Wschodu. Za to w Kirgistanie *Borata* oglądali wszyscy, płyty z piracką kopią sprzedawano na każdym kroku. Kirgizi mieli cichą satysfakcję: lubią Kazachów, ale ci, liczniejsi i wielokrotnie bogatsi, trochę zadzierali nosa. Teraz dostali za swoje. Film podobał się też, co nie dziwne, w Uzbekistanie. A po latach sami Kazachowie dostrzegli, że marka *Borat* niesie w sobie duży potencjał promocyjny – z kolejnymi odsłonami projektu Cohena wzrastała liczba turystów. W końcu w kampanii reklamowej kraju, skierowanej na rynki anglosaskie, padł kryptocytat z wyklętego obrazu: przyjeżdżajcie do Kazachstanu, bo jest to bardzo miłe miejsce („*very nice place*").

Nazwa stacji, na której miałem wysiąść – „Arał Tengyzy", czyli „Morze Aralskie" – była podwójnie myląca. Po pierwsze, różniła się od nazwy samego miasta, Arału, wciąż zwanego częściej Aralskiem. Po drugie, żadnego morza już

tu nie było, tylko niezbyt duże jezioro, które zaczynało się w linii prostej osiemnaście kilometrów od miasta, a drogą – czterdzieści.

Po kazachsku „arał” to wyspa, Morze Aralskie znaczy więc dosłownie – wyspowe. Tłumaczy się to dużą liczbą wysp, które się tam kiedyś znajdowały. A było ich dwanaście dużych i aż tysiąc sto malutkich. Teraz wiele z nich zamieniło się w stały ląd. Ale wolę inne tłumaczenie. Taka masa wody pośrodku stepu musiała wydawać się anomalią, czymś irracjonalnym. Akwen zakłócał trasy koczowniczych pochodów, trzeba go było omijać, nadrabiać drogi. Podobnie jak wyspę, która zakłóca żeglugę i zwiastuje mielizny. Arał był zatem wyspą sam w sobie, chociaż na opak. Wyspą wody w oceanie trawy.

Podróż 2022. Morze Aralskie

1

Mój hotel w Aralsku okazał się wymarłym domem weselnym na obrzeżach miasteczka. Dalej były tylko mały zakład przemysłowy, droga M-32 (łącząca Aktobe z Kyzyłordą oraz centralną Rosję z Taszkentem i Ałmatami) i step.

Wejścia strzegły dwie gipsowe pantery, napierające z obydwu stron na ażurowy ganek, który wieńczył daszek pokryty białym sidingiem. Za gankiem szła jeszcze weranda, obłożona, jak cała masywna bryła hotelu, imitacją kamienia. Okna werandy wyklejono lustrzaną folią.

Łacińskim literom, układającym się w nazwę przybytku: Keruen Saraiy – cyrylica była tu w odwrocie albo łacinka kojarzyła się z prestiżem – towarzyszył rysunek wielbłąda prowadzonego przez poganiacza na tle zachodzącego słońca. Nie było wątpliwości, chodziło o karawanseraj, zajazd na szlaku karawan, miejsce wytchnienia po ciężkim dniu w drodze. Niczego więcej nie potrzebowałem.

Drzwi były otwarte, ale w środku – ani żywego ducha. Salę bankietową, utrzymaną w bieli i różu, kończył podest dla orkiestry albo honorowych biesiadników, a na malunku przy wejściu widniały choinka, prezenty i rozbłyski sztucznych ogni. Hotel życzył wszystkiego najlepszego w nowym, 2020 roku. Cóż, nie okazał się najlepszy, choć pamięć o pandemii, którą ze sobą przyniósł, zblakła pod naporem kolejnych fatalnych wydarzeń. Na ścianie w lobby wisiały trzy zegary. Miały pokazywać czas w Aralsku, Astanie i Moskwie, ale nie chodziły.

Na piętrze znajdowała się część hotelowa – hall i drzwi do kilku pokoi, wszystkie zamknięte. Zostawiłem rzeczy pod ścianą i poszedłem się rozejrzeć. Dochodziła dziesiąta wieczór, ale było jeszcze widno. Z boku hotelu wypatrzyłem domek, przypominający stróżówkę. W środku bawiła się dwójka dzieci. Pokazały na migi, że zaraz ktoś się pojawi.

Drobna, żwawa Kazaszka z pękiem kluczy przyszła chwilę po jedenastej.

– Aj em Dżanet, jestem Dżanet – przywitała się i sprawdziła w smartfonie rezerwację. Mogła być kuzynką albo, zważywszy na wiek, ciotką administratora hotelu, która pomagała ogarniać takich jak ja, pojedynczych gości. Prawie nie

Pobrano ze strony pijafka.pl

mówiła po rosyjsku, po angielsku, oprócz tego „aj em”, tym bardziej. Ale co nieco rozumiała, a ja osłuchałem się już trochę z kazachskim. Zainkasowała należność za pobyt i zostawiła klucz do pokoju i swój numer – na noc zamykała przybytek łącznie z bramą wjazdową, ale mieszkała w pobliżu i mogła podejść, gdybym miał wrócić później. O paszport nawet nie spytała, choć w styczniu w Kazachstanie doszło do zamieszek, w lutym Rosja napadła na Ukrainę, a kilka dni przed moim przyjazdem zaczęły się rozruchy po drugiej stronie jeziora, w uzbeckiej Karakałpacji, i różni ludzie mogli się kręcić po okolicy. Żadnego rachunku też, rzecz jasna, nie dostałem.

Zapytałem z rozpędu o śniadanie, byłem pewny, że rezerwuję pokój ze śniadaniem, ale rozłożyła ręce i pokazała, że kuchnia nie pracuje. Fakt, sam widziałem, że była pusta, obszedłem cały hotel, wszystko wymiecione, pewnie uruchamiano kuchnię tylko przy okazji imprez. Zrobiło mi się głupio, że zawracam Dżanet głowę.

Podłoga w pokoju nie trzymała poziomu i idąc do okna wychodzącego na podwórko (było ogrodzone płotem z blachy falistej, pod nim walały się sprzęty gospodarcze, a wyjazd w step zagradzał szkielet autobusu), czułem, jakbym szedł po pochylni. Na pierwszy rzut oka Keruen Saraiy błyszczał i kusił, ale najlepsze lata miał już za sobą i wystarczyło się przyjrzeć, żeby zobaczyć odchodzącą tapetę, pęknięty klosz żyrandola, sztukowaną wykładzinę. Chciałem włączyć telewizor, ale pilot rozpadł się na dwie części i nie dawał się z powrotem złożyć. Klamka od łazienki została mi w ręku.

W nocy uderzył wiatr i cały hotel zaczął trzeszczeć jak stara łajba, ściany zaczęły się z jękiem wyginać, a żyrandol bujać, przynajmniej tak mi się wydawało, kiedy leżałem z zamkniętymi oczami. Zapaliłem światło i wszystko stało na swoim miejscu, choć skrzypiało, zgrzytało i chrzęściło od wiatru. Wyszedłem na korytarz, tam też nikogo nie było, mimo że wyraźnie słyszałem kroki i miałem wrażenie, jakby ktoś napierał na moje drzwi. Zrobiłem parę kroków sam – i cisza, nie mam pojęcia, skąd szły szmery i kłapania, a nic mi się nie przywidziało, budynek musiał jakoś rezonować. Jeszcze rano dochodziły zewsząd rozmaite stuki i świsty, a wyobraźnia nasunęła skojarzenie z podrzucaną na falach krypą. W końcu Arał czaił się w pobliżu.

Keruen Saraiy był domem weselnym, ale weselnym nie od przyjęć z okazji ślubu, tylko szerzej, od weselenia się, radości, biesiady. W takich przybytkach organizuje się oprócz wesel także wszelkie inne imprezy: z okazji narodzin

dziecka, jubileuszu, awansu w pracy. *Toj*, czyli wesele, ale też uczta albo uroczystość, to w Kazachstanie cały przemysł. Żyją z niego, albo w nim dorabiają, restauratorzy, kucharze, kelnerzy, muzycy, fotografowie, operatorzy dronów, ludzie od efektów specjalnych, animatorzy, opiekunki do dzieci, taksówkarze. Mają w nim pracę floryści i dekoratorzy wnętrz, nie licząc krawców, szewców, fryzjerów czy firm sprzątających.

Toj można zorganizować w zwykłej restauracji albo w przeznaczonej na ten cel *tojchanie*. Gdy akurat nie ma imprezy, dom weselny może zarabiać jako zwykły lokal gastronomiczny, klub muzyczny albo hotel. W dużych miastach znajdziemy całe weselne dzielnice, w mniejszych mogą być nawet dwie lub trzy tojchany – konkurujące bądź nastawione na różnych gości. Oferty lokali są nieskończenie bogate, od najprostszych kazachskich potraw i muzyki z odtwarzacza po kuchnie świata, występy gwiazd estrady i studolarówki rozrzucane ze śmigłowca na przybywających. To nowa, świecka tradycja, dawniej Kazachowie świętowali w namiotach, na podwórkach, w domach prywatnych. Imprezownie pojawiły się na początku XXI wieku, wraz z gospodarką rynkową, która przeorała sposób myślenia i stosunki międzyludzkie.

Toje w tojchanach stały się częścią stylu życia, formą kontaktów rodzinnych i towarzyskich, a na prowincji – najpowszechniejszą rozrywką. Nieraz służą jeszcze jako kasy zapomogowo-pożyczkowe. Bo na toj nie przychodzi się z pustymi rękami, trzeba przynieść kopertę, inne prezenty są najwyżej miłym dodatkiem. Osoba od gospodarzy spisuje w zeszycie, kto z gości ile dał, by przy następnej okazji, gdy role się odwrócą, zrewanżować się taką samą kwotą. Zdarza się, że ktoś, kto pilnie potrzebuje gotówki, nie bierze pożyczki, tylko pod pierwszym lepszym pretekstem organizuje przyjęcie. W mieście wielkości Aralska, dwudziestoparo–trzydziestotysięcznym, toj na sto pięćdziesiąt osób kosztuje milion–półtora miliona tenge (z grubsza to ponad dwa–trzy tysiące dolarów). A goście powinni zostawić w kopertach około dwóch milionów. Te pieniądze trzeba oddać – ale na raty, po kolei, w ciągu roku, dwóch, trzech. I to bez żadnych odsetek.

2

Rankiem przyjechał po mnie Sierik Diusienbajew, właściciel i jedyny stały pracownik firmy turystycznej organizującej wycieczki po okolicach Aralska. Poleciła mi go Ajnakuł Bajmachanowa, szefowa najstarszej aralskiej organizacji pozarządowej, która pomagała ożywić rybackie wsie wokół akwenu. Kiedyś razem pracowali. Z Ajnakuł umówiłem się na następny dzień. Wcześniej chciałem obejrzeć z bliska skutki największej katastrofy wodnej współczesności.

Bordowy nissan pathfinder był wysłużony, ale żwawy. Lśnił czystością. Za którymś wyjściem ubłociłem buty i zacząłem wycierać je o trawę, żeby nie nabrudzić w środku, ale Sierik tylko machnął ręką:

– Daj spokój. Umyję. To moja robota.

Zaczęliśmy od stacji benzynowej. Zawodowiec Sierik zatankował samochód już wcześniej, ale musiałem coś zjeść. O tej porze nic innego nie było otwarte, a na Sinooilu mieli kawę i jakieś bułki. Sieciowa stacja była enklawą globalnego świata, równie dobrze mogłaby znajdować się w Warszawie czy gdzieś na Zachodzie. Zwykle unikałem w podróży takich miejsc, ale teraz, po słabo przespanej nocy, doceniłem ich uspokajającą przewidywalność. Kawa smakowała jak wszędzie. Dokładnie tak, jak powinna.

Szybko wydostaliśmy się z miasta. Po chwili jechaliśmy już piaszczystą drogą wśród stepu.

– Pierwszy raz zobaczyłem jezioro w wieku siedemnastu lat – przyznał się Sierik. Urodził się w Aralsku w osiemdziesiątym trzecim, więc był to rok dwutysięczny. – Nie było po co tam jeździć. Komunikacja nie dochodzi, a wykąpać się można gdzieś bliżej.

W jego słowach pobrzmiewała niechęć do bezinteresownej włóczęgi. Klientami Sierika byli obcokrajowcy: Europejczycy, Azjaci z Dalekiego Wschodu i Amerykanie. Kazachowie woleli lecieć do zagranicznego kurortu nad ciepłe morze. Ale dużo zmieniła pandemia. Klasa średnia i aspirująca do niej inteligencja ruszyły do lokalnego uzdrowiska Burabaj, a także w niższe góry i nad kazachskie jeziora. Posiadacze terenówek odkryli uroki wypraw *off-road* na Mangystau i płaskowyż Ustiurt rozciągający się między półwyspem a Arałem. W tym roku Sierik wybierał się z rodziną na wakacje do Ałmatów i w okolice, aby samemu też zobaczyć trochę kraju.

Zanim założył firmę, jeździł jako kierowca w organizacji Ajnakuł Bajmachanowej i czasami woził gości z zagranicy. Pomagał mu niezły angielski, którego nauczył się w tureckim liceum w Aralsku. Opanował też turecki. Żona skończyła anglistykę na uniwersytecie w Kyzyłordzie i pracowała jako nauczycielka. Mieli czworo dzieci. Najmłodszej córeczce dali na imię Rabija Sułtan-begim, po córce Uług Bega, średniowiecznego władcy z dynastii Timurydów oraz wybitnego astronoma.

– Dawniej w modzie były imiona rosyjskie, a potem kazachskie, takie jak moje. Teraz najczęściej spotyka się arabskie albo ogólnomuzułmańskie. Ale kiepski ze mnie muzułmanin, znacznie bardziej inspiruje mnie historia – roześmiał się i pokazał wzrokiem samochodowy odtwarzacz. Dopiero teraz zwróciłem uwagę na dochodzące stamtąd rytmy.

– Co to jest?

– Grupa Ałaszuły. – Serik podgłośnił muzykę. – Moja ulubiona. Chłopaki czerpią z naszego folkloru, tradycji. To piosenka *Jestem Kazachem*. Mówi o tym, że trzeba być dumnym ze swojej ojczyzny. Grupa nawiązuje do Ałasz Ordy, kazachskiej autonomii po upadku caratu.

Po chwili utwór się skończył i z głośników popłynęła ukraińska *Czerwona kalina*. Dawny marsz Strzelców Siczowych[9], w którym obok samej kaliny mowa jest o złocistym łanie pszenicy, brzmiał wśród aralskich pustkowi i skał Ustiurtu jak echo świata tak dalekiego, że aż nierzeczywistego. A jak przejmującą tęsknotę musiał budzić wśród Ukraińców, więźniów sowieckich łagrów na Syberii i dalekiej Północy! Pomyślałem, że zesłany w takie krajobrazy Taras Szewczenko, przechowujący w pamięci obrazy urodzajnych ukraińskich pól, po prostu nie był w stanie dostrzec w Kazachstanie piękna. Dookoła widział jedynie biedę, nieszczęście, przekleństwo.

– Zawsze podobała mi się ta pieśń, dlatego dołączyłem ją do playlisty. – Sierik odezwał się dopiero wtedy, gdy marsz wybrzmiał do końca. – A po rosyjskiej napaści lubię ją jeszcze bardziej, bo to jakby hymn wolnej Ukrainy. Słucham jej bardzo często. Miesiąc temu woziłem turystę ze Szwajcarii. Była z nim mieszkająca tam Rosjanka, tłumaczka. Kiedy usłyszała *Kalinę*, wrzasnęła, że jestem faszystą, bo puszczam faszystowskie rzeczy, że ją to obraża i że sobie nie życzy. Powiedziałem, że nie wiem, o co jej chodzi: czy ktoś, kto słucha arabskiej muzyki, od razu promuje Bin Ladena?! A w moim aucie mam taką muzykę, jaka mi się podoba. Na koniec zapytałem, dlaczego mieszka

w Szwajcarii, jeśli jest taką rosyjską patriotką. Nic się na to nie odezwała, w ogóle przestała się odzywać.

Tymczasem step wokół nas zaczął ustępować miejsca pustyni. Ubywało rachitycznej zieleni, w końcu zniknęła niemal zupełnie. Ale ziemia pokryta tu była nie piaskiem, tylko solą.

– To słona gleba, sołonczak – powiedział Sierik. – Nic, poza jednym czy dwoma gatunkami wyjątkowo odpornych traw, nie ma prawa na niej wyrosnąć. Jedziemy teraz po dawnym dnie morza.

Na chwilę wrócił step, potem pojawił się pas piaszczystej półpustyni i wjechaliśmy do wioski. Droga przez jej środek była tak szeroka, że spokojnie dałoby się wytyczyć po trzy pasy ruchu w każdą stronę, nie rezygnując z chodników. Dzięki temu stojące przy niej nieduże domki z nieotynkowanych pustaków wyglądały na zupełnie malutkie. Tu i ówdzie leżały rybackie łodzie, po dwie–trzy obok siebie. Tutejsi mieszkańcy wracali powoli do rybołówstwa. Bilbord na skrzyżowaniu zachęcał do załatwiania urzędowych spraw przez internet („E. Gov: uzyskaj szybką i łatwą obsługę!”). W sklepiku, który zajmował jeden pokój w prywatnym domu i do którego wchodziło się przez wspólną sień, kupiliśmy wodę.

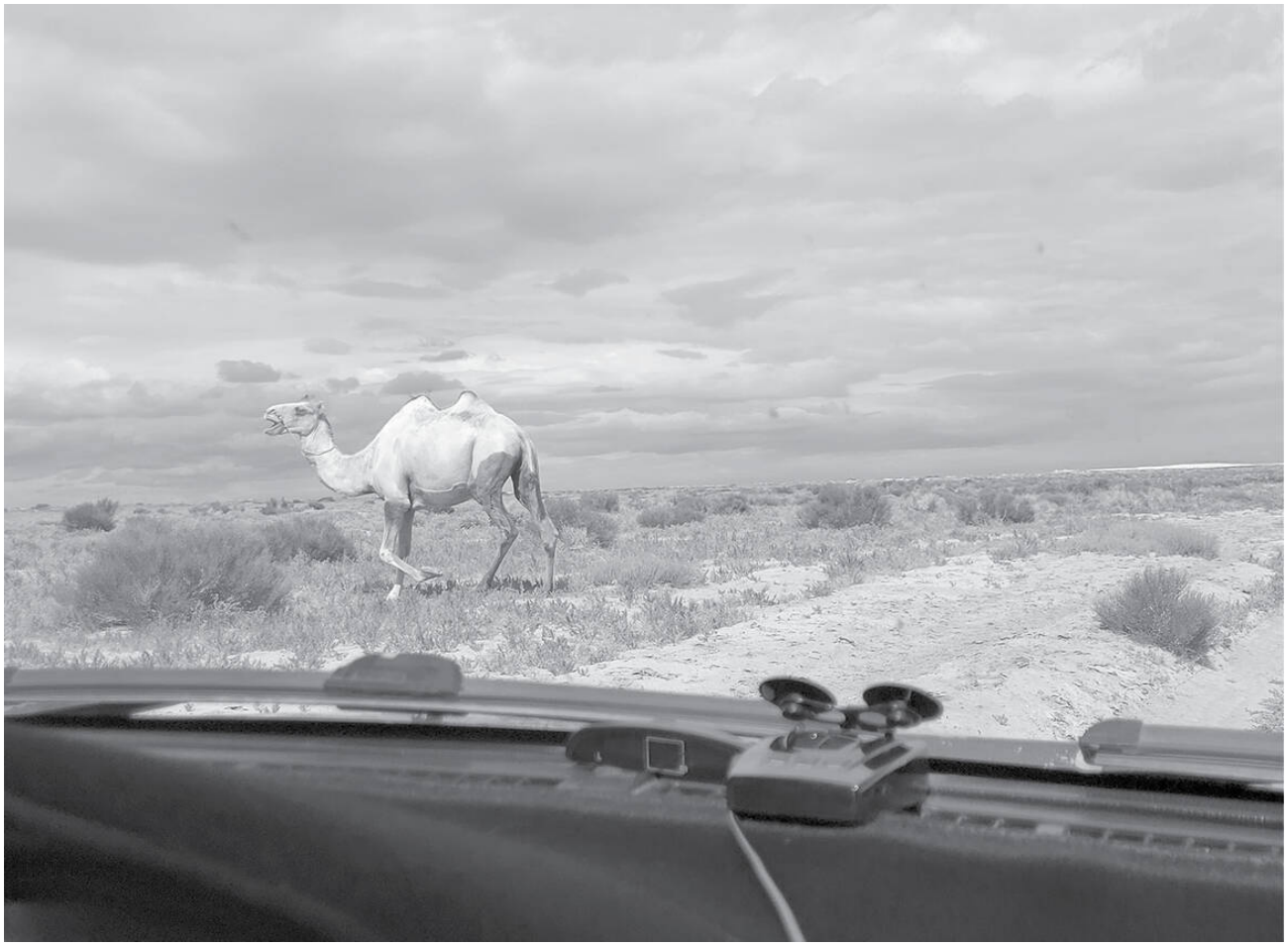

Dawne morskie dno. Kiedyś pływały tu ryby, dziś – hasają wielbłądy. Morze Aralskie, 2022

Za wioską płaski dotąd teren zrobił się pagórkowaty, a widoczne prawie od samego Aralska skały zaczęły się przybliżać. W końcu stanęliśmy pod parudziesięciometrowym urwiskiem. Był to wschodni kraniec Ustiurtu, płaskowyżu wielkości dwóch trzecich Polski. Sierik zgasił silnik.

– Teraz wejdź na górę, ścieżkę znajdziesz z lewej strony, a potem popatrz o, tam. – Pokazał ręką kierunek. – Tylko się nie odwracaj po drodze. Wiesz, jak w tej bajce: raz się odwrócisz i wszystko przepadnie!

Poszedłem, trzymając się zalecenia Sierika, i spojrzałem we wskazanym kierunku dopiero ze szczytu. W dole rozciągało się Jezioro Aralskie. A dokładniej – Północnoaralskie. Mały Arał.

Aralska tragedia została wielokrotnie opisana. W dużym skrócie – w latach sześćdziesiątych XX wieku poziom wody zaczął się gwałtownie obniżać. Powierzchnia akwenu, który był czwartym co do wielkości jeziorem świata – a nazywano go „morzem” z uwagi na wielkość i słoną wodę – wynosiła wtedy

siedemdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych. Tyle, co Gruzja albo Irlandia. Przez nieco ponad pół wieku zmniejszyła się dziewięciokrotnie. Pod koniec lat osiemdziesiątych morze rozpadło się na dwie części – północną i południową – a potem na więcej kawałków. Przyczyną były kanały, które zabierały wodę z wpadających do Morza Aralskiego Amu-darii i Syr-darii. Wykopano je, aby nawadniać pola bawełny przynoszącej Związkowi Sowieckiemu dewizy. W efekcie pierwsza z wielkich rzek przestała w ogóle dochodzić do morza, wysychając po drodze, a druga zamieniała się przed ujściem w wąski strumień. Wyspa Odrodzenia, na której Sowieci testowali broń biologiczną i skąd raz wydostał się wirus czarnej ospy, wywołując w Aralsku epidemię, połączyła się ze stałym lądem. Na początku XXI wieku biologiczny materiał, który tam pozostał, zneutralizuje ekspedycja amerykańsko-uzbecka.

Pustynię, która wyłoniła się spod ustępującego morza (otrzymała nazwę Aral-kum), pokrywała sól. Podmuchy wiatru wzbijały ją w powietrze, roznosząc po bliższych i dalszych okolicach. Razem z solą rozprzestrzeniał się pył pełen trujących związków chemicznych. Były to pochodne nawozów, którymi faszerowano uprawy bawełny. Przez dziesięciolecia wnikały w glebę, skąd przedostawały się do wód gruntowych i niesione przez rzeki spływały do morza. Gdy morze wyschło, wyszły na powierzchnię. Badacze szacowali, że co roku wzbija się tu w powietrze sto pięćdziesiąt milionów ton soli z piaskiem i pyłem. Jeszcze przed rozpadem Związku w okolicy pojawiły się tyfus, padaczka i białaczka. Ludzie zaczęli wcześnie umierać, rodziły się chore, upośledzone dzieci. Dopiero od niedawna sadzi się tam krzewy saksauła, o długich i rozgałęzionych korzeniach, które mają wiązać glebę (roślina ta, odporna na susze, występuje na pustynnych obszarach Azji Centralnej).

Jedna z dawnych wiosek rybackich, które opustoszały po cofnięciu się akwenu. Morze Aralskie, 2022

Choć nie ma wątpliwości, że za aralską tragedię odpowiedzialny jest człowiek, w przeszłości morze już kilka razy wysychało, a potem znowu wracało. Ustępujące wody odsłoniły na przykład ruiny XIV-wiecznego grodziska Arał-Asar i cmentarzyska Kerdery, datowanego na XI–XIV wiek. Przedmioty stamtąd można obejrzeć w muzeum w Kyzyłordzie. Na dawnym morskim dnie znaleziono też pozostałości saksaułów, które rosły, zanim morze wróciło po raz ostatni. Być może Arał i tak by odszedł, ale nie w takim tempie, nie za jednego pokolenia.

W Kazachstanie sytuacja była mniej dramatyczna niż w Uzbekistanie (granica biegnie mniej więcej środkiem dawnego akwenu). Mały Arał – który znajdował się w całości na terenie Kazachstanu – dzięki budowie zapory przestał tracić wodę, a potem jej poziom zaczął się podnosić, ponieważ wciąż docierała do niego Syr-daria. Powoli zmniejszało się zasolenie i zaczęły się odradzać populacje ryb – w innych poaralskich akwenach wyginęły od

nadmiaru soli. O tym wszystkim chciałem porozmawiać z Ajnakuł Bajmachanową.

Zszedłem z urwiska i wróciłem do auta. Podjechaliśmy bliżej brzegu. Było tam grząsko, ale dawało się dojść do samej wody. Za małą wydmą wpadłem na zardzewiały szkielet kutra, a kilkadziesiąt metrów dalej na kolejny, z którego została sama zęza, czyli „podwozie" kadłuba. Daleko im było do świetnie zachowanych kutrów tkwiących w karakałpackiej półpustyni po uzbeckiej stronie granicy, które oglądałem prawie dwie dekady wcześniej. Tam żartowano, że to jedyne miejsce na świecie, gdzie samochód może się zderzyć ze statkiem. Tutaj nie dałoby się podjechać, ale gdyby – Sierikowy nissan przeskoczyłby nad zęzą bez większych strat, a z pierwszym szkieletem, z zachowanym kawałkiem dzioba, zaliczyłby niegroźną stłuczkę.

Miejsce wyglądało na opuszczone, ale blisko szkieletów walały się butelki po wódce. Jedna z nich nie mogła tu długo leżeć, bo trunek, w nawiązaniu do pandemii, nazywał się Anticovid. Był to miejscowy, kazachstański wyrób, a napis na etykiecie głosił – po rosyjsku – że rekomendują go Światowa Organizacja Zdrowia oraz Rospotriebnadzor, czyli rosyjska służba ochrony konsumentów. Zawsze podziwiałem fantazję postsowieckich producentów alkoholi.

Ruszyliśmy dalej. Po paru kilometrach pojawiły się plansze z informacją, że terenem opiekuje się gospodarstwo rybackie Bakyt i na połów potrzeba zezwolenia. Potem następowało wyliczenie, w jakich miesiącach ryby odbywają tarło i kiedy są okresy ochronne.

A brazylijski pisarz Paulo Coelho był pewny, że morza nic nie uratuje. W powieści *Zahir*, której akcja toczy się częściowo w Kazachstanie, padają słowa: „Mój dziadek opowiadał, że Morze Aralskie nazywano niegdyś Morzem Niebieskim, od koloru wody. Dzisiaj nie ma już po nim najmniejszego śladu, a mimo to ludzie nie chcą opuścić swoich domów i przeprowadzić się w inne miejsce. Wciąż marzą o falach, o rybach, mają jeszcze wędki, rozmawiają o łodziach i przynętach". Popularny autor podróżował tędy w 2004 roku – w książce dziękuje kilku Kazachom, w tym prezydentowi Nazarbajewowi. Tama, która zatrzyma na miejscu wody Małego Arału, zostanie oddana do użytku dopiero rok później.

Stanęliśmy jeszcze przy gorącym źródle. Była to lokalna atrakcja. Bijąca spod ziemi woda spływała do obmurowanego kamieniem basenu, w którym można się było kąpać. Obok stała szopa służąca jako przebieralnia. Miałem kąpielówki, ale przy porywistym wietrze i piętnastu stopniach – o tej porze roku powinno być pod czterdzieści – myśl, że miałbym ściągnąć polar z kapturem, wydała mi się niedorzeczna. Właściciel kafejki, która mieściła się w rozstawionej w pobliżu jurcie, musiał dojść do podobnych wniosków, bo interes był na głucho zamknięty.

W drodze powrotnej Sierik zaczął się żalić na miejscowe układy:

– Nazarbajewa już nikt nie trawił, Tokajew daje jakąś nadzieję. Ale w Aralsku nic się nie zmieniło – twierdził. – Aby w szkole żony dostać posadę stróża, musisz zapłacić dwieście tysięcy tenge (czterysta dolarów z dużą górką). Od nauczycielki wołają od pół miliona do miliona. Dyrektorka musiała dać dwa miliony. A mer jak brał dwadzieścia procent za wygranie przetargu, tak bierze.

Tydzień wcześniej Sierik spotkał się z kolegą z liceum, który pracuje jako celnik w porcie w Aktau. Tamten opowiedział mu, jak banalnie obchodzi się zachodnie sankcje na Rosję: towar przychodzi z Baku, na miejscu przepakowuje się go i jako kazachstański płynie do Astrachania. Nawet coca-colę przemycają.

– W końcu się doigramy i będą sankcje na nas – skwitował Sierik. I rzucił bardziej sam do siebie: – Babcia jest przeciw, ale jeśli moje dzieci będą chciały ułożyć sobie życie za granicą, to ich na siłę nie zatrzymam.

Rozstaliśmy się w centrum miasta. Ledwie wyszedłem, zatrzymał mnie patrol: policjantka i urzędnik ze służby migracyjnej. Zapytali, kiedy wjechałem do Kazachstanu, i poprosili o paszport. Widać, że głupio im było nękać przybysza, więc po wszystkim zagadnęli jeszcze, jak mi się podoba i czy nie potrzebuję pomocy. Mieli sprawdzać wszystkich obcych, bo niepokoje w Karakałpacji przybrały na sile i Kazachowie spodziewali się uchodźców.

Skorzystałem z okazji i spytałem, gdzie można zjeść obiad.

– Lepsze jedzenie jest za rogiem, w Taj Kazanie – powiedział urzędnik. – Ale właściciele są pobożnymi muzułmanami i nie podają alkoholu. Więc sami chodzimy do Chińczyka, restauracja nazywa się Czin Son.

3

Następnego dnia nie zdążyłem zamknąć drzwi, gdy z sąsiedniego pokoju wychynęła Dżanet i wzięła ode mnie klucze. Czuwała. Już na schodach usłyszałem, jak uruchamia odkurzacz. W Keruen Saraiy szykowała się jakaś impreza – pod hotelem parkował dostawczak, mężczyźni wnosili do środka jakieś kartony. Ciekawe, co świętowano w środku tygodnia.

Złapałem taksówkę i pojechałem ze wszystkim do Bajmachanowej, której biuro mieściło się naprzeciwko Chińczyka. Stamtąd było już blisko do dworca i liczyłem, że po rozmowie zostawię u niej rzeczy – w domu weselnym nawet nie było gdzie. A pociąg miałem dopiero wieczorem.

Organizacja społeczna Morze Aralskie pewnie by nie powstała, gdyby nie duńscy ekolodzy, którzy przyjeżdżali do Aralska od początku lat dziewięćdziesiątych. To oni pomogli aralskim rybakom, osieroconym po upadku kołchozów i sowchozów, zorganizować się w spółdzielnie. Potem przywieźli specjalne sieci i nauczyli ich, jak brać rybę, aby nie wytrzebić całej populacji. Wkrótce ruszył połów flądry, gatunku najbardziej odpornego na rosnące zasolenie akwenu, który wtedy jeszcze się kurczył. Z czasem powstały suszarnie i wędzarnie, pojawili się kupcy. Gdy Duńczykom skończył się kilkuletni projekt – kontakty z Aralskiem mają do dziś – zawiązana w 1998 roku miejscowa organizacja była już w stanie sama tym wszystkim zarządzać. Zbiegło się to z oddaniem tamy, która zatrzymała wodę w Małym Arale.

Bajmachanowa, zażywna, energiczna Kazaszka w średnim wieku, kończyła właśnie odprawę. Nieznoszącym sprzeciwu tonem klarowała coś, wzmacniając przekaz gestykulacją, siedzącym za stołem mężczyznom. Ci słuchali w skupieniu, machinalnie jej przytakując. Zauważyła, że jestem, i kiwnęła mi głową zza biurka, pokazując, abym usiadł na wolnym krześle pod ścianą. Widać było, że rządzi twardą ręką, pewnie inaczej wszystko by się rozlazło, tym bardziej w zmaskulinizowanym świecie Wielkiego Stepu. Ale może naprawdę, jak twierdził przedsiębiorca Ryszard, struktura władzy „schodziła ze wszystkim w dół” i kobieta stała się w swojej organizacji małym nazarbajewem. Właściwego Nazarbajewa już nie było, ale system, który budował przez dekady, nie mógł się przecież skończyć tak od razu. Następnego dnia, w jego urodziny, Kazachstan miał jeszcze z rozpędu wolne, 6 lipca świętowano tu jako Dzień Stolicy. Kilka chwil później odprawa się zakończyła i mężczyźni ruszyli do swoich zadań.

– W organizacji pracuje etatowo czternaście osób – zaczęła Bajmachanowa. – Cztery tutaj, w Aralsku, reszta po wioskach. A w sumie w nasze projekty zaangażowanych jest około tysiąca. Roczne połowy na Małym Arale to osiem tysięcy ton ryb. W każdym z dziesięciu rybackich aułów działają po dwie–trzy fabryczki, gdzie się te ryby suszy, wędzi, filetuje i mrozi. Jest też wytwórnia konserw. Produkcja idzie głównie na eksport. Niedawno ruszyliśmy z hodowlą ryb w klatkach sieciowych, zarybiamy morze i okoliczne jeziora. Odtwarzamy kolejne gatunki. Mamy pojazdy umożliwiające przewożenie narybku i żywych dorosłych ryb. Przy tej okazji powstało dwadzieścia nowych miejsc pracy.

Bajmachanowa powiedziała, że organizacja działa w dwóch kierunkach. Po pierwsze, cały czas troszczy się o akwen. Najpilniejszym problemem są teraz sieci porzucane przez kłusowników po połowie, aby pozbyć się dowodu przestępstwa. To najtańsza nylonowa chińszczyzna, która nie rozkłada się w wodzie. Ryby masowo zaplątują się w nią i giną. Na dnie zalegają tego tony, bo akwen czyszczono ostatnio za głębokiego Sojuza. A taką zużytą sieć można by użyć do wyrobu asfaltu. Po drugie, organizacja dba o okolicznych mieszkańców. W ramach kolejnych projektów w nadaralskich wioskach powstały przedszkola, place zabaw, punkty medyczne. Uruchomiono piekarnie i warsztaty naprawy łodzi. Ciągle organizowane są kursy: a to zawodowe, przetwórstwa ryb, a to komputerowe. Ukończyły je setki osób. Organizacja współpracuje z donatorami z Austrii, Hiszpanii, Izraela, Japonii, Niemiec, USA.

Z rozmów z Bajmachanową, które czytałem w internecie przed wyjazdem, wyłaniał się obraz płomiennej lokalnej aktywistki, ratującej morze na przekór siłom natury, zmagającej się na każdym kroku z uprzedzeniami i postsowiecką biurokracją. Nic podobnego. Do Aralska przyjechała z dużego miasta za mężem, wcześniej nie była związana z wodą ani rybami. W 2008 roku zatrudniła się w organizacji jako prawniczka i nauczyła się pisać projekty. Będąc szefową, dalej sama się tym zajmuje. Wyznacza cele, przekłada je na język wniosków grantowych, a potem metodycznie, niczym skrupulatna księgowa, odhacza kolejne wykonane zadania. Weszła do lokalnej elity. Nie walczy z systemem. Może dlatego jest taka skuteczna.

Umówiłem się na wieczór po odbiór rzeczy i poszedłem do Muzeum Rybaków. Mieściło się w parku na skraju zapadliska, które jeszcze pół wieku temu wypełniała woda. Do 1970 roku funkcjonował tam aralski port.

Schludny muzealny budyneczek oskrzydlały dwa kutry, porządnie odnowione i odmalowane. Do jednego z nich można było przejść prosto z muzeum, były tam wystawione aralska fauna i flora. Główna ekspozycja obejmowała historię badań nad Arałem, od zapisków Herodota do XIX-wiecznych rosyjskich ekspedycji (dokumentalistą wyprawy admirała Aleksieja Butakowa był Taras Szewczenko, na ścianie wisiały reprodukcje jego rysunków), oraz dzieje aralskiego rybołówstwa. Obok plansz informacyjnych – w trzech językach, na pierwszym miejscu kazachski – obok zdjęć i dokumentów uwagę zwracał gabinet dyrektora portu ze stuletnim biurkiem i siedzącym za nim manekinem w oficerskim mundurze. Z głośników kojąco szumiało morze, a przez interaktywne monitory można było odtworzyć wspomnienia dawnych mieszkańców i posłuchać opowieści z początków władzy radzieckiej, na przykład o tym, jak aralscy rybacy pomogli czerwonym wyprzeć z miasteczka białych. Przed muzeum stała jeszcze zabytkowa tokarka – w 1921 roku przekazał ją aralskim rybakom sam Lenin w podziękowaniu za czternaście wagonów ryb, które ci wysłali ofiarom głodu na Powołżu i Uralu. Maszyna służyła przez trzydzieści lat lokalnej stoczni remontowej, a dziś jest wyróżniona wśród innych eksponatów. Komunizm kojarzy się tu z dawnym Aralskiem – z pełnym morzem, z pracującym na wysokich obrotach portem, z życiem. Mimo że to komuniści przyczynili się do aralskiej apokalipsy.

Ostatnia część ekspozycji opowiadała o odejściu morza i wysiłkach na rzecz jego powrotu, ograniczonych do Małego Arału. Najbardziej ambitny plan zakłada podniesienie lustra wody o dwadzieścia parę metrów. Wtedy morze podeszłoby z powrotem do miasta. Według innej koncepcji część akwenu należy odgrodzić od reszty i czasowo utrzymywać morze na dwóch poziomach. Planom nie pomagała susza, która przychodziła w latach 2020, 2021 i 2022.

Tyle dobrego, że sowieckie władze nie zdążyły zmienić biegu wielkich syberyjskich rzek. Istniały daleko idące plany puszczenia ich wzdłuż południowych obwodów azjatyckiej Rosji do Kazachstanu i Uzbekistanu, aby nawodnić kolejne miliony hektarów i zasilić wodą wysychające już Morze Aralskie. Planowany kanał Syberia–Azja Środkowa miał liczyć dwa i pół tysiąca kilometrów i być żeglownym na całej długości. Na szczęście rozpadł się Związek i plany zarzucono, bo bez wody mogło zostać pół Eurazji.

Po wyjściu zagadnęła mnie elegancka pani w średnim wieku. Widziała, że fotografuję kuter, i spytała, czy nie chciałbym zdjęcia na jego tle.

– Znam historię Arału – powiedziała, ustawiając mnie w kadrze. – To morze zawsze wracało i tym razem też wróci. Wróci na pewno!

Sprzed muzeum otwierał się widok na zapadlisko, które kiedyś było basenem portowym. Na dnie leżało w nieładzie kilka łódek, a nad brzegiem po lewej stronie wznosił się mocarny portowy żuraw. Dalej stał jeszcze jeden dźwig. Chciałem podejść bliżej, ale drogę zagradzał betonowy płot. Postanowiłem dotrzeć tam od drugiej strony. Trafiłem na bramę, tabliczka głosiła, że to teren prywatny, parking dla odholowanych i zatrzymanych przez policję aut, ale stróż nie robił problemów. Człapał jednak za mną, gdy obchodziłem przysadzistego giganta, wyglądającego na czterech rozcapierzonych kończynach tak, jakby czekał już w blokach startowych, gotowy rzucić się na pierwszy statek, który nadpłynie z powracającą wodą. Zapytałem jeszcze o barkę, miała leżeć kilometr dalej i była zaznaczona na mapie jako atrakcja turystyczna, ale stróż powiedział, że zostały z niej ostatnie paski blachy, reszta poszła na złom i nie warto się fatygować. Uwierzyłem na słowo, chciałem jeszcze obejrzeć miasto.

Aralsk był półpustynny i z ducha południowy, ulice i chodniki pokrywał piasek, tylko w samym centrum, ograniczonym do kilkunastu kwartałów, przebijały się asfalt i kostka Bauma. Życie skupiało się wokół dwóch placów. Przy jednym ulokowały się władze, były tam też banki i pomnik poległych w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Plakaty na trzydziestolecie niepodległości, świętowane pół roku wcześniej, nie zdążyły jeszcze wyblaknąć. Drugi plac tętnił handlem, mieściły się przy nim bazar i supermarket, nie licząc mniejszych sklepów, a na samym środku stał obelisk ku czci kazachskich chanów. Były tam też jeszcze huśtawki i zjeżdżalnie dla dzieci, a dwa kroki dalej kusił orientalną mozaiką teatr noszący imię lokalnego poety.

Nieopodal ulicy łączącej pierwszy plac z dworcem kolejowym gnieździło się w drewnianym baraku drugie miejscowe muzeum, krajoznawcze. Mieli tam dioramę przedstawiającą starcie białych z bolszewikami nad Morzem Aralskim. Dalej przy tej ulicy znajdowały się, prawie dokładnie naprzeciwko siebie, dwa lokale, których nazwy pokazywały rozpiętość aspiracji ich właścicieli: kawiarnia Paryż i klub Dubaj z fajką wodną (gdzie indziej natknąłem się jeszcze na salon piękności Hollywood). Gdy je mijałem, nadjechał wierzchem jakiś facet i zrobiło się westernowo: mieszczący się na parterze piętrowego domu Paryż, z fasadą wyłożoną wokół wejścia boazerią, mógłby robić za saloon. Konia można by przywiązać do jednej z żółtych rurek z gazem, których w tej

części świata nie zakopuje się pod ziemią. Centralny meczet świecił pustkami, ale w sklepie z piwem, czynnym codziennie od dwunastej trzydzieści do pierwszej trzydzieści w nocy, butelki i tak pakowano w grube, czarne foliówki, aby zasłonić zawartość przed spojrzeniem postronnych, podobnie jak we wschodniej Turcji i gdzieniegdzie na Bliskim Wschodzie. Tam, gdzie nie ma prohibicji.

Zaszedłem jeszcze na miejscowy cmentarz. Gdzie tylko mogę, odwiedzam cmentarze, które zawsze więcej mówią o żywych niż o zmarłych. Tutejszy był olbrzymi. Groby, które miały postać małych zagródek, stawiano tu chaotycznie i nierównomiernie: gdzieś z rzadka, a gdzie indziej tuż obok siebie, tak że prawie nie dawało się między nimi przejść, jakby te miejsca były bardziej prestiżowe, niczym lepsze dzielnice w miastach. Kręte przesmyki między wysokimi ścianami zagródek, wzniesionych z surowej białej cegły czasem tylko ochlapanej gliną, przypominały labirynty orientalnych starówek, tych wszystkich medyn, suków, starych czarszy i mahalli. Tak, tutaj było bardziej orientalnie niż postsowiecko, Sierik wspominał, że w Aralsku zostało może z dziesięciu Rosjan i wszyscy mówią świetnie po kazachsku.

W Czin Sonie wziąłem mięso po chińsku, wołowina była smaczna, ale trochę za twarda i zbyt odległa kulturowo, powinienem był pójść drugi raz do Taj Kazana. Pomyślałem, że wejdę tam jeszcze na coś słodkiego, ale zrobiło się późno i trzeba było wracać po rzeczy.

W biurze organizacji Morze Aralskie czekał prezent: dwie wędzone flądry. Jedną zjem parę dni później ze znajomymi w Karagandzie, drugą dowiozę do Warszawy. A Ajnakuł Bajmachanowa oznajmiła, że podrzuci mnie na dworzec. Jeździła lexusem typu SUV na gruzińskich numerach, dostała go od zachodniej organizacji pomocowej na objazdy aralskich wiosek, ale nie ruszała się nim za miasto – w terenie polegała na mniej skomplikowanych maszynach, szkoda jej było tego lexusa na wertepy. I trudno się dziwić.

Wsiadłem do pociągu relacji Samara–Biszkek, tego samego, którym przyjechałem dwie doby wcześniej. Do Kyzyłordy było niecałe sześć godzin jazdy. Tyle co nic.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Podróż 2022. Aralsk – Kyzyłorda

1

– Nic ci nie powiem! – zaperzył się starszy sierżant.

– O nic nie pytam – odpowiedziałem.

Tym razem wagon był z przedziałami, w moim jechali starsza pani i dwaj goście w średnim wieku. Po chwili wiedziałem, że wszyscy są z Samary, że kobieta i pierwszy z mężczyzn jadą do końca, do Biszkeku, a drugi bliżej – tylko do Bajkonuru. Zaraz, do Bajkonuru?! Naprawdę? Jedno słowo i tyle skojarzeń: sputniki, suczka Łajka, Gagarin, Sojuz-Apollo, nasz Hermaszewski…

Wiedział, że zrobił wrażenie, pewnie tak było za każdym razem, więc jeszcze dodał:

– Tak, na kosmodrom, jestem starszym sierżantem, służę tam na kontrakcie. A ty skąd i dokąd?

Był po cywilnemu i ze swoją nadwagą nie przypominał żołnierza, ja też nie miałem wypisanej na czole narodowości, więc gdy powiedziałem, że z Polski, zamarł, jakby musiał przetrawić to, co usłyszał. A potem rzucił, że w takim razie jesteśmy wrogami i nic więcej mi nie powie.

W przedziale zapanowała cisza.

Miasto Bajkonur leży w połowie drogi między Aralskiem a Kyzyłordą. Nie znajdziemy go na rozkładzie. Należy wysiąść we wsi Töretam, zapisywanej także jako Tiuratam, gdzie stają wszystkie pociągi jadące tą trasą. Ze stacji do szlabanu jest kilometr–półtora. Aby się dostać dalej, trzeba mieć przepustkę. Najprościej kupić wycieczkę, kosztuje niemało, ale oprócz samego miasta, pełnego pomników, tablic pamiątkowych i murali sławiących podbój kosmosu zwiedzimy wtedy kosmodrom położony w stepie, trzydzieści kilometrów dalej. Za jeszcze większe pieniądze można zobaczyć z bliska start rakiety (kilka okazji w roku).

Jeśli nie liczyć wcześniejszych poligonów rakietowych, Bajkonur jest najstarszym na świecie kosmodromem, a na pewno największym. Powstał w zaraniu zimnej wojny, w połowie lat pięćdziesiątych. Stąd wystrzelono

pierwszego w historii sztucznego satelitę Ziemi. Jego nazwa, Sputnik, z rosyjskiego: towarzysz podróży, weszła do wielu języków jako synonim takiego satelity. Stąd wystartował w kosmos pierwszy człowiek. Do niedawna Bajkonur przodował pod względem liczby startów, dopiero w 2016 roku wyprzedził go Cape Canaveral na Florydzie, a potem kosmodromy Chin i Europy (europejski znajduje się w Gujanie Francuskiej).

W 1994 roku Kazachstan, który po rozpadzie ZSRR został gospodarzem Bajkonuru, oddał w dzierżawę Rosji cały kompleks: miasto i kosmodrom oraz pięćset kilometrów wewnętrznej sieci kolejowej wraz z pozostałą infrastrukturą. Rosja powinna za to płacić sto piętnaście milionów dolarów rocznie – to tylko pięć procent budżetu agencji kosmicznej Roskosmos. Ale woli się rozliczać częściami zamiennymi do lokomotyw, szkoleniami dla żołnierzy, jakąś bronią. Umowa dzierżawy kończy się w 2050 roku.

Bajkonur cały czas należy do Kazachstanu (do obwodu kyzyłordyńskiego), więc odbywają się tam kazachstańskie wybory, a lokale wyborcze ochrania kazachstańska policja. Ale w mieście jest także policja rosyjska – i wybory rosyjskie także się odbywają. W obiegu są tenge i rubel, szkoły są rosyjskie i kazachstańskie. Miastem rządzi nie akim, ale mer wyznaczony przez prezydenta Rosji, który formalnie uzgadnia jego kandydaturę z prezydentem Kazachstanu. Na czas dzierżawy Kreml przyłączył formalnie Bajkonur do obwodu moskiewskiego, więc auta jeżdżą tam na numerach rosyjskich, oznaczonych na przykład liczbą 750 albo 790 – takich samych, jak w Sierpuchowie, Lubiercach czy Siergijew Posadzie.

Pomnik kosmonauty – anonimowego zdobywcy kosmosu. Kyzyłorda, 2022

Miasto liczy ponad siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców, z których mniej więcej połowa to obywatele Kazachstanu, a połowa – Federacji Rosyjskiej. Rosyjskimi obywatelami są także żołnierze kontraktowi, tacy jak mój starszy sierżant z przedziału.

A jemu zrobiło się głupio, bo zaczął się po chwili tłumaczyć, że nic do mnie nie ma, ale sam rozumiesz, Ukraina, woj… operacja specjalna, polityka. A drugi współpasażer z ulgą podchwycił ten wątek i pociągnął go dalej: tak, tak, nie ma złych narodów, ludzie są wszędzie ludźmi, gorzej, gdy przywódcom odbije

szajba, wtedy, dodał, nie daj Boże, i nie wiadomo było, czy ma na myśli Putina, Zełenskiego, Bidena, ich wszystkich, czy tak ogólnie. A starsza pani wyjęła landrynki i zaczęła nas częstować. I potoczyła się zwyczajna, pociągowo-rosyjska rozmowa o rodzinie, pogodzie, zdrowiu. Ale trzeba było zaraz ją kończyć, żeby złapać trochę snu, bo starszy sierżant niedługo wysiadał, a ja dwie stacje dalej.

– A do nas, do Bajkonuru, przyjeżdżali agitatorzy – odezwał się nagle wojskowy, kiedy już leżeliśmy. – Z samej Moskwy byli. Spędzono nas, wszystkich kontraktowych, do świetlicy, a oni przekonywali, żeby jechać na Ukrainę. Złote góry obiecywali. Większość odmówiła, w sumie to prawie wszyscy, bo na kosmodromie nie mamy źle, cisza i spokój, ale paru kolegów dało się zwerbować. Nie wiem, co się z nimi stało.

Paranoja, pomyślałem, wysyłać na drugi kontynent naganiaczy, żeby przywieźli parę głów na mięso armatnie. Do tego takich, których nie kupisz w pierwszym lepszym sklepie z żołnierzami, ale sprawdzonych, prześwietlonych do trzeciego pokolenia wstecz – inaczej nie wzięliby ich do Bajkonuru. Ruska wojna kieruje się swoją ekonomią. Ale mogła to być też ruska biurokracja. Rozesłano po kraju agitatorów. Tym konkretnym przypadł obwód moskiewski. W wykazie garnizonów obwodu figurował Bajkonur. No to pojechali do Bajkonuru. Nie zdziwiłbym się, gdyby tak właśnie było.

2

Telefon Erika Tienizbajewa dał mi aktywista Maks Bokaj z Atyrau.

– To ciekawy człowiek, zaangażowany w sprawy miasta, ma swoje zdanie na każdy temat – przedstawiał znajomego. – Warto z nim porozmawiać.

Umówiliśmy się na dziesiątą przed hotelem w Kyzyłordzie.

Noc miałem w plecy. Przed Bajkonurem już nie zasnąłem, więc się zwlokłem rzucić okiem na stację Töretam (postój – cztery minuty). W drzwiach wagonu pożegnałem starszego sierżanta, życząc mu spokojnej służby. Potem przypomniała mi się głośna historia Siergieja Krikalowa, wystrzelonego w kosmos w maju 1991 roku. Gdy latał po orbicie, rozpadło się państwo, które go wysłało, i kilka razy przekładano mu termin powrotu. Wylądował po trzystu parunastu dniach. A co by było, pomyślałem, gdyby tak jak na Ukrainę Rosja napadła na Kazachstan, a w kosmosie przebywał rosyjski astronauta? Musiałby

latać do końca wojny? Toczyłyby się w jego sprawie jakieś targi? A gdyby potępił z orbity Moskwę i poprosił o azyl w Ameryce? Nie miałem pojęcia, czy Ziemia ma pełną kontrolę nad rakietą i w jakim stopniu załoga może korygować ręcznie jej kurs. Czy można porwać rakietę, jak porywa się samoloty? Na myśl zaczęły mi przychodzić coraz bardziej karkołomne scenariusze.

W Bajkonurze zaczynały się wszystkie radzieckie i rosyjskie załogowe loty kosmiczne. W drogę odprowadzała astronautów muzyka symfoniczna. Wyobraziłem sobie startującą rakietę, Beethovena, Haydna czy Prokofiewa z głośnika, a w oddali tętent koni i koczownicze jurty. Welcome to Kazakhstan, witajcie w Kazachstanie! Miejscem lądowania też był najczęściej kazachski step. „Zdobywców kosmosu" odwożono dawniej do Karagandy, tam dochodzili do siebie w hotelu Czajka (nazwa wzięła się od hasła wywoławczego Walentyny Tierieszkowej, pierwszej kobiety w kosmosie). Zwiedzałem go kiedyś, nic szczególnego, siermiężny socreal o standardzie naciąganych trzech gwiazdek. Może nadrabiali kuchnią? Teraz wyobraziłem sobie wojnę i mojego starszego sierżanta szturmującego z kolegami tamtejszą restaurację zaciekle bronioną przez kazachski specnaz.

Takie obrazy krążyły mi po głowie do trzeciej dwadzieścia dwie, kiedy, zgodnie z rozkładem, przybyliśmy do Kyzyłordy. Potem były taksówka, dobijanie się do zamkniętego na noc hotelu (recepcjonistka zaszyła się na zapleczu, długo nie słyszała pukania), prysznic i trzy godziny półsnu, bo śniadanie wydawali do dziewiątej. Starczyło jeszcze czasu na szybki spacer.

Ulice wokół hotelu były zadrzewione, zbawczy cień przysłaniał koślawe płotki i dziury w asfalcie. Rachityczne bloki z wielkiej płyty obrastała bujna roślinność. Przyroda przeważała tu nad sowietem, w tej części miasta na pierwszy plan wybijała się jego południowość. Zapisałem w notesie, że Kyzyłorda należy do kazachstańskiego Orientu, który zaczyna się w okolicach Aralska, a swoją kulminację osiąga w Tarazie, Szymkencie i w Turkiestanie – Türkystanie.

Erik był punktualny co do minuty. „Jak Niemiec", pomyślałem, gdy nadchodził, a on czytał mi chyba w myślach, bo przy powitaniu powiedział, że rzadkie w tym kraju imię zawdzięcza ojcu, który bardzo lubił Niemców. Po czym dodał, że należy do Młodszego żuzu, do związku plemiennego Bajuły i plemienia Żappas. W tych okolicach włości jego żuzu już się kończyły, dalej na

południowy wschód rozciągały się ziemie żuzu Starszego, a na północny wschód – Średniego.

Nieraz zastanawiam się, jak będzie wyglądać osoba, z którą mam się pierwszy raz spotkać. Na jej obraz składa mi się to, co o niej wiem, styl maili i esemesów, brzmienie głosu przez telefon, zapisy na komunikatorze. Erika, który prowadził własną firmę, działał w Społecznej Radzie Miejskiej, a dorywczo parał się dziennikarstwem, widziałem jako zwesternizowanego Eurokazacha, online dwadzieścia cztery na siedem. Szczupły facet w średnim wieku, ubrany w dżinsy, koszulkę polo oraz czapkę bejsbolówkę z napisem „New York”, do tego z saszetką na dokumenty na ramieniu, pasował do mojej wizji. Ale plemienna wyliczanka zdradzała, że kupił Zachód bez całego pakietu inkluzywności. Świat rzadko bywa czarno-biały.

Tego dnia wypadały urodziny Nazarbajewa, obchodzone jako święto kazachstańskiej stolicy. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że to po raz ostatni dzień wolny od pracy. Erika czekało spotkanie rodzinne, ale miał dla mnie dwie godziny. Zaproponował, że pokaże mi miasto, opisywane w przewodnikach jako najnudniejsze w Kazachstanie. „Nie ma żadnych atrakcji” – ostrzegali autorzy jednego z nich.

Ruszyliśmy w stronę pobliskiego parku. Po drodze zapytałem, co wyróżnia Kyzyłordę wśród innych miast. Erik zaczął od historii. Znajdujemy się, powiedział, nad Syr-darią, na dawnym Jedwabnym Szlaku. Na początku XIX wieku powstała tutaj twierdza Chanatu Kokandzkiego. Otrzymała imię Akmeszyt, czyli Biały Meczet. W połowie stulecia zdobyli ją Rosjanie. Na cześć zwycięskiego wodza, generała Pierowskiego, nadano rozwijającemu się wokół miastu nazwę Pierowsk („To kolonialne, imperialne imię” – Erik aż się skrzywił, gdy o tym wspominał). Bolszewicy nazwali miasto po swojemu: Kyzył-Orda, to znaczy Czerwona Orda albo Czerwona Stolica. I rzeczywiście, przez krótki czas znajdowała się tutaj stolica Kazachstanu, który był wtedy republiką autonomiczną w składzie sowieckiej Rosji (wcześniej stolicami były Semej – ówczesny Semipałatyńsk – i Orenburg, a potem zostały nią Ałmaty). W niepodległym państwie zostawiono dotychczasową nazwę, tyle że „Kyzyłordę” pisano teraz łącznie.

– Jesteśmy najbardziej kazachskim regionem w kraju – ciągnął. – Dziewięćdziesiąt cztery procent ludności miasta i dziewięćdziesiąt siedem obwodu to Kazachowie. Rosjan jest w mieście trzy, a w obwodzie niecałe dwa procent. To dlatego, że w naszym obwodzie nie było łagrów ani wielkiego

przemysłu. Dominowało rolnictwo, i to takie, do którego przyjezdni się nie garnęli: bawełna i ryż. Dopiero po rozpadzie Związku odkryto tutaj ropę naftową, wtedy też ruszyło wydobycie uranu. A do tego wszystkiego dochodził nieprzyjazny klimat.

Według Tienizbajewa kyzyłordyńscy Kazachowie łączą w sobie cechy wszystkich trzech żuzów. Z Młodszego mieli wziąć waleczność i niezależność, ze Starszego – elastyczność i spryt, a ze Średniego – zamiłowanie do kultury, zwłaszcza muzyki. Na potwierdzenie tych słów wskazał na pomnik Batyrchana Szukienowa, do którego właśnie doszliśmy. Urodzony w Kyzyłordzie artysta był liderem grupy popowej A-Studio, która święciła triumfy w ZSRR na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Zespół ściągnęła do Moskwy Ałła Pugaczowa, caryca radzieckiej i rosyjskiej estrady. Cały park nosił imię Szukienowa.

– Mówię ci, leżymy na trasie przelotowej, dlatego była tu kiedyś stolica i dlatego umiemy się z każdym dogadać – podsumował nowy znajomy.

Zatoczyliśmy koło i wróciliśmy w okolice hotelu, przed którym – dopiero teraz zauważyłem – stał pomnik kobyzu, tradycyjnego instrumentu muzycznego ludów turkijskich. Wsiedliśmy do samochodu, Erik chciał mi jeszcze pokazać Syr-darię. Wzdłuż jej koryta ciągnął się bulwar – nie tak wypieszczony jak ten nad Uralem w Atyrau, ale było się gdzie przejść i pojeździć na rowerze. Stanęliśmy na zakazie („Dziś jest święto, nikt nie będzie sprawdzał”).

Legendarna rzeka wydawała się w tym miejscu wąska, choć miała swoje sto parędziesiąt–dwieście metrów szerokości. Strumień nie wypełniał jednak nawet połowy koryta. To nie była ta żywiołowa i nieokiełznana Syr-daria, którą przekracza się, zdążając z Taszkentu do Kotliny Fergańskiej w Uzbekistanie (jechałem tamtędy parę tygodni wcześniej), ani potężne i dostojne, ale wciąż wartkie rzeczyszcze w tadżyckim Chodżencie (lubiłem się tam kąpać). Z kolejnymi kilometrami Syr-daria traciła wigor i wątlała, okradana z wody, która szła na pola bawełny i nie mniej zdradliwe plantacje ryżu („Ryż jest współwinnym aralskiej tragedii, ale mówi się tylko o bawełnie” – powiedział Erik, co potwierdziła potem miejscowa historyczka).

Mam związane z tą rzeką wspomnienie z dzieciństwa. Za komuny, w głębokiej podstawówce, recytowałem na szkolnej akademii wiersz: „Znad spienionej Syr-darii i z aułów Kirgizji / Jadą chłopcy do armii walczyć w polskiej dywizji. / Twarz z tęsknoty wychudła, tylko błyszczą się oczy / Żegnaj – niebo południa! Żegnaj – mroźna północy!”. Chodziło, oczywiście,

o dywizję kościuszkowską, czyli podległą Moskwie armię Berlinga, nie o Armię Andersa, która opuściła Związek Sowiecki wcześniej. Autor, Leon Pasternak, słowem nie wspomniał, skąd się wzięli polscy chłopcy w kirgiskich aułach, i kłamał, pisząc o twarzy wychudłej „z tęsknoty”, a nie z pospolitego głodu. Z czasem dowiedziałem się o tym wszystkim, ale wiersz kołatał mi się w głowie, choć tyle innych rzeczy uleciało z pamięci. Pewnie pociągał mnie egzotyką dalekich krain, których same nazwy brzmią jak poezja.

Przysiadłem na ławce, żeby w nowym miejscu popatrzeć na rzekę, którą znałem z wiersza z podstawówki. Swoje niespienione już fale toczyła stąd w kierunku Bajkonuru i Jeziora Aralskiego. Erik kucnął naprzeciwko mnie i musiałem teraz patrzyć na niego z góry.

– To dwa nasze największe problemy – powiedział.

– Bajkonur i Arał?

– Tak. Chodzi o choroby onkologiczne. W wielu kategoriach wyprzedzamy Semej, gdzie był poligon nuklearny. O wysychającym morzu wiadomo: pustynia, sól, chemikalia. Ale kosmodrom, który jest bliżej, też nas zatruwa. Po każdym starcie rakiety przez kilka dni wieją tutaj silne wiatry i cała Kyzyłorda cierpi na ból głowy. To przez UDMH, po rosyjsku gieptił, pełna nazwa to 1,1-dimetylohydrazyna, składnik paliwa rakietowego. Jego opary są silnie toksyczne i przenikają przez skórę. Gdy w 2013 roku rakieta Proton-M rozbiła się zaraz po starcie, nad Kyzyłordę napłynęła chmura płonącego UDMH. Teraz jest lepiej, bo dzięki sankcjom po agresji Rosji na Ukrainę skończyły się na Bajkonurze starty komercyjne. Zostały wojskowe i te na Międzynarodową Stację Kosmiczną. A przyszłe katastrofy mają być wyjaśniane zgodnie z prawem Kazachstanu. Tyle udało się nam wywalczyć.

Chwilę pomilczeliśmy i wróciliśmy do samochodu.

3

Policzyłem, że do Gulżan Asyłbiekownej, historyczki z tutejszego uniwersytetu, doprowadził mnie łańcuszek ośmiu osób. Piątą była Gułbanu Izbasarowa z uniwersytetu w Aktobe, która skontaktowała mnie ze swoim prorektorem, pochodzącym z Kyzyłordy. Ten dał mi telefon do prorektora w Kyzyłordzie, który z kolei przekazał namiary osoby odpowiadającej na tamtej uczelni za

kontakty zagraniczne. Pani o imieniu Gulnazija – podobnie, jak obu prorektorów, nie widziałem jej nawet na oczy – złapała w lot, o co mi chodzi.

– Najlepsza będzie Gulżan, studiowała w Astanie i za granicą, ma skalę porównawczą. I zajmuje się trochę historią naszego obwodu – taką wiadomość nagrała mi na WhatsAppie. Jak mogłem przeżyć tyle lat bez WhatsAppa, Signala, Messengera?

Na kazachstańskiej prowincji spotykałem się najczęściej ze znajomymi starych znajomych z Ałmatów i Astany, a potem już ze znajomymi tamtych, choć czasami, jak ostatnio w Aralsku, byłem zdany na siebie. Szukałem wtedy ciekawych rozmówców w lokalnych mediach, organizacjach pozarządowych albo na wyższych uczelniach. Poszczególne miasta żyły w Kazachstanie trochę same dla siebie, tworząc własne mikrokosmosy. To przez te nieludzkie odległości. Kontakt ze starą czy nową stolicą zapewnia jeszcze samolot, ale do sąsiedniego obwodu trzeba tłuc się nieraz pół doby pociągiem czy autobusem. I zwykle nie ma po co. Rewolucją stały się Facebook, Instagram i komunikatory internetowe, ale dopiero po wydarzeniach ze stycznia 2022 roku Kazachstańczycy poczuli, że są jednym społeczeństwem i mogą wpływać na bieg wydarzeń. W czasie tej podróży z umawianiem spotkań było łatwiej niż kiedykolwiek wcześniej i nieraz czułem się prowadzony za rękę. W Atyrau dostałem dobry kontakt na Aktobe, w Aktobe – na Kyzyłordę. Po zajściach w kraju i po agresji Rosji na Ukrainę ludzie bali się przyszłości i chętnie dzielili się swoimi lękami z przybyszem.

Obszar postsowiecki z Moskwą jako kosmicznym centrum rozpadał się i przechodził do historii. Przy powitaniu Gulżan Asyłbiekowna powiedziała, że Gulnazija, jej koleżanka i moja wirtualna znajoma, właśnie przerabia plan współpracy uniwersytetu z zagranicą na następny rok. Na polecenie rektora wykreśla wszystkie konferencje, seminaria i wykłady gościnne z udziałem Rosjan. Czyli osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt procent planowanych imprez. Mówiło to więcej o polityce państwa, ale też o panujących nastrojach – młodej kadrze te zmiany bardzo się podobały – niż sto przemówień Tokajewa. Kazachstan wchodził w erę post-postsowiecką.

Z historyczką spotkaliśmy się w Coffito Kitchen, jednym z tych designerskich lokali, których w Kazachstanie jest może więcej niż w Polsce, gdzie większość kawiarnianej przestrzeni zagarnęły sieciówki. Z Gulżan – drobnej dziewczyny o cichym głosie i nieśmiałym, jakby przepraszającym uśmiechu – od pierwszego zdania biły pewność siebie i przekonanie o swojej

racji. Pasowało do niej motto, które zamieściła na swoim whatsappowym profilu: „Nigdy się nie poddawaj! Nawet jeśli wszystko wydaje się trudne, bądź cierpliwy, rób swoje, ciężko pracuj i ufaj Allahowi”. Stały za Gulżan magisterium w Astanie, niedawny doktorat w Londynie i wciąż niezły rosyjski, choć swobodniej czuła się już w angielskim. Przeciwko sobie miała lokalne układy, ale chciałem wierzyć, że do niej i takich jak ona należy w Kazachstanie przyszłość.

Zaczęliśmy od wydarzeń ze stycznia. I tak prędzej czy później pojawiały się w każdej rozmowie. Gulżan Asyłbiekowna, czy też, z kazachska, Asyłbiek kyzy (dosłownie: córka Asyłbieka), widziała wszystko z własnego balkonu.

– W samej Kyzyłordzie zginęło więcej ludzi niż oficjalnie w całym Kazachstanie – powiedziała. – Pierwszego dnia było jeszcze spokojnie. Do zgromadzonych wyszła nasza ówczesna akimka, ale mówiła na okrągło, bez konkretów i bez obietnic. Jeden młody człowiek wziął tubę i z niej zakpił: kobieto, powiedział, jak nic nie możesz załatwić, to choć toi toie nam zorganizuj. Potem ten człowiek zniknął, zabrały go służby i słuch po nim zaginął. U nas w obwodzie mamy ropę i uran, ludzie tracą zdrowie, wujek przy uranie oślepł, a pensje są mizerne, nie tak, jak w Aktau i na Mangystau. Podwyżka cen LPG była kroplą, która przelała czarę goryczy. Drugiego dnia zaczęły się zamieszki. Jasne, że sprowokowane, ludzi do tej roboty ściągnięto z jednego bandyckiego przedmieścia, dostali wódkę i narkotyki. To oni spalili nasz akimat, historyczny budynek z lat dwudziestych, puścili z dymem siedzibę partii rządzącej, dom handlowy i kilka samochodów policyjnych. Wtedy wkroczyły siły specjalne i zaczęła się masakra. A to wszystko dlatego, że ludzie byli niezorganizowani, że był chaos i nie wyłonili się liderzy.

Czy potem coś się poprawiło? W mieście i obwodzie na razie nie bardzo, kradną, jak kradli, i jak dawniej trzeba dać łapówkę, żeby dostać gdziekolwiek pracę. W ostatnim czasie w Kyzyłordzie otwarto dwie nowe szkoły: publiczną na prawym brzegu Syr-darii i prywatną na lewym. W tej pierwszej nie ma komputerów ani tablic sensorycznych, ale kosztowała dwa razy tyle, bo przy budowie każdy chciał uszczknąć na boku coś dla siebie. Zaś deputowani, którzy wcześniej wysławiali Nazarbajewa pod niebiosa, teraz nie zostawiają na nim suchej nitki. Przecież to niepoważne.

– Nikomu nie jestem tu potrzebna z moim angielskim wykształceniem – wzruszyła ramionami historyczka. – Mam dwa wyjścia: albo schować swoje

zasady do kieszeni i żyć jak inni: podlizywać się władzy, brać i dawać łapówki, albo wyemigrować.

A jednak wieją już nowe wiatry. Kazachscy historycy zaczęli przyznawać – na razie po cichu, w prywatnych rozmowach, w konferencyjnych kuluarach – że system komunistyczny, który narzuciła Rosja, był zbrodniczy. To duży postęp. Wcześniej, owszem, mówiło się o winach Lenina czy Stalina, ale systemu nikt nie ośmielił się krytykować, żeby nie podpaść Moskwie. Tak jak z głodem w Kazachstanie na początku lat trzydziestych: winny był sekretarz partii, Filipp Gołoszczokin, ale broń Boże władze, broń Boże komunizm. Ale mówimy o badaczach miejscowych, kazachskich, nie o Rosjanach.

– Nasz wykładowca na Uniwersytecie Eurazjatyckim w Astanie, Kazach, rozchorował się i zajęcia wzięła po nim Rosjanka. – Asyłbek kyzy wreszcie sięgnęła po kawę, która dawno wystygła. – Oboje opierali się na tych samych faktach, ale rozumieli je zupełnie inaczej. Dla niego Kenesary, ostatni chan Chanatu Kazachskiego, był wielkim bohaterem. Powstanie przeciwko Rosji, które wszczął w połowie XIX wieku, miało utrzymać niezależność chanatu. Dla niej był to warchoł, który kierował się własnym interesem. I powstanie było mu potrzebne do zachowania stołka. A mnie się marzy prawdziwa nauka, praca na źródłach. U nas się to dopiero zaczyna. Każdy ma swoje ograniczenia, zachodni badacze również, ale powinniśmy umieć odejść od przyjętych tez, jeśli ze źródeł wynika coś zupełnie innego.

Gulżan uczy swoich studentów, że historia Kazachstanu zaczyna się w V wieku naszej ery. Pomaga jej w tym fakt, że przodkowie Kazachów z Kyzyłordy – to kolejna cecha, która odróżnia miejscowych od rodaków z innych części kraju – nie koczowali, ale prowadzili życie osiadłe, tak jak sąsiedni Uzbecy. Dowodzić tego mają zachowane pozostałości dawnych miast i tuzin wykopalisk.

Po kawiarni poszliśmy do miejscowego muzeum krajoznawczego – chciałem zobaczyć przedmioty wydobyte spod byłego dna Morza Aralskiego. A Gulżan Asyłbek kyzy obiecała pokazać mi artefakty, które świadczyły o osiadłym życiu jej przodków.

W związku ze świętem wstęp był tego dnia bezpłatny.

– A wie pan, że Korkut Ata był naszym ziomkiem? – Gulżan wskazała na wizerunek legendarnego turkijskiego pieśniarza, znanego pod lekko różniącymi się imionami także u dzisiejszych Turków, Turkmenów, Uzbeków

i Azerbejdżan. Czuła się tu gospodynią i chciała pokazać mi wszystko, czym mogła pochwalić się jej okolica. – Urodził się nad Syr-darią, najpewniej na terenie naszego obwodu. To podobno on wymyślił kobyz. A czy pan wie, że mamy świetnie zachowane ślady osadnictwa Hunów? Albo że w Kyzyłordzie powstał pierwszy zawodowy kazachski teatr? Niech pan wyrzuci ten przewodnik, w którym napisali, że nie ma u nas nic ciekawego!

Podróż 2022. Kyzyłorda – Żezkazgan

1

Stałem z rzeczami na wylotówce z Kyzyłordy i czekałem na marszrutkę. Miała mnie zabrać do serca kraju, do Żezkazganu. Do przejechania było ponad czterysta kilometrów. Dziewięć, może dziesięć godzin kiepskiej drogi. Cała noc. A po drodze goły step, żadnego miasta ani większego osiedla, tylko dwie–trzy wioski i kilka mauzoleów.

Witaj, przygodo!

Poczułem, że znowu mam dwadzieścia parę lat i ruszam w kolejną wariacką włóczęgę po Wschodzie – ale szybko wróciłem na ziemię. Busik znalazłem przez aplikację i zdążyłem już porozmawiać z kierowcą, który wysłał mi koordynaty miejsca spotkania. Wtedy, w latach dziewięćdziesiątych, nikt nie słyszał o internecie mobilnym (stacjonarny też był jeszcze w powijakach), a rozmowa przez komórkę – mało kto ją miał – kosztowała za granicą majątek. Bywało, że kontaktowałem się z krajem raz w tygodniu, zamawiając rozmowę na poczcie. Teraz wszyscy mieli wszystkomające smartfony i byłem jedynym, który rozliczył się za przejazd gotówką. Nawet starsi płacili kierowcy telefonem.

Marszrutka nadjechała o dziewiątej. Przywitałem się z kierowcą, a ten kazał się przesiąść pasażerowi, który zajmował miejsce obok niego. Nikt nie zaprotestował, bo Rosjanom się tu ustępuje (wątpliwe, by wzięli mnie za kogoś innego). Znów ten postkolonialny kompleks, ile czasu potrzeba, żeby go wyplenić. Na Kaukazie taka rzecz już dawno by nie przeszła.

Przypomniała mi się historia z kurortu Burabaj, który po rosyjsku nazywał się Borowoje. Burabaj jest żartem Pana Boga. Oto płaski jak stół Wielki Step nagle się wybrzusza, ciągnąca się prostą kreską droga zamienia się w serpentynę i pojawiają się pierwsze drzewa, a zza nich wyłania się tafla jeziora i owiewa nas rześkie górskie powietrze. Miejscowi mówią: kazachska Szwajcaria. Raz udało mi się tam pojechać z żoną. Mieliśmy mało czasu, musieliśmy wracać na noc do Astany – dwieście pięćdziesiąt kilometrów stepem – wykupiliśmy więc wycieczkę: w dwie godziny obwiozą nas po okolicy i pokażą ciekawe miejsca. Gdy weszliśmy do autokaru, przewodniczka,

która zaczęła już opowieść po kazachsku, momentalnie przeszła na rosyjski. Byliśmy jedynymi nie-Kazachami i owszem, liczyliśmy, że ktoś nam objaśni, co widzimy po prawej, a co po lewej, ale nie chcieliśmy niczego więcej, nie żądaliśmy obsługi na wyłączność. A nasi sąsiedzi, którzy przyjechali gdzieś z południa, twarze zdradzały Szymkent albo Taraz, i zapłacili za wycieczkę tak jak my, dopytywali się jeden drugiego, co ona mówi, bo niektórzy rozumieli co trzecie słowo. Był rok 2016, mijało ćwierćwiecze niepodległości, ci ludzie byli we własnym kraju – ale położyli uszy po sobie. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby zaprotestować. Były w tym krępująca nas uprzejmość, ale także pokłady fatalistycznej uległości. Co trzeba nawyczyniać z narodem, pomyślałem, żeby go tak wytresować.

Teraz też zrobiło mi się głupio, ale z przodu miałem więcej miejsca na nogi i mogłem fotografować drogę. Podziękowałem i usiadłem na wskazanym miejscu.

Zmierzchało. A bardzo długi dzień, który zaczął się dla mnie pod Bajkonurem, nie dobiegł jeszcze końca. Przejechaliśmy może dwa kilometry i stanęliśmy przed przydrożną restauracją: marszrutka jechała aż z Szymkentu, to był ostatni dłuższy postój. W pobliżu mieściły się wulkanizacja, sklep motoryzacyjny i punkt skupu metali kolorowych. Wspólny neon po kolei wyświetlał napisy: „wulkanizacja”, „części zamienne do samochodów”, „jadłodajnia” i „szaszłyk”. Wszystkie po rosyjsku z wyjątkiem jadłodajni (*aschana*), ale po kazachsku mogło być podobnie, a na pewno były to słowa powszechnie zrozumiałe. W Azerbejdżanie na stacjach benzynowych używałem, jak inni, azerbejdżańsko-rosyjskiego miksu („*Dochsan besz, połnyj bak!*”, „Do pełna dziewięćdziesiątej piątej!”), a pompiarze byli przekonani, że mówię do nich po azerbejdżańsku. Poboczem jeden za drugim szły konie, w oddali majaczył komin. Splin wiecznego przedmieścia.

Kierowca upychał tymczasem na tyłach busika nasze bagaże. Był perfekcjonistą albo rzeczy było bardzo dużo, w każdym razie tak przymierzał, tak kombinował, aż tworzyła się jednolita patchworkowa przestrzeń. Wtedy przechodził na wyższy poziom i dokładał następne walizki, pakunki, koszyki. Przypominało to jakieś puzzle albo grę Tetris, wymyśloną zresztą w ZSRR. Skończył za dziesięć dziesiąta i krzyknął na ludzi, żeby się zbierali.

Ruszyliśmy z kopyta, ale od razu za najbliższym zakrętem czaiła się drogówka. Nie było wątpliwości – solidnie przekroczyliśmy prędkość.

Widziałem, jak kierowca, wychodząc z busika, wsuwa w swoje dokumenty banknot, a potem jak stojący przy radiowozie policjant wyciąga go, nawet nie rzucając okiem na prawo jazdy ani na dowód rejestracyjny. Panowie podali sobie ręce: nic osobistego, bez obrazy. Łapówka wyglądała jak ofiara złożona bogom tej drogi w intencji szczęśliwego przejazdu.

Zaczęła się jazda, która przypominała inną prostą komputerową grę. Na drodze wyglądającej jak gruntowa przesieka, ale ciągnącej się tak setkami kilometrów, do samego Nowosybirska, pojawiał się chwilami nawet dość równy asfalt (nie wiem, skąd mi przyszła do głowy akurat przesieka, najbliższy większy las też pewnie rósł pod Nowosybirskiem – pewnie dlatego, że w świetle reflektorów widziałem wyraźnie koleiny i ślady opon, ale pobocza tonęły w mroku i zdawało mi się, kompletny absurd, że są tam drzewa). Na kawałku lepszej nawierzchni szofer rozpędzał busik do sześćdziesięciu czy osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a potem, w najmniej oczekiwanym momencie, asfalt się kończył i zaczynały się dziury i rozpadliny. W naszej grze chodziło o to, żeby nie urwać zawieszenia. Ratowało nas ostre hamowanie albo skok na pobocze, w otwarty step, choć parę razy szorowaliśmy podwoziem o ziemię.

Dziesięć minut przed północą – wiem to z kolejnych zdjęć, których tamtej nocy zrobiłem dziesiątki – asfalt nieodwołalnie zniknął. Wkrótce potem skończyły się też zakręty, a droga wystrzeliła w nieskończoność. Czasami pojawiał się znak – ograniczenie do czterdziestu. Wtedy trzeba było rzeczywiście uczciwie zwolnić, żeby nie wylecieć w kosmos, choć nie mieliśmy na liczniku o wiele więcej. Przypominała mi się droga w Turkmenistanie pod Etrekiem, wzdłuż granicy z Iranem: tam stało ograniczenie do dwudziestu, ale dla aut z niższym zawieszeniem nawet dziesięć na godzinę było brawurą i szaleństwem. A teraz walały się jeszcze kamienie, zwiezione pewnie lata temu przez drogowców na potrzeby remontu, który nigdy się nie rozpoczął.

I lewa strona drogi była zawsze równiejsza niż prawa. Kiedy jechało coś z naprzeciwka – choć jechało bardzo rzadko – auta wracały na swoje pasy, niemal ocierając się zderzakami.

Szofer nagle otworzył okno – i zrobiło się tak chłodno, że musiałem naciągnąć na głowę kaptur polara. Puścił na cały regulator starego kazachskiego rocka, chyba to była grupa Maniakalna Depresja, i zapalił papierosa, od którego odpalił potem następnego. I tak dalej. W czasie palenia nie wyjmował fajki

Pobrano ze strony pijafka.pl

z ust. Wsparł się o kierownicę wyprostowanymi rękami i wbił wzrok w dal, w horyzont, wytrzeszczając do bólu oczy, byle tylko nie zasnąć. Wpadł w trans. Połykał otwierającą się przed nami drogę jak cyrkowcy, którzy połykają ogień, i już nic nie słyszał, nie czuł. Zaśmierdziało sprzęgło, dziwne, jechaliśmy po płaskim. Nic poważnego, pokręcił głową, gdy mu to wykrzyczałem, szarpiąc za ramię.

Tłuste gwiazdy Południa wisiały tuż nad Ziemią, gotowe przy większym podmuchu wiatru urwać się z niewidocznej uwięzi.

Około wpół do czwartej zaczęło świtać. Musiałem się na chwilę wyłączyć, bo przeskok między nocą a dniem był zbyt gwałtowny. I było już naprawdę bardzo zimno: jechaliśmy przy otwartym oknie, ale nikt nic nie mówił, kierowca rządzi. On wie najlepiej. O czwartej pojawiły się ptaki, zwiastowały już ląd, jak owa gołębica z arki Noego. Po czwartej czterdzieści pięć minęliśmy drogowskaz. Do Żezkazganu zostały nam sześćdziesiąt trzy kilometry. Potem był jeszcze znak ostrzegawczy z wykrzyknikiem: „inne niebezpieczeństwo". Przez następne szesnaście kilometrów kazali uważać na nierówności. To co to było przez ostatnie trzysta osiemdziesiąt?!

Z drogi zaczęły wynurzać się wysepki asfaltu, skądś zjawiły się słupy wysokiego napięcia i pierwsze domostwa otoczone płotkami z samochodowych opon.

O szóstej rano wjechaliśmy do miasta. Żezkazgan powitał nas deszczem.

– No i jak nasza droga? – zapytał przy pożegnaniu kierowca.

– Jak szofer dobry, to żadna niestraszna! Dziękuję ci, przyjacielu!

2

„*I love Jez!*" Aj law dżez. Dżez jak Dżezkazgan. Dawniej miasto tak się nazywało – pisane przez „Dż", a nie „Ż" na początku. A teraz grają tutaj na zbieżności pierwszej sylaby tej nazwy z gatunkiem muzyki. Hasło ozdabia miejskie autobusy, jest i napis z czerwonym serduszkiem zamiast słowa „*love*" na jednym ze skwerów. Idealne miejsce, żeby zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. W mieście są też inne nawiązania do muzyki, na przykład pomnik saksofonisty, i dziwne, że nikt nie wpadł na pomysł zorganizowania tu, pośrodku niczego, wielkiego jazzowego festiwalu. Mógłby nazywać się Jazz w Żezkazganie, Żezkazgan Jazz albo Jazzowy (D)żezkazgan. I nic to, że nazwa nie pochodzi od

jazzu, ale od miedzi, którą wydobywa się tu od neolitu. Ona sama jest jak miedź brzęcząca albo cymbał brzmiący.

I love Jez. Jez (czytaj: Dżez) jak Dżezkazgan. Dawniej miasto tak się nazywało – przez „Dż”, a nie „Ż” na początku. Żezkazgan, 2022

To wszystko przyszło mi jednak do głowy już na miejscu, gdy zobaczyłem miejskie autobusy, pomnik muzyka i napis „*I love Jez*” na skwerze.

Bo wcześniej Żezkazgan kojarzył mi się tylko z łagrami. Z nie-miłością. Nie mógł inaczej.

Bo zbudowano to miasto na niewolniczej pracy, na terrorze, na kościach. Jak Workutę, jak Norylsk, jak Magadan. W Workucie był węgiel, w Norylsku – nikiel, na Kołymie – złoto. A tutaj miedź. Wokół złóż powstawały łagry z darmową siłą roboczą. Potem z łagrów wyrastały miasta, które muszą żyć z ich piętnem.

Miedź pod Żezkazganem próbowano kopać na większą skalę już w połowie XIX wieku. Na początku wieku XX o koncesje na eksploatację złóż wystarały

się spółki z Anglii i Francji. Ale wszystko rozbijało się o logistykę. Do najbliższej stacji kolejowej było kilkaset kilometrów, a transport drogowy – wtedy konie i wielbłądy – nie rozwinął się do dziś. Pod koniec lat trzydziestych Sowieci uruchomili kolej do Karagandy i wreszcie ruszyła budowa miasta i przemysłowego kombinatu-giganta. Roboty szły jednak wolno, zbyt wolno. Brakowało rąk do pracy. A szykujący się do wojny kraj potrzebował od zaraz miedzi na amunicję. Zdesperowana Moskwa oddała sprawy w ręce NKWD – i niemal od ręki, stoliczku, nakryj się, wyrósł kombinat i pojawiło się miasto.

Łagier Dżezkazgański, Dżezkazganłag, powstał na wiosnę 1940 roku. Trzy lata później utworzono tam łagier dla jeńców wojennych, a jesienią 1948 roku pojawił się w jego miejsce Stiepłag, Stiepnoj Łagier. Łagier Stepowy. Obóz dla więźniów politycznych. W szczytowym momencie siedziało tam prawie dwadzieścia osiem tysięcy osób. W sumie przewinęło się około stu tysięcy. Niby niewiele, w sąsiednim Karłagu, Łagrze Karagandzkim, było ich łącznie milion. Ale znacznie mniejsze było samo miasto. W największym rozkwicie Dżezkazgan liczył sto–sto dziesięć tysięcy mieszkańców, a Karaganda dobijała do sześciuset. W łagrowej pieśni z Workuty każdą bryłę węgla omywa krew uwięzionego („*Każdyj kusok ugla / Krowju zieka omyt*”). Tutaj posoka łagierników zaplamiła każdą garść miedzi i kapała na zręby wszystkich domów, które powstały w czasie istnienia Stiepłagu.

Wśród osadzonych trafił tam polski kapucyn, ojciec Ryszard Czesław Grabski. Kapelan Armii Andersa, który nie zdążył ewakuować się na czas z ZSRR. We wspomnieniach napisał: „Straszono, że z Omska powiodą nas tam, »gdzie raki nie zimują«. Przez szpary w ścianach wagonu nie widać żadnego życia; ani osiedli, ani ludzi. Pustynna równina. Przejeżdżamy z Omska przez Pietropawłowsk, Kokczetaw, Akmolińsk. Karagandę, Uspieńskij [Uspen], Atasu, Kyzył-Dżar [Kyzyłżar]. Wreszcie pociąg zatrzymał się – to Dżezkazgan. W oddali, w czystym polu widać warowne mury i wieże – po rogach strażnice. To obóz dla więźniów. Pod nogami mnóstwo zielonych kamieni. To ruda miedzi, pod wpływem działań atmosferycznych pokryta grynszpanem. […]

Wokół, jak okiem sięgnąć, beznadziejna, goła pustynia. Nie ma drzew, nie ma zieleni, mimo że to wiosna. Grupa ludzi obdartych, zmęczonych, głodnych około południa dociera do wysokich murów okalających duży obszar pustyni, na której mieszczą się niskie baraki – pomieszczenia dla więźniów. Tuż pod bramą wejściową do łagru naczelnik konwoju rozkazał wszystkim usiąść na usłanej kamieniami ziemi. Tu można było rozejrzeć się po okolicy. W oddali

widać góry kamienia; to kopalnia miedzi. Dżezkazgan to miejsce pracy tysięcy ludzi-niewolników”.

Ojciec Grabski spotkał w dżezkazgańskim łagrze legendarnego księdza Władysława Bukowińskiego, od 2016 roku błogosławionego: „Siedział w kącie prawie niewidoczny [w podziemnym korytarzu kopalni miedzi] i sporządzał z gliny korki. Po wydrążeniu *szuru*, czyli otworu w skale, pirotechnicy zakładali *toł* [trotyl], łączyli drucikiem i uszczelniali otwór takim właśnie korkiem. Iskra elektryczna powodowała straszny zryw skały. Ksiądz Władysław nie tylko przygotowywał »knedle« (jak to żartobliwie określaliśmy), ale był obowiązany roznieść te korki do miejsc, gdzie przygotowywano zrywy. Nogi i ciało księdza Władysława nie były zbyt wysportowane; trzeba było ubrać się ciepło, bo w kopalni było zimno, zaledwie 4 stopnie ciepła, i wejść po drabinie ustawionej pionowo co najmniej na trzecie piętro do wysoko położonej pieczary. Była to dla niego niesłychanie męcząca praca”. Ale nie narzekał, „objaśnił mi […], że warunki pracy i życia są znośne”.

Trudny dylemat: jak pracować? Na odczep się czy solidnie? Zastanawiał się nad tym inny dżezkazgański łagiernik, Jerzy Julian Węgierski, sportretowany w *Archipelagu GUŁag* przez Aleksandra Sołżenicyna: „I tu zrozumiałem, co to jest polska duma – napisał noblista – i na czym polegał sekret polskich powstań, tak pełnych zapamiętania. Polak, inżynier Jerzy Węgierski, był teraz w naszej brygadzie. Odsiadywał ostatni, dziesiąty rok swojej kary. Nawet gdy był kierownikiem robót, nikt nie słyszał od niego ostrego słowa. Był zawsze cichy, uprzejmy, wyrozumiały. A teraz – twarz mu się zmieniła. Z gniewem, pogardą i męką odwrócił oczy od tego żebraczego orszaku, wyprostował się i krzyknął ze złością, donośnie: – Brygadzisto! Mnie proszę na kolację nie budzić! Ja nie pójdę! Wdrapał się na górne nary, odwrócił się do ściany – i nie wstał. Myśmy w nocy poszli jeść – a ten nie wstał! Nie dostawał paczek, był zupełnie sam, nigdy nie bywał syty – a nie wstał. Para unosząca się nad gorącą kaszą nie mogła mu przesłonić obrazu bezcielesnej Wolności. Gdybyśmy wszyscy byli tak dumni i nieustępliwi – to jaki tyran by się ostał?”.

Sam Węgierski wspominał: „Stałem przed problemem budowniczych mostu na rzece Kwai: z jednej strony nie powinienem był pomagać tym, którzy w tym czasie gnębili Polskę i nas w obozach, a z drugiej strony miałem poczucie obowiązku dobrej pracy i pokazania, co Polak potrafi”[10].

A ksiądz Bukowiński wyprzedził w łagrze kościelne *aggiornamento*, czyli uwspółcześnienie (liturgii, organizacji, relacji z innymi religiami). Wyprzedził Sobór Watykański II oraz naukę kolejnych papieży, od Jana XXIII do Benedykta XVI: „Kiedy tylko nadarzała się sposobność – pisał ojciec Grabski – [Bukowiński] przemawiał do braci odłączonych, a słowom jego towarzyszyła jakaś siła i moc". Przyszły błogosławiony trafiał nie tylko do chrześcijan różnych wyznań. Również do muzułmanów. W Stiepłagu prowadził międzyreligijny dialog: „Ksiądz Władysław Bukowiński szukał w myśli sposobów, jak przygotować naszych ziomków do Świąt Wielkanocnych. Każdego z kapłanów przydzielił do jednego z baraków. Ten miał obowiązek poznać mieszkających w nim katolików i przygotować do wielkanocnej spowiedzi i Komunii św. Sam podjął się przeprowadzić wielkopostne rekolekcje. Ponieważ gromadzenie się w jednym miejscu po trzech i więcej było surowo zabronione i ścigane przez władze obozowe, ksiądz Bukowiński zbierał chętnych, szedł z nimi poza składy na terenie kopalni i tam głosił do nich słowo Boże. Raz w języku polskim, raz po ukraińsku, to znów po niemiecku lub po rosyjsku, zależnie od tego, jakie audytorium przeważało. I tak przez tydzień przygotowywał do Świąt Wielkanocnych. Mszę św. każdy z nas odprawiał według swoich możliwości w największej tajemnicy przed władzami. […] Ponieważ w Święto Wielkanocy wypadło nam pójść do pracy w kopalni, ksiądz Bukowiński użył dyplomacji; doszedł do porozumienia z muzułmanami, bardzo licznymi w kolonii, którzy chętnie zastąpili katolików, pod warunkiem że katolicy zastąpią ich w pracy w dzień [zakończenia] Ramadanu (święto muzułmańskie)".

Posiadłości holdingu Kazachska Miedź, któremu początek dała niewolnicza praca więźniów Gułagu. Żezkazgan, 2022

I dalej: „Gdy nadeszło święto muzułmańskie […], wyznawcy Mahometa poprosili zarząd obozu, aby pozwolono im spędzić ten dzień na wspólnej modlitwie z mułłą, tj. duchownym, który jako więzień przebywał w sąsiedniej kolonii. Zarząd przychylił się do ich prośby. Sprowadzono mułłę. Nikt z wyznawców Allaha nie wyszedł tego dnia do pracy w kopalni; według umowy zastąpili ich katolicy i prawosławni. Wpływowi muzułmanie zwrócili się do księdza Bukowińskiego, aby zechciał towarzyszyć im w modlitwach, a także we wspólnym przyjęciu. Oczywiście, chętnie zgodził się na ich propozycję”.

Działo się to wszystko już po śmierci Stalina, w powietrzu czuć było odwilż. Do Stiepłagu oczekiwane zmiany nadchodziły jednak powoli. Z jednej strony władze obozu szły na drobne ustępstwa, choćby przymykając oko na praktyki religijne. Z drugiej – zaostrzały dyscyplinę, bojąc się buntów. Strażnicy kilka razy otwierali ogień do więźniów, którzy mieli podchodzić zbyt blisko

ogrodzenia. Padali zabici i ranni. Nadzorcy łamali regulaminy, karząc więźniów według własnego widzimisię. Czarę goryczy przelało rozmieszczenie w oddziale trzecim, w osadzie Kengir (dziś już w granicach Żezkazganu), kilkuset więźniów kryminalnych z innych obozów. Władze kazały im pilnować politycznych – a oni od razu zaczęli wprowadzać swoje porządki. Teraz wystarczyła już iskra. Gdy jeden z wartowników kolejny raz puścił serię po ludziach, wybuchło powstanie. Trwało czterdzieści dni w maju i czerwcu 1954 roku.

Wśród więźniów politycznych Stiepłagu starzy komuniści, którzy poszli nie za tym przywódcą, co trzeba, sekciarze i duchowni, a także ci od rodziny za granicą oraz nieostrożni opowiadacze dowcipów, owi śmieszni inteligenci w drucianych okularkach, byli już dawno w mniejszości. Przeważali otrzaskani z bronią i umiejący się bić weterani: banderowcy z Ukrainy, szaulisi z Litwy[11] i rosyjscy jeńcy wojenni, którzy z niemieckich obozów trafili od razu do sowieckich. Tego żywiołu nie dało się już w tym czasie, dekadę po wojnie, w warunkach coraz większego rozprężenia, utrzymać w ryzach. W obozie powstało podziemie. Polski łagiernik Henryk Stawryłło wspominał: „Około 1952 roku skonsolidowały się grupy narodowe. Wyznaczono łączników do kontaktów z innymi. Zaczęto organizować system konspiracji. Zostały utworzone grupy do zwalczania prześladowców, grupy samopomocy, propagandowo-informacyjne i kontrwywiadu, bo trzeba było zabezpieczyć się przed infiltracją. Pierwsi byli Ukraińcy. Po ich propozycji nawiązałem kontakt z Litwinami”. Inny polski łagiernik-powstaniec, Józef Legun, dodawał: „Poza tym gromadziliśmy broń – szykowaliśmy na obiektach noże. Bardzo ciężko było je przenieść, przy wejściu do obozu rozbierali nas do naga, nawet do tyłka patrzyli. Mieliśmy już rozeznanie, który konwój mniej kontroluje, i przenosiliśmy noże na obóz”.

Przybycie kryminalistów dolało oliwy do ognia. Ale trafiła kosa na kamień! Powstańcy opanowali Kengir i przez czterdzieści dni istniała tam wolna republika ze swoimi władzami, systemem zaopatrzenia, wydziałem propagandy (rozgłośnia radiowa) i służbą bezpieczeństwa. Więźniowie mieli własną flagę: czerwony krzyż z czerwonym półksiężycem na białym tle. Trzeci Polak, który uczestniczył w powstaniu, Kazimierz Kaczkowski, opowiadał: „Choć w niewoli, było nam wtedy dość raźno. Każda narodowość miała swój plac zebrań, gdzie śpiewano pieśni, tańczono i organizowano różne imprezy. I tak

szedł dzień za dniem”. Jako pierwszy opisał ten zryw Sołżenicyn, poświęcił mu w *Archipelagu* cały rozdział.

Skończyło się tak, jak musiało – do Kengiru wjechały czołgi, rozjeżdżając ludzi gąsienicami. „Czołgi sforsowały nasze barykady i wdarły się do obozu – wspominał Kaczkowski – za nimi postępowała piechota w hełmach. […] Musieliśmy ulec, nie mieliśmy żadnych szans”. Oficjalnie zginęło kilkudziesięciu powstańców. Faktycznie – około siedmiuset. Ale coś się zaczęło zmieniać. W innych oddziałach Stiepłagu, również w pierwszym, gdzie wciąż siedział ksiądz Władysław Bukowiński (tam skończyło się na kilkudniowym strajku), komendantura nie pozwalała już sobie na samowolę. Podobnie w innych obozach. Powstanie kengirskie nie było ani najdłuższe, ani najliczniejsze, buntowały się Workuta i Norylsk, ale badający Gułag historycy twierdzą, że demontaż stalinowskich łagrów zaczął się właśnie od Kengiru. Stiepłag przestał istnieć 24 kwietnia 1956 roku, a niedługo potem skończono z niewolniczymi obozami pracy. Sowieckie państwo pozostało represyjne, nie zniknęli więźniowie polityczni ani łagry jako kolonie karne, a wielu byłych łagierników jeszcze przez kilka lat odbywało karę zesłania, ale najczarniejsza noc dobiegła końca.

3

Chodząc po Żezkazganie, wypatrywałem śladów łagru. Ot, kolonia piętrowych domów na kilka mieszkań przy ulicy Gagarina, każdy ze spadzistym dachem, pod którym musiał się kryć spory stryszek. Kiedyś szczyt luksusu. Lata budowy – 1952, 1953, 1956 (wiadomo to z tabliczek z danymi technicznymi budynku, wieszanych tu, jak kiedyś w Związku Radzieckim, obok numeru adresowego). Bez dwóch zdań było to dzieło więźniów Stiepłagu. Albo „morze żezkazgańskie”, zbiornik retencyjny Kengir, dochodzący do samego miasta. Są nad nim plaże i restauracje, można zejść też promenadą do placyku z ułożonymi amfiteatralnie ławkami – odbywają się tam koncerty kameralne – i dalej, nad samą wodę, gdzie kolumnada i zaciszny punkt widokowy. Na drugim brzegu rozciągają się włości holdingu Kazakmys (Kazachska Miedź), widać hale fabryczne, linię wysokiego napięcia i rząd dymiących kominów. Zbiornik także powstał wysiłkiem łagierników (prace trwały od roku 1940 do 1952). Kombinat też.

W takim krajobrazie nawet nowe budowle wyglądały jak stare. Reklamy, murale i napisy „*I love Jez!*” tapetowały reprezentacyjne aleje i place, nadając im przytulności, a nawet powabu. Ale paręset metrów dalej sowiecka siermięga atakowała w stanie sauté.

Żezkazgan podwórek i ciemnych przejść nie wyglądał o wiele lepiej niż to północne, górnicze miasto z powieści *Granica zapomnienia* wielkiego Siergieja Lebiediewa: „W umownym centrum miasta znajdował się kwartał »stalinowskich« domów; o ile w Moskwie stanowią one jedynie fragment architektonicznej historii, styl wśród innych stylów, o tyle tutaj, mówiąc bez ogródek, »stalinki« jako jedyne reprezentowały jakąkolwiek architekturę. Wiatry, mrozy i deszcze nie oszczędziły ich zbytków: sztukateria i dekoracyjne balkony sypały się, zniknęły białe okucia okien, złuszczyła się farba na ścianach; w szerokich i wysokich klatkach wejściowych zadomowiły się wilgotne przeciągi, pod sklepieniami arkad zawsze zawiewał wiatr, cement, wapno i cegły kruszyły się, tuż nad ziemią ściany pokrył zielony nalot w odcieniu wodnej rzęsy, w szczelinach rozrósł się mech; wszędzie były rdzawe zacieki, na pęknięciach kamienia wystawała armatura i gdzieniegdzie było widać, że w cement – najwidoczniej nie starczyło metalu – zamiast armatury wkładano zwinięty kilkakrotnie drut kolczasty”.

Mógłbym powtórzyć za narratorem, że „wiele razy bywałem w takich miejscach, ale tym razem tak wyraziście uzmysłowiłem sobie, że bandycki świat zwyciężył, że łagier pokonał nie-łagier, łagier nie odszedł – po prostu »rozproszył się« w pejzażu, rozdzielił na części i każda część, zmieniając wszystko dookoła, wkomponowała się w środowisko życia człowieka”.

Obcym, ale nie do końca, wtrętem był bulwar Kosmonautów. Załogi, które lądowały w stepie, odwiedzały najpierw Żezkazgan. Tutaj kosmonauci, jeśli ich stan na to pozwalał, sadzili sosny i czasem spotykali się z młodzieżą. Potem zawożono ich do Karagandy, do hotelu Czajka. Na bulwarze na tabliczkach obok drzew można przeczytać, kto i kiedy je posadził. W mieście są jeszcze duża monochromatyczna mozaika z Gagarinem oraz pomnik awiacji i kosmonautyki – artysta zmieścił na jednym cokole startujący samolot wojskowy i wzbijającą się w niebo rakietę. Ale negatywem sowieckiego programu kosmicznego, negatywami wielkich budów komunizmu i zwycięstwa nad Hitlerem były miliony pomordowanych, deportowane narody, zgładzona przyroda. Łagry, łagry, łagry.

Tak, łagier splugawił i zawłaszczył tę ziemię, ale jest wymiar, którego nie dotknął. Nie mógł dotknąć. W 2022 roku, umościwszy się już u władzy, prezydent wykroił w środku kraju nowy obwód i uczynił Żezkazgan jego stolicą (wcześniej podlegał on Karagandzie). Tokajew nie nazwał jednak obwodu żezkazgańskim, tylko ułytauskim, od pobliskich gór Ułytau, które Kazachowie uważają za swoją kolebkę. Powiedział zresztą wprost, że nowy obwód uzasadniają względy gospodarcze i duchowe. Żezkazgan to zatem łagry, stalinizm i rosyjski podbój – oraz loty kosmiczne, miedź, cały przemysł. Ułytau to mauzoleum Dżocziego, najstarszego syna Czyngis-chana i ojca Batu, miejsce spoczynku Ałaszy, mitycznego wodza Wielkiego Stepu, wreszcie gniazdo rodowe Kereja i Dżanibeka, ojców założycieli Chanatu Kazachskiego. Żezkazgan to współczesny Kazachstan, a Ułytau – wieczne kazachskie państwo.

W Rosji, o której pisze Siergiej Lebiediew, na łagier nie ma żadnej odtrutki.

Z samego Stiepłagu zachowało się niewiele.

W osadzie Rudnik, gdzie siedział ksiądz Bukowiński, wszystko wyburzono – powstanie tam nowa odkrywka. Nie ma już więc baraków, budynków gospodarczych, strażnic. Na tle nieba rysuje się tylko stary kopalniany szyb, zwieńczony pięcioramienną sowiecką gwiazdą. A za pagórkiem kryją się resztki malutkiego bunkra bez dachu, z zakratowanym otworem okiennym. Może to była strażnica?

W Kengirze stoją budynki władz obozowych w stylu stalinowskiego klasycyzmu, z portykiem i półkolumnami, w środku wypatroszone i zarastające zielskiem. Teren jest ogrodzony siatką, a tablica przed bramą informuje, że był tutaj łagier składający się z sześciu oddziałów. Na dziedzińcu można dojrzeć przez teleobiektyw mały obelisk poświęcony ofiarom Stiepłagu. Teksty na tablicy i na obelisku są po kazachsku, rosyjsku i angielsku. Może będzie tu kiedyś izba pamięci?

Na pobliskim wzgórzu upamiętniono powstanie kengirskie. Wokół podłużnego betonowego bloku z wkomponowanym fragmentem dawnej bramy obozu stoją pomniczki ku czci ofiar różnych narodowości: Litwinów, Łotyszy, Rosjan, Ukraińców (ufundowany przez diasporę w USA) i Żydów. Miejsce powstało w 2004 roku, pół wieku po buncie więźniów. Jak na dłoni widać stąd kombinat. Widać go zresztą w mieście z wielu miejsc.

W muzeum krajoznawczym poświęcono Stiepłagowi całą sekcję. Ale nie ma tam żadnych artefaktów, tylko plansze informacyjne, fotokopie dokumentów

i odbitki starych fotografii. Gdzie się podziały przedmioty, choćby rzeczy osobiste więźniów, naczynia z obozowej kuchni, klucze do cel? Roztopiły się, wsiąknęły w otoczenie jak u Lebiediewa i teraz wiodą gdzieś swoje drugie, sekretne życie po życiu, zatruwając kolejne pokolenia?

Aby nadać narracji autentyzmu i dramaturgii, muzealny scenograf ułożył na podłodze stertę kamieni – miały najpewniej symbolizować kopaną przez łagierników rudę miedzi – i spuścił na nie ze ściany zwój drutu kolczastego. Myślałem, że chociaż ten drut jest z epoki, jeden kawałek wyglądał na upaćkany cementem, ale nie było nigdzie ani śladu rdzy, a przecież druty rdzewieją – na portalach aukcyjnych można nawet kupić sztucznie zardzewiałe druty do różnych dekoracji.

Stary wzór drutu kolczastego nie zmienił się od dziesięcioleci.

4

No dobrze, ale co z ludźmi? W muzeum nie mieli spisanych świadectw byłych łagierników, a spora część z tych stu tysięcy, którzy przewinęli się przez Stiepłag, musiała zostać w mieście i na pewno niektórzy jeszcze żyją. W Polsce takie osoby odszukał Ośrodek Karta, a w Rosji – Stowarzyszenie Memoriał. W Żezkazganie rodzinne związki z łagrem mógł mieć co drugi–trzeci przechodzień.

Ksiądz Paweł Martyniuk, proboszcz tutejszej parafii, powiedział, że zna jedną rodzinę i może mnie do niej zawieźć. Ten człowiek, opowiadał mi po drodze, siedział tu, na miejscu. Żona domyślała się, gdzie jest, ale bała się go szukać. Przez ten czas nie mieli ze sobą kontaktu.

Sędziwi ludzie przyjęli nas czym chata bogata: herbatą, kompotem, owocami, ciastkami.

Zapytałem o ten łagier. Mężczyzna pokiwał głową: tak, rozumiem – i zniknął w sąsiednim pokoju. Myślałem, że wróci z dokumentami, zdjęciami, jakąś teczką, ale przyniósł tylko dwie książki o historii Stiepłagu.

– Tutaj jest wszystko!

– Po ukraińsku – rzuciłem okiem na tytuły.

– My Ukraińcy. Pan weźmie, poczyta sobie, a potem zostawi u księdza. Pan da radę czytać po naszemu?

Nie, żeby nie chciał mówić albo się bał. Po prostu nie umiał. Bo o tym się nie mówiło. Nawet z żoną. Nawet z kolegami stamtąd. Gdy czasami przychodzili, jeden czy drugi tylko unosił brew albo lekko się uśmiechał i pozostali już wiedzieli: „Też to pamiętacie?”. „Pamiętamy!” Łagier jak łagier – o czym tu gadać. Kto siedział, wszystko wie, kto nie siedział, nigdy nie zrozumie. A w pewnym momencie pojawiły się te książki i można już było się schować za plecami uczonego autora.

– Gdzie pan w łagrze pracował?

– Tam? – Mężczyzna unikał nawet słowa „łagier”. – A na kopalni. Przy transporcie urobku.

– Jak wyglądał pana dzień pracy?

– O, tu jest opisana nasza kopalnia, w tym rozdziale. – Sięgnął po pierwszą książkę i pokazał palcem odpowiedni fragment.

– A co jedliście?

– To, co wszyscy. Tu są dzienne normy wyżywienia na człowieka. Ja już tak nie pamiętam.

Może gdybym miał więcej czasu i rozebrał tę kopalnię czy to jedzenie na czynniki pierwsze, gdybym dopytał o szczegóły, o wielkość wózka, którym jeździł, czy o miskę, z której jadł, może wtedy by się trochę otworzył. A ja opisałbym łagrową codzienność tak, jak uczy Hanna Krall – w mowie pozornie zależnej, w trzeciej osobie. Jego językiem.

Spytałem jeszcze żonę o te lata, kiedy na niego czekała – czy nie ma żalu do ludzi, losu, Pana Boga. Kobieta spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Jak to, czytałem w jej oczach, czyżbym nie rozumiał, że takie jest życie i porządek spraw? Wszyscy wiedzą, że latem jest ciepło, a zimą zimno, w dzień widno, a w nocy ciemno. Co tu roztrząsać, z czym się kłócić? Po dłuższej chwili odpowiedziała:

– No przecież wrócił w końcu.

Profesor Turganbiek Ałłanijazow, historyk, autor książek o łagrach, w tym dwóch o Stiepłagu wydanych po ukraińsku, mieszka na dużym osiedlu pod Żezkazganem. A ostatnio w ogóle przeniósł się na działkę (do głowy mi nie przyszło, że w tej okolicy mogą być działki – takie z grządkami, krzewami i domkami letniskowymi). Zwichnął nogę, a tutaj nie musi wchodzić po schodach. O kuli to problem. Podrzucił mnie do niego życzliwy ksiądz Martyniuk.

Usiedliśmy na ganku, który był równocześnie letnią kuchnią. Stara wersalka, ustawiona na kilku cegłach, dożywała swoich dni jako ławeczka. Na działce wszystko się przyda. Bojówki i rozciągnięty sweter, w których paradował gospodarz, pasowały do otoczenia, na uczelnię na pewno się tak nie ubierał. Chociaż nie wyglądał na ortodoksyjnego eleganta. Na zdjęciach na okładkach książek występował bez krawata i w rozpiętej koszuli.

W nauce był za to pedantem ze starej szkoły. Wystarczyło przekartkować jedną czy dwie jego prace: dziesiątki przypisów zajmujących czasem pół strony, obszerna bibliografia, klarowna konstrukcja. Profesor pracował na źródłach, ale ufał chyba tylko niepublikowanym wcześniej archiwaliom. Z prasy z epoki prawie nie korzystał, ze wspomnień wymieniał te, które ukazały się drukiem (z reguły w Rosji we wczesnych latach dziewięćdziesiątych, na fali liberalizacji). Prac innych autorów było w przypisach bardzo mało – trochę książek i artykułów naukowych, rzadziej popularnonaukowych. Zero publicystyki, zero wywiadów, zero reportaży.

Na tle cytujących się nawzajem historyków, o których opowiadała mi w Kyzyłordzie Gulżan Asyłbiek kyzy, Ałłanijazow wyrastał na koryfeusza nauki. Nawet on nie potrafił jednak pójść dalej, sięgnąć po historię żywą, którą w Żezkazganie miał na tacy, sprawić, aby przemówiły krajobraz i architektura, układy przestrzenne miasta i przedmieść, sieci drogowa i kolejowa, oficjalne i nieoficjalne toponimy, wreszcie zwyczaje, legendy i przesądy – bo jakieś musiały się w łagrowym mikrokosmosie narodzić. Ale najbardziej rzucał się w jego książkach brak świadectw i relacji. Rozmów z ludźmi, którzy przeżyli to, o czym pisał. Staroświecka, klasyczna historiografia miała wiele zalet, ale także swoje ograniczenia.

Profesor jako pierwszy po Sołżenicynie opisał powstanie kengirskie, poświęcił mu oddzielną książkę. Wcześniej przez lata badał antysowieckie bunty w Azji Centralnej. Zapomniane, desperackie zrywy Kazachów, Turkmenów, Uzbeków, skazane od początku na klęskę i utopione w oceanie krwi. Szedł swoją drogą pomimo mód i wbrew tendencjom.

– Przez pierwsze dziesięć czy piętnaście lat niepodległości badacze skupiali się tutaj na Czyngis-chanie i Złotej Ordzie. – Zamachał ręką, jakby opędzał się od komarów. – Dowodzili starożytności Kazachów, opisywali całe dynastie zapomnianych chanów. Potem się to uspokoiło. Aby uczciwie zajmować się tamtym okresem, trzeba być orientalistą, a wykształcenie orientalisty kosztuje pieniądze i czas. To zabawa dla jednostek. Następnie wszyscy rzucili się na lata

1917–1920 i Ałasz Ordę. I też dochodziło do nadużyć. Gloryfikowano tych ałaszowców, jakby ci nie popełniali błędów. Zapytałem jednego autora: „Co wy robicie?!”. A on na to, że trzeba dać ludowi ideał. Czyli jeśli ałaszowcom coś wytkniesz, zostaniesz wrogiem ludu. Jasne, że nikt się nie wychyli. Kilka lat temu przyszła nowa moda, na ludobójstwo Kazachów. I znowu przegięcia, znów ten ton czarno-biały: ONI są winni, a MY bezgrzeszni. Nie chcę wybielać Moskwy, wiadomo, kto był katem, a kto ofiarą, ale miejscowe władze też miały dużo na sumieniu. Napisałem artykuł o kolektywizacji w naszym rejonie. W latach 1929–1933 liczba ludności zmniejszyła się tu dwukrotnie, z czterdziestu do dwudziestu tysięcy, a liczba sztuk bydła czterdziestokrotnie, z trzystu dwudziestu do ośmiu tysięcy. Dowiodłem, że za wiele decyzji odpowiadali lokalni urzędnicy. W tamtym systemie prawie każdy był umoczony. I o to chodziło.

Ałłanijazow ma w nosie układy i hierarchie. Może sobie na to pozwolić. Kiedy nastały głodne lata dziewięćdziesiąte, profesor, wtedy świeżo po obronie pracy kandydackiej[12], rzucił naukę i zatrudnił się jako wiertacz w Kazakmysie. Przepracował tak pół dekady, jakoś zabezpieczył rodzinę. Nie wiążą go plemienne zależności i nie ma żuzowych zobowiązań, bo jest Karakałpakiem, urodził się w Uzbekistanie („Wyjechałem, bo tam nie było życia” – powiedział mi). Przeżywa to, co się tam teraz dzieje. Ostatnie protesty zostały krwawo spacyfikowane, na szczęście Taszkent zrezygnował z odebrania Karakałpacji autonomii. Ale na co dzień bardziej martwi się o uczelnię, Uniwersytet Żezkazgański.

– Najmłodszy wykładowca na wydziale ma pięćdziesiąt lat, najstarszy jest po siedemdziesiątce. – Rozłożył bezradnie ręce. – Ja skończyłem sześćdziesiąt sześć. Młodym trudno się przebić, ale sami też się za bardzo nie garną, nauka to ciężki kawałek chleba. A nie każdy ma szansę na katedrę czy fotel dziekana.

Marzy o otwarciu wszystkich kazachstańskich archiwów. Wtedy można byłoby opisać choćby kolektywizację w skali całego kraju – bo taka praca do tej pory nie powstała. Ale dokumenty powinny być dostępne tylko dla badaczy. W aktach są na przykład donosy, wielu z tych ludzi wciąż żyje, żyją ich dzieci, więc aby nie wywołać łańcuchowej reakcji krzywd, zemst i konfliktów, lepiej tę puszkę Pandory jedynie uchylić. Ałłanijazow wie, o czym mówi, bo należy do państwowej komisji, zajmującej się rehabilitacją ofiar represji politycznych z lat dwudziestych, trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych. Ałaszowców, kułaków, mułłów, antysowieckich powstańców czy kazachskich żołnierzy

Legionu Turkiestańskiego sprzymierzonych z Hitlerem. Członkowie komisji, zawodowi historycy, kompletują dokumentację poszczególnych osób, które są potem oficjalnie rehabilitowane. To praca na lata – spraw osobowych są miliony – kiedyś się jednak zakończy.

Ma świadomość, że otwarcie archiwów, które objęłoby cały okres sowiecki, będzie oznaczać dostęp, choćby ograniczony, do wiedzy o Żełtoksanie, czyli kazachstańskim Grudniu, który utorował drogę do władzy Nursułtanowowi Nazarbajewowi. Czy władze są na to gotowe? – zastanawia się. Przecież im mniej ludzie wiedzą, tym łatwiej nimi rządzić. Wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze, ale przyszedł styczeń 2022 roku i sprawa otwarcia archiwów znowu znalazła się w zawieszeniu. „Społeczeństwo jeszcze nie dojrzało" – słyszy Ałłanijazow, kiedy pyta o to urzędników[13].

Może więc łatwiej otworzyć ludzi niż archiwa? I, póki żyją, zapisać ich opowieści? Papier przecież przetrwa, rękopisy nie płoną, a ludzka pamięć ulatuje. W końcu zapytałem go o to wprost.

– Nie chcą mówić. – Profesor wzruszył ramionami, jakby kończyło to temat, a mnie wydało się, że chowa się za łatwą wymówką, niegodną uczonego o dużym dorobku. Mimo że po chwili dodał jeszcze, że zna wielu byłych łagierników. – Wszyscy milczą. Albo się zobowiązali, że nic nie powiedzą, albo dalej się boją, albo jedno i drugie.

Nie przekonał mnie, chociaż sam widziałem, jak trudno wydobyć nawet kilka słów z ludzi, którzy przeszli tu piekło. Wiedziałem też, że Kazachstan to nie Polska, ani nawet nie Rosja, i że z dwóch sposobów radzenia sobie z traumą Zachód wybrał rozdrapywanie ran, a Wschód – zapominanie (istnieje oczywiście nieskończenie wiele stanów pośrednich, ponadto zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie spotyka się ludzi o innej niż ogół społeczeństwa wrażliwości). Rozumiałem, że tutejsi mogą nie wiedzieć, jak nazwać to, co przeżyli, i badacz musi wtedy stworzyć wraz z nimi język, który udźwignie ich opowieść – ale musi to być język na tyle przezroczysty, by nie zafałszował przekazu i, broń Boże, nie zdominował samej narracji. Były to jednak przeszkody dające się przezwyciężyć. Ale z niezrozumiałych powodów Ałłanijazow czuł awersję do źródeł niepisanych.

Musiał wyczuć moje rozczarowanie.

– Wiesz – zaczął mi nagle mówić na ty, jak profesor do asystenta w patriarchalnym świecie postsowieckiej nauki (przyznałem się, że skończyłem historię) – tutaj milczy się w rodzinach. W czterdziestym ósmym roku mój

Pobrano ze strony pijafka.pl

ojciec, który walczył na froncie, dostał dziesięć lat łagru. Zwolnili go w pięćdziesiątym trzecim. Ja się urodziłem w pięćdziesiątym szóstym. O tym, że ojciec siedział, dowiedziałem się już po studiach. Kiedy wyszedł na wolność, miał w małym palcu księgowość i znał na pamięć sowieckie prawo. Dzielił barak z profesurą z Leningradu, to od nich się nauczył. Wiem, że to bardzo ciekawe, ale nigdy nie ciągnąłem ojca za język. Nie przyszło mi to do głowy. To było tabu.

– A za co ojca wsadzili, gdzie siedział?

– …wybacz. Wybacz. Nie będę o tym opowiadał.

Podróż 2022. Żezkazgan – Karaganda

1

Zaraz za Żezkazganem znowu wjeżdża się w step. To tutaj lądowali kosmonauci. W mieście stacjonuje rosyjska jednostka wojskowa, jej zadaniem jest zbieranie wszelkich, nawet bardzo drobnych pozostałości rakiet. Nie mogą wpaść w ręce wroga.

Ale w okresie rozpadu Związku Radzieckiego, w czasach smuty i rozprężenia, nikt się tym nie przejmował. Po wsiach można zobaczyć właz do kabiny czy fragment kapsuły lądującej wmontowane w ogrodzenie albo w komórkę na narzędzia. Statki kosmiczne służą w drugim życiu hodowcom wielbłądów.

Pewien skrzętny gospodarz przytaszczył do chałupy cały iluminator, wstawił w miejsce okna i teraz patrzy przez niego zmrużonym okiem na kosmos Wielkiego Stepu.

Stacje kolejowe po drodze do Karagandy nazywają się jak etapowe więzienia: BP 402 km, OP 189 km, RZD 157 km. I tak dalej.

BP (*БП*) to skrót od *błokpost* (posterunek kontrolny). BP 402 km to Posterunek Kontrolny na Czterysta Drugim Kilometrze. Żadnego posterunku tam nie ma, ale kiedyś musiał być, a ślad po nim pozostał w toponomastyce. Między Żezkazganem a Karagandą są cztery stacje o takiej nazwie, a piąta, już na dojeździe do Karagandy, nazywa się jeszcze skromniej – Post 767 km (Posterunek – Siedemset Sześćdziesiąty Siódmy Kilometr).

OP (*ОП*) to *ostanowocznyj punkt* – punkt przystankowy albo po prostu przystanek. Ten konkretny znajduje się na sto osiemdziesiątym dziewiątym kilometrze. Stacji z OP i cyframi w nazwie naliczyłem po drodze pięć.

RZD (*РЗД*) to *razjezd* – mijanka. Razem z tą na sto pięćdziesiątym siódmym kilometrze stacji-mijanek jest na całej tej trasie sześć.

Jeżdżąc pociągami po Rosji i okolicach, spotykałem już takie nazwy i nieraz zastanawiałem się, jak to jest mieszkać na przykład na OP 593 km. Ale tutaj skrótów z kilometrami było więcej niż normalnych miejscowości. Przemierzaliśmy krainę łagrów, a w łagrowej *zonie* numerem był nie tylko

człowiek – było nim także miasto. Tajne sowieckie ośrodki, w których wytwarzano broń chemiczną albo rozszczepiano atomy uranu, nazywały się: Swierdłowsk-44, Penza-19, Arzamas-16, Czelabińsk-40, Złatoust-36, Krasnojarsk-45. Były strzeżone jak więzienia.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych listy do Bajkonuru trzeba było adresować na Kyzył-Ordę-50, a następnie na Taszkent-90.

Mój nocny pociąg pokonywał pięćset czterdzieści kilometrów w jedenaście godzin z hakiem. Jechaliśmy z miasta do miasta, z jednego obwodu do sąsiedniego. Ale była to również podróż z dawnej stolicy Stiepłagu, łagrowego księstwa wyrosłego na miedzi, do jednej z głównych metropolii Gułagu. Może nawet najważniejszej. Karłag, iście królewski Łagier Karagandzki, był imperium węgla kamiennego.

Ów megaobóz, łagier nad łagrami, rozciągał się na trzysta kilometrów z północy na południe oraz na dwieście ze wschodu na zachód. Jego powierzchnia była porównywalna z dzisiejszą Słowenią. Posiadał pocztę i własne linie kolejowe. Własny system finansowy. Był państwem w państwie. W sumie przeszło przez niego ponad milion więźniów.

Nazwę dała łagrowi Karaganda, ale jego zarząd mieścił się we wsi Dolinka – czterdzieści parę kilometrów na południowy zachód od tego miasta w stronę Żezkazganu. Od dwudziestu lat znajduje się tam muzeum. Na ekspozycję przeznaczono gmach komendantury łagru, reprezentujący czysty stalinowski klasycyzm. Przybyszów wita portret Stalina, wyłaniający się zza wieżyczki strażniczej. Obraz namalowany jest w taki sposób, że w którąkolwiek stronę pójdziesz – Stalin za tobą patrzy. Nikt nie umknie przed jego czujnym spojrzeniem.

Ekspozycja przedstawia historię Karłagu i życie codzienne łagierników: ich pracę – w szeregu obozowych fabryk, w kopalniach i na roli. Ich byt. W kolejnych salach odtworzono: fragmenty baraku mieszkalnego (prycze z nieheblowanych desek, wyścielone słomą); karcer (betonowa klatka, jedzenie rzucano więźniom przez zakratowane okienko w suficie, przypominające wlot studzienki kanalizacyjnej); lazaret. Odbywający karę uczeni, zajmujący się praktycznymi dziedzinami nauki, jak biofizyka czy bioinżynieria zwierząt hodowlanych, mogli ku chwale socjalistycznej ojczyzny kontynuować badania. W łagrze urządzono im laboratoria. Z kolei łagiernicy artyści wystawiali spektakle teatralne, koncertowali, malowali obrazy i układali mozaiki. Ojczyzna

dbała o kulturę, to był przecież wychowawczy obóz pracy (przymusowej). Na co dzień uczeni i artyści żyli w takich samych barakach jak reszta.

Gabinet oficera śledczego wygląda jak trójwymiarowa fotografia z epoki. Na masywnym biurku stoją stara maszyna do pisania, ebonitowy telefon i świecąca się lampa skierowana na przesłuchiwanego (innego światła w gabinecie nie ma). Do tego papiery i szklanka z herbatą z grubego szkła w metalowym koszyczku. Na ścianie – portret Feliksa Dzierżyńskiego, twórcy sowieckiej bezpieki. Zza biurka oficer miażdży wzrokiem przeznaczony dla więźnia taboret (przez wiele godzin – przesłuchanie mogło się ciągnąć całą noc – nie można się było oprzeć). To miejsce czeka właśnie na ciebie, wydaje się mówić oficer. W podobnych gabinetach w innych muzeach są figury więźniów, one pozwalają patrzeć na rekonstruowaną scenę jak na historię, która zwiedzających bezpośrednio nie dotyczy. Tutaj nie ma wątpliwości – w tamtych czasach każdy mógł być ofiarą, na każdego mogły czekać taki taboret i świecąca w oczy lampa.

W pomieszczeniu obok znajduje się sala tortur. Z sufitu na grubych łańcuchach zwisają kajdany. Przykuwano do nich więźniów, aby strażnikom wygodniej się ich biło.

W celi śmierci nic nie ma, tylko stołek i resztki krwi na niechlujnie otynkowanych ścianach. Podłogę wyłożono płytkami, aby łatwiej ją było zmyć. W mdłym świetle zwisającej z sufitu żarówki krew wygląda na prawdziwą.

Na piętrze można obejrzeć gabinet komendanta łagru z luksusowymi jak na lata pięćdziesiąte meblami i jednym z pierwszych sowieckich telewizorów. Komendant o niekazachskich, tak jak oficer śledczy, rysach, patrzy przez okno, a na wieszaku wisi jego skórzany płaszcz. Dlaczego czekiści chodzili w skórzanych płaszczach i kurtkach? Bo bez problemu można usunąć z nich krew. Ale tutaj, w łagrze, ważne też było, że w dobrze wyprawionej skórze nie gnieździły się insekty.

W pozostałych salach przedstawiono historię deportowanych do Kazachstanu narodów, zrywy przeciwko władzy sowieckiej (powstanie kengirskie i masowe strajki w Temyrtau niedaleko Karagandy, zakończone rzezią robotników), głód lat trzydziestych (na fotografiach galeria żywych trupów, szkieletów obciągniętych skórą). Wreszcie wystawa – dzieci w Karłagu. Te urodzone w obozie mogły zostać z matką przez trzy lata, potem je odbierano. Trafiały zwykle do sierocińców. W Dolince, inaczej niż w muzeum w Żezkazganie, nie brakuje oryginalnych eksponatów, są opancerzone drzwi do

cel czy dziecięce listy i rysunki, przysyłane tutaj, zanim dzieci nie zrozumiały, że ich rodzice to wrogowie ojczyzny, których najlepiej się wyprzeć. Zachowały się wyposażenie laboratorium biofizyka Aleksandra Czyżewskiego i przykłady uzbrojenia produkowanego w Karłagu na potrzeby frontu.

Na obrzeżach kompleksu mieści się *Mamoczkino kładbiszcze*. Mamusiny Cmentarzyk. Tutaj chowano dzieci, które nie dożyły trzecich urodzin. Ale obok nich leżą też dorośli. I są tablice upamiętniające ofiary. Na przykład taka, bez daty i podpisu, tylko sam napis po kazachsku i rosyjsku: „Pamiętajcie o niewinnie zamordowanych. To się nie może powtórzyć".

– Warunki życia w Karłagu nie różniły się od tych w niemieckich obozach koncentracyjnych – powiedziała przewodniczka i chwilę trwało, zanim to do mnie dotarło. W byłym Związku Sowieckim, poza drobnymi wyjątkami, niemiecki nazizm uważany jest za najgorsze zło, samą esencję zła. I to właśnie zło pokonał Związek Sowiecki (na Ukrainie w ciągu ostatniej dekady ów czarno-biały obraz bardzo się rozmył). Nazwanie kogoś nazistą czy faszystą bardzo długo zamykało dyskusję. Z czasem te epitety nieco spowszedniały, ale wciąż są tam obelgą znacznie mocniejszą niż w Polsce czy na Zachodzie. Porównanie stalinowskiego Związku Sowieckiego do hitlerowskich Niemiec pozostaje dla milionów ludzi niewyobrażalnym bluźnierstwem. Ale w Rosji czy na Białorusi nigdy nie było takich miejsc, jak muzeum w Dolince, zaś Stowarzyszenie Memoriał, badające stalinowskie represje, zostało zamknięte przez rosyjski sąd w kwietniu 2022 roku, po trzydziestu trzech latach działalności.

We współczesnej Rosji ta przewodniczka trafiłaby do więzienia.

Karłag, jak każde imperium, miał swoje kolonie. Najsłynniejszą był AŁŻIR, leżący niedaleko Astany, która wtedy nazywała się Akmolińskiem. AŁŻIR to akronim rosyjskiej nazwy *Akmolinskij łagier' żon izmiennikow Rodiny*. Akmoliński Łagier [dla] Żon Zdrajców Ojczyzny. Istniał w latach 1938–1953, krócej niż sam Karłag. Ten powstał w 1931 roku, a został zamknięty w 1959.

Obóz był formalnie siedemnastym kobiecym oddziałem Karłagu. Od granic macierzystego łagru dzieliło go w linii prostej dobrze ponad sto pięćdziesiąt kilometrów.

Do AŁŻIR-u trafiały kobiety z najwyższych sowieckich sfer. Żony zasłużonych bolszewików i rewolucjonistów, żony moskiewskich i republikańskich dygnitarzy, których Stalin pozbywał się w miarę umacniania

swojej władzy, żony artystów, którzy przegapili zmianę politycznego kursu Kremla. Niektóre więźniarki same zajmowały wysokie stanowiska albo zasłużyły się w kulturze czy nauce – i same mogły się narazić Stalinowi. Ale większość znalazła się tu z powodu rodzinnych koneksji. Współmałżonkom domniemanych wrogów ludu, spiskowców i szpiegów – którym zwykle zasądzano karę śmierci – groziło dziesięć lat łagru. Dzieci w najlepszym razie wyrzucano ze szkół, a starsze – z uczelni.

Wiele nazwisk z AŁŻIR-u znajdziemy w encyklopediach. Jest wśród nich primabalerina Maja Plisiecka, jedna z najwybitniejszych tancerek XX wieku, która siedziała w obozie z matką aktorką (jej ojciec, rewolucjonista, a potem filmowiec i dyplomata, został rozstrzelany w 1938 roku). Jest aktorka i gruzińska księżna Kira Andronikaszwili, żona pisarza Borysa Pilniaka. Są żony działaczy bolszewickich Michaiła Kalinina i Nikołaja Bucharina (druga z nich, Anna Łarina, wydała w czasach pierestrojki głośne wspomnienia). Są siostra marszałka Michaiła Tuchaczewskiego, matka pieśniarza Bułata Okudżawy czy babcia Jegora Gajdara, premiera i ministra finansów jelcynowskiej Rosji.

W dawnym AŁŻIR-ze, tak jak w komendanturze Karłagu w Dolince, mieści się dziś muzeum. Na dziedzińcu można obejrzeć wagon kolejowy zaprojektowany do przewozu więźniów. W czasie jazdy ludzie musieli zalegać pokotem na dwupoziomowych pryczach (u góry było więcej powietrza). Dało się tak upchać siedemdziesiąt osób, choć na oko weszłoby trzydzieści, góra czterdzieści. A wśród eksponatów znajdziemy fikuśny kapelusik, elegancką torebkę, zdobny wachlarz. Przedmioty zbytku i luksusu. Rzekłbyś: fanaberie damulek. W łagrze trudno o rzeczy mniej przydatne. Ale dla tych więźniarek były namiastką domu. W przeciwieństwie do walonek i kufajek dawały nadzieję, że jest gdzieś inne życie.

Łagier w łagrze, czyli makieta kolonii karnej w muzeum Akmolińskiego Łagru [dla] Żon Zdrajców Ojczyzny. AŁŻIR, 2018

Pieśniarka Lidija Rusłanowa (sopran dramatyczny) zostawiła w innym życiu swoją muzykę. W Gułagu na Syberii dawała czasem koncerty (widzom nie wolno było klaskać), ale gdy przeniesiono ją do więzienia w rosyjskim Włodzimierzu, zamilkła. Na nalegania naczelnika pokazywała zakratowane okno i odpowiadała, że słowiki w klatce nie śpiewają. Naczelnik pakował ją do karceru, wychodziła stamtąd z zapaleniem płuc. Wychudła, z trudem poruszała nogami. W końcu Stalin zmarł, a ją wypuścili i zrehabilitowali. Wróciła na scenę.

Nad rzekami Babilonu –
tam myśmy siedzieli i płakali,
na wspomnienie Syjonu.
Na topolach tamtej krainy
zawiesiliśmy nasze harfy.

Bo tam żądali od nas
pieśni ci, którzy nas uprowadzili,
pieśni radości ci, którzy nas uciskali:
„Zaśpiewajcie nam
jakąś z pieśni syjońskich!”
Jakże możemy śpiewać
pieśń Pańską
w obcej krainie? […]
Córo Babilonu, niszczycielko,
szczęśliwy, kto ci odpłaci
za zło, jakie nam wyrządziłaś!

W 2000 roku Rosyjski Kościół Prawosławny ogłosił dwanaście ałżirskich więźniarek, które już w obozie były prześladowane za praktykowanie swojej wiary, nowomęczennicami (czyli męczennicami czasów współczesnych, sowieckich). Jedenaście z nich skazano na śmierć i rozstrzelano. Dwunasta, odsiadująca najkrótszy wyrok, dostała dodatkowe dziesięć lat łagru. Moskwa, w której prawosławni Rosjanie widzieli Trzeci Rzym, wszechświatową stolicę chrześcijaństwa, okazała się nowym Babilonem, gdzie usadowiła się Bestia.

Inną kolonią Karłagu był oddział w Spassku, trzydzieści kilometrów od Karagandy po drodze do Ałmatów. W 1941 roku na jego bazie powstał Łagier numer 99 dla jeńców wojennych, który sam szybko dorobił się ponad dwudziestu filii. Gułag rozmnażał się przez pączkowanie.

Przez Spassk przeszło do siedemdziesięciu tysięcy jeńców różnych narodowości. Najwięcej było Niemców, Japończyków, Rumunów, Austriaków, Polaków i Włochów, ale więziono tam też Czechów, Słowaków, Ukraińców, Azerbejdżan, Ormian, Irańczyków, Kirgizów, Rosjan, Inguszów, Czeczenów, Francuzów, Łotyszy, Białorusinów, Żydów, Mołdawian, Litwinów, wreszcie Kazachów. Z wycieńczenia i chorób zmarło ponad siedem tysięcy jeńców, czyli co dziesiąty. Już przed wojną umieralność w Spassku była większa niż w innych oddziałach Karłagu. Niedożywieni więźniowie padali nieraz po kilku tygodniach pracy w pobliskiej hucie miedzi.

Dziś dawny Łagier Spasski to wielkie, ogrodzone pole, na którym rozstawione są luźno krzyże i obeliski ku czci ofiar z poszczególnych krajów.

Najczęściej stawiają je ambasady. Pomiędzy krzyżami i obeliskami trafiają się pojedyncze mogiły. Ale cmentarzem jest cały ten teren.

W Spassku wszędzie chodzi się po kościach.

W wielkim poście księża grecko- i rzymskokatoliccy z Karagandy odprawiają tu czasem drogę krzyżową. Jako rozważania czytane są nieraz wspomnienia łagierników.

2

Dolinka, Spassk i dalszy AŁŻIR, łagry wraz ze swoimi oddziałami i filiami osaczały Karagandę ze wszystkich stron. Nie było od nich ucieczki. Karaganda służyła łagrom za bramę wjazdową i węzeł komunikacyjny.

Fenomen takich miejsc jak Karaganda opisał Sołżenicyn. Składały się one na szarą strefę czy „kraj buforowy", usytuowany pomiędzy Archipelagiem Gułag a resztą Związku Sowieckiego. Była to ziemia zesłańców, ludzi niby wolnych, ale zmuszonych do zamieszkania w określonym miejscu. Zesłanie mogło być karą główną albo dodatkową, nakładano ją na przykład na zwalnianych z łagrów więźniów. Część z nich nie mogła wrócić do domu, „aby nigdy już więcej nie […] zanieczyścić metropolii". Zwykle musieli osiedlić się w pobliżu swojego dawnego obozu. Żyli tam wśród niezesłańców, ale nie mieli, jak tamci, normalnych dowodów tożsamości.

Na tym polu był łagier, przez który przewinęło się nawet siedemdziesiąt tysięcy jeńców wojennych. Wszędzie chodzi się po kościach. Spassk, 2018

Przyszłego noblistę zesłano do wsi w południowym Kazachstanie, ale był w Karagandzie na przepustce. Tak sportretował to miasto: „Nieomal stolicą, a w każdym razie jedną z pereł kraju zesłańców była Karaganda. Ujrzałem ją przed samym końcem zesłania, w 1955 roku […]. Było to wtedy miasto zagłodzone. Tramwaj nie podjeżdżał blisko do zapluskwionego baraku dworca kolejowego, aby nie zapaść się pod ziemię: tuż pod powierzchnią gruntu przebiegały chodniki kopalniane. Przy pętli tramwajowej stał symboliczny dom, składający się tylko z frontowej ściany ceglanej, podpartej drewnianymi palami, aby nie runęła. W samym centrum Nowego Miasta wykuty był na kamiennym murze napis: »Węgiel – to chleb« (dla przemysłu). I rzeczywiście, czarny chleb codziennie sprzedawany był w sklepach – i na tym polegała główna zaleta miejskiego zesłania. Czarna robota – zresztą, nie tylko czarna, też tu zawsze czekała na ludzi. Ale poza tym – sklepy spożywcze były pustawe. Rynkowe zaś stragany – zupełnie niedostępne z powodu szalonych cen.

Jeśli nie trzy czwarte, to przynajmniej dwie trzecie mieszkańców nie miało dowodów osobistych i musiało *meldować się* regularnie w komendanturach; na ulicy co i rusz ktoś mnie poznawał i wołał: znów były zek, najczęściej z Ekibastuza[14]. I cóż to za życie było na tym zesłaniu? W miejscu pracy – sytuacja upokarzająca, pensja też obniżona, bo nie każdy może po katastrofie aresztu – więzienia – obozu dowieść, że ma odpowiednie wykształcenie, a wykazać się stażem – tym bardziej mu trudno. Albo po prostu – traktują jak murzyna, nie płacą tyle co białemu i już; najwyżej może się nie najmować. Za to bardzo źle z mieszkaniami; zesłańcy gnieździli się kątem w cudzych korytarzach, w ciemnych komórkach, w szopach – i za to wszystko jeszcze musieli płacić w dwójnasób, bo tylko prywatnie. Niemłode już kobiety, zniszczone przez obóz, z metalowymi zębami, śniły nocami o jednej »niedzielnej« bluzce z krepdeszyny, o jednej parze »niedzielnych« pantofli.

A nadto Karaganda jest rozległa, wielu ludzi ma bardzo daleko z mieszkania do pracy. Tramwaj od centrum do robotniczego przedmieścia zgrzytał po szynach bitą godzinę. W tramwaju naprzeciw mnie siedziała młoda kobieta w brudnej sukni, w podartych sandałach na bosą nogę. Trzymała na ręku dziecko w bardzo brudnych powijakach, cały czas sen ją morzył i dziecko z osłabłych ramion wciąż osuwało jej się na kolana; gdy już spadało, ktoś krzyczał: »uważaj!«, kobieta w ostatniej chwili zdążyła je zawsze złapać, ale wkrótce znów zasypiała. Pracowała w stacji wodociągów na nocnej zmianie: cały dzień spędziła na rozjazdach po mieście, by kupić parę butów – i nie znalazła ich nigdzie.

Tak oto żyło się na zesłaniu w Karagandzie”.

Dokładnie w tym czasie do Karagandy został zesłany ksiądz Bukowiński, który siedział w żezkazgańskim Stiepłagu. A niedługo potem, wraz z likwidacją dotychczasowych obozów pracy przymusowej oraz systemu komendantury (także w osiedlach specjalnych, gdzie żyli Polacy deportowani w 1936 roku z sowieckiej Ukrainy), do miasta napłynęły kolejne rzesze byłych łagierników i byłych przymusowych przesiedleńców, wśród nich wielu Polaków i Niemców. Tak wielu, że jedną z dzielnic Karagandy, Fiodorowkę, zaczęto nazywać małą Warszawą, a inną, Majkuduk – małym Berlinem.

W Rosji i w miejscach, gdzie mówi się po rosyjsku, można do dziś usłyszeć porzekadło: „*Gdie? W Karagandie!*” („Gdzie? W Karagandzie!”). To kulturalniejszy odpowiednik naszego „Gdzie? W d…e!”. Frazeologizm doczekał się strony w rosyjskiej Wikipedii. Według definicji „oznacza niechęć

mówiącego do udzielenia odpowiedzi wprost na pytanie, gdzie znajduje się dany przedmiot”. W Karagandzie jest pomnik porzekadła: wokół drogowskazu ze strzałkami na Astanę i Moskwę oraz tabliczką „Karaganda 0 km” stoją trzy postacie. Gość z walizką i tępym wyrazem twarzy wpatruje się w dal, drugi, o wyglądzie cwaniaka, rozkłada ręce, a świstak, symbol miasta, opiera się o drogowskaz, wyraźnie nie rozumiejąc, o co chodzi. On jest tutaj u siebie i niczego nie musi szukać.

Ponoć dawni więźniowie, którzy nie chcieli się przyznać do łagrowej przeszłości, często odpowiadali w taki sposób na pytania dociekliwych kadrowych o przerwę w zatrudnieniu. Gdzie w tym czasie byłem? A w Karagandzie. A potem poszło to w naród.

W Karagandzie, czyli nigdzie.

3

U Sołżenicyna pojawia się Nowe Miasto. Sugeruje to, że jest jeszcze Stare, choć Karaganda nie ma nawet stu lat. Najpierw, ale też już w XX wieku, powstało tutaj kilka osad górniczych – rozłożyły się wokół kopalń, które zaczynały właśnie fedrunek (węgiel odkryto w tej okolicy kilkadziesiąt lat wcześniej). Pierwsze trzy murowane domy wzniesiono w latach 1907–1909. Takie były prapoczątki.

Poważna produkcja ruszyła w 1930 roku. Na szybko postawiono wtedy kilka nowych osiedli z półziemiankami z glinobitki. Zamieszkali w nich pierwsi zesłańcy. Byli to rozkułaczeni chłopi, którzy mieli odtąd pracować pod ziemią.

Dzisiejsza Karaganda narodziła się w roku 1931, a trzy lata później otrzymała prawa miejskie i pierwszy plan zagospodarowania przestrzennego. Wtedy ruszyła budowa Nowego Miasta. Na Starym – czyli w dawnych osadach i osiedlach – też z czasem pojawiły się bloki, pawilony handlowe, ulice z asfaltem i pozostała miejska infrastruktura, ale szło to powoli. Do dzisiaj w wielu miejscach, choćby na Fiodorowce, zachowały się gruntowe drogi i kwartały bardziej wiejskich niż podmiejskich domków z miniogródkami, a nieraz slumsowisk. Ale już w 1939 roku miasto liczyło sto sześćdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców.

Z takiej, a nie innej historii Karagandy wziął się jej ogrom. Pierwsze kolonie fabryczne były rozrzucone na dużej przestrzeni, dlatego z północy na południe

miasta jest teraz w linii prostej czterdzieści kilometrów, a ze wschodu na zachód kilkanaście. Tereny pomiędzy dawnymi osadami i osiedlami nie wszędzie zarosły miejską tkanką i nieraz wyjeżdża się z miasta w nicość: skończyła się jedna dzielnica, a druga zacznie się za kilometr czy półtora. Dzielnice takie łączy zwykle jedna ulica, najczęściej prosta, która biegnie przez puste pole.

Najstarsze budynki socrealistycznego miasta skończyły już osiemdziesiątkę i zostały uznane za zabytki. Na pierwszym planie – Pałac Kultury Górników. Karaganda, 2016

Romuald Karaś był w Karagandzie dwanaście lat po Sołżenicynie. Ludność przekroczyła już pół miliona, z czego w Starym Mieście mieszkało dwieście tysięcy. Reporter z ciekawości się tam zapuścił: „[…] ciasna, chaotyczna zabudowa, domy i osiedla wciśnięte w rejony kopalń, hut; poza jednopiętrowymi brak wyższych budowli” – zanotował.

Nowe Miasto też go nie zachwyciło: „Gdyby przyszło odgadnąć po wyglądzie, jakie funkcje pełnią charakterystyczne budowle – sprawa byłaby kłopotliwa. Dworzec kolejowy na przykład wygląda z zewnątrz jak cesarski

pałac, instytut »Karaganda-giproszacht« jak twierdza z wieżami strzelniczymi po bokach. Architektura chora na monumentalizm” – tak ocenił socrealistyczne wizytówki metropolii. Żeby cenzura się nie czepiała, dodał do tego krzepiący akapit o miejskiej zieleni („Parki, skwery, botaniczny ogród, liczne zieleńce tworzą […] obszar o powierzchni około 800 hektarów”).

Pisarz i podróżnik Colin Thubron nazwał miasto „futurystycznym piekłem” oraz „pustynią uchodźców: przymusowych i dobrowolnych”. Brytyjczyk był tu w 1992 roku, zaledwie parę miesięcy po rozpadzie ZSRR. Jeden z rozmówców powiedział mu, że w Karagandzie nikt nie jest u siebie. Wtedy było to jeszcze prawdą. W powietrzu miała wisieć sadza, a zimą padał podobno czarny śnieg.

Dawne klimaty można złapać do dziś na industrialnych, postłagrowych przedmieściach, gdzie czynne, choć wyglądające jak z przemysłowego skansenu wieże szybowe kopalń i dymiące kominy sąsiadują z ruinami swoich dawno porzuconych rówieśników. Na niebrukowanych uliczkach Fiodorowki i Michajłowki, w cieniu porośniętych zielenią hałd, snują się od rana niedopici faceci szukający pieniędzy i towarzystwa, aby kontynuować libację. Kobiet nie widać, większość pewnie pracuje, a reszta siedzi po domach, czasem tylko wymykając się do najbliższego sklepu po zakupy na krechę albo do sąsiadki. Tutejsze limfatyczne dzieci z wyostrzonymi twarzyczkami – jakbyś z bibułki sinoszarej wyciął ich rysy nożyczkami – upiorki znad cuchnącej Bukpy, z zapadłą piersią, starym wzrokiem, siedzą w przykucu nad rynsztokiem i palą albo ćpają.

Mieszkają tutaj Słowianie, w tej części miasta prawie nie spotyka się Kazachów. Dlatego reklamy społeczne, plakaty i tablice informacyjne są po kazachsku i rosyjsku, albo tylko po rosyjsku. Te firmowane przez agendy rządowe propagują zdrowy tryb życia, zachęcają do ostrożności na drogach, przejazdach kolejowych i nad wodą oraz podają adresy poradni leczenia uzależnień. Te przygotowane przez organizacje społeczne informują o programach pomocowych dla alkoholików, narkomanów, rodzin osób uzależnionych i ofiar przemocy domowej. Różne organizacje religijne zapraszają dzieci na darmowe posiłki, na zajęcia sportowe i do świetlicy, gdzie mogą skorzystać z komputera i ktoś pomoże im z lekcjami. Dużo, dużo tego wszystkiego.

Za to socrealistyczne centrum Nowego Miasta nabrało nieco patyny i dziś jest już zabytkowe. Najstarsze budynki skończyły właśnie osiemdziesiątkę. Wyróżnia się wśród nich Pałac Kultury Górników, w stylu orientalizowanego

socrealu – to częsty w tych stronach zabieg („w fasadzie […] schowało się trwożnie kilka podkowiastych, typowo arabskich łuków” – pisał Thubron). Gmach wieńczy sześć posągów: górnika, pasterza, żołnierza, kołchoźnicy, inżyniera (trzyma w ręku rulon z planami) i akyna, ludowego pieśniarza.

Naprzeciwko Pałacu, przed wejściem do parku Centralnego, znajduje się pomnik górniczej chwały. Na postumencie stoi dwóch górników: Kazach i Rosjanin. Nad głowami, na wyciągniętych rękach, unoszą bryłę węgla. Rzeźba miała propagować nie tylko robotniczy trud, lecz także przyjaźń narodów. Choć uliczny muzyk Roman (Ukrainiec) śmieje się, że to nie przyjaźń, ale jakaś farsa.

– Popatrz – Roman wskazał na brązowych mocarzy – nasz dźwiga ciężar obiema rękami, a Ruski tylko podpiera jedną ręką krawędź bryły, aby Kazach nie stracił równowagi. Udawał, że pracuje, a zarabiał pewnie dwa razy więcej od naszego.

Muzyk nie ma racji. Drugą ręką Rosjanin zaparł się o skałę i uczciwie współdźwiga urobek. Kazach jest po prostu na pierwszym planie. Ale warto wiedzieć, jak czyta to dziś ulica.

Zawsze, kiedy tu jestem i patrzę na tych dwóch rębaczy, myślę jednak o innym karagandzkim tytanie – Władysławie Bukowińskim, apostole Kazachstanu. Ksiądz zmarł w Karagandzie w 1974 roku. W tym samym, w którym odsłonięto górniczy pomnik.

4

Urodził się w Berdyczowie w pierwszych dniach 1905 roku (według obowiązującego w Rosji carskiej kalendarza juliańskiego był to jeszcze grudzień roku poprzedniego). W 1920 roku rodzina uciekła przed bolszewikami do Polski. Berdyczów wszedł w skład ZSRR, a po jego rozpadzie znalazł się w granicach niepodległej Ukrainy.

W latach dwudziestych Bukowiński studiuje prawo, politologię i teologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, uczy się też w seminarium duchownym w Krakowie. W 1931 roku otrzymuje święcenia kapłańskie z rąk metropolity Adama Stefana Sapiehy. Jako ksiądz pracuje najpierw w Małopolsce, a następnie w Łucku na Wołyniu (przeniesiono go na własną prośbę, chciał być bliżej rodzinnych stron). Tam zastaje go wybuch wojny. Miasto zajmuje Armia Czerwona.

Pobrano ze strony pijafka.pl

W sierpniu 1940 roku po raz pierwszy trafia do aresztu. W miejscowym więzieniu przebywa dziesięć miesięcy. Po ataku Hitlera na ZSRR zapada decyzja o fizycznej likwidacji placówki – Sowieci nie są w stanie jej ewakuować. NKWD-ziści spędzają ludzi na dziedziniec, zaczyna się rzeź. Kule omijają Bukowińskiego. Leżąc, rozgrzesza konających obok współwięźniów. Żołnierze nie orientują się, że ksiądz żyje, i odchodzą (masakrę przeżyło w sumie kilkadziesiąt osób, zginęły prawie trzy tysiące). Do Łucka wkraczają Niemcy, a Bukowiński, który dostał drugie życie, wraca do obowiązków proboszcza tamtejszej katedry. Dwa i pół roku później Sowieci znowu zajmują miasto. Ksiądz będzie miał możliwość wyjazdu do Polski, ale zdecyduje się pozostać. Przeczuwa, że w ZSRR bardziej się przyda.

W styczniu 1945 roku zostaje aresztowany po raz drugi. Po śledztwie – chociaż bez procesu – dostaje dziesięć lat łagru jako agent Watykanu. Pierwszą połowę wyroku odbywa na Uralu, pracuje między innymi przy wyrębie lasu. Drugą – w Stiepłagu w Żezkazganie. Strajk, który wybucha pod koniec jego pobytu, wykorzysta na napisanie – z pamięci, bez notatek – bryku z historii Polski, który w odręcznych kopiach będzie krążyć wśród polskich zesłańców.

Z uralskiego łagru zapamiętał go greckokatolicki ksiądz Eliasz Głowacki: „Wysoki, wychudły, w lichej odzieży, lecz zawsze pogodny i uśmiechnięty. […] Zawsze był otoczony współwięźniami, o coś pytał, odpowiadał na pytania, tłumaczył, pocieszał, nieraz powiedział żartobliwe słówko. Dla nas, kapłanów, urządzał rekolekcje, dla świeckich grup mówił nauki […]. Pomagał innym nosić drzewo, dzielił się skromną porcją chleba, oddawał innym cieplejszą bieliznę, nie patrząc na narodowość lub pochodzenie. […] Kontakty z nim podtrzymywały mnie na duchu, zrozumiałem wartość cierpienia, dzięki czemu nie załamałem się – owszem, wzrosła we mnie wiara i nadzieja lepszego jutra”.

Niczym u Sołżenicyna. „A jak bytują w obozie – zastanawiał się noblista – ludzie naprawdę religijni? Obok postaci w tej książce opisanych, kroczą oni bez trwogi i wahań, przeciągając przez cały Archipelag jak procesja z niewidzialnymi gromnicami. Padają szeregiem, jak od serii z cekaemu, nowy szereg wyrasta na tym miejscu i wciąż dalej kroczy. Determinacja, jakiej nie znał dotąd wiek XX! I nie ma w tym ani pozy, ani deklamacji. […] Jak tym ludziom nie pozazdrościć? Siedzą może w bardziej sprzyjających warunkach? Bynajmniej! […] A tymczasem – kto z ludzi wierzących uległ deprawacji? Ginęli jak muchy, owszem. Ale nie pozwalali się zeszmacić”.

Niczym u pisarza Warłama Szałamowa, który w Gułagu spędził prawie dwadzieścia lat: „Ale nie spotkałem w łagrach bardziej godnych ludzi niż tych, oddanych religii. Demoralizacja ogarnęła wszystkich, jedynie oni się trzymali”.

Fenomen ten próbował wytłumaczyć polski pisarz Gustaw Herling-Grudziński, który również doświadczył łagrów. W *Dzienniku pisanym nocą* zauważył, że „nadzieja *religioznikow* była inna, wznosiła się ponad rachubę dni, miesięcy, lat, dosięgała wolności, do której oprawcy nie mieli dostępu”.

Trzeba tutaj zaznaczyć, że Sołżenicyn, Szałamow i Herling-Grudziński byli zdeklarowanymi ateistami.

W sierpniu 1954 roku Bukowiński zostaje zwolniony z obozu – za dobrą pracę odliczono mu pięć miesięcy z wyroku – i zesłany do Karagandy. Zatrudnia się jako nocny stróż na budowie. Znajduje katolików, nawiązuje kontakty. Jest pierwszym księdzem, który dotarł do miasta (niebawem pojawią się kolejni). Ludzie po cichu przekazują sobie o nim informacje.

Zajęcia wypełniają mu teraz całą dobę. W nocy pracuje, w dzień spowiada, często z całego życia. Chrzci, udziela ślubów. Odprawia msze święte. Wszystko potajemnie, w konspiracji, po prywatnych mieszkaniach, jak u pierwszych chrześcijan. Jako zesłaniec musi się co miesiąc meldować w komendanturze, zeznawać, gdzie mieszka i co porabia. Za trzecim czy czwartym razem pytają go o pracę duszpasterską. Już się wydało. Na szczęście oficer, Kazach, okazuje się wyrozumiały, nie chce tylko żadnych problemów.

W czerwcu 1955 roku wśród Polaków rozchodzi się radosna wieść: zapisują na repatriację! Bukowiński idzie do komendantury. Między księdzem a oficerem odbywa się taki dialog:

Oficer:

– Obywatelu Bukowiński, proponujemy wam repatriację do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Ksiądz:

– Witam z radością decyzję rządu radzieckiego, na którą oczekiwało tysiące moich rodaków, lecz ja osobiście pragnę pozostać w Związku Radzieckim.

Oficer (zaskoczony):

– …no tak, przysługuje wam także prawo do pozostania w Związku Radzieckim.

Bukowiński wie, na co się decyduje. Nie jest narwanym klerykiem, rojącym o męczeńskiej śmierci za wiarę. To pięćdziesięcioletni, sterany życiem

mężczyzna. Machina biurokratyczna ruszyła i wkrótce straci polskie obywatelstwo, a otrzyma sowieckie.

W maju 1956 roku, na fali odwilży, Bukowiński zostaje zwolniony z zesłania i dostaje dowód osobisty. Może wyjeżdżać z Karagandy bez zgody komendantury. Wkrótce ruszy w podróże misyjne, początkowo krótkie, do polskich wiosek pod Ałmatami, a potem dalsze – do Aktiubińska i Semipałatyńska. Zapuści się nawet do Tadżykistanu, gdzie osiadło sporo Niemców katolików. Niczym święty Paweł będzie objeżdżał imperium, docierając do wspólnot wierzących, umacniał te malutkie lokalne Kościoły, a potem pisał do nich listy i słał je przez zaufane osoby. Może zwolnić się z posady stróża i poświęcić duszpasterstwu. Tym bardziej że po łagrach ma drugą grupę inwalidzką. Zamieszkuje kątem u polskiej rodziny, urządza kaplicę. Zaczyna katechizować dzieci i dorosłych.

W grudniu 1958 roku zostaje aresztowany po raz trzeci – za działalność religijną. Prokurator zarzuca mu nielegalne otwarcie kościoła (kaplica w Karagandzie istniała przez rok), agitację dzieci i młodzieży (katechizacja jest formą agitacji) i posiadanie literatury antyradzieckiej (jeśli za taką uznać Pismo Święte – to tak, miał ją). Żąda dla księdza pięciu lat pozbawienia wolności. Odbywa się sąd.

Bukowiński broni się sam, ma wykształcenie prawnicze. Asesor zarzuca mu, że został w Związku Radzieckim dla pieniędzy – na ślubach, pogrzebach i chrztach ma tu zarabiać więcej niż w Polsce. Ksiądz go wyśmiewa:

– Gdyby zależało mi na pieniądzach, to musiałbym być, proszę darować mi ostre słowo, idiotą. W Polsce dostałbym parafię ze stałym dochodem, tutaj siedzę na ławie oskarżonych. Zostałem, żeby nieść posługę radzieckim katolikom, którzy nie mają swoich kapłanów.

W mowie końcowej dziękuje za dobre traktowanie w śledztwie i w czasie rozprawy. Mówi, że nie poczuwa się do winy wobec państwa. Swoją sprawę poleca z całym zaufaniem decyzji radzieckiego sądu. To *captatio benevolentiae*, pozyskiwanie przychylności audytorium. Od tego chwytu święty Paweł zaczął przemowę na ateńskim Areopagu. Teraz można przejść do sedna. „Wielka socjalistyczna rewolucja październikowa rzuciła na cały świat hasło wolności politycznej, społecznej i ekonomicznej – głosi kapłan. – Ale nie należy zapominać o tym, że wolność obejmuje również stosunki narodowościowe i wyznaniowe. Ci ludzie, w których obronie występuję, są to Niemcy i Polacy. Przywieziono ich do tego kraju. Czy mogą oni tutaj czuć się całkiem

dobrze? […] Nie proszę o nic dla samego siebie, lecz proszę o uwzględnienie słów moich dla dobra wierzących katolików Kazachstanu. Pragnąłbym mieć nadzieję, że słowa moje nie okazały się głosem wołającego na puszczy, lecz dotarły do Ałma-Aty i Moskwy".

Dostaje trzy lata, o dwa mniej, niż chciał prokurator – który nie złożył apelacji. Dolne widełki z tego paragrafu. Ksiądz siedzi najpierw w kolonii karnej na Syberii, a następnie w obozie dla „religiozników" w Mordwie, na południowy wschód od Moskwy. Władze utworzyły go, aby izolować duchownych różnych wyznań od innych więźniów, bo dochodziło do nawróceń. „Był czymś w rodzaju wielkiego klasztoru – wspominał ten obóz Bukowiński. – Modlono się zupełnie jawnie".

Wychodzi na wolność w grudniu 1961 roku. W sowieckich łagrach i więzieniach spędził w sumie trzynaście i pół roku. Ustępuje zaprzyjaźnionym księżom: Bronisławowi Drzepeckiemu (piętnaście lat) i Józefowi Kuczyńskiemu (siedemnaście lat). Wypominają mu w żartach tak krótki staż.

Wraca do duszpasterstwa w Karagandzie i podróży misyjnych. Władze wciąż nie uznają go *de iure* i nie dostaje zgody na otwarcie kościoła, ale *de facto* jest już tolerowany. Płaci podatki jako „indywidualny rzemieślnik branży duchowej". To daje mu papiery, które może pokazać w urzędzie czy na milicji. Działa na zasadzie kropli, która drąży skałę.

Tak opisuje swą pracę: „Jestem ustawicznie domokrążcą. Nie urządzam żadnych większych nabożeństw u siebie w domu, bo bardzo łatwo władze mogłyby mnie oskarżyć o nielegalny kościół. […] Całe moje duszpasterstwo dokonuje się w cudzych domach, lecz w żadnym wypadku nie w jednym domu, chyba dopiero po pół roku, a nigdy zaraz następnym razem. […] Zazwyczaj odbywa się to tak: przychodzę po południu lub przed wieczorem. Przede wszystkim urządzam ołtarz. Jest nim zwyczajny stół, byleby tylko mocno stał i nie chwiał się. Stół przykrywa się białym obrusem. Na stół kładzie się duże pudełko lub dwie grube książki, przykrywa się białą chustką i stawia krucyfiks. Świece stawia się w lichtarzach lub, jak ich nie ma, w szklance z solą. Powyżej zawiesza się jeden lub dwa obrazy i ołtarz gotów. Następnie spowiadam. Mszę św. odprawiam o godzinie 9 wieczorem. Po Mszy św. zwykle jeszcze spowiedź. Wreszcie krótki spoczynek nocny. Krótki, bo kładę się zwykle po północy, a już o 5-tej lub 6-tej rano jest poranna Msza św., a potem dalej spowiedź, czasami chrzty i namaszczenia olejami świętymi, czasami śluby. […]

Przysparza pracy to zwłaszcza, że trzeba obsługiwać licznych przyjezdnych. […] Chodzi przede wszystkim o przyjezdnych z daleka, którzy nieraz jadą tysiące kilometrów, byleby tylko znaleźć księdza. […] Jadą z północy, nieraz aż z Archangielska, choć stamtąd znacznie bliżej do Moskwy niż do Karagandy. Jadą z zachodu, aż z Powołża. Jadą ze wschodu, aż z głębi Syberii. […]

Trzeba sobie radzić z różnością języków. Bywają wypadki, że na Mszę św. przychodzą i Polacy, i Niemcy razem. Wtedy robię tak: lekcję i ewangelię czytam w obu językach, na pierwszym miejscu w języku gospodarzy domu, a kazanie mówię po rosyjsku, bo ten język rozumieją wszyscy. Najczęściej jednak mówię w Karagandzie kazania w języku niemieckim, gdyż Niemców jest tutaj o wiele więcej niż Polaków".

Języki narodowe wprowadził ostatecznie do rzymskokatolickiej liturgii Sobór Watykański II (1962–1965). Bukowiński śledzi na bieżąco jego obrady, zna przyjmowane dokumenty. Jakim cudem? To proste. Słucha Radia Watykańskiego w jedynej wersji, która nie jest w Kazachstanie zagłuszana – po łacinie.

W 1965 roku, po latach starań o paszport, przyjeżdża do Polski. Potem odwiedzi kraj jeszcze dwa razy. Spotyka się z rodziną i dawnymi przyjaciółmi, leczy zwątlałe zdrowie w górskich sanatoriach. I pracuje. Na prośbę krakowskiego metropolity Karola Wojtyły, z którym ma w Polsce regularny kontakt, spisuje wspomnienia. Przyszły papież wyśle je po śmierci księdza na Zachód, gdzie zostaną wydane drukiem.

Opisany przez Bukowińskiego Związek Sowiecki nie jest monolitem. Inna sytuacja panuje w republikach bałtyckich, inna na Białorusi i Ukrainie, jeszcze inna – w Azji Centralnej. Inaczej jest w stolicach, inaczej – w miastach prowincjonalnych. Wiele zależy od ludzi, bardziej lub mniej gorliwie służących państwu. Ale przede wszystkim zmienia się polityka. Po śmierci Stalina, pisze ksiądz, „dokonano bardzo wielkiej, choć oczywiście względnej liberalizacji całego systemu […]. Podczas mojego trzeciego uwięzienia było bez porównania lepiej niż podczas pierwszego i drugiego". Jak wspierać tę tendencję? Bukowiński pisze, że Moskwa jest wrażliwa na opinię świata, radzi jednak nie przesadzać z krytyką. Wspomina wizytę w ZSRR prezydenta Egiptu Gamala Abdela Nasera, po której władze otworzyły na nowo wiele meczetów i po raz pierwszy od lat wypuszczono grupę pielgrzymów do Mekki. „Nie chodzi o to, by chwalić. To mogłoby nieraz zakrawać na ironię. Umiarkowana krytyka,

niepozbawiona pewnej nuty życzliwości, bodaj najlepiej służy utrwaleniu tendencji liberalnych, a w związku z tym i wzmocnieniu tolerancyjności w sprawach religijnych”.

Bukowiński pisze jeszcze, aby wobec Rosjan „jak ognia wystrzegać się dwóch skrajności: 1. uniżoności i służalczości, która może wywołać tylko całkiem zasłużoną pogardę”, oraz „2. wywyższania się, zwłaszcza zaś pod względem kulturalnym”. Nie można pozwalać sobie na głoszenie opinii typu: „My, Polacy, reprezentujemy najwyższą zachodnioeuropejską kulturę” (musiał słyszeć takie zdania wiele razy). W ten sposób zrazimy życzliwych Polsce „przyjaciół Moskali”, co „byłoby z naszej strony niewybaczalną głupotą”. Mimo bagażu, jaki dźwiga, nie czuć w jego słowach zgorzknienia, urazów, poczucia krzywdy.

Kardynałowi Wojtyle nie udaje się namówić go, by został w Polsce – choć kuratorzy księdza z sowieckich służb pewnie by tylko przyklasnęli. Bukowiński nie może porzucić swoich owieczek. Powtarza, że misjonarz powinien wytrwać na misji do śmierci, aby jego grób także apostołował.

Umiera w Karagandzie niedługo przed siedemdziesiątymi urodzinami.

Miał trzy pogrzeby. Pierwszy w grudniu 1974 roku, na miejskim cmentarzu. Drugi w roku 1992, w kościele Świętego Józefa.

Parę miesięcy po śmierci Bukowińskiego do Karagandy przyjechał litewski ksiądz Albinas Dumbliauskas – jemu udało się w końcu wywalczyć zgodę na kościół. Stanął na Majkuduku, w karagandzkim „małym Berlinie”. Nie mógł wybijać się ponad okoliczną, niską zabudowę, więc wkopano go głęboko w ziemię. Został konsekrowany w 1980 roku. Szczątki polskiego księdza złożono pod ścianą świątyni, obok zmarłego w 1991 roku księdza Dumbliauskasa. Potem, gdy rozpoczął się proces beatyfikacyjny, przeniesiono je do krypty w kościele.

Od beatyfikacji we wrześniu 2016 roku szczątki – teraz już relikwie – księdza Bukowińskiego spoczywają w karagandzkiej katedrze pod wezwaniem Matki Bożej Fatimskiej. Nowy błogosławiony został patronem dialogu i pojednania z muzułmanami.

Katedra jest najokazalszą świątynią katolicką w Kazachstanie i w całej Azji Centralnej. Trochę przez przypadek. Gdy planowano jej budowę – kościół Świętego Józefa, gdzie mieści się tysiąc osób, był już za mały – pojawiła się

Agnes Ritter. Właścicielka hotelu w Austrii wiele lat wcześniej miała widzenie. Po nim zaczęła zbierać fundusze na Kościół Wszystkich Narodów, który chciała wznieść na rosyjskim Ałtaju, niedaleko granic z Chinami, Mongolią i Kazachstanem. Ponieważ władze rosyjskie się nie zgodziły, Austriaczka zaczęła szukać innego miejsca i trafiła do Karagandy, gdzie mieszkają przedstawiciele dziesiątków narodów, a wcześniej ludzie najróżniejszych narodowości cierpieli w tutejszych łagrach. Hojnie wsparta przez Ritter budowa trwała dziewięć lat i zakończyła się w 2012 roku.

Darczyńców było jednak więcej.

– Cztery lata temu na tutejszy uniwersytet przyjechały dwie lektorki z Hiszpanii. – Jewgienij Zinkowski, biskup pomocniczy Karagandy, opowiadał mi o nich, jednocześnie oprowadzając mnie po katedrze. – Kiedyś przyprowadziły swoje studentki Kazaszki, które same nie miały śmiałości wejść, a chciały zobaczyć katedrę w środku. Dziewczynom bardzo się spodobało, ale stwierdziły, że taka świątynia mogłaby stać wszędzie: „W niej nie ma nic kazachskiego. Nie widać, że jesteśmy w Kazachstanie!”.

Lektorki postanowiły ufundować figurę Matki Bożej w stroju kazachskiej kobiety. Poszły z tym do biskupa diecezjalnego, Włocha. Ten przyklasnął. I włoski artysta pracujący przy ołtarzach w porozumieniu z lektorkami i ekspertami od ludowych kazachskich strojów wyrzeźbił figurę, przy której właśnie stanęliśmy. Madonna ma skośne rysy i nakrycie głowy mężatki (widać tylko owal twarzy), ale suknię taką, jaką nosiły panny. Przed sobą trzyma Dzieciątko o czysto kazachskiej urodzie, ubrane w biały kaftanik-beszmet i biały kołpak na głowie.

– Z okazji poświęcenia figury zorganizowaliśmy koncert i zaprosiliśmy obwodowego imama, który opowiedział o Maryi w islamie i w tradycji muzułmańskiej – wspominał Zinkowski, którego matka jest Rosjanką, a ojciec Polakiem z rodziny zesłańców. Biskupem został kilka miesięcy temu i zdążył wziąć wizerunek kazachskiej Matki Bożej do swojego biskupiego herbu. – Mam nadzieję, że Ona pomoże bardziej otworzyć się nam, rosyjskojęzycznym katolikom, na Kazachów i kazachską kulturę.

Jest więc katedra, są trzy parafie w samym mieście i kilka w okolicy (plus greckokatolicka), jest też seminarium duchowne, jedyne na Azję Centralną i Kaukaz Południowy (rektorem jest pół-Kazach, ksiądz Rusłan Rachimbierlinow). Czas pokaże, czy nie budowano na wyrost. Na razie jest dla

kogo pracować. A wszystko zaczął tu jeden człowiek: łagiernik, zesłaniec, ksiądz domokrążca.

Wytrwały rębacz z Karagandy.

Podróż 2022. Karaganda – Astana

1

Z Karagandy do Astany samoloty nie latają, jest za blisko. Tylko dwieście kilometrów dobrą drogą. Można podjechać czymkolwiek: autobusem, marszrutką albo pociągiem. Marszrutki i dzielone taksówki odchodzą spod dworca kolejowego co kilkanaście minut. Nie zdążysz na jedną – wsiądziesz w następną i za chwilę ruszysz. Nie ma co kupować wcześniej biletu ani rezerwować miejsca.

Karaganda leży na trasie łączącej dwie stolice – obecną i byłą. To główna oś komunikacyjna Kazachstanu. Po drodze do Astany nie czuć nawet ogromu i pustki kazachskiego interioru. Co chwila mija się jakieś miejscowości. Za to na trasie do Ałmatów zdarza się, że przez sto kilometrów nie ma ani jednej wioski.

Moja podróż minęła błyskawicznie – kierowca mercedesa nie przejmował się ograniczeniami prędkości, a zagadnięty mruknął, że to pożyczone auto. Musi wykręcić jak najwięcej kursów, żeby utrzymać rodzinę. Mandaty miał wliczone w ryzyko, ale tutejsza policja ponoć go znała i nie nękała ponad miarę. Wysiadłem przed dworcem kolejowym, w starej, prawobrzeżnej części Astany i chciałem się dostać do nowej. Kiedy byłem tu poprzednio – na początku kazachskiej podróży, jeszcze z kolegami z Ośrodka Studiów Wschodnich – nie odwiedziłem wszystkich miejsc, do których zwykle zaglądam, żeby sprawdzić, co się zmieniło.

Przeprawa taksówką do nowego centrum zajęła mi niemal tyle czasu, co dojazd z Karagandy do astańskich rogatek.

Korki, korki, korki. Rano i po południu miasto stoi, w ciągu dnia i wieczorem ruch jest niewiele mniejszy. Tylko o świcie i w nocy da się płynnie przejechać przez centrum. A latem i tak jest luźniej, bo ludzie mają urlopy. Wąskimi gardłami są mosty na Iszymie, jest ich po prostu za mało.

Dlaczego, wznosząc miasto od zera, w gołym stepie, nie zaczęto od metra? Astana nie ma go do dziś, nie ma też tramwajów, a budowę naziemnej kolejki – miała być gotowa na Expo w 2017 roku, wzdłuż drogi na lotnisko stanęły nawet

fragmenty estakady – chyba zarzucono. Zostaje samochód, ewentualnie autobus, bo z punktu A do punktu B trudno dotrzeć pieszo, nie te odległości. Biurowo-handlowo-usługowe kwartały ciągną się w nieskończoność, ulice mają po kilka pasów ruchu w jedną stronę i nie wszędzie są chodniki. Nawet przejście na drugą stronę bywa wyzwaniem: do najbliższych świateł jest nieraz kilometr czy półtora. Ścieżki rowerowe nie łączą się jeszcze w sieć, zresztą rower to wariant dla najtwardszych, latem zdarza się tu czterdzieści stopni na plusie, a zimą na minusie. I wieją burany.

Pieniędzy nie brakowało, więc może zdecydował kult samochodu, który byłym koczownikom zastąpił konia? Rosyjski bloger i podróżnik Ilja Warłamow pisał ze złośliwą ironią: „Nieraz zaczynam myśleć, że sensem życia Kazacha jest kupno wielkiej białej terenówki. Zwyczajny człowiek, który przesiadł się z tramwaju do wielkiej białej terenówki [*licentia poetica*, w Kazachstanie tramwaje zostały chyba jeszcze tylko w Pawłodarze], staje się od razu nadczłowiekiem. Kierowcy wielkich białych terenówek uważają, że wszyscy powinni się przed nimi niezwłocznie rozstępować i kłaniać, gdy tylko je ujrzą. Jeśli szaraczki się zapomną, kierowca wielkiej białej terenówki zaczyna groźnie warczeć silnikiem, wskakiwać na dużej prędkości na chodnik i z niezadowoleniem trąbić. Specjalny kazachski sznyt – koniecznie trzeba ruszyć z miejsca z poślizgiem, tak aby cała dzielnica słyszała”. A „ciemne szyby przesłonią brudne i nieprzytulne miasto”.

Tak, nowa Astana to miasto bardziej dla samochodów niż dla ludzi.

2

Autorem ogólnej koncepcji nowego miasta był Japończyk Kishō Kurokawa, jedna z gwiazd światowej architektury modernistycznej (zaprojektował też astańskie lotnisko). Na makietach i zdjęciach lotniczych Astana wygląda jak z bajki: spokój, ład, harmonia. Tymi makietami Kurokawa ujął w swoim czasie Nazarbajewa. Tylko czy da się mieszkać w bajce?

– Ałmaty mają duszę, a Astana nigdy nie będzie jej miała. – Profesor Krzysztof Rybiński, ekonomista, który był przez trzy lata rektorem Uniwersytetu Narxoz w Ałmatach, do Astany przyjeżdżał tylko wtedy, gdy musiał.

Mało kto lubi Astanę. Wśród obcokrajowców nikogo takiego nie spotkałem. Zresztą wśród miejscowych też nie. W pierwszych latach stołeczności Astana wyludniała się w każdy piątek po pracy. Lepsze towarzystwo: urzędnicy, parlamentarzyści, menedżerowie z państwowych firm, leciało na weekend do Ałmatów. Byli to Kazachowie, którzy rozumieli, dlaczego Nazarbajew przeniósł tu instytucje państwowe – ale nawet oni traktowali Astanę jak miejsce zesłania. W końcu przywykli, nie mieli wyjścia.

Moim znajomym przypominała wirtualną scenografię gry komputerowej albo teatralną dekorację. Wielką wydmuszkę. Po kolejnych pobytach mówili jednak, że otwarto nowy klub lub knajpę z kuchnią z końca świata, że powstało nowe centrum handlowe. Z biegiem czasu Astana obrosła w muzea i galerie, bez problemu można się już było wybrać na dobry koncert i do teatru – ale te atrakcje nie tworzyły jeszcze miasta, które powinno być czymś więcej niż sumą adresów. Ilość zaczynała, rzecz jasna, przechodzić w jakość, tylko że działo się to bardzo, bardzo powoli. I łatwiej było dostrzec zmiany, wpadając raz do roku, niż mieszkając tutaj na stałe.

Kiedy znajoma napisała mi o zamieszkach po koncercie Kajrata Nurtasa, pomyślałem, że Astana już się stała miastem. Kazachski gwiazdor popu miał wystąpić przed jednym z centrów handlowych, aby uświetnić Dzień Konstytucji, ale się spóźniał, a gdy dotarł, fani wręcz się na niego rzucili: „Kajrat zaśpiewał był jeden utwór i zszedł ze sceny – relacjonowała. – Jak się okazało, już na dobre. Rozgrzana do białości publiczność, aby upuścić nieco swoich emocji, ruszyła na scenę, a następnie na stojące nieopodal samochody, współbiesiadników, latarnie, kosze na śmieci itp. Kilkaset osób zatrzymanych i zamieszki w mieście trwające do rana. Normalnie jak w Londynie!”. Wczytałem się w mail i zobaczyłem, że do zajść doszło jednak w Ałmatach. Stolica była wciąż zbyt zatomizowana, by zdarzały się w niej takie akcje.

Astańskie anegdotki dotyczyły najczęściej absurdów budowlanych. Najbardziej podobała mi się historia z mostem z początków budowy nowego miasta. Otóż postawiono raz most na sucho, bo rzeki w tym miejscu nie było, i wszyscy zachodzili w głowę, o co chodzi. Sami robotnicy też nie bardzo wiedzieli. W końcu pojawiła się rzeka. Okazało się, że skorygowano jej bieg, aby utworzyć tereny rekreacyjne. Kilkanaście lat później sekwencja „najpierw most, a potem rzeka” powtórzyła się na skraju miasta.

Tymczasem przez szybę mojej taksówki, która częściej stała, niż jechała, wypatrzyłem różowego rolls-royce’a. Ktoś dobrze ustawiony kupił go pewnie

dla żony, córki albo kochanki. Nawet w Astanie nie był to częsty widok. Pokazałem go kierowcy, ale tylko wzruszył ramionami.

– Stoi w korku jak my wszyscy.

3

„Architektura Brasílii robi duże wrażenie na turystach, ale mieszkańcy jej nie lubią – powiedział w wywiadzie znany polski architekt Czesław Bielecki. Stolica Brazylii była dla Astany oczywistym punktem odniesienia. – W 1956 roku ówczesny prezydent kraju Juscelino Kubitschek de Oliveira podjął decyzję o budowie całkiem nowej stolicy. Dla projektujących ją Lucio Costy (urbanisty) i architekta Oscara Niemeyera było to spełnienie marzeń. Mogli zaprojektować swoje miasto od podstaw, bez żadnych ograniczeń. Dostali wolną rękę i narysowali modernistyczne miasto idealne. […] Projekty architektoniczne Niemeyera, podobnie jak projekty wielu innych modernistów, były przesiąknięte ideologią. Niemeyer był komunistą kawiorowym, ale wierzył w to, że można narzucić ludziom pewien porządek społeczny i że można to zrobić również za pomocą architektury oraz urbanistyki. Nowi, lepsi ludzie mieli mieszkać w nowych, lepszych miastach. Ukrytą ideą modernizmu była ta sama myśl, którą głosili marksiści: wolność to zrozumienie konieczności. W praktyce zmierza ona do totalnego podporządkowania wolności jednostki niekontrolowanej przez nikogo władzy”.

Kolega z Ośrodka zauważył, że Astana przypomina nowobogackie mieszkanie: meble i sprzęty są – na pierwszy rzut oka – najwyższej jakości, ale od Sasa do Lasa. Zamiast współbrzmieć, tworzyć harmonijną całość, zdają się kłócić ze sobą o palmę pierwszeństwa. I z jakością bywa różnie. Zwiedzałem kiedyś podkijowską Meżyhirję, rezydencję obalonego prezydenta Wiktora Janukowicza, i tam było podobnie. Złote sedesy, żyrandole za miliony i kandelabry z wodotryskiem sąsiadowały ze średniowieczną salą z rycerskimi zbrojami, ta zaś z nowoczesną siłownią. Która była wyłożona najtańszą chińską wykładziną, bo jakiś cwaniak z otoczenia polityka chciał sobie na boku dorobić.

W Astanie mają dużo dobrej i bardzo dobrej architektury – chociaż spod marmurów nieraz wyłażą dykta i sznurek. Jednak zamiast dialogować ze sobą, w jakiś sposób się dopełniać, poszczególne gmachy – Kazachska Filharmonia Narodowa, Muzeum Narodowe, meczety Hazrat (Äzyret) Sułtan i Nur Astana,

Pałac Niepodległości – stoją odwrócone do siebie plecami. Każdy z nich snuje własną opowieść. I każdy uosabiać ma, jak podają przewodniki, pokój, rozwój i tolerancję. Człowiek czuje się jak na wystawie modernistów albo na konkursie piękności.

I ten brak umiaru. Gigantomania. Pałac prezydencki Ak Orda przypomina Biały Dom. Ale jest ponoć osiem razy większy. Wraz z iglicą mierzy osiemdziesiąt metrów wysokości. Synagoga może pomieścić pięć tysięcy osób, chociaż tylu Żydów nie ma w całym Kazachstanie. Albo oceanarium. Trzy tysiące kilometrów od najbliższego otwartego morza. W jakim stylu, pyta zakłopotany architekt, ma być utrzymany główny bulwar, parokilometrowa Oś Tysiąclecia? Co znaczy, w jakim stylu? We wszystkich stylach! Stać mnie na to! Próżno szukać tutaj przytulnych zaułków. Wąskich, choćby tylko udających Orient uliczek. Bazaru.

Są piękne miasta brzydkich domów. I nie tylko miasta. Dobry wojak Szwejk mawiał o psach pinczerach, że są tak brzydkie, aż z tej brzydoty ładne. Astana jest brzydkim miastem domów nieraz zjawiskowych.

4

Wreszcie pokazała się przed nami wysmukła sylwetka. Poprosiłem kierowcę, żeby mnie tutaj wysadził.

– Został jeszcze z kilometr!

– Nie szkodzi. Pieszo będę szybciej.

Taksówkarz nie był stratny, zapłaciłem mu tyle, ile pokazywała aplikacja. A akurat na naszej wysokości znajdowała się jadłodajnia, którą pamiętałem sprzed lat. Pomyślałem, że będę mógł tam zostawić rzeczy.

Spaceru nie wypadało nie zacząć od wieży Bajterek. Ażurowy monument, który rozszerza się ku górze, jest arcyikoną miasta, jego symbolem i umownym środkiem. W koronie wieży, niczym w plecionym koszu, tkwi szklana kula koloru złotego, mieszcząca taras widokowy. To antyteza krępej i przysadzistej kazachskiej jurty.

Meczet Hazrat Sułtan. Pomnikowe gmachy od Sasa do Lasa zapełniają stolicę kraju. Zamiast harmonijnie współbrzmieć z otoczeniem, tworzą kakofonię. Astana, 2015

Bajterek – nazwa oznacza po kazachsku topolę – ilustruje podania koczowników Wielkiego Stepu o drzewie życia, które rośnie na granicy światów, nad brzegiem rzeki, opływającej wszystkie lądy. Swoimi korzeniami drzewo utrzymuje ziemię, a swoją koroną podpiera niebo. W tej koronie święty ptak Samruk składa raz do roku złote jajo – Słońce.

W samym środku kuli, na wysokości dziewięćdziesięciu siedmiu metrów, co nawiązuje do roku 1997, w którym Astana została stolicą, znajduje się kompozycja „Troskliwe ręce”. Składa się ze zdobnego postumentu o kształcie barowego stolika oraz wieńczącej go trójkątnej bryły z odciskiem prawej dłoni Nursułtana Nazarbajewa. Można tam podejść i przymierzyć swoją rękę. I pomyśleć życzenie. W dłoni byłego prezydenta swobodnie mieści się każda inna. On jest potężniejszy od ciebie, od każdego – zdaje się mówić kompozycja. On najlepiej wie, co jest dla ciebie dobre. Zaufaj mu jak ojcu. Podobny odcisk dłoni Nazarbajewa znajdziemy w Ałmatach.

Na awersach kazachstańskich banknotów starej serii (wszystkich nominałów) są Bajterek i dłoń Nazarbajewa z jego podpisem. Zagaduje o to bohater powieści *Nikołaj i Bibigul* Dmitrija Strelnikoffa – rosyjsko-polskiego pisarza urodzonego w Ałmatach:

„– Proszę mi powiedzieć, czyja ręka jest narysowana na kazachskich banknotach? – zapytał Nikołaj, który nagle przypomniał sobie swoje zdumienie, gdy zobaczył czyjąś dłoń na miejscowej walucie. – O tej ręce też każde dziecko wie?

– No pewnie! – odparł kierowca. Odpowiedział wesoło, ale z dystansem, bowiem wyczuł, że jego zleceniodawca nie jest zbyt rozmowny. – Jest to ręka naszego prezydenta, Nursułtana Nazarbajewa. Taki ciekawy pomysł: bierzesz do ręki banknot i jakby ściskasz dłoń samemu prezydentowi!

– Albo czujesz, że on trzyma twoją rękę – krótko podsumował Nikołaj […]”.

Pod Bajterekiem, jak zawsze, kręciło się dużo ludzi. Kolejki po bilety i do windy wiły się jak weselne węże. Było trochę zagranicznych turystów, ale przeważali Kazachowie. W większości, sądząc z ubrania i ogorzałych twarzy, z prowincji. Stali całymi rodzinami: ojciec, matka i dzieci, czasem z dziadkiem albo babcią na dokładkę, podekscytowani tym, co za chwilę zobaczą, roześmiani, radośni. Zadzierali głowy, pokazywali sobie, jak wysoko wjadą, trzaskali zdjęcie za zdjęciem. To dla nich, nie dla obcokrajowców, powstało to wszystko, to ich nowa Astana miała oszołomić i rzucić na kolana. To oni mieli z zachwytu rozdziawiać buzie, a potem głosić wielkość prezydenta, który to wszystko stworzył.

Od dwóch dekad wieża wskazywała Kazachom świetlaną przyszłość. Cel, do którego mają dążyć za cenę dzisiejszych wyrzeczeń: pocierpcie trochę, a cały kraj będzie tak wyglądał. Doczekają tego wasze dzieci, wasze wnuki. Bo horyzont ciągle się oddalał i kolejne kreślone przez Nazarbajewa wizje miały coraz dłuższe terminy ważności – 2020, 2030, 2050. Tak nazywały się ogłaszane przez niego co kilka lat programy rozwoju kraju. Teraz nikt tak daleko już nie patrzy, czasy są niepewne. Ale wciąż przyjemnie jest tutaj przyjechać i obejrzeć idealne miasto, kazachskie Jeruzalem. Ziemską stolicę wiecznego państwa.

Spod wieży poszedłem pod Chan Szatyr, świątynię handlu i rozrywki w kształcie gigantycznego koczowniczego namiotu („*szatyr*” to właśnie „namiot”, a „*chan szatyr*” – „namiot chana” albo „chan wśród namiotów”).

Pobrano ze strony pijafka.pl

Wznosi się on na zachodnim krańcu Osi Tysiąclecia, dwa kilometry od Bajtereku. Zaprojektował to cudo brytyjski architekt celebryta Norman Foster, a otwarto je na siedemdziesięciolecie Nazarbajewa.

W Chan Szatyrze oprócz sklepów i butików, barów i restauracji, obok sal kinowych i bilardowych, kręgielni i parku wodnego, znajdziemy lunapark z dinozaurami i kolejką jednoszynową oraz tropikalną plażę. Rosną tam palmy, błyszczy się piasek, który przywieziono z Malediwów, i przez cały rok utrzymuje się stała temperatura trzydziestu pięciu stopni. Przezroczysty dach przepuszcza promienie słoneczne. Na podziemnym parkingu przygotowano siedemset miejsc, trzeba tu czymś dojechać.

Chan Szatyr nawiedzała inna publiczność niż ta spotkana pod Bajterekiem. Tu spędzali czas dobrze ubrani, pewni siebie astańczycy, którzy nie musieli czekać na Nowy Kazachstan. Żyli tu i teraz. Ich świetlana przyszłość już nadeszła. Wśród obcokrajowców rzucali się w oczy Rosjanie, którzy tłoczyli się przed kantorem i okupowali salony z niedostępną w Rosji z powodu sankcji elektroniką. Dzięki unii celnej mogli ją wywieźć bez dodatkowych opłat i biurokracji. Potem, na lotnisku, widziałem, jak nadają na bagaż piramidy zafoliowanych kartonów skrywających telewizory, komputery, mikrofalówki. Dla siebie i na sprzedaż. Przypominali walizkowych handlarzy okupujących trzy dekady temu polskie rynki i bazary, ze słynnym Jarmarkiem Europa na koronie warszawskiego Stadionu Dziesięciolecia na czele. Kazachscy sprzedawcy z Chan Szatyra patrzyli na Rosjan z uprzejmą wyższością.

Na przeciwległy kraniec Osi Tysiąclecia, pod park Prezydencki, dojechałem autobusem. Mieszkańcy położonych nieopodal starszych dzielnic miasta chodzili tam pospacerować, dzieci jeździły na rowerach i hulajnogach. Toczyło się zwykłe, codzienne życie. Nowa Astana też dawała się oswoić i okiełznać. Byliśmy znów na prawym brzegu Iszymu, ale modernizm już się tutaj wdzierał i zdobywał kolejne przyczółki. W tym parku reprezentował go pałac Pokoju i Pojednania, kolejny obiekt firmowany przez Normana Fostera (choć głównym projektantem miał być tym razem Kazach).

Pałac jest ogromną, szklaną piramidą, mieszczącą między innymi teatr operowy z widownią na półtora tysiąca miejsc. Jej czarna podstawa, skryta w większości pod ziemią, symbolizuje zaświaty. Zasadnicza część jest biała i oznacza naszą rzeczywistość. Górne niebieskie piętro to oczywiście niebo, rzeczywistość boska. Sam czubek nabiera w słoneczne dni barwy złotej (lepiej widać to od środka niż z zewnątrz). W części niebieskiej odbywają się co trzy

lata Kongresy Przywódców Religii Światowych i Tradycyjnych. Wpadające od góry światło przebija się prawie do podstawy piramidy.

Znawcy tradycji wolnomularskiej odnajdują w piramidzie – i w całej architekturze nowego miasta – wiele symboli i odniesień ze świata masonerii. Pierwszym ma być sama piramida, począwszy od kolorów (błękit i złoto). Ucięta piramida, znana z jednodolarowego banknotu, to symbol ludzkich pracy i wysiłku, które bez nadprzyrodzonej intuicji (czyli bez światła) są jednak niekompletne. Na jednodolarówce wierzchołek stanowi wszechwidzące oko, w Astanie – ozłocony słońcem czubek.

Z kolei dwa złote stożkowate wieżowce, tak zwane złote wieże, stojące pomiędzy Bajterekiem a Ak Ordą i mieszczące różne urzędy centralne, mają symbolizować kolumny Jachin i Boaz sprzed Świątyni Jerozolimskiej. Kolumny te są obecne w wystroju każdej loży. „Świątynia [masońska] – to wielka sala czworościenna, podłużna, boki jej noszą nazwy czterech stron świata – gdyż według pojęć masońskich, obszar loży – jest obszarem świata. […] Na Zachodzie, po dwóch stronach drzwi wznoszą się kolumny brązowe: na kolumnie z lewej strony skreślona litera J, na prawej – litera B. Sufit w loży koloru niebieskiego, ozdobiony srebrnymi gwiazdami” – pisał przedwojenny znawca wolnomularstwa Stanisław Antoni Wotowski.

Kazachstański mason Siergiej Krawczenko – sam się wbrew zwyczajom panującym w lożach ujawnił, bo jest również badaczem masonerii – przyznał w wywiadzie, że masońska symbolika jest w Astanie obecna, ponieważ „projektant był naszym bratem” (nie wiadomo, czy chodziło o samego Kishō Kurokawę, czy o miejscowych urbanistów). Stwierdził jednak, że nie ma w tym żadnych ukrytych znaczeń: po prostu „każdy mason chce uwiecznić swoje dzieło”. Ale przy zamiłowaniu Nazarbajewa do tajnych stowarzyszeń i symbolicznych znaków przypadku nie mogło tu być.

Wróciłem pieszo do jadłodajni, od której zacząłem obchód nowego centrum, i zjadłem późny obiad. To tutaj równo dwadzieścia lat wcześniej gościł Marka Karpia i mnie Jerdien z biura prasowego prezydenta. Lokal cały czas funkcjonował i gromadził podobną jak wtedy klientelę – białokołnierzykowych szaraczków, referentów i młodszych specjalistów, zaczynających dopiero kariery w urzędach i ministerstwach. Może stołowały się tu już dzieci Jerdiena? Wziąłem rzeczy, które zostawiłem na przechowanie u kierowniczki lokalu, złapałem taksówkę i pojechałem na lotnisko.

Semipałatyńsk. Sprawy nieludzkie

1

Normalne jak u noworodka ręce, nogi – dłonie i stopy mają po pięć paluszków – i tułów. Siusiak. Tylko głowa nie z tego świata, tkwi w tułowiu niczym śruba w kołku rozporowym. Jakby ją coś wepchnęło tam na siłę. Od tego niewyobrażalnego nacisku usta wydęło na prawo i lewo, a nosek spłaszczył się do rozmiaru pryszcza. Nad tym niby-nosem, pośrodku czoła, ulokowało się samotne, pozbawione powieki oko.

Cyklop. Cyklopi osesek.

Budzące grozę postacie ze starodawnych imaginariów miały się rodzić właśnie tutaj, na bezkresach Eurazji, w ziemi Goga i Magoga, za siedmioma górami i niejednym morzem. I rodziły się. W drugiej połowie XX wieku.

Rodzą się i dziś.

Zanurzony w formalinie cyklopek spoczywa obok setki innych eksponatów w laboratorium katedry anatomii Państwowego Uniwersytetu Medycznego w mieście Semej, dawnym Semipałatyńsku. Okoliczni wiedzą o tym miejscu i nazywają je – muzeum potworków. Ale żadnego muzeum nie ma, tylko jedna sala, w której wystawione są wypreparowane tkanki i organy. Bo malutki cyklop czy sąsiadujący z nim niemowlak z monstrualnym wodogłowiem (dziecko przeżyło dwa lata, miało ciężkie zapalenie mózgu, pracownicy uniwersytetu mówią o nim: Rusałka, choć nosiło normalne imię) to wyjątki, na półkach dominują słoiki z nierozpoznawalnymi dla laika tkankami serca, płuc czy żołądka. Na eksponatach widać, co może zrobić z ludzkim ciałem promieniowanie jonizujące. I w czym przejawia się choroba popromienna.

Nie powinienem był tego oglądać. Nikt, poza badaczami, nie powinien. Jak ktoś bardzo chce, może sięgnąć do książek, do albumów ze zdjęciami, do internetu. Tego nie da się odzobaczyć. Obraz siedzi w głowie i zostanie tam pewnie na długo. Ale ciekawość była silniejsza.

Kiedy podczas pierwszego pobytu w Semeju, w 2015 roku, dowiedziałem się o tym miejscu, od razu zacząłem myśleć, jak się tam dostać. Wtedy mi się nie udało, ale w końcu znalazłem sposób i trzy lata później pojechałem po raz drugi. Z ulicy wejść tam nie można. Wstępu na uczelnię strzegą mięśniaki

w obcisłych uniformach, konkretna ochrona, żadne leśne dziadki, z którymi zawsze się dogadasz, żadne portierki z trwałą, łase na komplement i czekoladkę. Turystów nie wpuszczają, a na wywiad trzeba się umawiać przez ministerstwo, co zawsze długo trwa – i nie ma gwarancji szczęśliwego finału. Jesteśmy jednak na Wschodzie. Okazało się, że na anatomii pracuje szwagier znajomej – i co prawda dzisiaj nie da rady, mamy zagraniczną delegację, za to jutro powinno się udać, przyjdź na dziewiątą, tylko się nie spóźnij, bo potem zaczyna się konferencja i może być problem. I pamiętaj, żadnych zdjęć, bo miałbym nieprzyjemności. Naprawdę tak to działa.

2

Semej leży nad Irtyszem, na pograniczu Wielkiego Stepu i lesistej Syberii. Niedaleko zaczyna się już Ałtaj.

Rosyjska nazwa miasta pochodziła od znajdujących się niegdyś w pobliżu siedmiu buddyjskich świątyń.

W połowie lat osiemdziesiątych XIX wieku odwiedził te strony George Kennan, amerykański podróżnik i dziennikarz, autor prac o zesłańcach syberyjskich. W swojej relacji zwrócił uwagę na wszechobecny piasek. Już wtedy Semipałatyńsk uchodził za miasto brudne i zanieczyszczone: „Gościniec snuł się czasami po irtyskich dolinach ponad brzegiem rzeki, gdzie wiatrem rozkołysana złota wełnica i wysoka stepowa trawa, jak wzburzone wody, roztrącały swe spienione fale na krzaczastych grzebieniach srebrnobiałej spirei – niekiedy gościniec, odchylając się od rzeki, prowadził po nieco podniesionych, skwarem słonecznym wypalonych równinach, to znów skręcał nagle w wilgotne oazy, okolone stepowymi jeziorami, gdzie spotykaliśmy urocze naturalne ogrody kwiatowe pełne róż, astrów, gwoździków, hiszpańskiej wyki i przepysznych ciemnoniebieskich dzwonków. […]

Miasto gubernialne Semipałatyńsk, leżące na prawym brzegu Irtysza w odległości 760 km od Omska, 1450 km od Tiumenia, ma 15 000 mieszkańców, w skład których wchodzą Rosjanie, Kirgizi [Kazachowie] i Tatarzy. W Semipałatyńsku schodzą się trakty karawanowe, prowadzące do Taszkentu i środkowej Azji; miasto więc to, jednoczące ruch handlowy znacznej części stepu kirgiskiego, ma wcale doniosłe znaczenie. Prowincja semipałatyńska jest więcej krajem stepowym niż rolniczym; ludność jej wynosi

547 000 mieszkańców, między którymi 497 000 nomadów. Koczujące te plemiona zamieszkują w 111 000 namiotach, posiadają 3 000 000 sztuk bydła łącznie z wielbłądami, których liczba dochodzi do 70 000 [wielbłąd był i jest w herbie miasta]. Cała ta prowincja dostarcza rocznie 45 000 funtów masła[15], 370 000 funtów tytoniu, 100 000 czetwerykow[16] kartofli i zwyż 12 000 000 czetwerykow […] zboża. Odbywa się tu rocznie 11 jarmarków, na które dowożone ziemiopłody przedstawiają wartość 1 000 000 dolarów[17]. Z samego Semipałatyńska rozchodzi się rocznie, po różnych okolicach Mongolii i środkowej Azji, towaru za 150 do 200 000 dolarów[18].

Semipałatyńsk zasłużył sobie w zupełności na przydomek »diabelskiej piaseczniczki« [piaskownicy], którym obdarzyli go tameczni oficerowie. Miasto to istotnie razi cudzoziemca swą ponurą fizjonomią; nie zoczy on tu nigdzie jednego drzewa ni źdźbła trawy, a tylko rzędy posępnych, wpół zbutwiałych domów, obejmujących piaskiem rzecznym zasłane ulice. W ciągu całej półgodzinnej naszej wędrówki nie spotkaliśmy ani śladów roślinności, brnąc po kostki w zaspach piaszczystych, zalegających ulice i chodniki. Zdawało mi się koniecznie, że znalazłem się w którymś z miast północnoafrykańskiej pustyni. Meczety tatarskie z ciemnymi minaretami, mułłowie długobrodzi z białymi na głowach turbanami, dwugarbne wielbłądy, kroczące poważnie po ulicach, wszystko nadaje temu miastu charakter czysto mahometański”.

Istniejąca w latach 1917–1920 kazachska autonomia Ałasz Orda ogłosiła miasto swoją stolicą. Semipałatyńsk uchodził wtedy za główny ośrodek kazachskiej kultury. Do dziś zajmuje ważne miejsce na kulturalnej mapie Kazachów. To ziemie Średniego żuzu, z którego tradycyjnie wywodzili się uczeni, poeci, filozofowie.

Polska pisarka Maria Jadwiga Łęczycka, która spędziła wojnę na zesłaniu w Kazachstanie, zamieszkała w Semipałatyńsku w 1944 roku i podjęła pracę w miejscowym teatrze. Podobnie jak George Kennan zwracała uwagę na wszechobecne piasek i kurz.

„Nogi tonęły w piasku. […] Miasto Semipałatyńsk nie robiło oszałamiającego wrażenia. Długie, rozległe, senne, zabudowane chaotycznie, przypominało staroświeckimi domkami z ganeczkami miasteczka opisywane przez Gorkiego. Wąskie, ciche, piaszczyste uliczki. Rozszemrane rynsztoki. Zaśmiecone bydlęcym nawozem jezdnie. Idące przeważnie środkiem drogi krowy. Chrząkanie prosiąt na bocznych uliczkach. Wszędzie – okiennice. Ręczne pompy na skrzyżowaniach ulic. Z rzadka powleczone dymem kominy

fabryczne. W centrum kilkanaście dużych piętrowych budynków i cerkiew. Kilkanaście pokrytych kurzem wystaw sklepowych. Wśród nich – ani jednej z produktami spożywczymi. Żadnej taksówki lub choćby konnej dorożki. Nawet motocykle były rzadkością. Od czasu do czasu krótki dźwięk klaksonu dawał znać, że jedzie jakaś wojskowa kolumna samochodowa. […] Piasek był wszędzie. Sypał się przez płyty chodnikowe, właził do nosa, zatykał oddech. Zdawało się, że leci z nieba. Nie czuło się nawet jędrności czystego powietrza, ani jego wilgotności, rozpylanej przez Irtysz, którego wody oddzielały śródmieście od fabrycznego przedmieścia Żana-Semiej, zamieszkałego przez Kazachów".

W założonym trzysta lat temu przez Kozaków mieście zachowało się sporo tradycyjnej, syberyjskiej zabudowy: drewniane domy z finezyjną snycerką odrzwi i okiennic, dom gubernatora, solidna brama miejska. Bez szwanku przetrwały komunizm tatarskie meczety z pierwszej połowy XIX wieku. W jednej z dawnych kupieckich rezydencji mieści się galeria Niewzorowów z zadziwiająco dobrą sztuką europejską – mają tam akwafortę *Zdjęcie z krzyża* Rembrandta i portret Stefana Batorego z epoki.

Dom, w którym zatrzymywał się kazachski wieszcz Abaj, zaaranżowano na jego muzeum. Wielki stepowy poeta przyszedł na świat w uroczysku Żydibaj, dwieście kilometrów na południe od Semeju. Miejscowi wierzą, że to sam środek Eurazji. Za szczytowe osiągnięcie Abaja uchodzi zbiór jego przemyśleń i aforyzmów, znany jako *Księga słów*, *Słowa pouczenia* albo po prostu *Słowa*. Abaj rozprawia się tam z przywarami rodaków, wyrzuca im ciemnotę, chciwość, folgowanie żądzom. Bakytżan aga, prawnik tradycjonalista z Atyrau, powiedział mi, że *Słowa* są krzykiem duszy prawdziwego, niemalowanego patrioty.

„Ciemnota, odziedziczona po dziadach-pradziadach, wyssana z mlekiem matki, przeniknęła do szpiku kości naród kazachski i pozbawiła go cech człowieczeństwa – czytamy w jednym z rozdziałów. – Oni [Kazachowie] są zdolni tylko do chichotów, bezmyślnego szczerzenia zębów i niezrozumiałego bełkotu, niczym się nie ciekawiąc, będąc zajętymi tylko własnymi sprawami, nie umiejąc nawet słuchać tego, co im mówisz. Oto, do czego nam przyszło! Cóż teraz poczniemy?"

Albo: „Nie widziałem jeszcze Kazacha, który by bogactwa zdobył niegodziwie, a spożytkował godnie. […] W pogoni za bogactwem Kazachowie

nie potępiają kradzieży, nikczemności, żebractwa ani żadnych innych temu podobnych występków”.

Albo: „Ci, którzy zostali wybrani do urzędów dzięki knowaniom i podstępom, nie cenią ludzi uczciwych, lecz otaczają się podobnymi sobie niegodziwcami i intrygantami. Sądzą, że tacy będą ich wspierać, skoro sami mają nieczyste sumienie i obawiają się sprawiedliwości”.

Albo: „W dzieciństwie nasza dusza rządziła naszym ciałem. Gdy wydorośleliśmy, okrzepliśmy, nie pozwoliliśmy jej dalej rządzić. Nakazaliśmy duszy hołdować ciału”.

Wreszcie: „Jak to się dzieje, że Kazachowie nie wierzą prawdzie, wręcz nie chcą jej słuchać, a dają wiarę kłamstwu, słuchając kłamstw namiętnie, choćby z wielką szkodą dla samych siebie?”.

Abaj cytuje kazachskie przysłowia ludowe, odwołuje się do greckich filozofów i do klasyków Orientu. Czerpie z dorobku Wschodu i Zachodu. Bawiąc w mieście, spędzał długie godziny w semipałatyńskiej bibliotece („Wybór dzieł przynosił zaszczyt założycielom tej biblioteki i świadczył o wysokim ich wykształceniu i istotnym smaku naukowym” – zanotował George Kennan). Zapewne właśnie Abaja spotykał tam jeden z rozmówców podróżnika: „Znam osobiście pewnego wiekowego już Kirgiza, który czytał Buckle’a, Milla i Drapera[19]”. Poeta miał wtedy czterdzieści lat, ale sądząc z zachowanych portretów, ze swoją brodą mógł wyglądać na patriarchę. Dodajmy, że zachodnich autorów poznawał w rosyjskich przekładach.

I właśnie w Rosji i rosyjskiej kulturze widział Abaj klucz do nowoczesności i szansę dla swojego ludu. „Trzeba uczyć się rosyjskiego – przekonywał – gdyż dzięki temu językowi ma się dostęp do wszystkiego: mądrości, majątku, sztuki i nauki. Trzeba znać język rosyjski, by nie być przez Rosjan krzywdzonym i by korzystać z ich szkół i nauk. Oni też doszli do rozwoju dzięki znajomości języków świata. Jeśli poznacie ich język, otworzą się wasze oczy. Jeśli ktoś zna język i umiejętności innego narodu, staje się równym mu, nie musi go błagać o łaskę”. Nie wiemy, w jakim stopniu wierzył w to, co pisał, a w jakim chciał dla rodaków nieco lepszego losu, wyższej pozycji w rosyjskim rankingu podludzi. Takiej, jaką mieli Tatarzy. W innym miejscu zauważa zresztą z rezygnacją: „A z Rosjanami nie mamy się nawet co równać, nie dorośliśmy nawet do tego, by być ich sługami i służebnicami”. W dzisiejszym pojęciu był klasycznym kompradorem, łącznikiem między kolonizatorem a własnym,

skolonizowanym narodem. Ale w czasach sowieckich stał się patronem kazachsko-rosyjskiej przyjaźni.

Muzeum Dostojewskiego urządzono w drewnianym domu pisarza, do którego dostawiono współczesny pawilon. Dostojewski przebywał tu pięć lat na zesłaniu. W Semipałatyńsku zaczął pisać *Wspomnienia z domu umarłych*. Część ekspozycji poświęcono jego przyjaźni z Czokanem (Szokanem) Walichanowem (1835–1865), jednym z pierwszych kazachskich historyków i etnografów, orientalistą, autorem pionierskich prac o nowożytnych dziejach Wielkiego Stepu (przed muzeum znajduje się ich wspólny pomnik). Zaliczał się on do białej kości, do stepowej arystokracji.

Badacz był kolejnym wybitnym kompradorem na służbie cara. Zmarł przed trzydziestką na gruźlicę, chociaż jak twierdził inny rosyjski orientalista azjatyckiego pochodzenia, młodszy od Walichanowa o pokolenie Nikołaj Katanow, profesor Cesarskiego Uniwersytetu Kazańskiego (z narodowości Chakas, Chakasi zamieszkują południową Syberię i podobnie jak Kazachowie są ludem turkijskim), prawdziwą przyczyną była wódka: „Nasi rosyjscy koledzy nauczyli nas tylko pić i niczego więcej […], a w rosyjskim środowisku pozostawaliśmy obcymi”.

Pisarz Dmitrij Strelnikoff zadedykował badaczowi swoją książkę: „Dedykuję tę opowieść Czokanowi Walichanowowi, […] potomkowi Czyngis-chana, wielkiemu Kazachowi, naukowcowi i podróżnikowi, przyjacielowi Fiodora Dostojewskiego i Grigorija Potanina, szlachetnemu synowi narodu kazachskiego, który pragnął widzieć w Rosji matkę i próbował nie zauważać, że traktuje go jak pasierba”.

3

Dlaczego Moskwa zdecydowała się ulokować sowiecki poligon atomowy właśnie tutaj, w północno-wschodnim Kazachstanie, w pobliżu Semipałatyńska?

Zaczęło się od rozporządzenia Państwowego Komitetu Obrony ZSRR z 28 września 1942 roku o rozwoju energii atomowej. Zaledwie półtora miesiąca wcześniej Stany Zjednoczone uruchomiły tajny projekt Manhattan, którego celem było stworzenie broni jądrowej. Prace w tym kierunku prowadziły także hitlerowskie Niemcy. Stalin dowiedział się o tym od swoich

szpiegów i zrozumiał, że nie może pozostać w tyle. W strukturach Akademii Nauk powstało supertajne Laboratorium numer 2, które miało zajmować się „badaniem możliwości wojskowego wykorzystania energii uranu”. Jego szefem został niespełna czterdziestoletni profesor Igor Kurczatow.

W lipcu 1945 roku Amerykanie dokonali udanej próby wybuchu swojej bomby, a na początku sierpnia przeprowadzili atak atomowy na japońskie miasta Hiroszimę i Nagasaki. Sowieci zorientowali się, że przegrywają wyścig i zarzucili własne badania. Zaczęli wdrażać w życie rozwiązania amerykańskie. Dokumentację przekazywał im niemiecki fizyk Klaus Fuchs, uczestnik projektu Manhattan zwerbowany przez sowiecki wywiad wojskowy, a dodatkowe dane – małżeństwo Ethel i Julius Rosenbergowie. W Rosji do dziś toczy się spór, czy do powstania sowieckiej bomby atomowej w większym stopniu przyczynili się fizycy na czele z Kurczatowem, czy może jednak szpiedzy i czekiści.

Semipałatyński poligon powołano do życia w sierpniu 1947 roku. Stepy, które rozciągały się na zachód od miasta – mniej więcej w stronę Karagandy – były miejscem odludnym, ale nie najgorzej skomunikowanym z resztą kraju. Do Semipałatyńska już wtedy dochodziła kolej, w miarę blisko jest stąd do Omska i Nowosybirska. Urozmaicona rzeźba terenu pozwalała zobaczyć, jakie będą skutki wybuchu na równinie, przedgórzu i w niewysokich górach.

No i nie była to Rosja.

Atomowe mocarstwa lokowały poligony jądrowe na obszarach podbitych, skolonizowanych. Tam, gdzie żyły mniejszości narodowe: autochtoni, krajowcy, tubylcy. Gorszy sort. Stany Zjednoczone – na ziemiach Indian, w Nevadzie i Nowym Meksyku oraz na Pacyfiku, na atolach Bikini i Enewetak. Francja – w Algierii oraz w Polinezji, na atolu Mururoa. Wielka Brytania – w Australii, na aborygeńskiej pustyni. Chiny – w Regionie Autonomicznym Sinciang-Ujgur. A Związek Radziecki – w Kazachstanie. Od tej reguły nie było wyjątków.

Julij Chariton, jeden z akuszerów sowieckiego atomu (na jego cześć bryłki ziemi stopione po wybuchu i wyglądające jak kawałki ceramiki nazwano charitończykami, nazwę wymyślił ponoć szef sowieckiej bezpieki Ławrientij Beria) do końca życia bronił tej lokalizacji. A żył długo, doczekał pieriestrojki, oficjalnego zamknięcia poligonu i rozpadu ZSRR.

W 1996 roku Nursułtan Nazarbajew powiedział w wywiadzie dla polskiej gazety: „Niemcy przeprosili za faszyzm, a wy [Rosjanie]… możecie nawet nie przepraszać, ale powiedzcie prawdę, powiedzcie, że byliśmy zniewoleni. Nie proszę, chociaż powinienem, żebyście zrekompensowali nam szkody poniesione

w czasie próbnych wybuchów jądrowych. 526 wybuchów w Kazachstanie! Zniszczyliście Morze Aralskie. Milion ton soli unosi się w powietrzu. Możemy zwrócić się do Trybunału Międzynarodowego. Powinniście zapłacić. A my nie żądamy niczego. Proponujemy tylko, żebyście oświadczyli, że jesteśmy narodami przyjaznymi i równoprawnymi, które szanują swoją suwerenność i niezawisłość. Tylko tyle”.

Oczywiście Rosja nigdy się na to nie zdobyła.

Jak wyglądał próbny wybuch jądrowy?

Najpierw wokół przyszłego epicentrum wytyczano okrąg, a następnie dzielono go na sektory, tak jak dzieli się tort albo pizzę. W poszczególnych sektorach umieszczano: żywe zwierzęta, samochody, samoloty, przeróżną technikę wojskową. Wznoszono bliżej i dalej różne budynki, schrony, wieże. Powstawały nawet próbne stacje metra. Celem było zbadanie, jak to wszystko wytrzyma falę uderzeniową. Jak zachowa się w ekstremalnej temperaturze.

Muzeum semipałatyńskiego poligonu. Makieta pola doświadczalnego, pośrodku którego odpalano ładunek jądrowy. Kurczatow, 2018

Uczeni, dowódcy wojskowi i przedstawiciele partyjnego kierownictwa obserwowali wybuchy ze specjalnie zbudowanych pomostów. Tak jedną z prób wspominał Andriej Sacharow, uczeń i następca Igora Kurczatowa (będzie jeszcze o nim mowa): „Tym razem, kierując się opisem przebiegu prób w amerykańskiej »Czarnej Księdze«, nie włożyłem ciemnych okularów (po zdjęciu ich jest się tak oślepionym, że nic nie można zobaczyć, a w okularach widać źle). Zamiast tego stanąłem plecami do centrum wybuchu, odwracając się gwałtownie, gdy budynek i horyzont rozświetlił błysk eksplozji. Zobaczyłem szybko rozprzestrzeniający się nad widnokręgiem oślepiający, białożółty krąg,

który w ułamku sekundy stał się pomarańczowy, a potem jasnoczerwony. Dotknąwszy linii horyzontu, spłaszczył się od spodu. Potem wszystko zasnuły wzbijające się kłęby pyłu, z których zaczęła się wyłaniać ogromna, wzburzona, szarawa chmura z purpurowymi, ognistymi refleksami na powierzchni. Pomiędzy chmurą a kłębiącym się pyłem zaczął się tworzyć trzonek grzyba atomowego. […] Niebo poprzecinały w różnych kierunkach linie fal uderzeniowych, z których wyłaniały się mlecznobiałe płaszczyzny, układające się w formę stożków, w zadziwiający sposób dopełniających obraz grzyba. Jeszcze wcześniej poczułem na policzkach ciepło jak od rozgrzanego pieca – i to na mrozie, w odległości wielu dziesiątków kilometrów od centrum wybuchu. Cała ta feeria odbywała się w absolutnej ciszy. Upłynęło kilka minut. Nagle w oddali, na rozciągającym się przed nami aż po horyzont polu, pojawił się ślad fali uderzeniowej. Szła na nas z dużą prędkością, gnąc do ziemi ostowate badyle. Rzuciłem komendę: – Skaczemy! – I pierwszy zeskoczyłem z pomostu”.

Po pierwszej próbie bomby wodorowej (to już połowa lat pięćdziesiątych) Sacharow, okutany w ochronny kombinezon, pojechał z wojskowymi na miejsce eksplozji: „Nagle samochody gwałtownie zahamowały obok orła z opalonymi skrzydłami. Próbował poderwać się do lotu, ale nie mógł. Patrzył zmętniałymi, być może oślepłymi oczami. Jeden z oficerów wyszedł z samochodu i dobił nieszczęsnego ptaka silnym kopnięciem, skracając jego męczarnie. Jak mi mówiono, przy każdej próbie giną tysiące ptaków, które podrywają się przy wybuchu, ale potem padają, poparzone i oślepłe. […] Grunt pokrywała w tym miejscu czarna, szklista, stopiona warstewka, chrzęszcząca pod nogami”.

Ludzi zwykle wcześniej ewakuowano. Na terenie poligonu żyło trzydzieści tysięcy osób, ale na czas prób wywożono też mieszkańców wsi położonych dalej. Najczęściej pozwalano im wracać już po kilku dniach, kiedy promieniowanie było wciąż bardzo wysokie. Raz w jednej wiosce pozostawiono w czasie wybuchu czterdziestu młodych mężczyzn. Nie wiadomo, czy był to przypadek, czy jednak celowy eksperyment. W ciągu następnych miesięcy trzydziestu dziewięciu z nich zmarło.

Przez czterdzieści lat na semipałatyńskim poligonie przeprowadzono, jak wiemy, dobre pół tysiąca prób. Początkowo naziemnych, najbardziej niebezpiecznych, a po 1963 roku – już tylko podziemnych, w wydrążonych

studniach i sztolniach (USA, ZSRR i Wielka Brytania podpisały porozumienie o zakazie prób na ziemi, w powietrzu i pod wodą).

Szacuje się, że półtora miliona ludzi zostało napromieniowanych dawkami zagrażającymi życiu i zdrowiu.

Semipałatyński cyklopek przyszedł na świat niespełna rok po pierwszej próbie sowieckiej bomby atomowej, przeprowadzonej 29 sierpnia 1949 roku. Coś źle obliczono albo wiatr powiał nie tam, gdzie zwykle, i radioaktywny obłok przekroczył granice poligonu. Najbardziej jadowity opad pokrył wsie, których nie ewakuowano. Dziecko żyło króciutko. Przynajmniej się nie męczyło.

Nikt się nie przejął, gdy w okolicy zaczęła wzrastać liczba przypadków anemii, nowotworów, deformacji ciała i chorób psychicznych. Władze tłumaczyły to niewłaściwą dietą (za mało warzyw i owoców), brakiem higieny i surowym klimatem. Albo wpływem uranu, ale nie tego z bomby, tylko z eksploatowanych w okolicy złóż. Do Kazachstanu należy czwarta część światowych zasobów rudy uranu.

Pierwsze, wyrywkowe badania na przylegających do poligonu terenach zarządzono dopiero w 1957 roku. W Semipałatyńsku otwarto wtedy tajną poliklinikę, którą nazwano dla niepoznaki Poradnią Brucelozy numer 4. Jak tłumaczył w wywiadach Borys Gusiew, wieloletni szef placówki – działa ona do dziś, teraz pod nazwą Instytutu Medycyny Radiacyjnej i Ekologii – nikogo tam nie leczono, nikomu nie udzielano pomocy. Nie taki był cel. Obserwowano tylko postępy choroby popromiennej i robiono badania na jej ofiarach, aby z tą wiedzą Związek Radziecki jeszcze lepiej przygotował się do przyszłej wojny.

Wkrótce wyodrębniono zespół patologicznych zmian towarzyszących napromieniowaniu i wystawieniu na skażenie nuklearne: sąsiedzi poligonu latami pili zatrutą wodę, na pokrytych radioaktywnym pyłem pastwiskach wypasali krowy i barany, a potem jedli ich mięso. A niby co mieli pić i jeść? Nową jednostkę chorobową nazwano syndromem kajnarskim, bo u ludzi ze wsi Kajnar została zdiagnozowana po raz pierwszy.

W miejscowości, która u schyłku ZSRR liczyła pięć tysięcy mieszkańców, nie było rodziny, w której ktoś nie zmarłby na raka, w tym na tak rzadkie jego odmiany, jak rak języka, oczu czy małżowiny usznej. Dziewięć na dziesięć osób miało obniżoną odporność. Na każde sto dzieci czworo–pięcioro rodziło się z uszkodzeniami centralnego układu nerwowego. Pod koniec XX wieku

w Kajnarze żyło już tylko dwa tysiące czterysta osób, a dziesięć lat później – niespełna tysiąc dziewięćset. Obecnie jest ich tysiąc czterysta.

W innej dużej wsi, w której do 1949 roku nie odnotowano żadnego przypadku deformacji wśród noworodków, z wadami wrodzonymi rodziło się czterdzieścioro czworo na tysiąc dzieci.

W Semipałatyńsku nowotwory wątroby i krtani diagnozowano siedem razy częściej niż średnio w całym ZSRR.

W 1964 roku sowiecki bard Włodzimierz Wysocki napisał piosenkę *Marsz studentów fizyków*, znaną też po prostu jako *Marsz fizyków*. Refren brzmiał:

> Natury tajemnice odkryć nadszedł czas –
> Natura tajemnice w cząstkach trzyma,
> Lecz my z atomu wyciągniemy je za twarz,
> Z butelki wypuścimy wreszcie dżina!

Wypuścili.

Chyba najgorsza jest przypadkowość. Nie wiadomo, kto z napromieniowanych zachoruje, a kto nie – i dlaczego (mówimy tu, rzecz jasna, o względnie małych dawkach, przy odpowiednio wysokich śmierć jest nieunikniona). Da się w miarę dokładnie wyliczyć, ile ofiar pochłonie wybuch jądrowy, ale nie można ich wcześniej wskazać. Wielokrotny wzrost zachorowań na nowotwory tarczycy, zdiagnozowane u dzieci na Ukrainie i Białorusi w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, to bez wątpienia skutek katastrofy w elektrowni jądrowej w Czarnobylu w kwietniu 1986 roku. Nie sposób jednak stwierdzić, za które konkretnie przypadki odpowiadał feralny reaktor. Bo rak tarczycy, choć bardzo rzadko, zdarzał się u tamtych dzieci już wcześniej.

Przy promieniowaniu jonizującym trudno mówić o dawce bezpiecznej – mimo istnienia odpowiednich norm i występującego w przyrodzie tak zwanego promieniowania tła (czyli naturalnego). Nie ma jednak progu promieniowania, poniżej którego prawdopodobieństwo wystąpienia efektów biologicznych byłoby równe zeru. Jeśli zmniejszymy dawkę, zmniejszy się liczba porażonych, ale nie stopień porażenia tych, na których wypadło. Zmniejszając dawkę x razy i jednocześnie zwiększając x razy liczbę napromieniowanych, nie zmniejszymy ogólnej liczby ofiar – będzie ich tyle samo. I tak samo chorych.

Nie ma miejsca wystarczająco oddalonego, by być bezpiecznym. Po wybuchu w atmosferze, nad ziemią albo na jej powierzchni, radioaktywne

opady rozprzestrzenią się na całą półkulę. Chociaż dzięki jej krzywiźnie ci, którzy mieszkają dalej, będą mniej poszkodowani.

Dla promieniowania nie istnieje też bariera czasu. Poprzez uszkodzone – i dziedziczone – DNA może razić pokolenia, które się jeszcze nie urodziły. Dlatego w Japonii mężczyźni nie chcieli się żenić z kobietami z Hiroszimy i Nagasaki.

„Owa anonimowość czy też statystyczność tragicznych następstw doświadczeń jądrowych i termojądrowych stwarza specyficzną sytuację psychologiczną, w której różni ludzie czują się rozmaicie" – pisał Andriej Sacharow. Uczony czuł się z tym coraz gorzej. Stopniowo oddalał się od linii partii i komunistycznej ortodoksji, aż w końcu przeszedł na drugą stronę i został dysydentem. Działalność na rzecz obrony praw człowieka przyniosła mu – twórcy broni masowej zagłady! – pokojową Nagrodę Nobla. Ale Igor Kurczatow do końca życia myślał inaczej. W ostatnim publicznym wystąpieniu powiedział: „Jestem szczęśliwy, że urodziłem się w Rosji i że poświęciłem swoje życie nauce atomowej wielkiego Kraju Rad. Wierzę głęboko i wiem na pewno, że nasz naród, nasze władze wykorzystają jej osiągnięcia jedynie dla dobra ludzkości". Dowiódł, że można być wybitnym uczonym i jednocześnie skończonym durniem. Pierwsze z przytoczonych zdań wyryto na poświęconej Kurczatowowi tablicy, znajdującej się w kazachskim Narodowym Centrum Jądrowym, utworzonym na miejscu dawnej siedziby kierownictwa poligonu.

4

Poligon zajmował obszar niewielkiego państwa, takiego jak Kosowo albo Liban. Z północy na południe rozciągał się na niemal dwieście kilometrów, a z zachodu na wschód – na prawie sto pięćdziesiąt. Trudno to sobie wyobrazić, ale był i tak sporo mniejszy od Karłagu.

Nazwano go semipałatyńskim, ale prawdziwą stolicą atomowego imperium został nowy ośrodek, wybudowany od zera o dwie godziny jazdy od miasta. Był tak tajny, że długo nie miał nawet nazwy. W końcu w 1974 roku dostał imię po słynnym fizyku.

Dziurawa droga z Semeja do miasta Kurczatow biegnie wzdłuż Irtysza. Na ostatnim odcinku – skrajem dawnego poligonu. Po drodze – pagórkowaty step, niska roślinność. Konie, barany, ptaki. Wiatrem rozkołysane złota wełnica

Pobrano ze strony pijafka.pl

i wysoka stepowa trawa, jak wzburzone wody, roztrącały swe spienione fale na krzaczastych grzebieniach srebrnobiałej spirei. Od czasów Kennana nic się tu nie zmieniło. Sielanka.

Kate Brown, profesor historii na Uniwersytecie Maryland, w książce *Plutopia. Atomowe miasta i nieznane katastrofy nuklearne* zauważyła: „Na ogół jest tak, że kiedy patrzysz na katastrofę ekologiczną, to o tym wiesz. Katastrofy w widoczny i wyczuwalny sposób burzą naturalny porządek. Kojarzą się ze smrodem, dymem i paskudnymi szramami na krajobrazie. Tymczasem z tym sympatycznym strumykiem [Tieczą na południowym Uralu, na ziemiach Tatarów i Baszkirów] wszystko było w jak najlepszym porządku. Powietrze pachniało rześko. Nad wodą śmigały jaskółki. Robiło się gorąco i ogarnęła mnie chęć przeciągnięcia stopą po gładkich kamieniach na dnie rzeki, jakby przywoływała mnie jakaś syrena. Nie było ogrodzenia ani znaków ostrzegawczych, które by mnie przed tym powstrzymywały. Musiałam sama sobie przypomnieć, że stoję nad najbardziej napromieniowaną rzeką świata. Nigdy nie widziałam bardziej urodziwej i kuszącej katastrofy, mniej zasługującej na to miano”.

Dziś wjazd do Kurczatowa jest swobodny. Nielicznych przybyszów wita tablica z napisem: „Od narodowej tragedii do narodowej dumy”. Tak reklamuje się Narodowe Centrum Jądrowe Republiki Kazachstanu, pracujące teraz nad „pokojowym atomem”.

Aby wejść do środka, potrzebna jest przepustka, ale to żaden problem: wszystkie firmy turystyczne w Semeju mają w swojej ofercie zwiedzanie poligonu. Można się nawet wybrać do epicentrum pierwszego wybuchu z 1949 roku. Można obejrzeć atomowe jeziora powstałe w wyniku eksplozji. Miejscowi łowią w nich ryby i śmieją się z turystów, którzy muszą zakładać – to wymóg Narodowego Centrum Jądrowego – kombinezony ochronne.

W samym Centrum jest muzeum poligonu. Największe wrażenie robi oryginalny pulpit sterowniczy, z którego odpalano pierwsze bomby: lampki cały czas się tam świecą, zegary też pozostają w gotowości. Aby uruchomić proces, potrzebne były dwa klucze, jeden miał dowódca poligonu, drugi – uczony odpowiadający za projekt. Ebonitowy telefon łączył bezpośrednio ze Stalinem (można podnieść słuchawkę i zrobić sobie w takiej pozie zdjęcie). Po naciśnięciu odpowiedniego przycisku na makiecie pola doświadczalnego zapala się czerwone światełko symbolizujące bombę. I każdego przechodzą ciarki.

„Nie mogłem nie uświadamiać sobie – to znowu Sacharow – jak strasznymi, nieludzkimi sprawami się zajmujemy. Ale przecież dopiero co zakończyła się wojna – równie nieludzka. W tamtej wojnie nie byłem żołnierzem – jednakże czułem się nim w tej, naukowo-technicznej. […] Z czasem dowiedzieliśmy się lub sami doszliśmy do takich pojęć jak równowaga strategiczna, wzajemne zastraszenie termojądrowe itp. Również i teraz myślę, że w tych globalnych ideach rzeczywiście tkwi jakieś (być może nie w pełni przekonywające) intelektualne usprawiedliwienie wytworzenia broni termojądrowej i naszego w tym udziału. Wówczas odczuwaliśmy to wszystko raczej emocjonalnie. Potężna, niszcząca siła, ogromny trud, konieczny do jej uzyskania, środki zabierane wynędzniałemu, głodującemu po wojnie krajowi, ofiary ludzkie w szkodliwych dla zdrowia i życia zakładach i katorżniczych obozach pracy przymusowej – wszystko to nasilało poczucie tragizmu, zmuszające do myślenia i pracowania w taki sposób, by wszystkie te ofiary (traktowane jako nieuniknione) nie poszły na marne”.

Nikita Chruszczow, który rządził Związkiem Sowieckim na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, stwierdził, że „dla uratowania ludzkości warto poświęcić sto tysięcy, albo nawet sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi”. A marszałek Aleksandr Wasilewski, sowiecki minister obrony (w latach 1949–1953, czyli wtedy, gdy startował poligon i odbywały się pierwsze próby), skwitował obawy badaczy słowami: „Co wy się tak, towarzysze uczeni, przejmujecie?! Każde ćwiczenia wojskowe pociągają za sobą ofiary”.

Listy do miasta Kurczatow trzeba było początkowo adresować na „Moskwę 400”.

– W mieście była moskiewska szkoła numer 20, która wydawała absolwentom moskiewskie świadectwa. Nauczyciele też byli z Moskwy. – Chamit Kairżanow przyjechał tutaj w 1974 roku, kiedy reżim tajności nieco zelżał. Był nauczycielem wychowania fizycznego, specjalizował się w siatkówce. Teraz jest na emeryturze i dorabia do niej jako przewodnik. To on oprowadzał mnie po Kurczatowie. – Szkoła numer 21 znajdowała się nieopodal, w Szaganie, miasteczku zbudowanym w stepie dla obsługi lotniska. A moskiewskie szkoły 19 i 22 były normalnie w Moskwie.

Długo nie było cmentarza. Skoro miasto oficjalnie nie istniało, to nikt nie mógł przecież w nim ani żyć, ani umrzeć. Ciała zmarłych zabierano do miejsc, z których pochodzili.

Kiedy dociągnięto tu bocznicę kolejową, ostatnią stację nazwano po prostu: Krańcowa. Tak też zaczęto z czasem nazywać całe miasto – Stacja Krańcowa (Stancija Koniecznaja). Na mapach spotykało się czasem nazwę Mołdary – od kazachskiej wioski, która istniała wcześniej w tym miejscu. Potem był jeszcze Semipałatyńsk-21.

Miasto Kurczatow miało obsługiwać poligon, najważniejsze były więc laboratoria i koszary. Ale z czasem obrosło infrastrukturą, pojawiły się szpital, dom kultury i drobne zakłady z branży niezbrojeniowej.

– Ludzie żyli jak pączki w maśle – opowiadał Kairżanow. – Zaopatrzenie było tutaj moskiewskie.

Moskiewskie, czyli najlepsze z możliwych.

Kazachów dało się policzyć na palcach. Dzieci Kairżanowów nie mówiły po kazachsku.

– Bo w szkole wszystko było po rosyjsku, a kolegami byli sami Rosjanie – tłumaczył przewodnik. Ale jego wnuk zna już język ojczysty. Też oprowadza wycieczki, tyle że po samym poligonie (do miejsca pierwszej próby jest stąd w linii prostej czterdzieści pięć kilometrów. Drogą – około sześćdziesięciu). Tak jak dziadek pracuje w Narodowym Centrum Jądrowym.

Po upadku ZSRR i zamknięciu poligonu ponaddwudziestotysięczna populacja zmniejszyła się o połowę. Wyjechali wojskowi, lekarze, część kadry naukowej. Po kilku–kilkunastu latach w to miejsce zaczęli ściągać Kazachowie, także zza granicy. Przyciągały ich tanie mieszkania i nowe miejsca pracy. Dzisiaj stanowią ponad połowę mieszkańców (odsetek Rosjan spadł do niespełna czterdziestu procent). Postawili już pierwszy meczet.

Poza Narodowym Centrum Jądrowym wiele do zwiedzania w Kurczatowie nie ma: główny plac otoczony z trzech stron piętrowymi, socrealistycznymi gmachami (w jednym z nich Kurczatow mieszkał i pracował). Pomnik Kurczatowa pośrodku placu. I lekko zapuszczony bulwar nad Irtyszem. Z tego bulwaru obserwował rzekę Sacharow: „Miasteczko, w którym się rozlokowaliśmy, znajdowało się nad samym brzegiem Irtyszu. W połowie listopada zobaczyłem po raz pierwszy spływ kry, zjawisko normalne dla rzek syberyjskich płynących z południa na północ, dla mnie jednak, który spędziłem całe życie w europejskiej części kraju, zadziwiająco piękne, nowe, urzekające widowisko! Ciemne wody Irtyszu z tysiącami zawirowań, zataczając zakola, niosły na północ mlecznoniebieskie tafle, zderzając je ze sobą i piętrząc. Chciało się godzinami w to wpatrywać, do bólu oczu i zawrotów głowy.

Przyroda objawiała swoją pierwotną potęgę, wobec której wszystko, co jest dziełem człowieka, wydaje się nędzną imitacją”. (Irtysz był jedną z syberyjskich rzek, której bieg chcieli zmienić komuniści. Skończyło się na liczącym pół tysiąca kilometrów Kanale Irtysz–Karaganda, przekopanym w latach 1962–1974. Zaczyna się on powyżej Semeju i Kurczatowa – i dostarcza wodę do górniczej metropolii).

W sierpniu 1949 roku w stojącym nieopodal bulwaru domku dowódcy poligonu zatrzymał się Beria. Ławrientij Pawłowicz, który był wtedy sowieckim wicepremierem i miał stopień marszałka, osobiście nadzorował budowę radzieckiej bomby atomowej. Musiał zobaczyć pierwszą próbę. Przywiózł ze sobą dwie listy, na których widniały te same nazwiska uczonych. Pierwsza obejmowała nominowanych do najwyższych państwowych odznaczeń i miał ją podpisać, jeśli próba się powiedzie. Na drugiej znaleźli się skazani na rozstrzelanie zdrajcy i sabotażyści. Gdyby coś poszło nie tak.

Dziś budyneczek zdobi kopułka z prawosławnym krzyżem. W środku niedawno ulokowała się cerkiew poświęcona Matce Boskiej Kazańskiej.

Szagan (z rosyjska – Czagan) nie miał szans się odrodzić. W samym mieście, leżącym przy trasie Kurczatow–Semej, nie mieszka już nikt. Ludzie zostali tylko w rozrzuconych chaotycznie po okolicy domach, które też zaliczają się do miasta. Większość – czyli personel lotniczej bazy wojskowej wraz z rodzinami – wyjechała po rozpadzie ZSRR do Rosji. Pozostali przenieśli się na drugą stronę szosy, byle dalej od tych ruin. W 2009 roku odnotowano 725 osób, 361 mężczyzn i 364 kobiety. Dziesięć lat później liczba mieszkańców wyniosła 727.

W chwili największego rozkwitu Szagan liczył dwanaście tysięcy mieszkańców i też był ściśle tajny i zamknięty, a nazywał się – Semipałatyńsk-4. Tutejszy pas startowy o długości czterech kilometrów i szerokości stu metrów oraz betonowej nawierzchni mógł przyjmować wszystkie samoloty świata. Było to zapasowe lotnisko dla kosmicznego wahadłowca Buran. Na co dzień stacjonowała tu dywizja strategicznych bombowców dalekiego zasięgu.

Miasto, wybudowane w latach pięćdziesiątych dla obsługi bazy strategicznych bombowców dalekiego zasięgu, przestało istnieć po rozpadzie ZSRR. Szagan, 2018

Budowano Szagan kilka lat, od roku 1954 do 1961, a rozebrano w kilka tygodni. Po wyjeździe personelu bazy szturm na miasto przypuścili szabrownicy, ale nie amatorzy zainteresowani klamkami, klozetami, parapetami czy inną drobnicą, lecz zawodowcy z ciężkim sprzętem, nastawieni na hurt. Wywieźli wszystko oprócz ścian: framugi, poręcze z klatek schodowych, balkonowe balustrady. Z ziemi wykopali rury, przewody, instalacje. Złom sprzedali do Chin. (Wkrótce po zamknięciu poligonu złomiarze zaatakowali sztolnie, w których dokonywano podziemnych prób jądrowych, i rozebrali konstrukcje pozostałe na powierzchni. Nikt nie wie, ile skażonego metalu wywieźli i ilu z nich przypłaciło to życiem. Dziś teren jest gorzej czy lepiej pilnowany, a sztolnie – zaczopowane betonem).

Szagan wygląda jak dekoracja do filmu grozy. Jakby od razu postawiono te ruiny. Nie sposób sobie wyobrazić, że kiedyś toczyło się tutaj normalne życie.

– W ostatnim czasie ktoś zaczął kupować w Szaganie ziemię – podzielił się plotką semejski dziennikarz, gdy byłem w tym mieście po raz drugi. – Mówi się, że w Kurczatowie powstanie elektrownia atomowa. Jeśli tak, to cały ten teren zostanie znów zamknięty, a państwo wykupi prywatne działki za dobre pieniądze.

Mało to prawdopodobne. Elektrownia ma powstać bardziej na południu. Nikt o zdrowych zmysłach nie będzie kombinował z atomem w Semeju.

5

Pieriestrojka miała w Kazachstanie kolor zieleni. Do pierwszych masowych wystąpień doszło wprawdzie na tle politycznym – gdy ludzie wyszli na ulice w proteście przeciwko zastąpieniu Kazacha Rosjaninem na stanowisku pierwszego sekretarza. Ale wkrótce motorem zmian stali się ekolodzy ze społecznego ruchu Nevada-Semipałatyńsk żądający zaprzestania prób jądrowych na całym świecie. Petycję w tej sprawie podpisały dwa miliony ludzi. I na kilka miesięcy przed rozpadem ZSRR, w sierpniu 1991 roku, prezydent Nursułtan Nazarbajew zamknął kazachstański poligon. Główną postacią ruchu antynuklearnego był znany pisarz Olżas Sulejmenow, autor wydanego także w Polsce poematu *Gliniana księga*, późniejszy ambasador Kazachstanu we Włoszech i przy UNESCO.

Ostatnią bombę zdetonowano w maju 1995 roku. Spoczywała w sztolni od lat osiemdziesiątych i długo zastanawiano się, co z nią zrobić. Niepodległy Kazachstan zrezygnował z broni jądrowej.

O przeszłości przypomina semejski park na wyspie na Irtyszu. Są tam kamień z epicentrum wybuchu w Hiroszimie i kompozycja, która nazywa się *Silniejsze od śmierci*: pod stylizowanym atomowym grzybem, wyciętym w wysmukłej kamiennej steli, przysiadła tuląca dziecko kobieta. W przyszłości na wyspie ma powstać antyatomowe i antywojenne muzeum. Powinien znaleźć się tam dział historii mówionej. W mieście jest czego posłuchać.

Historyczka z miejscowego uniwersytetu, doktor Ajgul Nurabajewa:

– Sąsiedzi mają syna z zespołem Downa, dziewiętnastolatka, takiego wesołego, przylepnego. Wychowują go normalnie. Czy mają żal do władzy radzieckiej za poligon? Nie bardzo. Tak się zdarzyło i już. Dopust Boży.

Prawosławny katecheta Witalij Jawkin:

– Moja nauczycielka od matematyki jako dziecko obserwowała wybuch z jakiegoś dachu. Ciągle o tym opowiadała. Dożyła ładnego wieku, ale miała z pięćdziesiąt chorób.

Strażnik z Muzeum Historyczno-Krajoznawczego:

– Kolega dostał powołanie do wojska. Zabrali go do Moskwy, a potem wysłali dokądś samolotem. Nie mówili dokąd. Okazało się, że w rodzinne strony, na poligon do Kazachstanu. Zorientował się po trawach na stepie. Znał się na tym, bo pochodził ze wsi. Już dawno nie żyje.

Semipałatyński dziennikarz:

– Pisałem o pladze samobójstw młodych mężczyzn. Powodem była impotencja po napromieniowaniu.

Ajgul Nurabajewa o weteranie poligonu Grigoriju Kulebie:

– Opowiadał, jak kilka dni po wybuchu jądrowym żołnierze gołymi rękami rozkopywali zapadlisko i wydostawali aparaturę pomiarową. Szła im krew z nosa, wypadały włosy. Śmiali się z tego, bo nie rozumieli, co to oznacza.

Historyczka boi się, że z czasem będzie jeszcze gorzej.

– Z badań przeprowadzonych tutaj przez Japończyków wynika, że najbardziej ucierpi ósme pokolenie napromieniowanych. Podobno w ich genach wszystko się skumuluje. Na razie mamy dopiero trzecie.

Wkrótce pojawi się czwarte.

Podróż 2022. Astana – Stambuł – Warszawa

Zawsze, kiedy wyjeżdżam z Kazachstanu, czuję niedosyt.

Podróż się kończy, właściwie już się skończyła, a ja kolejny raz nie dotarłem do kazachskich kresów zachodnich, do europejskiej części kraju i miasta Uralsk, czyli Orał. Byłem tylko w Atyrau. Od dawna obiecuję sobie wypad na kazachską północ, do Petropawła i okolic. Muszę też wreszcie zjeździć pogranicze z Chinami, które znam wyrywkowo. Chciałbym odwiedzić Żarkent i przekroczyć Bramę Dżungarską – to przez nią zdążali niegdyś do Karakorum franciszkanie Giovanni da Pian del Carpine i Benedykt Polak.

Już w samolocie planuję nową podróż – w stronę Chin.

Chiny, drugi potężny sąsiad Kazachstanu, na co dzień dają tu o sobie znać rzadziej niż Rosja. Wobec pomruków rosyjskiego niedźwiedzia Kazachom nie tak straszny jest oddech chińskiego smoka. W centrum i na zachodzie kraju prawie go nie odczuwają, choć i tam sklepy zalane są chińskim towarem. Pekin działa inaczej niż Moskwa, od nagiej siły fizycznej woli presję ekonomiczną (która może być nie mniej brutalna!) i zakulisowe gry. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych wytargował od Astany półtora tysiąca kilometrów kwadratowych terytoriów pogranicznych. W podobnych umowach ziemie przekazywały Chinom Kirgistan i Tadżykistan.

Chiny i Rosja oraz trzy graniczące z Chinami republiki Azji Centralnej utworzyły tak zwaną szanghajską piątkę, przekształconą w 2001 roku – po dołączeniu się Uzbekistanu – w Szanghajską Organizację Współpracy (obecnie skupia ona szersze grono członków i obserwatorów). Deklarowanym celem była regionalna stabilność, ale w praktyce organizacja stała się platformą neutralizacji napięć i ucierania się interesów między Pekinem a Moskwą. Z biegiem lat Chiny, które długo nie traktowały nowych niepodległych państw poważnie, zdominowały region gospodarczo. Rosji pozostawiły kwestie bezpieczeństwa.

Rozpychanie się wschodniego sąsiada budziło opory, narastała sinofobia i kiedy chińskie firmy coś w regionie budowały, sprowadzeni z Chin robotnicy musieli mieszkać na odludziu, w kontenerowych osiedlach, żeby nie rzucać się w oczy. Chińczycy byli i są w regionie obcy, Rosjan, mimo kolonialnej

przeszłości i wypowiedzi kwestionujących prawo Kazachstanu i innych krajów do bytu, długo traktowano jak swojaków. Do czasu.

Być może właśnie pod naciskiem Pekinu Moskwa tak szybko wycofała swe oddziały wysłane do Kazachstanu na początku 2022 roku, gdy kraj ogarnęły zamieszki. W następnych miesiącach Chiny wielokrotnie deklarowały wsparcie dla kazachstańskiej państwowości. Z jednej strony był to znak, że wreszcie zaczęły dostrzegać państwa Azji Centralnej i się z nimi liczyć. Z drugiej – czytelny sygnał dla Moskwy: nie pozwolimy na żadne awantury, to już nie jest wasze podwórko. Stary porządek legł w gruzach. W nowym rola Chin będzie na pewno jeszcze większa.

Książka się kończy, już się prawie skończyła, a ja nie napisałem prawie nic o islamie. Zwłaszcza tym tradycyjnym.

Kazachowie nie uchodzą za muzułmańskich ortodoksów. Uważa się, że wśród niedawnych koczowników – dotyczy to także Kirgizów i Turkmenów – religia ta nie zakorzeniła się zbyt głęboko i nie wyparła starszych wierzeń, w tym kultu przodków. Czokan Walichanow opisywał, jak na ubitej ziemi spotkali się przywódcy dwóch rodów i jeden wzywał na pomoc Allaha, a drugi – swojego antenata[20]. Na przeciwnym biegunie mają się sytuować Uzbecy i Tadżycy. Przedstawiciele kazachskiej inteligencji – zwłaszcza tej starszej, do szpiku kości świeckiej i rosyjskojęzycznej – lubią powtarzać, że islam nigdy nie był dla Kazachów religią, tylko obrzędem.

To nie do końca prawda. Po pierwsze, plemienna arystokracja miała zwykle całkiem dobre wykształcenie religijne – a często też świeckie. Ojciec poety Abaja, Kunanbaj, odbył hadżdż i za swoje pieniądze wybudował w Mekce dom gościnny dla pielgrzymów Kazachów. Sam Abaj ukończył szkołę duchowną (medresę) w Semipałatyńsku i uważał, że należy kształcić również dziewczynki. Po drugie, Kazachstan to nie tylko stepy, gdzie trzeba się krzątać przy koniach, wielbłądach i owcach, i rzeczywiście – nie sposób przestrzegać wszystkich postów i modlić się pięć razy dziennie, a do meczetu chodzi się od wielkiego dzwonu (choć nie musi to wykluczać głębokiej wiary). To także oazy na południu kraju.

Dla muzułmanów najważniejszą z nich jest miasto Türkystan – Turkiestan. Znajduje się tam mauzoleum Chodży Ahmada Jasawiego, XII-wiecznego mistyka i islamskiego świętego, a przy tym wybitnego poety tworzącego w języku z grupy turkijskiej. Tak o nim pisał Zdzisław Nowicki, następca

profesora Marka Gawęckiego na stanowisku ambasadora Polski w Kazachstanie i Kirgistanie: „Interesowało go i poruszało wszystko – światowe życie, losy rządzących, jak i losy prostego ludu. Jako niezwykle mądry człowiek rozumiał życie we wszystkich jego przejawach […]. Chodża występował publicznie nie tylko jako kierownik duchowy, ale także jako mądry działacz państwowy. W swoich naukach duchowych, wierszach i traktatach reagował na otaczające go zło. Robił to zawsze, kiedy czuł, że jego otwarte, szczere słowo może przynieść korzyść ludowi; kiedy był wewnętrznie przekonany, że musi mówić głośno, musi wołać. Wzywał lud do tolerancji wobec innowierców. Pisał: »Jeśli stanie przed tobą niewierny, nie znieważaj go. Od surowego serca, od duszy tego, co rzuca obelgi, odwraca się Pan. O Allahu Prawdziwy! Takiemu słudze przygotowano dno piekieł!«.

Według legendy Jasawi został zmuszony – i był to przymus wewnętrzny – do odejścia od światowych marności, by modlitwą i postem służyć tylko Bogu. Zamieszkał w podziemnej celi, nieopodal meczetu, w mieście Jassy [czyli dzisiejszym Turkiestanie]. Tam spędził ostatnie lata swego życia. Zmarł według różnych źródeł w 1166 lub 1167 roku i jako wielki święty został pochowany w tychże Jassach, w wybudowanym specjalnie dla niego mauzoleum, które niemal natychmiast zamieniło się w miejsce kultu. Od stuleci podążają do grobu świętego pielgrzymi, podążają całe pokolenia wyznawców islamu z Azji Środkowej. I jak zawsze na Wschodzie – tam, gdzie pielgrzymi, tam i handel, gdzie zaś handel – tam kwitnące miasta”.

Jasawi nie był Kazachem. Nie sposób przypisać go do żadnego ze współczesnych narodów. Chociaż język czagatajski, którym się posługiwał, dał początek uzbeckiemu i ujgurskiemu i wywarł spory wpływ na turkmeński. Ale wielki święty i poeta jest częścią kazachskiego dziedzictwa. Tak samo jak mauzoleum, które kazał mu wznieść Timur Chromy, zwany Tamerlanem (sam umrze w pobliżu Jassów). Nigdy nie zostało ukończone, ale i tak rzuca na kolana. Czterdziestometrowy kolos wydaje się nie z tego świata. „Stanąłem pod portykiem, maleńki jak mrówka” – notował swoje wrażenia brytyjski pisarz i podróżnik Colin Thubron. Mauzoleum łączy w sobie potęgę i finezję klasycznej gotyckiej katedry.

Byłem w Turkiestanie dwa razy, ale dosyć dawno, w latach 2007 i 2016. To, co zrobił z miastem Nazarbajew, widziałem już tylko na zdjęciach. W 2018 roku, niedługo przed swoją formalną rezygnacją, ogłosił on plan odrodzenia miasta jako duchowej stolicy Kazachstanu i wszechświatowego

ośrodka kultury turkijskiej. W ciągu następnych dwóch lat w Turkiestanie zbudowano ćwierć tysiąca obiektów – całe stylizowane na Orient kwartały, kanały, po których, jak w Wenecji, można pływać łódką, centra handlowo-rozrywkowe, nowoczesne lotnisko. Liczba ludności, która do niedawna nie przekraczała stu tysięcy, potroiła się.

Pomnik Nazarbajewa stanął przed siedzibą lokalnych władz. Polityk został przedstawiony w luźnej pozie, bez krawata i z powiewającymi na wietrze połami marynarki, z bukietem kwiatów w ręku. Na postumencie zamiast nazwiska i funkcji umieszczono skromny napis: „Syn Wielkiego Stepu".

Mało mu było Astany i zamachnął się na święty Turkiestan – ów, jak pisał Zdzisław Nowicki, najjaśniejszy w kraju ośrodek myśli islamskiej, którego sława „przetrwała nawet bolszewicką noc ciemną".

Z wiecznym państwem intuicja Nazarbajewa nie zawiodła, ale nad islamem nie udało mu się zapanować.

O salafitach, czyli wyznawcach islamu czystego, bez lokalnych naleciałości, pisałem przy okazji Aktobe. Wspominałem, że byli na cenzurowanym. Ale oprócz radykałów ściganych przez policję i służby nie brakowało takich, którym włos z głowy nie spadł. Nurłan Alnijazow, potomek uczonych kazachskich teologów i znawca islamskich ruchów fundamentalistycznych, opowiadał mi, jak poznał w Afganistanie rodaka salafitę, a potem spotkał go w Ałmatach, śmigającego bmw i drwiącego z legitymującej go drogówki.

– Musiał mieć wysoko postawionych patronów – domyślał się Nurłan, a było to pod koniec lat dwutysięcznych. Za zwolenników radykalnego islamu uchodzili bratankowie Nazarbajewa: Samat Abisz, zastępca szefa Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego, a zwłaszcza jego starszy brat, Kajrat Satybałdy, znany biznesmen, skazany we wrześniu 2022 roku za korupcję na sześć lat pozbawienia wolności i konfiskatę majątku. To by wyjaśniało, dlaczego w Ałmatach w trakcie styczniowych zajść pojawiło się kilkuset brodatych mężczyzn – Abisz i Satybałdy mogli skrzyknąć swoich ludzi i wykorzystać ich do rozgrywki przeciwko Tokajewowi. I od biedy tłumaczyłoby wersję prezydenta, że za zamieszkami stali terroryści inspirowani radykalnym islamem.

Aktywista Maks Bokaj z Atyrau siedział z radykałami w więzieniu.

– Jednego spytałem, dlaczego został salafitą – wspominał. – Odpowiedział mi, że Nazarbajew zrobił z konstytucji papier toaletowy: bez przerwy ją

zmienia, przerabia, przykrawa do swoich potrzeb. A poza tym ona ma dopiero ćwierć wieku. Nasz Koran, tłumaczył ten współwięzień, ma prawie półtora tysiąca lat i przez ten czas nie zmienił się tam nawet przecinek. To co może dać pewniejsze oparcie?

Trudno zbić taki argument.

Im bardziej Kazachstan będzie się kazachizował, tym bardziej będzie islamski. A kazachizacji nie da się już zatrzymać. Kazachski żywioł wyprze z czasem sowieckie multi-kulti zbudowane na kolonizatorach, łagiernikach, zesłańcach, celinnikach i budowniczych fabryk.

Profesor Krzysztof Rybiński mieszkał w Ałmatach w pobliżu meczetu.

– W piątek między czternastą a osiemnastą nie dawało się tam wjechać, taki był ruch i tyle stało samochodów – opowiadał mi. A było to w latach 2015–2018, za późnego Nazarbajewa. Na kilka lat przed agresją Rosji na Ukrainę, która dała prawdziwy początek kulturowej dekolonizacji. – Boję się, że islamizacja zabierze kobiety z rynku pracy – mówił Rybiński. – Tymczasem Kazachstan opiera się na kobietach. Mężczyźni puszą się, szpanują, muszą mieć asystenta, biuro w prestiżowym miejscu i wypasioną brykę, a kobiety zasuwają.

No właśnie, mało napisałem także o kazachskich kobietach – ale to temat na całą książkę. Wiele wątków z *Wiecznego państwa* zasługuje na odrębną książkę.

Australijski podróżnik Tim Cope, który w ciągu trzech lat (2004–2007) pokonał konno drogę z Karakorum na Węgry, przemierzając wzdłuż Wielki Step, nazwał Kazachstan stalinowską Szambalą. Szambala to mityczna kraina w Tybecie, wspominana w tekstach hinduistycznych i buddyjskich, raczej duchowa niż rzeczywista – choć nie brakowało śmiałków, którzy wyruszali na poszukiwanie tajemnego wejścia do niej. Nikołaj Roerich, wielki rosyjski malarz, myśliciel i podróżnik, napisał: „Kto nie wie nic o żywotnym znaczeniu Szambali, nie ma prawa twierdzić, że poznał Wschód i czuje puls współczesnej Azji” (mowa tu o okresie międzywojennym, kiedy Roerich badał w trakcie pięcioletniej ekspedycji pogranicze chińsko-indyjsko-sowieckie).

A Cope miał zapewne na myśli Kazachstan ukryty przed postronnym spojrzeniem – świat łagrów, osiedli dla przesiedleńców i zamkniętych miast. Ale stepową Szambalą, do której docierają nieliczni, a inni nawet nie domyślają się jej istnienia, jest również wieczne kazachskie państwo. Australijczyk dotknął tej rzeczywistości, chociaż o idei Mangilik El nie mógł słyszeć, bo zakiełkowała

ona w głowie Nazarbajewa później: „Aset nalegał, abyśmy rozbili namiot w pobliżu starego kazachskiego grobowca pod miastem. Była to wysoka ceglana kopuła, zwietrzała na szczycie, o kształcie przypominającym gigantyczną popękaną, ustawioną pionowo wydmuszkę po jajku. Zmarłego złożono w niej przed kilkuset laty, a w miarę erozji budowli przed jego duchem otwierała się droga do niebios. Tego typu grobowce, często występujące w grupach zwanych »milczącymi aułami«, pojawiły się w XV wieku, kiedy wędrowni suficcy derwisze skutecznie przekonali nomadów z kazachstańskiego stepu do przyjęcia islamu. Tradycja wielkiego szacunku względem zmarłych jest jednak wśród nomadów znacznie starsza jako element tengryzmu, szamańskiej religii dzielonej ongiś z Mongołami. Przez tysiące lat wierzyli oni, że niebo i ziemię zamieszkują duchy, które mogą okazywać życzliwość bądź niechęć, zależnie od postępowania człowieka.

Nazajutrz rano Aset odezwał się do mnie niepewnym głosem:

– Mieliśmy w nocy gościa. Starzec z grobowca. Tak się zdarza, przyszedł, żeby sprawdzić, co porabiamy.

I dodał jeszcze:

– Radziłbym ci, jak będziesz sam, żebyś zawsze szukał tych grobowców. Starcy ze stepu cię ochronią. Najlepiej w ogóle spać w środku”.

Ta nieoczywistość, ta kusząca nieuchwytność Kazachstanu. To nie Uzbekistan z olśniewającymi zabytkami Samarkandy, Buchary i Chiwy, które przybysz dostaje na tacy. To nie spektakularne góry Kirgistanu i ostentacyjne piękno górskiego Tadżykistanu (w Kazachstanie są i piękne widoki, i cenne pomniki kultury – ale wszystko przytłacza pozorna monotonia stepu). To nie szaleństwo Turkmenistanu: futurystyczne gmachy stepowej Astany blakną przy onirycznej architekturze pustynnego Aszchabadu. Do kazachskości trzeba się dokopywać, dogrzebywać. Przebijać przez pancerz Sowieta, wielkiego przemysłu, łagrów, martyrologii.

W Kazachstan wchodzi się z mozołem. Powoli.

Tydzień po powrocie do Polski przeczytałem na Twitterze (serwis zmieni nazwę na „X” rok później) wpis mojego kolegi: „Amsterdam dziś rano. @Schiphol. Przyjechałem dwie godziny przed odlotem… wielki namiot długi pewnie na kilometr przed wejściem, a w nim zawijająca się kolejka…”. Do postu dołączony był kilkusekundowy filmik.

Tamtego lata podobne sceny rozgrywały się na lotniskach Barcelony, Londynu, Brukseli, Frankfurtu, Paryża. Loty odwoływano albo były bardzo opóźnione, masowo ginęły bagaże. Pasażerowie nie mogli się dostać na samolot. Podczas pandemii służby lotniskowe masowo zwalniały personel i teraz, gdy wrócili turyści, brakowało rąk do pracy. Doszły do tego strajki.

Ja takich kłopotów nie miałem. Na wszystkich ośmiu lotniskach – oprócz warszawskiego Chopina także w Stambule, Taszkencie, Ałmatach, Astanie, Aktau, Atyrau i Aktobe – obsługa była sprawna, a kolejki nie dłuższe niż zwykle.

Tak, lepiej jeździć na Wschód. Tam zawsze jest cywilizacja.

Podziękowania i bibliografia[21]

Jeżdżę do Kazachstanu od prawie trzydziestu lat. W czasie podróży oraz w związku z nimi zetknąłem się z dziesiątkami wspaniałych ludzi, którzy wielokrotnie, na różne sposoby okazali mi pomoc. Niektórzy pojawiają się w tej książce. Chcę im wszystkim jak najgoręcej podziękować. Nie będę wymieniał żadnych nazwisk, aby nikogo przez nieuwagę nie pominąć – pełna lista musiałaby liczyć wiele stron – ale ci, o których chodzi, na pewno się domyślą.

Bardzo Wam dziękuję! *Көп рақмет (Köp raqmet)! Спасибо Вам большое! Thank you very much!* Bóg zapłać!

Motto

Cytat pochodzi z jednej z dwóch staroturkijskich inskrypcji runicznych znad rzeki Orchon w Mongolii. Na język polski przetłumaczył je Stanisław Kałużyński (*Tradycje i legendy ludów Mongolii*, Warszawa 1978), zaznaczając, że jego przekłady „mają charakter swobodniejszych tłumaczeń literackich, nie zaś filologicznych". Oto fragment drugiej inskrypcji, dzięki której można lepiej zrozumieć pierwszą (tę z motta): „Kiedy na górze zostało stworzone błękitne niebo, a na dole – brunatna ziemia, pomiędzy nimi pojawili się człowieczy synowie. Nad człowieczymi synami władzę objęli moi przodkowie, Bumyn Kagan i Istemi Kagan. […] Po nich kaganami [przywódcami stepowych państw] zostali ich młodsi bracia. A potem ich synowie i wnuki. Młodsi bracia nie byli jednak podobni do swoich starszych braci, a synowie nie byli podobni do swoich ojców. Na tronie poczęli zasiadać i panować źli, nierozumni kaganowie i kaganowie tchórzliwi. A ich bujurukowie [tytuł dostojnika w społeczeństwie staroturecki] również byli głupi i źli. […] Wtedy wszystek turkijski naród rzekł: *Byłem ludem, mającym swoje państwo. Gdzie jest teraz moje państwo?* […] Wtedy Turkijskie Niebo w górze i Święta Turkijska Ziemia i Wody w dole tak postanowiły: *Niech nie zaginie turkijski lud! Niech nadal pozostanie wielki!* […] Ponieważ Niebo było mi łaskawe, ponieważ szczęście i powodzenie były po mojej stronie, przywróciłem do życia lud, który był już skazany na zagładę. Nagi lud przyodziałem, biedny lud uczyniłem bogatym, nieliczny lud namnożyłem. […] W owym czasie dawni niewolnicy stali się panami niewolników, a dawne niewolnice stały się paniami niewolnic. Młodsi bracia nie byli już zależni od starszych, a synowie nie byli zależni od ojców. Takie było stworzone i rządzone przez nas państwo i taka była nasza prawowita władza" (inskrypcja ku czci Köl Tegina, brata Bilge Kagana – tak zwany duży napis, VIII wiek).

Pobrano ze strony pijafka.pl

Cytując fragmenty tych tekstów za Kałużyńskim, pozwoliłem sobie dokonać w nich niewielkich ingerencji językowych. Posiłkowałem się przy tym filologicznym przekładem inskrypcji na język rosyjski (za: Ałtaj Amanżołow, *Istorija i tieorija driewnietiurkskogo pis'ma*, Ałmaty 2003). Pisownię imion własnych w tych fragmentach podaję za: Jean-Paul Roux, *Historia Turków*, przeł. Krystyna Dąbrowska, Gdańsk 2003.

Fragmenty książki Kałużyńskiego cytuję też w pierwszym rozdziale.

Biała kość, czarna kość

Cytowany wiersz to oczywiście początek *Stepów akermańskich* Adama Mickiewicza – pierwszego z cyklu *Sonetów krymskich*, które po raz pierwszy ukazały się w 1826 roku.

Danuta Tęczarowska, *Deportacja w nieznane. Wspomnienia 1939–1942*, Londyn 1981.

Jan Witort, *Ze stepów Azji Środkowej*, „Lud” 1899, t. 5. Artykuł ten cytuję też w rozdziale *Aktobe – Aralsk*. W tym i kolejnych cytatach z literatury dziewiętnastowiecznej zmodernizowałem pisownię i interpunkcję.

Podróż 2022. Warszawa – Andiżan – Taszkent

Wojciech Górecki, *Buran. Kirgiz wraca na koń*, Wołowiec 2018. Książkę tę cytuję też w rozdziałach *Ałmaty* i *Aktobe – Aralsk*.

Ryszard Kapuściński, *Kirgiz schodzi z konia*, wyd. 5, Warszawa 2007.

Ryszard Kapuściński, *Imperium*, wyd. 17, Warszawa 2008. Książkę tę cytuję też w rozdziale *Ałmaty – Astana*.

Wywiad Ryszarda Kapuścińskiego to: *Ostatni worek kukurydzy. Z Ryszardem Kapuścińskim, Anno Domini 1993, rozmawia Roman Warszewski*, warszewski.info, bit.ly/3IwKWFH, dostęp: 19.02.2024.

Andrzej Wróblewski, *Przejażdżka po Rosji. Na kanwie opowieści Marka Z.*, wyd. 2, Poznań 2010.

Adam Mickiewicz, *Dziady. Poema*, Warszawa 2005. Dramat Mickiewicza cytuję też w rozdziale *Czykruli. Fersztejs, mużyk?*.

Art Plov CA Project, red. Alexey Ulko, Taszkent 2021.

Utwór *Zawtra* można obejrzeć w serwisie YouTube: bit.ly/43bWUOy (wersja uzbecko-rosyjska) i bit.ly/4c9r6hq (wersja karakałpacko-rosyjska).

Podróż 2022. Taszkent – Ałmaty

Film *Tiest' drajw* pochodzi z 2021 roku, wyreżyserował go Askar Szafi.

Reklamy banku Impieriał można obejrzeć w wielu miejscach w internecie, na przykład w serwisie YouTube: bit.ly/3V74MyZ.

Książka profesora Marikowskiego o yeti to: Pawieł Marikowskij, *Tragiedija dikogo („snieżnogo”) czełowieka*, Ałma-Ata 1992.

Wojciech Górecki, *Toast za przodków*, Wołowiec 2010.

Podróż 2022. Ałmaty

Ella Maillart, *Od Gór Niebiańskich do Czerwonych Piasków*, przeł. Maryna Ochab, Warszawa 2007. Książkę tę cytuję też w rozdziale *Astana – Aktau*.

Colin Thubron, *Utracone serce Azji*, przeł. Dorota Kozińska, Wołowiec 2012. Książkę tę cytuję też w rozdziałach *Żezkazgan – Karaganda* oraz *Astana – Stambuł – Warszawa*.

Romuald Karaś, *Kumys na deser*, Warszawa 1969. Przywoływany poeta to Olżas Sulejmenow. Książkę Karasia cytuję też w rozdziałach *Ałmaty – Astana, Aktobe – Aralsk* oraz *Żezkazgan – Karaganda*.

Aleksander Wat, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, cz. 2, Warszawa 1990. Książkę tę cytuję też w rozdziale *Czykruli. Fersztejs, mużyk?*. Wiersz Wata *Wierzby w Ałma-Acie* za: *Poezja polska od średniowiecza do współczesności*, wybór Anna Rajca, Jerzy Polanicki, Warszawa 2000.

Tiziano Terzani, *Dobranoc, panie Lenin!*, przeł. Katarzyna Skórska, Marcin Wyrembelski, Poznań 2011. Książkę tę cytuję też w rozdziale *Ałmaty – Astana*.

Opinię kazachskich muzealników o percepcji Złotego Człowieka w czasach komunizmu przytaczam za wypowiedzią Kulajszy Aktajewej, ówczesnej dyrektorki Muzeum Pierwszego Prezydenta, z książki Krzysztofa Renika *Kazachskie stepy. Zieme przeklęte?*, Warszawa 2021. Książkę tę cytuję też w rozdziałach *Ełbasy. Wywiad z Nazarbajewem, Ałmaty – Astana* oraz *Czykruli. Fersztejs, mużyk?*.

Gustaw Krist, *Buchara oraz sąsiednie kraje Centralnej Azji*, przeł. Mieczysław Jarosławski, Warszawa, b.r.w. [1939].

Żywot Adolfa Januszkiewicza i jego listy ze stepów kirgizkich, Berlin–Poznań 1861. Książkę tę cytuję też w rozdziale *Czykruli. Fersztejs, mużyk?*.

Dane z rosyjskiego i radzieckich spisów powszechnych są łatwo dostępne w wielu miejscach. Zainteresowanym sytuacją demograficzną w ZSRR polecam: Andrzej Maryański, *Przemiany ludnościowe w ZSRR*, Warszawa–Kraków 1995.

Szacunki kazachskich badaczy (oraz cytat z Makasza Tatimowa) za: Makasz Tatimow, *Kazachowie (analiza demograficzna – rys historyczny)*, przeł. Muchtar Tajżanow, „Za Uralem” [wydawnictwo Ośrodka Studiów Wschodnich] 1995, nr 5 (34).

Dane o spadku pogłowia zwierząt gospodarskich oraz liczbie zakładów przemysłowych wybudowanych w Kazachstanie w czasach ZSRR za: Krzysztof Strachota, *Azja Centralna. Charakterystyka regionu w kontekście stabilności i wyzwań migracyjnych*, Urząd do spraw Cudzoziemców, Wydział Informacji o Krajach Pochodzenia, Warszawa, grudzień 2011, gov.pl, bit.ly/4a7Kh9K, dostęp: 19.02.2024.

Andrzej Stasiuk, *Osiołkiem*, Wołowiec 2016.

Ełbasy. Wywiad z Nazarbajewem

Mój reportaż *Wywiad z Nazarbajewem* ukazał się po raz pierwszy w „Nowej Europie Wschodniej” (2019, nr 3–4), ale z tekstem publikowanym w niniejszej książce ma niewiele wspólnego. Łączą go z nim jedynie prawie ten sam tytuł i pomysł konstrukcyjny. Niektóre, niewielkie fragmenty tamtego tekstu zaadaptowałem co prawda na potrzeby książki, nawet one nie są jednak cytowane *in extenso*.

O Marku Karpiu i mojej podróży do Kazachstanu wspomniałem w krótkim tekście, który ukazał się na stronach internetowych „Nowej Europy Wschodniej” w 2014 roku, w dziesiątą rocznicę śmierci założyciela OSW. Nosił tytuł *W swetrze, w garniturze, w zbroi*.

Nasz wywiad z Nazarbajewem to: *Marzę o Unii Eurazjatyckiej*. *Z prezydentem Kazachstanu Nursułtanem Nazarbajewem rozmawiają w Astanie Marek J. Karp i Wojciech Górecki*, „Gazeta Wyborcza”, 23.05.2002.

Z kolei wywiad, który czytaliśmy w samolocie, to: *Między sercem a rozumem. Z prezydentem Kazachstanu Nursułtanem Nazarbajewem rozmawia Adam Michnik*, przeł. Irena Lewandowska, „Gazeta Wyborcza”, 28–29.09.1996. Wywiad ten cytuję też w rozdziale *Semipałatyńsk. Sprawy nieludzkie*.

Po moich dwóch podróżach do Moskwy, we wrześniu i grudniu 1991 roku (wtedy poznałem muzealnika Anatolija Jegorowa), napisałem reportaż *Teoria wielkich liczb* („Bestseller” 1992, nr 4).

Fragment wystąpienia papieża Jana Pawła II w Astanie podaję za: *Pielgrzymka pokoju. Kazachstan i Armenia, 22–27 września 2001 r.*, Częstochowa 2001.

Książka Rachata Alijewa *Kriostnyj tiest'* ukazała się w Berlinie w 2009 roku (w wersjach rosyjskiej, angielskiej i niemieckiej).

Książka *Kleptokratija. Kazachgiejt. Nowoje rassledowanije*, autorstwa Sagyndyka Miendybajewa i Wiktora Szełgunowa, została wydana w Moskwie w 2001 roku.

Publikacja koleżanki z OSW to: Aleksandra Jarosiewicz, *Pierestrojka Nazarbajewa. Kryzys i reformy w Kazachstanie*, „Punkt Widzenia” 2016, nr 58, czerwiec, osw.waw.pl, bit.ly/4c9ro80, dostęp: 19.02.2024.

Artykuł Nursułtana Nazarbajewa *Siedem twarzy Wielkiego Stepu* dostępny jest w wersji angielskiej na stronie: akorda.kz, bit.ly/4a4z7T5, dostęp: 19.02.2024.

Cytat ze Starego Testamentu: Księga Przysłów 9,1 (wszystkie cytaty biblijne podaję za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia*, wyd. 5, Poznań 2002).

Podróż 2022. Ałmaty – Astana

Pociągiem z Ałmatów do Astany jechałem w towarzystwie Krzysztofa Strachoty i Miłosza Szymańskiego. Dzięki, chłopaki, za tę podróż!

Cytaty z Władimira Naliwkina za: *Połwieka w Turkiestanie, W. P. Naliwkin: biografija, dokumienty, trudy*, Moskwa 2015.

Erika Fatland, *Granica. Podróż wokół Rosji przez Koreę Północną, Chiny, Mongolię, Kazachstan, Azerbejdżan, Gruzję, Ukrainę, Białoruś, Litwę, Polskę, Łotwę, Estonię, Finlandię i Norwegię oraz Przejście Północno-Wschodnie*, przeł. Maria Gołębiewska-Bijak, Katowice 2019.

„Przenikaliśmy wciąż głębiej…" to kryptocytat z: Joseph Conrad, *Jądro ciemności*, przeł. Aniela Zagórska, Warszawa 1991.

Wieniedikt Jerofiejew, *Moskwa Pietuszki*, przeł. Barbara Dohnalik, Warszawa 1991.

Przykładowe sondaże pokazujące stosunek Kazachstańczyków do agresji Rosji na Ukrainę można znaleźć na stronach demos.kz: bit.ly/49IziUc, dostęp: 19.02.2024; bit.ly/4c6BXJ1, dostęp: 19.02.2024.

Czykruli. Fersztejs, mużyk?

Mój reportaż *Czykruli – fersztejs, mużik?* ukazał się po raz pierwszy w „Nowej Europie Wschodniej" (2022, nr 2), jednak ten publikowany w niniejszej książce bardzo od niego odbiega – jest przede wszystkim pięciokrotnie dłuższy i rozwija wątki, które w tamtym były tylko zasygnalizowane, a także wprowadza nowe. Z tamtego tekstu zdecydowałem się zachować pomysł konstrukcyjny oraz wykorzystać, po przeredagowaniu, niektóre, niewielkie jego fragmenty.

Relacja Benedykta za: Benedykt Polak, *Z Europy do Azji przez Kazachstan (1245–1247*), przeł. Stefan Młodecki, Warszawa 2008.

Marco Polo, *Opisanie świata*, przeł. Anna Ludwika Czerny, wyd. 4, Warszawa 2010.

Fragment wiersza Karola Balińskiego *Pożegnanie* za: pl.wikiquote.org, bit.ly/43e4Hvb, dostęp: 19.02.2024.

Poemat *Kirgiz* Gustawa Zielińskiego za: pl.wikisource.org, bit.ly/43adSgc, dostęp: 19.02.2024.

Bronisław Zaleski, *Wspomnienia z Uralu i stepów kazachskich*, red. Andrzej Zieliński, Wrocław 2008. Książkę tę cytuję też w rozdziale *Aktobe – Aralsk*.

Anna Milewska-Młynik, *Seweryn Gross wśród badaczy kazachskiego prawa zwyczajowego*, Warszawa 2012.

Edward Ostrowski, *Listy z podróży odbytej do stepów Kirgiz-Kajsackich*, t. 1–2, Grodno 1859.

O Zatajewiczu: Aleksander Zatajewicz, *1000 pieśni narodu kazachskiego*, Warszawa 2010.

Bodaj najobszerniejszym opracowaniem poświęconym związkom Polaków z Kazachstanem jest: Antoni Kuczyński, *Polacy w Kazachstanie. Zesłania – dziedzictwo – nadzieje – powroty*, Krzeszowice 2014.

Problematykę dwuznacznej roli polskich zesłańców w eksploracji Kazachstanu podejmuje Tomasz Ewertowski (*Zesłaniec kolonizatorem. „Listy ze stepów kirgizkich" Adolfa Januszkiewicza*, „Interlinie. Interdyscyplinarne Czasopismo Internetowe" 2013, nr 1 (6), mishis.amu.edu.pl, bit.ly/3Pf4wdu, dostęp: 19.02.2024.

Przytoczona relacja z początków zesłania jest autorstwa Kazimierza Polańskiego i pochodzi z książki *Jasnoj Polanie 70 let* (Omsk 2006). Cytuję ją za: Stanisław Kamiński, *Wspomnienia z Kazachstanu* [w:] *Spotkałem dobrych ludzi. Wspomnienia nauczycieli kierowanych do pracy wśród Polonii i Polaków*, red. Sylwia Chwedorczuk, Warszawa 2018.

Aleksander Sołżenicyn, *Archipelag GUŁag 1918–1956. Próba dochodzenia literackiego*, przeł. Jerzy Pomianowski, t. 1–3, Warszawa 1991. Książkę tę cytuję też w rozdziałach *Kyzyłorda – Żezkazgan* i *Żezkazgan – Karaganda*.

Kate Brown, *Kresy. Biografia krainy, której nie ma*, przeł. Aleksandra Czwojdrak, Kraków 2012.

Jerzy Rohoziński, *Pionierzy w stepie? Kazachstańscy Polacy jako element sowieckiego projektu modernizacyjnego*, Warszawa 2021.

Badania profesora Marka Gawęckiego zostały opublikowane w książce *Kazachstańscy Polacy*, red. Celina Groblewska, Warszawa 1996.

Relacja nauczycielki za: Teresa Hantke, *Wspomnienia* [w:] *Spotkałem dobrych ludzi…*, dz. cyt.

Ola Watowa, *Wszystko co najważniejsze…*, Warszawa 1990. Książkę tę cytuję też w rozdziale *Aktobe – Aralsk*.

Jerzy Krzysztoń, *Wielbłąd na stepie. Krzyż Południa*, Warszawa 1987. Tu i w rozdziale *Aktobe – Aralsk* cytuję powieść *Wielbłąd na stepie*.

Marta Januszkiewicz (właśc. Grażyna Jonkajtys-Luba), *Kazachstan*, Paryż 1981.

Maria Jadwiga Łęczycka, *Zsyłka. Lata 1940–1946 w Kazachstanie*, Wrocław 1989. Książkę tę cytuję również w rozdziale *Semipałatyńsk. Sprawy nieludzkie*.

Najobszerniejszym omówieniem polskiej literatury zesłańczej z okresu sowieckiego, w tym dotyczącej Kazachstanu, jest praca Tadeusza Sucharskiego: *Literatura polska z sowieckiego „domu niewoli". Poetyka. Aksjologia. Twórcy*, Kraków 2021.

Dane liczbowe o zesłanych do Kazachstanu Polakach podaję za: *Deportacje Polaków i obywateli polskich do Kazachstanu w latach 1936–1941*, wstęp i oprac. Dmitriy Panto, Gdańsk 2019.

Podróż 2022. Astana – Aktau

Ilias Esenberlin, *Koczownicy*, przeł. z języka rosyjskiego Andrzej Szymański, Warszawa 1982.

Rusłan Muradow, *Mietafory priezidientskogo stiła*, „Kurak” 2007, nr 2.

Fragment wiersza Tarasa Szewczenki *Do Polaków* w tłumaczeniu Jerzego Jędrzejewicza cytuję za: Bronisław Zaleski, *Wspomnienia z Uralu i stepów kazachskich*, red. Andrzej Zieliński, Wrocław 2008.

Podręcznik do historii, który kupiłem w Astanie, to: Burkitbaj G. Ajagan, Kajyrkien B. Adijet, Arstan B. Satanow, *Istorija Kazachstana (s 1946 goda po nastojaszczeje wriemia). Uczebnik dla 9 kłassow obszczieobrazowatielnych szkoł*, Ałmaty 2019.

Podróż 2022. Aktau – Atyrau

Film *The Other Side of Oil* Łukpana Achmiedjarowa i Raula Uporowa można zobaczyć w serwisie YouTube: bit.ly/3TvSy1y, dostęp: 19.02.2024.

Cytat z wiersza Juliana Tuwima *Do prostego człowieka* z 1929 roku za: Julian Tuwim, *Wiersze*, t. 2, oprac. Alina Kowalczykowa, Warszawa 1986.

Beatlesowskiej piosenki *Yesterday* w wykonaniu Asyłbieka Jensepiowa na dombrze można posłuchać w serwisie YouTube: bit.ly/4a5r6NM, dostęp: 19.02.2024. Poloneza Ogińskiego w dombrowej interpretacji Sansyzbaja Jeriesienowa – tutaj: bit.ly/48QmcTM, dostęp: 19.02.2024. Z kolei Bachytżan Żełdierbajew wykonuje na dombrze *Marsz turecki* Mozarta: bit.ly/48Nydcy, dostęp: 19.02.2024.

Peter Hopkirk, *Obce diabły na Jedwabnym Szlaku. W poszukiwaniu zaginionych miast i skarbów w chińskiej części Azji Środkowej*, przeł. Anna Bezpiańska-Oglęcka, Warszawa 2008.

Wpis Dmitrija Miedwiediewa można przeczytać tutaj: t.me/bloodysx/21274, dostęp: 19.02.2024. Odpowiedź Dosyma Satpajewa: businessfm.kz, bit.ly/48TROrw, dostęp: 19.02.2024.

Aleksander Sołżenicyn, *Jak odbudować Rosję? Refleksje na miarę moich sił*, przeł. Juliusz Zychowicz, Kraków 1991.

Botakoz Kassymbiekowa, Erika Marat, *Pora otkazat'sia ot mifa impierskoj niewinnosti Rossii*, PONARS Eurasia Policy Memo, nr 771, 27.04.2022, ponarseurasia.org, bit.ly/4a7rtHv, dostęp: 19.02.2024. Tekst dostępny jest również w wersji angielskiej: Botakoz Kassymbekova, Erica Marat, *Time to Question Russia's Imperial Innocence*, PONARS Eurasia Policy Memo, nr 771, 27.04.2022, ponarseurasia.org, bit.ly/3TayXTo, dostęp: 19.02.2024.

Film *Piet' swoi piesni* Katieriny Suworowej dostępny jest w serwisie YouTube: bit.ly/3TbIbyz, dostęp: 19.02.2024 (angielski tytuł filmu to *Face the Music in Kazakhstan*).

Podróż 2022. Atyrau – Aktobe

Bruno Jasieński, *Człowiek zmienia skórę*, przeł. Jerzy Brzęczkowski, Warszawa 1961. Książkę tę cytuję również w następnym rozdziale.

O radykalnym islamie w Kazachstanie (i szerzej – na całym obszarze poradzieckim) zob.: Maciej Falkowski, Józef Lang, *Homo Dżihadicus. Islam na obszarze byłego ZSRR a fenomen postsowieckich bojowników w Syrii i Iraku*, Raport OSW, Warszawa 2015, os w.waw.pl, bit.ly/3Vgd0EX, dostęp: 19.02.2024.

Podróż 2022. Aktobe – Aralsk

Cytat z wiersza Anny Achmatowej *Ja nie była zdies' liet siem'sot…* podaję w tłumaczeniu własnym. Dwuwiersz był mottem do mojej wspomnianej wyżej książki *Buran. Kirgiz wraca na koń*.

Piosenki *Kazachstan* zespołu Samokhin Band można posłuchać w serwisie YouTube: bit.ly/4c71G47, dostęp: 19.02.2024.

Alan K. Outram i in., *The Earliest Horse Harnessing and Milking*, „Science", vol. 323, 6.03.2009, researchgate.net, bit.ly/4399oqh, dostęp: 19.02.2024.

Wywiad z Jolantą Dylewską to: *Plunięcie w wieczność. Z Jolantą Dylewską, operatorem filmowym, reżyserką filmów dokumentalnych, autorką filmu „Po-lin. Okruchy pamięci", rozmawia Katarzyna Bielas*, „Wysokie Obcasy" [dodatek do „Gazety Wyborczej"], nr 43, 8.11.2008.

Tadeusz Fedorowicz, *Drogi opatrzności*, Lublin 1991.

Ryszard Kapuściński, *Heban*, wyd. 9, Warszawa 2004.

Podróż 2022. Morze Aralskie

Paulo Coelho, *Zahir*, przeł. Zuzanna Bułat Silva, Warszawa 2007.

Podróż 2022. Aralsk – Kyzyłorda

Przewodnik, w którym napisano, że w Kyzyłordzie nie ma żadnych atrakcji turystycznych („*Dostoprimieczatielnostiej nie obnarużeno*") to: Anton Krotow, Andriej Sapunow, *Sriedniaja Azija. Prakticzeskij putiewoditiel po Kyrgyzstanu, Uzbiekistanu, Kazachstanu i Tadżikistanu*, Moskwa 2009.

Podróż 2022. Kyzyłorda – Żezkazgan

O. Ryszard Czesław Grabski, *Kapelan Armii Andersa. Wspomnienia zesłańca 1940–1955*, Warszawa 2017.

Jerzy Julian Węgierski, *Bardzo różne życie. We Lwowie, w sowieckich łagrach, na Śląsku*, Katowice 2003.

Wspomnienia polskich łagierników, którzy uczestniczyli w powstaniu w Kengirze, kolejno: Henryka Stawryłły, Józefa Leguna i Kazimierza Kaczkowskiego, przytaczam za: Małgorzata Strasz, Tomasz Gleb, *Bunt w Kingirze*, „Karta" 1994, nr 13.

Siergiej Lebiediew, *Granica zapomnienia*, przeł. Grzegorz Szymczak, Warszawa 2018.

Książki po ukraińsku o Stiepłagu to: Turganbiek Ałłanijazow, *Karłah: Kenhirśke powstannia. Do istoriji powstannia uwjaznennych 3 widdiłennia Stepowoho taboru MWS SRSR (16 trawnia – 26 czerwnia 1954 r.)*, Karaganda 2017 oraz *Narysy istoriii Stepowoho taboru MWS SRSR (1948–1956)*, ried. Turganbek Ałłanijazow, Karaganda 2017.

Informacja o otwarciu w Kazachstanie tajnych archiwów KGB za: Baktygul Chynybaeva, *Kazakhstan Opens Secret KGB Archives Amid Moves Toward Decolonization in Central Asia*, 12.11.2023, Radio Free Europe, Radio Liberty, rferl.org, bit.ly/3Vd6MWh, dostęp: 19.02.2024.

Podróż 2022. Żezkazgan – Karaganda

Cytat ze Starego Testamentu (*Nad rzekami Babilonu*): Księga Psalmów, Psalm 137 (136) 1–4, 8.

Strona porzekadła „*Gdie-gdie? W Karagandie!*" w rosyjskiej Wikipedii znajduje się pod adresem: ru.wikipedia.org, bit.ly/48X0NZe, dostęp: 19.02.2024.

Zdanie zaczynające się od „Tutejsze limfatyczne dzieci…" to parafraza fragmentu poematu *Kwiaty polskie* Juliana Tuwima („Bałuckie limfatyczne dzieci…"): Julian Tuwim, *Kwiaty polskie*, Warszawa 1977.

Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół, cz. 2, red. ks. Witold Józef Kowalów, Biały Dunajec 2006.

Wspomniany bryk to: Ks. Władysław Bukowiński, *Historia nauczycielką życia*, Biały Dunajec 2010.

Warłam Szałamow, *Opowiadania kołymskie*, t. 2: *Artysta łopaty* (cytowany fragment pochodzi z opowiadania *Kurs*), przeł. Juliusz Baczyński, Gdańsk 1991.

Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą 1973–1979*, Warszawa 1995.

Dialog księdza z oficerem oraz trzecie aresztowanie i proces księdza Bukowińskiego opisałem na podstawie: Ks. Władysław Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu*, Londyn 1979. Z tej książki zaczerpnąłem też większość informacji o jej autorze. Konfrontowałem je – w kilku miejscach pamięć księdza zawiodła – z literaturą, jaka o nim powstała między innymi w związku z procesem beatyfikacyjnym, na przykład: Ks. Jan Nowak [postulator procesu], *Niezłomny pasterz. Duszpasterstwo ks. Władysława Bukowińskiego w Kazachstanie w latach 1950–1974*, Kraków 2013.

Podróż 2022. Karaganda – Astana

Wpis blogera Ilji Warłamowa pochodzi ze strony: esquire.kz, bit.ly/4a5s8cC, dostęp: 19.02.2024.

Autorką maila o zamieszkach po koncercie Kajrata Nurtasa była Iwona Wiśniewska, która w latach 2012–2014 pracowała w Ambasadzie RP w Astanie.

Miasto to gra gier. Z Czesławem Bieleckim rozmawia Adam Tycner, „Plus Minus" [dodatek do „Rzeczpospolitej"], nr 50, 15–16.12.2012. Z tego wywiadu pochodzi też zdanie: „Jak mówił jeden z wielkich polskich socjologów Marcin Czerwiński, są piękne miasta brzydkich domów i brzydkie miasta pięknych domów".

Autorem porównania Astany do nowobogackiego mieszkania jest Krzysztof Strachota z Ośrodka Studiów Wschodnich.

Dialog inwestora z architektem („W jakim stylu?" „We wszystkich stylach!") jest parafrazą zamówienia na pałac, jakie złożyć miał łódzki fabrykant Izrael Poznański (1833–1900).

Dmitrij Strelnikoff, *Nikołaj i Bibigul*, Warszawa 2009. Książkę tę cytuję także w następnym rozdziale.

St.[anisław] A.[ntoni] Wotowski, *Tajemnice masonerji i masonów*, Warszawa 1926.

„Astanu sprojektirował mason": W „organizacyi s tajnami" rasskazali o czlenach łoży w Kazachstanie, „Newstimes.kz", 7.02.2018, newtimes.kz, bit.ly/3V7Pk5J, dostęp: 19.02.2024.

Semipałatyńsk. Sprawy nieludzkie

Mój reportaż *Semipałatyńsk. Sprawy nieludzkie* ukazał się po raz pierwszy w „Nowej Europie Wschodniej" (2019, nr 1), ale ten publikowany w niniejszej książce bardzo od niego odbiega – jest znacznie dłuższy i rozwija zasygnalizowane w tamtym tekście wątki oraz wprowadza nowe. Zdecydowałem się zachować pierwotny tytuł i wykorzystać pomysł konstrukcyjny z tamtego tekstu, zostawiłem też – po redakcji – niektóre jego fragmenty (część z nich to cytaty, między innymi z Andrieja Sacharowa).

Jerzy Kennan, *Syberya*, przeł. autor *Wspomnień więźnia*, Lwów 1891.

Abaj Kunanbajuly, *Słowa*, przeł. Henryk Jankowski, Poznań 2013.

Wspomnienia Nikołaja Katanowa przytaczam za artykułem z portalu Dzen.ru Miłliard Tatar, *Walidowskaja Kazan': po sledam otca baszkirskoj gosudarstwiennosti*, 13.09.2024, dzen.ru, bit.ly/48Q9STB, dostęp: 19.02.2024.

Andriej Sacharow, *Wspomnienia*, t. 1, przeł. Danuta Ulicka, Warszawa 1991.

Wypowiedź Borysa Gusiewa przytaczam za filmem dokumentalnym, który obejrzałem w Narodowym Centrum Jądrowym w Kurczatowie.

Marsz studentów fizyków Włodzimierza Wysockiego nie został przetłumaczony na polski. Specjalnie na potrzeby *Wiecznego państwa* sam refren przełożył najwybitniejszy – według mnie – żyjący tłumacz poezji rosyjskich bardów, Michał

Jagiełło, któremu winny jestem niskie ukłony. Po rosyjsku refren ten brzmi następująco: „*Nam tajny nieraskrytyje raskryt' pora, / Leżat biez polzy tajny, kak w kopiłkie. / My tajny eti skoro wyrwiem u jadra, / Na wolu pustim dżynna iz butyłki!*”.

Kate Brown, *Plutopia. Atomowe miasta i nieznane katastrofy nuklearne*, przeł. Tomasz Bieroń, Wołowiec 2016.

Cytaty z Nikity Chruszczowa i Aleksandra Wasilewskiego za stroną: salon24.pl, bit.ly/48K8QrX, dostęp: 19.02.2024.

Olżas Sulejmenow, *Gliniana księga*, przeł. Jan Stachurski, Warszawa 2008.

Podróż 2022. Astana – Stambuł – Warszawa

Zdzisław Nowicki, *Ikona z kawałkiem chleba i cebuli. Wspomnienia polskiego ambasadora na Wschodzie*, Poznań 2012.

Tom Cope, *Na szlaku Czyngis-chana. Wielka wędrówka przez krainę nomadów*, przeł. Aleksandra Czwojdrak, Kraków 2014.

Nikołaj Rierich, *Sierdce Azii*, Sankt-Pietierburg 1992.

Autorem twitterowego wpisu o sytuacji na lotnisku w Amsterdamie był Łukasz Adamski, wicedyrektor Centrum Dialogu im. Juliusza Mieroszewskiego.

Ostatnie zdanie w książce to oczywiście parafraza z filmu *Seksmisja* Juliusza Machulskiego z 1984 roku.

Przypisy

[1] Wkrótce po naszym spotkaniu Pawieł Marikowski stracił mieszkanie w Ałmatach, a wraz z nim – dorobek życia. Padł ofiarą oszustów, którzy wyłudzali lokale od takich jak on starych, samotnych Rosjan. Zamieszkał pod miastem, w malutkim domku bez wygód. Zmarł w 2008 roku.

[2] Określenia „plemię” czy „ród”, których używam w książce, nie do końca pasują do kazachskich realiów, chciałem jednak uniknąć nadmiaru tamtejszych terminów i jeszcze większego zamętu. Ponadto we współczesnej antropologii odchodzi się od słowa „plemię”, któremu tradycyjnie przypisywano cywilizacyjną „niższość”, na rzecz neutralnego pojęcia „lud”. *Wieczne państwo* nie jest jednak pracą naukową.

[3] Został usunięty z ekspozycji w lutym 2024 roku.

[4] Inspiracją mogła być dla Nazarbajewa turecka koncepcja wiecznego państwa, wywodząca się jeszcze z czasów osmańskich (Devlet-i Ebed Müddet). Preambuła obecnej tureckiej konstytucji głosi „wieczne istnienie Ojczyzny tureckiej oraz Narodu tureckiego, a także niepodzielną jedność Najwyższego Państwa Tureckiego”.

[5] Właściwie: GUŁag, akronim rosyjskiej nazwy **G**ławnoje **u**prawlenije isprawitielno-trudowych **łag**ieriej i kołonij (Główny Zarząd Poprawczych Obozów Pracy i Kolonii [karnych]). Była to instytucja nadzorująca łagry w ZSRR, istniejąca w latach 1930–1959. Podlegała pod NKWD, a następnie pod MSW. Książka Aleksandra Sołżenicyna to *Archipelag GUŁag 1918–1956. Próba dochodzenia literackiego*.

[6] MGIMO – Moskiewski Państwowy Instytut Stosunków Międzynarodowych (Moskowskij gosudarstwiennyj institut mieżdunarodnych otnoszenij), obecnie w nazwie jest jeszcze słowo „Uniwersytet”. Prestiżowa uczelnia, uchodząca za kuźnię sowieckich, a obecnie rosyjskich kadr dyplomatycznych, biznesowych i urzędniczych (przyjmowała też i przyjmuje studentów z zagranicy). Ukończyli ją między innymi Štefan Füle, czeski polityk i były komisarz UE do spraw rozszerzenia i polityki sąsiedztwa, oraz prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew.

[7] Z kolei 9 listopada 2023 roku, w trakcie wizyty Władimira Putina w Astanie, Tokajew przeszedł nagle na kazachski, wprawiając w osłupienie członków rosyjskiej delegacji, którzy zaczęli nerwowo szukać słuchawek.

[8] *Akim* – w Kazachstanie (i Kirgistanie) szef *akimatu*, czyli lokalnych władz: obwodu, rejonu, okręgu wiejskiego oraz trzech największych miast – Astany, Ałmatów i Szymkentu.

[9] Regularna formacja zbrojna Ukraińskiej Republiki Ludowej istniejąca w latach 1917–1919.

[10] Ksiądz Władysław Bukowiński i inżynier (późniejszy profesor) Jerzy Julian Węgierski znali się. W listopadzie 1955 roku w Karagandzie ksiądz pobłogosławił związek małżeński, który inżynier zawarł jeszcze w Żezkazganie z Józefą Hroździej. Niedługo później Węgierscy wrócili do Polski.

[11] Członkowie Związku Strzelców Litewskich, organizacji paramilitarnej powstałej w 1919 roku i działającej do dziś.

[12] W Kazachstanie, podobnie jak w Rosji, stopień naukowy kandydata nauk odpowiada polskiemu stopniowi doktora, a doktora nauk – doktora habilitowanego.

[13] 18 września 2023 roku Prokuratura Generalna Kazachstanu ogłosiła, że odtajniono już około 2,4 miliona jednostek archiwalnych dotyczących ofiar represji politycznych w okresie 1929–1956. Do tego dnia zrehabilitowano 311 tysięcy osób.

[14] Jekybastuz (ros. Ekibastuz) – miasto w północno-wschodnim Kazachstanie. Mieścił się tam łagier, w którym siedział Sołżenicyn.

[15] 1 funt = 0,5 kilograma.

[16] Miara objętości zboża. 1 czetweryk = ok. 26,5 litra.

[17] Równowartość 31,7 miliona obecnych dolarów USA.

[18] Równowartość 4,76–6,34 miliona obecnych dolarów USA.

[19] Henry Thomas Buckle (1821–1862), angielski filozof i socjolog; John Stuart Mill (1806–1873), angielski filozof i ekonomista; John William Draper (1811–1882), amerykański filozof i przyrodnik, jeden z pionierów fotografii.

[20] W znanych mi pracach Czokana Walichanowa nie natrafiłem na tę historię. Opowiedział mi o niej w lipcu 1996 roku Murat Orunchanow, który pełnił wtedy funkcję prorektora Uniwersytetu Al-Farabiego w Ałmatach.

[21] Poszczególne pozycje podaję w kolejności cytowania.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl
Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne
Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Dukielska 83C, 38-300 Gorlice
tel. +48 515 274 298

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
al. Jana Pawła II 45A lok. 56
01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 50, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2024
Wydanie I